

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ



Christopher Carlsson

KŁAMCA I JEGO KAT

Christoffer Carlsson
**KŁAMCA
I JEGO KAT**

Przełożyła Elżbieta Frączak-Nowotny

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna czerwiec 2014 luty 1984 styczeń–luty 1971 luty 1984 czerwiec 2014 marzec 1971 marzec 1984 marzec 1971 marzec 1984 czerwiec 2014 WRZESIEŃ 1984 październik 1965 październik 1984 wrzesień 1971–sierpień 1972 czerwiec 2014 październik 1984 maj–lipiec 1980 październik 1984 lipiec 1980 czerwiec 2014 listopad 1984 lipiec 1980 listopad 1984 lipiec–sierpień 1980 listopad 1984 czerwiec 2014 wrzesień–październik 1980 listopad 1984 listopad–grudzień 1980 czerwiec 2014 grudzień 1980 czerwiec 2014

Tytuł oryginału

MÄSTARE, VÄKTARE, LÖGNARE, VÄN

Redakcja

Grażyna Mastalerz

Projekt graficzny serii

Paweł Skupień

Projekt okładki

Daniel Rusiłowicz

Zdjęcia na okładce

© Dmitrijs Bindemanis / Shutterstock, © sunsinger / Shutterstock, ©
gutetsk7 / Shutterstock

Korekta

Małgorzata Denys, Maciej Korbański

Redaktor prowadzący

Anna Brzezińska

Mästare, väktare, lögnare, vän © by Christoffer Carlsson, 2015

By Agreement with Pontas Literary & Film Agency.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Frątczak-Nowotny

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-990-4

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Anny, Sofii,
Christine i Astri*

Do you know what love is?
I'll tell you:
It is whatever you can still betray.
JOHN LE CARRÉ

Szwecja...

Wspominając czasy i zdarzenia opisane na tych kartach, podejrzewamy, że ich oficjalna wersja zapewne mijała się z prawdą. Podejrzenia są słuszne, co nie znaczy, że było tak, jak sądzimy. Prawda nadal jest rzadkim gościem.

Jest popołudnie osiemnastego czerwca 2014 roku.

Miejsce: Bruket. Wrócił tu po raz ostatni.

Szwecja. To, co się wydarzyło, było zbrodnią, sprawa miała długą historię, a zaczęła się, jak to często bywa, od dwóch osób, które połączyła wspólna tajemnica.

Był tam, kiedy to się stało, zimą 1980 roku, gdy został tylko popiół i sadza, był tam też cztery lata później, kiedy woda zabrała wszystko. Już wtedy nasuwały mu się pewne przypuszczenia, ale musiało upłynąć jeszcze wiele lat, zanim zrozumiał znaczenie tego, co się wówczas wydarzyło.

Szwecja. To, co teraz nastąpi, zmusi winnych do uległości.

Wybaczcie im.

czerwiec 2014

Coś jest nie tak, wiem to. Coś jest zdecydowanie nie tak, jak powinno być.

Ja...

Nie jestem pewien, co dalej.

Nazywam się Leo Junker. Mam trzydzieści cztery lata i siedzę na balkonie w swoim mieszkaniu. Czasem mam wrażenie, jakby czas się cofał, we wspomnieniach czuję się starszy, niż jestem teraz.

Biegnę obrzeżami Salem. Świat ma potężne kły i rozdwojony język, może ugryźć każdego, kto nie będzie dość ostrożny. Mam dziesięć, może jedenaście lat. Wracam do domu z Rönninge. Właśnie po raz pierwszy sam wysiadłem z autobusu i boję się, że pomyliłem przystanki i że zaraz się okaże, że nie rozpoznaję świata, który mnie otacza.

Jest późna jesień i liście zaczęły już usychać. Kiedy dostrzegam znane mi domy Triady, oddycham z ulgą. Ale nie wracam do domu, chociaż powinienem. Moja świeżo nabyta wolność – tak przynajmniej to odbieram – czyni mnie odważnym, więc ruszam dalej. Mam ze sobą plecak, a w nim nowego walkmana. Wkładam słuchawki, wsłuchuję się w rytm muzyki. Dochodzę do wieży ciśnień, która wznosi się przede mną niczym świątynia.

Widzę ludzi z naszej szkoły. Są starsi od mnie, siedzą w grupie i dzielą się papierosem. Mam wrażenie, że się śmieją, ale nie słyszę ich. Idę skrajem żwirowej ścieżki, widzę, jak jeden z chłopaków obejmuje dziewczynę, drugi kładzie rękę na jej udzie.

Chcę do nich podejść, ale zawracam. Idę do domu.

Takie było moje dzieciństwo.

I jeszcze zapach ojca i mamy, kiedy wracali z pracy do domu. I słońce, które oświetlało po kolei dach po dachu, i zapach smażenia i spalin, i niebieskie światła radiowozów pojawiające się w ciszy równie nagle jak strach, i stare graffiti, *tags* i *pieces*, i *punitions*, zapamiętane ruchy, mocne kolory. Czekanie na podmiejską kolejkę, która nie zawsze zjawiała się na czas albo odjeżdżała chwilę wcześniej, i papierosy, a potem jointy, i pieniądze przekazywane z ręki do ręki, i niebieskoszary słodki dym, który wijąc się między palcami, uświadamiał mi, że moje kieszonkowe także i tym razem poszło z dymem. Nieco później tamtego dnia

ja i mój przyjaciel Grim ukradliśmy ubrania ze sklepu przy Birger Jarlsgatan, a potem się z tego śmialiśmy. Moje dzieciństwo to także Nas i *Illmatic* i *the city never sleeps, full of villains and creeps, that's where I learned to do my hustle*, i ja i Grim na dachu wieży ciśnięć, i chwila, kiedy uświadamiam sobie, że może gdzieś tam w oddali jest świat, w którym znajdzie się miejsce i dla mnie.

W pierwszych dniach lata 2014 roku często myślę o tym, co było kiedyś. W bezsenne noce nabieram pewności, wiem, że wkrótce stanie się coś, co przesądzi o wszystkim.

Kiedy dziewiętnastego lipca po południu dzwoni telefon, moje przeczucia się potwierdzają.

Kiedy Tove Waltersson była mała, spytała mamę, skąd się wzięły te wszystkie domy, drzewa i ludzie, dlaczego Bruket jest takie duże i skąd te połacie pól, gęste lasy i kępy obumarłych drzew. Dziwne gałęzie krzewów zdawały się oplatać wszystko, co napotykały na drodze: pnie, kamienie, martwe pojazdy i porzucone stare domostwa.

Mama odpowiedziała jej, że kiedy Bóg spojrział w dół na swoje dzieło, był zawiedziony. To, co stworzył, okazało się za małe, za ciasne i nieco za duszne. Chcąc to naprawić, opuścił swoje wielkie dłonie, chwycił nimi ziemię właśnie na obrzeżach Bruket i zaczął rozciągać, tak jak się rozciąga sweter, z którego się wyrosło.

To było dawno temu, od tamtej chwili minie wkrótce trzydzieści lat, ale uczucie pozostało. Jeśli się tam nie mieszka, to pewnie łatwo o nim zapomnieć. Ci, którzy wpadają w odwiedziny, mówią, że zaczynają się pocić i że kręci im się w głowach. Pewnie od słońca. Dziewiętnastego lipca cienie są rzadkością, a asfalt jest tak gorący, że aż paruje.

Ulica Alvavägen jest wygradzona biało-niebieską taśmą, która zwisa luźno między latarniami. Tove zatrzymuje samochód, ściąga włosy w kucyk i zdejmuje okulary słoneczne.

Przy wygradzeniu stoją dwa oznakowane radiowozy.

* * *

Brandén i Åhlund rozmawiają ze sobą, oparci o maskę, każdy z puszką fanty w ręku.

– Numer dziesięć – mówi Brandén.

– Kto to? – pyta Tove.

– Starszy mężczyzna. – Åhlund wypija łyk. – Charles Levin.

– T e n Charles Levin?

Åhlund patrzy na Brandéna, a on ze zdziwienia unosi brwi.

– Kto? – pyta.

– Ten policjant, Charles Levin.

– Klasse i Östen byli tu pierwsi, są w środku. Spytaj ich. Pół godziny temu wyjechał z Halmstad technik, za kwadrans powinien tu być.

Alvavägen 10. Jasnoszary drewniany dom, zniszczony, stary. Z daleka wygląda raczej na domek letni. Na płocie wisi bezimienna skrzynka na listy, drzwi są otwarte. Światła są zgaszone i jeśli za coś należy być wdzięcznym, to może właśnie za to. Włączone światła w domu zmarłego to bardzo nieprzyjemny widok.

W pokoju po prawej stoi Östen Vallman z komórką w ręku. Wydaje się czegoś szukać. Kanapa, obok szklany stolik, na ścianie obok dużej pustej półki na książki wisi obraz Carla Larssona. Pod pozostałymi ścianami stoją ustawione jeden na drugim kartony po przewodach, na jednych ktoś napisał PORCELANA, na innych SZKŁO, a jeszcze na innych KSIĄŻKI.

Tove zdejmuje buty i wchodzi do niewielkiego holu. Drewniana podłoga skrzypi nieprzyjemnie pod stopami.

– Tam – mówi Vallman. – Po lewej, w kuchni. Tam go znajdziesz.

Przy oknie w kuchni stoi stolik i dwa krzesła. Mężczyzna leży na boku, ma na sobie niebieskie džinsy i jasnożółtą bluzę z piki. Widać, że z dziury w jego głowie na wysokości skroni spływała krew, mnóstwo krwi. Poza tym brak śladów walki, w ogóle brak jakichkolwiek śladów. Pewnie siedział na krześle, kiedy to się stało, upadł i osunął się na podłogę. Drugie krzesło jest lekko wysunięte, jakby ten, kto na nim siedział, po prostu wstał i wyszedł.

Na tapecie, na wysokości wzroku, chmura krwi. Drobiniki są tak małe, że wyglądają jak zamazany woal.

Ofiara to wysoki szczupły mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce. Widać, że dbał o kondycję i zdążył się już opalić w pierwszych promieniach letniego słońca. Rysy wyraźnie zaznaczone, eleganckie, nos przypominający dziób jastrzębia, wysokie kości policzkowe, kształtne.

To on. Niech to szlag.

– Kiedy nas powiadomiono?

– Godzinę temu, dwie minuty po jedenastej – mówi Vallman ze wzrokiem wbitym w ekran komórki. – Zadzwoił znajomy ofiary, Lars Erik Sunesson. Rozmawiali ze sobą wczoraj i umówili się na przedpołudniową kawę, dzisiaj o jedenastej. Kiedy przyszedł i zadzwonił do drzwi, i nikt nie odpowiedział, zaniepokoił się. Próbował zajrzeć do kuchni. Zobaczył krew na podłodze i zadzwonił do nas.

– Gdzie jest teraz? Sunesson.

– Klasse odwiózł go do domu, miał go przesłuchać. To starszy pan, był zdenerwowany. – Vallman ścisza głos, chociaż w pobliżu nikogo nie ma. – Mam wrażenie, że potrzebował łyka czegoś mocniejszego, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Östen Vallman, syn miejscowego chłopca, ma twarz jak pysk psa, a ręce jak parobek. W młodości był najlepszy w pchnięciu kulą w całej okolicy, raz wygrał nawet mistrzostwa okręgowe w swojej grupie wiekowej, czemu poświęcono kilka linijek w miejscowej gazecie. Wydaje się przystojny, jak chłopcy z gimnazjum, którzy w oczach mają pustkę.

– Myślisz, że mógł to zrobić sam? – pyta i patrzy na zmarłego.

– Zastrzelić się?

– Trzeba by porównać tor kuli i położenie ciała.

– Widzisz gdzieś broń?

Vallman rozgląda się z nadzieją, komórka w jego potężnej dłoni wygląda jak miniaturka. Nie dostrzega broni i zwraca się do Tove:

– A może...

– Czy stojące na stole dwie filiżanki wskazują na to, że pił kawę sam ze sobą? Z wymyślonym znajomym?

Vallman patrzy na nią i przekrzywia głowę.

– Mogłabyś być trochę miłsza. Nic dziwnego, że ludzie cię nie lubią.

– Wkrótce mnie pewnie przeniosą. Nie musisz się martwić.

Vallman wzrusza ramionami.

– Mimo wszystko.

Miasteczko ma może około czterech tysięcy mieszkańców. Większość mieszka w domach zaraz za rynkiem, niedaleko drogi krajowej. Od rynku odchodzą mniejsze i węższe uliczki, i właśnie przy jednej z nich mieszka Tove, w dzielnicy segmentów, w której mieszkania są stare, niewielkie. Na takie mieszkanie człowiek decyduje się, kiedy go nie stać na nic lepszego albo kiedy jest mu wszystko jedno, jak mieszka, a nie chce mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Bo przecież takie mieszkanie i tak nigdy nie będzie miłe i przytulne.

Tove wyprowadziła się z Bruket, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat i rozpoczęła naukę w Wyższej Szkole Policyjnej, trzy lata po tym, jak zaczął tam studiować jej brat. Markus skończył naukę z dobrymi ocenami, wszyscy go chwalili, podczas gdy ona ledwie sobie radziła. Nie znalazła pracy ani w Göteborgu, ani w Malmö. Musiała szukać gdzie indziej: w Trollhättan, w Nässjö, w Varbergu.

Pół roku temu wróciła do Bruket. Jej brat mawiał, że ludzie tacy jak oni są skazani na życie tam. I że jedyne, co im zostaje, to starać się żyć godnie.

Czasem dochodziła do wniosku, że miał rację. Jego los to potwierdzał, bo Markus opuścił Bruket i zginął.

Ostatnio czuła się coraz gorzej. Za każdym razem, kiedy dojeżdżała samochodem do granic miasteczka, tam, gdzie tablice informowały, że zaraz opuści Bruket, zawracała. Dostawała mdłości, drżały jej ręce, pociła się, zaczynała szcząkać zębami, przed oczami miała mroczki. Zjeżdżała wtedy na pobocze, oddychała głęboko kilka razy i dopiero po chwili mogła jechać dalej.

I wtedy zawracała. Zawsze.

Po śmierci Markusa dziewięć miesięcy była na zwolnieniu lekarskim. Potem wróciła do pracy na pół etatu, a od trzech miesięcy znów pracowała w pełnym wymiarze. Wróciła do miejscowego komisariatu. Bo tylko tam znalazło się dla niej miejsce. Poza tym – podkreślono to wyraźnie – teraz tam mieszkała.

Jakby to była zaleta.

Jej nowi koledzy, znajomi z dawnych lat, jej albo jej rodziców, współczuli jej. Pamiętali Markusa z czasów, kiedy i on, i ona byli dziećmi. Opowiadali, jak wystawiali w korytarzu i przyglądali się wszystkim oczami wielkimi jak talerze. Pamiętała to?

Tak, mówiła. Pamiętała.

Pytali też, jakie to uczucie znów być w domu. I jak się czuje jej mama. Czasem ją widywali, to znaczy jej matkę, w okolicach cmentarza.

Wszystko w porządku, kłamała. Mama czuje się dobrze.

Miejscowi nie widzieli potrzeby, żeby w komisariacie pracował policjant śledczy, ani tego nie chcieli. Nie czuła się tam mile widziana. Nawet jej szef, Ola Davidsson, uważał, że jest zbędna. Podejrzewała, że byłby zadowolony, gdyby się załamała i wróciła na zwolnienie.

Przed domem zatrzymuje się samochód. Tove i Vallman wychodzą, żeby się przywitać z technikiem. Okazuje się, że to kobieta. Fanny Söderlund. Przedstawia się, spogląda na odznakę na ramieniu Vallmana i pyta o szefa. Vallman wskazuje na Tove, Söderlund wydaje się zdziwiona.

– Spodziewałem się mężczyzny.

– Ja też – odpowiada Vallman.

Fanny Söderlund ma suche dłonie, ładną, delikatną twarz, srebrzystosiwe włosy spięta na karku. Ma ze sobą czarną torbę, która wygląda jak skrzynka na narzędzia. Idzie ostrożnie ścieżką, wchodzi na schody i natychmiast bierze się do pracy.

Dopiero po jakimś czasie wchodzi do środka. Gdy w końcu dociera do kuchni, gdzie leży ofiara, marszczy brwi.

– Mogłeś mnie ostrzec, że to on – mówi.

– Znaliście się?

Kręci głową.

– Niezbyt dobrze. Ale w końcu był naszym kolegą.

– Możemy wezwać kogoś innego.

– W Midsommar? W wigilię świętego Jana? Powodzenia. – Patrzy na Vallmana, który rozmawia z kimś przez telefon. – Zabierzcie go stąd. Wszystko zdeptuje, zachowuje się jak rozkoszny chihuahua.

– Rozumiem, że jeszcze miesiąc temu Levin był zatrudniony w wydziale bezpieczeństwa policji.

– Tak.

– Więc co tu robił? Mieszkał tu? To jego dom?

– Nie mam pojęcia.

Söderlund znów zerka na Vallmana.

– Zabierzcie go. To jego dreptanie doprowadza mnie do szału.

Tove wyprowadza Vallmana do holu, a potem na schody. Zostawiają Söderlund samą.

Słońce przygrzewa coraz mocniej, z czasem pewnie zrobi się jeszcze gorzej. Powietrze stoi, pulsuje. Ciężkie krople potu spływają Tove z czoła, po uszach, po szyi. Głowa boli ją coraz bardziej. Wchodzi do środka, bierze z torby Söderlund lateksowe rękawiczki i pyta, czy może się trochę rozejrzeć.

– Właściwie nie... – wzdycha Söderlund. – Ale dobrze, tylko niech pani będzie ostrożna.

Z salonu można wyjść na zewnątrz. Drzwi miały pewnie być wyjściem na taras albo werandę, która nigdy nie powstała, więc prowadzą wprost na trawnik.

Większość szuflad jest pusta, szafy też są jedynie w połowie wypełnione ubraniami. W łazience stoi kosmetyczka, są w niej szczoteczka do zębów i pasta, pod prysznicem stoi butelka płynu do kąpieli. I to wszystko. Reszta rzeczy jest w kartonach. Są wszędzie, w każdym pokoju. Levin nie zdążył się jeszcze rozpakować.

Był zajęty czymś innym.

No i cisza. Czuje się ją w powietrzu.

W kącie sypialni stoi niewielkie biurko, na blacie leży ładowarka do komputera i komórka. Obok biurka stoi otwarty karton pełen książek i nieuporządkowanych papierów. Chaos podobny do tego, który panuje w głowie

Tove.

Kłęka, ogląda podłogę pod biurkiem i pod łóżkiem. Nic. Przed biurkiem stoi krzesło. Siada na nim i wygląda przez okno, które wychodzi na niewielki ogródek na tyłach domu.

Przyciąga do siebie jeden z kartonów. Dziurkacz, zszywacz, kilka kartek, książki. Odkłada je na bok. Na dnie sterta segregatorów, jedne starsze, z twardymi metalowymi okładkami, inne nowsze, z okładkami z plastiku. Bierze jeden z nich do ręki. Są w nim kopie dokumentów starych spraw, fragmenty protokołów z dochodzeń wstępnych i raporty techniczne dotyczące spraw, których nie zna. Ktoś, może Levin, naniósł na marginesach uwagi. Przegląda kolejne segregatory: zawartość podobna, tylko sprawy inne.

I książki: *Czarna woda* Kerstin Ekman, *Ze śmiertelnego zimna* Johna le Carré i *Mądrość krwi* Flannery O'Connor. I na samym spodzie *Sędzia i jego kat* Friedricha Dürrenmatta. Zaczyna je kartkować. Nie znajduje w nich niczego, tylko pozaginane rogi i od czasu do czasu luźne kartki.

Z nieuporządkowanej sterty papierów coś wystaje, zrobione polaroidem zdjęcie: mężczyzna, kobieta i mała dziewczynka, pięcio-, może sześćioletnia. Mężczyzna ma na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i dżinsy, kobieta beżową bluzkę i spódnicę, dziewczynka niebieską sukienkę. Wyglądają na szczęśliwych.

Na odwrocie napis: *Ja, Marika i Eva, wiosna 78.*

Zdjęcie sprawia, że Tove zaczyna drżeć. Nie potrafi powiedzieć dlaczego.

Odwraca się i zaczyna wpatrywać się w ścianę. Na zdjęciu w tle widać tę samą bladozieloną tapetę.

I nagle rozumie.

Zdjęcie zostało zrobione w tym pokoju.

Tove jedzie drogami, które – mimo że dobrze je zna – wydają się jej obce, nieodgadnione. Tak się dzieje z miejscami, które opuszczamy, żeby potem do nich wrócić. Są takie jak zawsze, wydają się znajome, a jednak nie do końca.

Zajeżdża jej drogę szeroki dostawczy pikap wyładowany piwem. Kierowca ma na głowie czapkę z daszkiem, jest sam.

Fasada domu, w którym Lars Erik Sunesson przeżył większość życia, jest w wielu miejscach przebarwiona, ściany porosły algami i mchem, obrosły chaszczami, które niemal pochłaniają dom. Nieco dalej stoi porzucona kosiarka, działkę otacza płot, sztachety w dużych odstępach, furka jest otwarta.

Przy stole w kuchni siedzą Sunesson i policjant, Klas Mäkinen. Mäkinen trzyma w dłoniach kubek z kawą, Sunesson szklaneczkę. Sięga po butelkę. Oczy ma spuchnięte, bardziej niż zwykle.

– Pani policjantka – odzywa się. – Wieczór świętojański dobrze się zaczyna. Niech to szlag.

Mäkinen patrzy na Tove błagalnie. Na stole leży notes, ale chyba niewiele w nim zapisał.

Tove wyciąga krzesło, siada przy krótszym boku stołu i mówi:

– Bardziej niż tutaj przydasz się na Alvavägen.

Mäkinen, pozbawiony wdzięku mężczyzna, który zamiast policjantem powinien być zostać dozorcą, wstaje.

– Powodzenia – rzuca.

– Co za cholerny dzień – wzdycha Sunesson i dolewa sobie do szklanki.

Wzrok ma szklisty.

Na blacie kuchennym stoją brudne talerze i kubki. Gdzieś w głębi szumi ekspres do kawy. Z ulicy słychać, jak Mäkinen włącza silnik i odjeżdża.

Sunesson wzdycha i znów sięga po butelkę z polską wersją Famous Grouse.

– Chcesz?

– Nie, ale dziękuję.

Na ścianie za nim wisi makatka z wyhaftowanym napisem: „To, co piękne, popadnie w zapomnienie”.

Kiedyś pracował w hucie szkła, jak przed nim jego ojciec. Kiedy zlikwidowano hutę, zatrudnił się jako kierowca w firmie transportowej. I chyba pracował tam aż do emerytury. Jej koledzy byli pewni, że przy okazji przemycał alkohol, ale nigdy mu niczego nie udowodniono. A teraz – pomyślała – jest już za późno. Zaczęła się zastanawiać, ile odłożył dla siebie i czy ma gdzieś jakiś

magazyn. Nigdy go nie spotkała w sklepie monopolowym przy rynku, chociaż od powrotu bywała tam dość często.

– Co u ciebie, Lars Erik?

– Co za cholerny dzień – mówi Sunesson i popija whisky. – Krew – dodaje i kręci głową. – Krew, krew, krew. Niech to szlag.

– Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Charlesem?

– Wczoraj wieczorem. Zadzwoiłem do niego. Umówiliśmy się na kawę, dzisiaj koło jedenastej.

– O której do niego dzwoniłeś?

– Mówiłem już twojemu koledze, jak mu tam, Klasowi, synowi Gösty. Pewnie gdzieś koło wpół do dziesiątej, tak mniej więcej.

– I co?

Sunesson patrzy na nią zdziwiony.

– W porządku.

– To znaczy o czym rozmawialiście?

– O niczym szczególnym. Spotkałem go przedwczoraj na rynku, kiedy robiłem zakupy, i spytałem, co, do licha, tam robi, a on powiedział, że teraz tu mieszka. Zaciekawiał mnie, chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. Wymieniliśmy się telefonami i obiecaliśmy sobie, że się zdzwonimy. No i wczoraj do niego zadzwoniłem i zaproponowałem kawę. Ustaliliśmy godzinę i rozłączyliśmy się. – Znow pociąga ze szklaneczki. – Właściwie go nie znałem, nie widzieliśmy się ponad trzydzieści lat.

– To znaczy, że kiedyś tu mieszkał?

– W latach siedemdziesiątych. Przyjechał chyba w siedemdziesiątym pierwszym. Pamiętam, bo kupiłem wtedy nowy samochód, P1800. Byłem z niego bardzo dumny, stałem na rynku i puszyłem się jak paw. I chyba wtedy on go zobaczył.

– Kto? – pyta Tove. – Kto co zobaczył?

– Malte, syn Oskarssona. Ukradł mi go.

– Twój samochód?

– Jeszcze tego samego wieczoru – mówi Sunesson ponuro i popija whisky. – Cholerny drań. No więc postanowiłem pojechać na policję, ale było już zamknięte, więc musiałem pojechać na komisariat do miasta. I tam go poznałem. Charlesa. Wcześniej go tu nie widziałem... W którym roku się urodziłaś?

– W osiemdziesiątym pierwszym.

– Więc może pamiętasz, jak tu wtedy wyglądało. Mieszkało tu więcej ludzi, myślę, że co najmniej osiem tysięcy. Teraz dużo się zmieniło. Hotel został zamknięty, a sklep monopolowy ma działać jedynie do końca roku. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Tak czy inaczej, było nas sporo, więc ktoś nowy nie rzucał się od razu w oczy. Charles przyjął zgłoszenie. Był sympatyczny, chociaż pochodził ze Sztokholmu. I – Sunesson podnosi palec – bardzo szybko znalazł samochód. Dwa dni później stał w moim garażu. Wtedy zrozumiałem, że to porządny gość.

Spuszcza wzrok i kiwa głową, jakby chciał potwierdzić własne słowa.

– Kiedy się stąd wyprowadził? – pyta Tove.

Sunesson podnosi głowę, ma mętne spojrzenie.

– Co?

– Przyjechał w latach siedemdziesiątych. Potem musiał wyjechać.

– Tak. Wyjechał w osiemdziesiątym.

– A kiedy wrócił?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że niedawno.

Opróżnia szklaneczkę, trzyma chwilę whisky w ustach, odchyła się do tyłu, płucze usta, długo i głośno, przełyka i oblizuje wargi.

– Gdzie wtedy mieszkał? Kiedy tu przyjechał po raz pierwszy?

– W tym samym miejscu.

– W tym samym domu? Dlaczego go kupił?

– A kto to może wiedzieć? Był raczej małomówny.

– Podejrzewasz, kto mógł chcieć go skrzywdzić?

Sunesson znów sięga po butelkę.

– Tutaj?

– Tak.

– Nie mam pojęcia. – Nalewa whisky do szklanki, odstawia butelkę z hukiem, jakby chciał nadać swoim słowom większą wagę. – Nie mam pojęcia – powtarza.

– Wydajesz się bardzo pewny swego.

– Ja tylko tak zakładam, pani policjantko. Takie rzeczy powinna ustalić policja, bez mojej pomocy.

– I zrobimy to. Dziękuję. – Tove uderza długopisem w notes. – Masz pomysł, kto mógłby nam coś więcej o nim powiedzieć?

Sunesson nie ma pomysłu. To znaczy może nawet ma, ale rozmowa go zmęczyła.

Tove pokazuje mu zdjęcie z 1978 roku.

– Znasz tych ludzi?

– Poznają Charlesa. – Nagle unosi brwi. – To chyba jego rodzina. – Macha ręką. – Porozmawiaj o tym z kimś innym. Ja nie pamiętam, jak to było.

– To niewielka miejscowość. Wszyscy się znają. Coś chyba jednak pamiętasz?

– To było bardzo dawno temu. Mam wrażenie, że to był wypadek. Okropne.

– Wypadek samochodowy? – powtarza Tove, bacznie mu się przyglądając.

– Chyba tak. Nie pamiętam.

Nie sądzi, żeby Sunesson kłamał. Ale jest pijany, bełkocze. Niech to szlag, powinna była zacząć od pokazania mu zdjęcia.

Powtarza pytanie, ale Sunesson podnosi szklaneczkę, opróżnia ją i kręci głową. W oczach ma pustkę.

– Widziałaś moje ulubione krzesło?

– Nie.

– Stoi na zewnątrz. Należało do mojej babci. Mam wrażenie, że nawet sama je zrobiła. To była dobra kobieta. Taką powinien Charles mieć przy sobie. Wtedy to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło. W takie dni jak ten siadam na nim i wypijam kawę. Chyba właśnie teraz nadeszła pora. Skoro u Charlesa nic nie dostałem. – Śmieje się.

Tove wstaje i wychodzi bez słowa. Sunesson zresztą niczego innego się chyba nie spodziewał. Dopiero wsiadając do samochodu, zauważa stary, zaatakowany przez rdzę metalowy bujany fotel, który stoi samotnie na trawniku.

Kiedy wraca na miejsce zbrodni, on już tam jest: Ola Davidsson. Stoi w rozkroku, trzyma się pod boki, widać jego wydatny brzuch. Z każdym rokiem robi się większy, a kiedy ktoś zwraca mu na to uwagę, klepie się po nim i mówi, że służy mu za daszek nad placem zabaw.

– Musimy zacząć sami – zwraca się do Tove. – Dobrą godzinę rozmawiałem ze Sztokholmem o tych wszystkich biurokratycznych formalnościach. Nie mamy środków, żebyśmy mogli sami prowadzić takie dochodzenie, a nawet gdybyśmy mieli, to ze względu na ofiarę nie pozwolono by nam na to. Przyślą nam ludzi z Krajowej Policji Kryminalnej, w Sztokholmie powstała już specjalna grupa. Mamy im przekazać kopie wszystkich dokumentów.

– Kiedy tu będą? – pyta Tove.

– Najwcześniej w niedzielę wieczorem, a najprawdopodobniej dopiero w poniedziałek. Muszą się bronić przed mediami, a w przerwach pomagają kolegom rozwiązać sprawę podwójnego morderstwa w Krokom. No i jest wieczór świętojański.

– Ale nas jest tu tylko piątka. Nie poradzimy sobie sami, chodzi o morderstwo.

– Wiesz, jak to jest – mówi Davidsson. Znów bierze się pod boki i zerka w stronę domu, który czeka na nich, skąpany w słońcu. – Na pewno dostaniemy wsparcie z okręgu. Chociaż przyznaję, że pewnie niewiele to da. Czeka nas piękna noc świętojańska.

Söderlund krąży po domu przy Alvavägen 10, przechodzi z pokoju do pokoju, z kamerą w rękę. Może już zbadała ciało, a może uznała, że potrzebuje przerwy. Davidsson wita się z nią i pyta o godzinę zgonu.

– Nie jestem lekarzem sądowym, ale powiedziałabym, że zmarł pewnie gdzieś między dziesiątą a jedenastą wieczorem – odpowiada Söderlund, poprawiając obiektyw. – Śmierć nastąpiła w wyniku strzału w skroń, prawdopodobnie z rewolweru, który trzymał ktoś inny. Nie znalazłam jeszcze broni.

Davidsson przygląda się stojącym na stole filiżankom.

– Umówił się na kawę ze sprawcą?

– Może – mówi Söderlund i robi zdjęcie wyłącznika światła.

Davidsson przeciąga się, wyraźnie niezadowolony. Tove stara się powstrzymać od śmiechu.

– Nie chcę nikogo obrazić, ale chciałabym, żebyście wyszli – mówi

Söderlund.

Nagle rozlega się brzęczenie i Davidsson sięga po komórkę.

– Znów ci ze Sztokholmu – stwierdza, ale nie odbiera. Wskazuje komórką na

Tove. – Masz tu zostać – dodaje.

Wychodzi z domu, Tove i Söderlund patrzą za nim.

– Dobry jest? – pyta Söderlund, a Tove zaczyna się śmiać.

Dzisiaj pierwszy dzień mojego urlopu. Spędzam go na balkonie i czuję się oszukany.

Ktoś, nie wiem kto, poinformował moją szefową, Anję Morovi, że nie jestem czysty, że nadal biorę tabletki. Ten, kto to zrobił, posłużył się opakowaniem halcionu, które wyjął mi z kieszeni.

I nie było to opakowanie kupione w aptece. Dlatego mnie wczoraj wezwała.

– Leo – zaczęła. – Rozumiesz chyba, że nie mogę przymknąć na to oka. Muszę powziąć odpowiednie kroki.

Morovi przeszła do nas z wydziału przemocy w rodzinie. Jest u nas od marca. Na ścianie w jej pokoju wisi dyplom magistra kryminologii i jakby tego było mało, podobno jest jednym z najlepszych strzelców w Sztokholmie. Kiedy zaproponowano jej wydział zabójstw, czy też siedlisko żmij, jak my go nazywamy, z jakiegoś powodu się zgodziła.

– To Olausson, tak? – spytałem. – Mam rację?

Olausson jest prokuratorem. Wredny typ, nigdy mnie nie lubił.

– Leo – zaczęła zmęczona. – Spróbuj się skupić na jednej rzeczy. – Pochyliła się w moją stronę. – Potrzebuję cię tutaj, ale pod warunkiem że będziesz czysty. Że będziesz w stanie funkcjonować. Rozumiesz?

– Tak.

Rozumiałem ją. Nadal rozumiem.

– Proponuję, żebyś poszedł na dłuższy urlop. Zgodnie z planem miałeś go wziąć w... – Spuściła głowę, zaczęła szukać czegoś w papierach. – Trzydziestego sierpnia. Proponuję, żebyś zmienił tę datę – powiedziała, podając mi czysty formularz. – Idź na urlop od jutra, dziewiętnastego czerwca. Wybierz zaległe dni i widzimy się znów w poniedziałek, osiemnastego sierpnia. Oczekuję, że w tym czasie podejmiesz leczenie, że będziesz chodził na terapię. Dopilnuję, żeby ktoś się do ciebie odezwał w tej sprawie i od razu umówił na wizytę. Kiedy się znów zobaczymy, masz być czysty.

Spojrzałem na swoje dłonie. To musiał być Olausson. Kto jeszcze o tym wiedział? Gabriel Birck, oczywiście. Mój kolega i jedyny przyjaciel, jakiego mam w policji. On wie wszystko, ale nigdy by mnie nie wydał. A może?

– Rozumiesz, Leo?

– Rozumiem, co mi proponujesz – powiedziałem. – Ale to tylko propozycja, prawda?

– Nie.

– Tak podejrzewałem.

Później ktoś do mnie zadzwonił, z numeru, którego nie znałem. Terapeuta. Nie odebrałem. Siedziałem na balkonie, paliłem papierosy i patrzyłem na Sztokholm.

Wczoraj przeszło w dzisiaj, w dziewiętnastego. Pierwszy dzień mojego urlopu.

Po południu zadzwonił telefon. Cztery sygnały. Słyszałem je, siedząc w słońcu na balkonie, przy stoliku, w moim mieszkaniu przy Chapmansgatan. Czekałem na to, czekałem, aż coś się wydarzy.

Odbieram i słyszę chłodny głos szefowej:

– Jak się czujesz? – pyta.

– Świetnie.

– Sarkazm ci nie pasuje.

Zastanawiam się, co powinienem powiedzieć, czy mam skłamać.

– W porządku – mówię. – Radzę sobie.

Morovi bierze głęboki wdech.

– Uznałam, że powinieneś się dowiedzieć tego bezpośrednio ode mnie.

– A o co chodzi? Coś się stało?

– Levin.

– Co z nim?

Milczenie. W radiu w kuchni ktoś śpiewa *is there somebody who still believes in love?*

– Halo? – mówię. – Halo, co się stało?

Kiedy zaczyna opowiadać, obok mnie staje Kit. Nie wydaje żadnego dźwięku, a potem, kiedy dociera do niego, że coś jest nie tak, zaczyna cicho miauczeć. Przytrzymuję telefon ramieniem, biorę kota na rękę, wchodzę do mieszkania i zamykam za sobą drzwi.

Levin nie żyje. Podejrzewamy, że doszło do zbrodni.

Nie wiem, czy Morovi oczekuje, że coś powiem, więc milczę. W radiu muzykę zastępują wiadomości: jakiś mężczyzna z bombą wdarł się do siedziby Umiarkowanej Prawicy na Starym Mieście i grozi, że wysadzi budynek w powietrze.

– Chcesz, żebym coś zrobiła, Leo?

– A co możesz zrobić?

Żadnej odpowiedzi. Słyszę, jak oddycha, zastanawiam się, czy mój oddech brzmi równie ciężko.

– Przyznaję, że nie tak sobie wyobrażałam tegoroczny wieczór świętego Jana.

– Wiem.

– Spędzasz weekend z Sam?

– Jutro leci do Londynu, razem z matką. Zaplanowały to już jakiś czas temu.
Znów milczenie. W radiu podano, że zamachowiec ze Starego Miasta jest uzbrojony. Kolejne wiadomości: według agencji TT także siedziba partii socjaldemokratycznej jest zagrożona.

- Wygląda na to, że będziesz miała ręce pełne roboty.
- Daj znać, jeśli będę mogła ci w czymś pomóc – kończy Morovi.

Mój mentor nie żyje. Powinienem powiedzieć: mój przyjaciel nie żyje, ale nie potrafię. Nie wiem dlaczego. Słowo przyjaźń jakoś nie pasuje do mojej relacji z Levinem.

Prawdę mówiąc, nie znałem go, chociaż pracowałem z nim wiele lat. Najpierw w wydziale zabójstw, kiedy jeszcze był komisarzem, a potem w wydziale dochodzeń wewnętrznych. Wmawiałem sobie, że wziął mnie pod swoje skrzydła, i byłem zadowolony, że wreszcie pracuję z kimś, kto docenia mój potencjał i pomaga mi go wykorzystać.

Ufałem mu.

Naprawdę mu ufałem.

Potrafił sprawić, że człowiek zaczynał mówić, opowiadać o rzeczach, o których nikomu innemu nigdy by nie powiedział. On sam nigdy nie zdradzał swoich tajemnic, chociaż wydawało się, że to robi, że się nimi dzieli. Z drugiej strony miało się nieodparte wrażenie, że coś ukrywa. Dopiero później, kiedy magia przysła, człowiek uświadamiał sobie, że Levin nigdy nie mówił o sobie.

A potem wszystko diabli wzięli. W porcie w Visby, już dobry rok temu.

Afera gotlandzka. To był błąd, m ó j błąd.

Nawet dzisiaj zmarli nie dają mi spokoju, nachodzą mnie we snach.

Po tym, co się stało, policja musiała się jakoś bronić. Wystawiono mnie do odstrzału, media dostały kozła ofiarnego. Żeby przeżyć, musiałem brać leki. Sobril. Brałem go, żeby w ogóle móc się utrzymać na powierzchni. Potem przeszedłem na halcion.

Zacząłem podejrzewać, że Levin mnie zdradził, że zostałem wysłany na Gotlandię po to, żeby, jeśli coś pójdzie nie tak, światła reflektorów mogły zostać skierowane na mnie.

Potem widywaliśmy się sporadycznie, i zawsze milczeliśmy. Czasem miałem ochotę mu wszystko wykrzyczeć. Mam wrażenie, że były chwile, kiedy on też chciał powiedzieć mi prawdę.

Już wtedy zacząłem go opłakiwać: mentora, którego straciłem. Rozdźwięk między nami się pogłębiał, w końcu powstała przepaść.

A teraz nie żyje. Może prawda na zawsze pozostanie ukryta? Najcięższe przestępstwa zawsze pozostają niewyjaśnione.

Powietrze było duszne – jak mój smutek. Siedziałem na balkonie i czekałem na deszcz, chociaż wiedziałem, że nigdy nie spadnie.

My girl, my girl, don't you lie to me, śpiewa ktoś w radiu w biurowym aneksie kuchennym, *tell me where did you sleep last night?* Jest popołudnie i Tove powinna wracać do domu.

A ona siedzi na krześle przy oknie w salce konferencyjnej i czeka, aż ktoś w tym niewielkim komisariacie zorganizuje pierwszą naradę w nowej sprawie. Okna od rana były otwarte, żeby w pokoju było chłodno. Wszystko na nic: włosy lepią się do karku, czuje wilgoć pod pachami, pocą jej się dłonie.

Szukała wiatraka, ale nikt nie wie, gdzie jest. Pewnie stoi u Davidssona.

Zdążyła się już nauczyć, co jest najbardziej pożądane, a co najmniej: telewizorów nikt nie chce, ale komisariat nie ma prawa się ich pozbyć. Ktoś, u kogo łąduje telewizor, czuje się tak, jakby został ukarany. Jeśli natomiast ktoś chce duży kubek do kawy, a takich jest wielu, musi zadbać o to z samego rana. Kubków jest kilka, więc jeśli komuś udało się taki złapać, trzyma go do wieczora.

I tak dalej. To wszystko wydaje się bez sensu, ale w jakiś sposób właśnie to nadaje rzeczom ich znaczenie.

Biura znajdują się na pierwszym i drugim piętrze w budynku przy Paulsgatan, tuż za rynkiem. Czworokątny ceglany klocek z przełomu wieków, jeden z pierwszych, które tam zbudowano po tym, jak huta szkła otworzyła swoje podwoje i z czasem zaczęła się rozrastać. Wystrój jest stosunkowo nowy, co nie znaczy, że ładny. Davidsson twierdzi, że kiedy zaczynał pracować jako policjant, był jednym z dziesięciu pierwszych, których tam zatrudniono. Teraz policjantów jest o połowę mniej, a po zapowiadanej reorganizacji zostanie pewnie jeszcze mniej.

Na stole przed nią leżą dane Charlesa Levina, zebrane na podstawie informacji, które udało jej się pozyskać z rejestrów, do których komisariat ma bezpośredni dostęp, i z tych, które otrzymała mailem od specjalnej grupy dochodzeniowej Policji Krajowej. Nie ma tego dużo.

Niech to szlag. Przydałby się wiatrak.

Charles Jan Levin urodził się dwudziestego piątego stycznia 1947 roku i został zarejestrowany w parafii Marii Magdaleny na Södermalmie w Sztokholmie. Dorastał z rodzicami i cztery lata starszym bratem Markiem, który w sierpniu 2008 roku zmarł na raka trzustki. Ojciec pracował jako stolarz, matka prowadziła dom i pracowała jako sprzątaczką w pobliskim hotelu przy Wollmar Yxkullsgatan. Charles był rozrabiaką, trudno mu było usiedzieć spokojnie, ale ze szkoły przynosił świetne oceny, do tego stopnia, że rodzice myśleli o przyszłości syna z wypiekami na twarzach. W 1966 roku rozpoczął naukę w Wyższej Szkole Policyjnej.

Jesienią 1969 roku trafił do Sztokholmu, do pierwszego okręgu, i rozpoczął pracę w wydziale dochodzeniowym. Pracował i dalej się kształcił. Studiował politologię, prawo i psychologię na uniwersytecie w Sztokholmie. Otrzymał tytuł licencjata z zakresu politologii. Był więc człowiekiem wykształconym i czytany, co w kręgach policyjnych nie było częstym zjawiskiem. Mimo to uchodził za dobrego policjanta, takiego z prawdziwego zdarzenia. Zawsze zbierał pochwały, sypały się na niego niczym płatki śniegu.

Jesienią 1971 roku, mając dwadzieścia cztery lata, zamienił komisariat w okręgu sztokholmskim na komisariat w okręgu hallandzkim, gdzie został śledczym w wydziale kryminalnym w centrum miasta.

Wtedy też nastąpiła zmiana w rejestrze ludności: otrzymał meldunek przy Alvavägen w Bruket, razem z Evą Alderin, urodzoną w roku 1949.

Rok później na świat przyszła ich córka Marika.

Tove patrzy na stare zdjęcie, jeszcze raz czyta tekst na odwrocie. 1978.

Odwraca zdjęcie, wpatruje się w twarz dziewczynki, a potem w twarz jej matki. Eva Levin. Wie, że zginie zimą 1980 roku, jej grób znajduje się na miejscowym cmentarzu.

– Za kwadrans – rzuca Åhlund, stając w drzwiach salki konferencyjnej. W ręku trzyma kanapkę z szynką i serem. – Właśnie skończyliśmy z chodzeniem po ludziach. Czekam na Brandéna. Poszedł wywołać zdjęcie.

– Zdjęcie?

– Tak powiedział. – Zaczyna jeść kanapkę. – Davidsson jest już w drodze.

Tove wraca do papierów.

W 1981 roku w rejestrze ludności pojawił się kolejny wpis. Charles Jan Levin wrócił do Sztokholmu i zamieszkał w niewielkim trzypokojowym mieszkaniu na Gärdet, razem z córeczką, Mariką.

Sceny jak z filmu: martwe ciało Charlesa Levina, w kuchni na stole dwie

filiżanki. Ładowarka do komputera i komórka w sypialni, kartony z rzeczami, tapety w gabinecie. Sunesson, który podnosi szklankę, jakby wznosił toast, i opuszczony fotel bujany na trawniku.

To jest najbardziej niesamowite w tym zawodzie, myśli Tove. Do tego nie można się przyzwyczać: nagle, bez uprzedzenia, zostajemy wrzuceni w środek cudzego życia. I żeby zrozumieć, co się wydarzyło, musimy się w nim zanurzyć.

– Rozmawialiśmy ze świadkiem – mówi Brandén. Jego wzrok wędruje między leżącym przed nim notesem a nieruchomą twarzą Davidssona.

Davidsson uderza palcami w okładkę segregatora.

– I?

– No cóż... – zaczyna Brandén. Przypomina chłopca na posyłki, który przypadkowo trafił na zebranie zarządu. – Rozmawialiśmy z wieloma osobami. W sumie chyba z trzydziestoma, z tymi, którzy byli w pobliżu miejsca zbrodni. W okolicy jest jakieś dwadzieścia pięć domków. Większość przy samej Alvavägen, ale część jest rozproszona na obrzeżach lasu i prowadzących do niego wąskich drózkach. Tam też byliśmy. W dwóch domach przy Alvavägen nie było nikogo, ale nadal będziemy próbować się z nimi skontaktować. – Przewraca kartkę. – Właściwie nikt z tych, z którymi rozmawialiśmy, nie słyszał strzału.

Tove patrzy na niego zdziwiona.

– Co to znaczy w ł a ś c i w i e?

– Wspominałaś o jakimś świadku – przerywa jej Davidsson. – To on? – pyta. – Czy ona? – dodaje, spoglądając na Tove.

– On – odpowiada Brandén, szukając w notesie właściwej strony. – I – odpowiem na wasze pytania – jest to jedyna osoba, która coś słyszała. Facet nazywa się Alfred Berg. Wskazała nam go Ester Annerberg, kobieta, która mieszka przy Alvavägen 16, kilka domów od miejsca zbrodni. Ma osiemdziesiąt dwa lata, od dziesięciu jest wdową i kochanką osiemdziesięciosześcioletniego Alfreda Berga. – Brandén chrząka. – Sama się tak przedstawiła – dodaje. – Tak czy inaczej, Berg przyjechał do niej wczoraj na rowerze, podobno nadal jeździ na rowerze, i spędził z nią całe popołudnie i wieczór, gdzieś do wpół do dziesiątej. Potem wrócił do domu, na rowerze. Jadąc Alvavägen, zobaczył nadjeżdżający z przeciwka ciemny samochód, który, jak to określił, w pewnym momencie zwolnił, jakby zamierzał się zatrzymać. Nie pamięta, jakiego był koloru, może ciemnoszary, granatowy albo czarny. Zatrzymał się przed domem ofiary. Berg jest tego pewien, bo go nie rozpoznał, więc się odwrócił i chwilę mu się przyglądał.

– To mógł być sprawca – stwierdza Tove. – Zjawił się około wpół do dziesiątej.

– Też tak przypuszczam – mówi Brandén i przewraca kolejną kartkę. – Kiedy jechał do Ester, wziął ze sobą stary aparat fotograficzny. Prosiła go, żeby zrobił kilka zdjęć jej roślinkom. Najwyraźniej bardzo je lubi i chciała, żeby je sfotografował teraz, kiedy są najpiękniejsze. Alfred zrobił zdjęcia, a potem położył

aparat na stole w kuchni. W drodze do domu uświadomił sobie w pewnym momencie, niemal tuż przed domem, że zostawił aparat. Była za dziesięć dziesiąta. Nie zadzwonił do Ester, bo jest prawie głucha, co mogę potwierdzić, tylko zawrócił i pojechał do niej. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył, że ciemny samochód nadal stoi przy Alvavägen 10. Do domu Ester dotarł mniej więcej dziesięć po dziesiątej, wszedł do kuchni, ma własny klucz, ponieważ, jak już mówiłem, Ester źle słyszy, i wziął aparat. Ester była w toalecie. Kiedy spuszczała wodę, usłyszał jakiś dźwięk, coś jakby strzał.

– Strzał – powtarza Davidsson.

– Tak. Strzał, tak to określili. Nie zaprzętał sobie tym głowy, to pewnie zrozumiałe, tylko poszedł przywitać się z Ester. Rozmawiali kilka minut.

– Jak się rozmawia z kimś, kto praktycznie nie słyszy? – pyta Davidsson.

– Dobre pytanie – mówi Brandén. – Gestykulując, krzycząc. Tak twierdzi Berg.

– Mów dalej – wtrąca Tove.

– Potem wyszedł. Gdzieś między dziesięć a dwadzieścia po dziesiątej opuszcza dom przy Alvavägen 16 z aparatem na szyi i widzi, jak ktoś wychodzi z domu przy Alvavägen 10 i kieruje się do samochodu. Kiedy do niego wsiada, Berg robi mu zdjęcie. To, które tu mam. Niewiele na nim widać, ale to jedyne, co mamy.

Brandén wyjmuje zdjęcie, trzyma je w palcach, a potem ostrożnie kładzie na stole.

Grube ziarno, zamazany obraz. Może Berg zaczerpnął powietrza, kiedy je robił. Tak czy inaczej, postać siedzącego w samochodzie mężczyzny jest niewyraźna. Jest w ruchu, schyla się, jakby kładł coś na podłodze obok siedzenia pasażera. Twarz też jest zamazana. Gdyby nie to, że widać ramiona, trudno byłoby się domyślić, że to czyjaś twarz. Samochód to volvo, jeden z nowszych modeli. Wygląda na drogi, przód przypomina pysk drapieżnika.

Numer rejestracyjny widać słabo.

– Dlaczego zrobił zdjęcie? – pyta Tove.

– Twierdzi, że miał dziwne przeczucie – mówi Brandén. – Ale nie skojarzył tego człowieka ze strzałem.

– Kiedy je wywołał?

– Jakieś pół godziny temu. Ma małą ciemnię w piwnicy. Zrobiliśmy kilka odbitek, zanim nam się udało odczytać numer rejestracyjny. Mam wrażenie, że to FOR 528 albo FOR 523. FOR 523 to trzydziestoletni opel, zarejestrowany w Åtvidabergu, więc raczej nie wchodzi w grę.

– Dobra robota – mówi Davidsson, wpatrując się w zdjęcie. – A FOR 528? – pyta.

– No właśnie. I tu mamy problem – mówi Brandén i odchrząkuje. – Taki

samochód nie istnieje.

– Co? – Davidsson jest wyraźnie zdziwiony. – Jak to nie istnieje?

– No tak. Nie istnieje – potwierdza Brandén, zerkając na zdjęcie. – Nie ma go w rejestrze.

Davidsson wypuszcza zdjęcie z ręki, zdjęcie spada przed Tove. Światło w kabinie samochodu jest ostre, białe, sprawia, że nie widać twarzy, jedynie jej zarys.

Davidsson wstaje z krzesła, obchodzi stół, podchodzi do okna, wyjmując ręce z kieszeni, zamyka okno. Brandén nadal studiuje swoje notatki.

– Fałszywe tablice? – pyta Tove.

– Tak zakładam.

Drzwi się otwierają, w progu staje Söderlund. Pod pachą trzyma segregator, drzwi zostawia otwarte.

– Mam godzinę, potem jadę do Halmstad.

Siada przy krótszym końcu stołu, tam, gdzie przed chwilą siedział Davidsson. Widać, że jest poirytowany, ale ona albo tego nie zauważa, albo jest jej wszystko jedno.

– W porządku – mówi Davidsson i siada obok Brandéna. Krzesło trzeszczy pod jego ciężarem.

– Miejsce zbrodni nie sprawia kłopotów. Z technicznego punktu widzenia – mówi Söderlund. Otwiera segregator, wyjmując z niego ręcznie naszkicowany plan domu. – Tu jest hol z wucetem i łazienką, po lewej stronie kuchnia, po prawej duży pokój, za nim sypialnia połączona z gabinetem. I jeszcze mały pokój, pusty. Podczas badania znaleziono bardzo niewiele śladów, kilka włókien, parę pojedynczych włosów, nic, co mogłoby posunąć sprawę do przodu. Wszystko, co może mieć jakieś znaczenie, jest w drodze do centralnego laboratorium kryminalistycznego albo do laboratorium w Halmstad. Zostanie poddane analizie, kiedy odleży swoje w kolejce. W ciągu najbliższych kilku dni nie należy się więc niczego spodziewać, chyba że ktoś z Krajowej Policji Kryminalnej chwyci za telefon i poprosi, żeby sprawę uznano za pilną.

Davidsson prycha. Söderlund odwraca rysunek, chyba tylko po to, żeby w ogóle coś się działo.

– Jeśli chodzi o dowody, sprawa wygląda nie najlepiej. Dokładnie obejrzałam stojące na stole filiżanki. Jediną osobą, które ich dotykała, był Levin. W ogóle wygląda na to, że w kuchni nie ma żadnych istotnych śladów. Kosz na śmieci jest pusty, wszystkie znajdujące się na nim ślady należą do Levina. O wiele

bardziej interesujący jest gabinet. Wygląda na to, że brakuje kilku przedmiotów – mówi Söderlund, wyjmując z segregatora zdjęcie. – Nie ma komputera, komórki, nie ma też drukarki czy skanera.

Na zdjęciu, które im pokazuje, widać blat stojącego w rogu gabinetu biurka.

– Skąd to wiadomo... – zaczyna Brandén.

– Kurz. – Tove wchodzi mu w słowo. – A raczej jego brak.

– Właśnie. To te jaśniejsze plamy na blacie.

– Powiedziałaś: skaner? Kto w dzisiejszych czasach ma skaner?

– To mogła też być drukarka – odpowiada Söderlund chłodno. – Albo jedno i drugie, taki kombajn. Kształt plam wskazuje na to, że chodzi o któreś z tych urządzeń.

– Nie zabija się człowieka, żeby mu zabrać komputer i drukarkę – upiera się Brandén.

– To zależy od zawartości – wtrąca Tove.

– Albo ktoś doszedł do wniosku, że opchnie je na czarno i wpadnie mu trochę grosza – mówi Davidsson. – Dziwniejsze rzeczy widywałem.

– To wszystko mogą wyjaśnić wyniki badań technicznych, które, mam nadzieję, wkrótce otrzymamy – ciągnie Söderlund. – Ale jest też pewien szczegół, który prowadzi nas poza dom.

Wspomniany szczegół to ślady niewielkich gumowych kółek ręcznego wózka, widoczne na podłodze – i to zarówno w sypialni, jak i w dużym pokoju.

– Ręcznego wózka? – pyta Davidsson zdziwiony.

– Tak.

– Co to, do licha, takiego?

– To niewielki wózek w kształcie litery L, na dwóch kółkach. Służy do przewożenia kartonów – tłumaczy Tove.

– Nie jestem przekonana, czy to ślady po takim wózku – mówi Söderlund. – Ale zabezpieczyłam je i wysłałam do laboratorium. Zobaczymy, do czego dojdą technicy. Podobne ślady często znajdujemy w mieszkaniach albo domach ludzi, którzy niedawno się przeprowadzali. W tej sytuacji nie są niczym dziwnym. W domu nie znaleźliśmy żadnego wózka, co może wskazywać na to, że ślady zostawiło coś innego.

– Może wózek był wypożyczony? – wtrąca Brandén.

– Może – mówi Söderlund bez przekonania. – Albo sprawca zabrał go ze sobą – dodaje po chwili. – Jeśli to rzeczywiście ślady wózka. Prowadzą do drzwi na tyłach dużego pokoju. Drzwi były zamknięte i nie ma na nich śladów włamania. Sprawdziłam też teren przy drzwiach od tyłu, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Bardzo dokładnie.

– I co? – dopytuje się Davidsson.

– Wygląda na to, że ktoś mógł tamtędy wyjechać takim wózkiem. Trawa przy drzwiach jest lekko zgnieciona, widać ślady dwóch kółek. Jeśli po wózku, to musiał być porządnie obciążony, żeby zostawić takie ślady. Ale podkreślam, że to tylko spekulacje. Podobne ślady znalazłam na progu przy głównych drzwiach. Jeśli to rzeczywiście ślady po wózku, to niewykluczone, że sprawca użył go, żeby wywieźć komputer, drukarkę albo skaner, ale równie dobrze Levin mógł używać wózka podczas przeprowadzki. Mógł korzystać zarówno z drzwi od frontu, jak i tych od salonu.

– Przeprowadził się tu jakiś miesiąc temu – mówi Tove. – Ślady pewnie są świeższe.

– To prawda – przytakuje Söderlund. – Ale widzieliście, w jakim stanie jest dom. Nie zdążył go do końca urządzić, pewnie zamierzał to robić etapami. Chciałam wam tylko zwrócić uwagę, że takie ślady są wszędzie wokół domu i o niczym nie przesądzają.

Davidsson przewraca oczami, notuje coś w bloczku.

– Dobrze, dziękuję.

Brandén tłumy ziewnięcie. Tove ma ochotę czymś w niego rzucić.

– Tak czy inaczej – ciągnie Söderlund, znów sięgając do segregatora – sprawdziłam cały trawnik i kawałek lasu tuż za domem. Jest tam wąska ścieżka. Nie ma na niej żadnych śladów wózka, ale kawałek dalej ścieżka łączy się z czymś w rodzaju leśnej alei spacerowej. Zabezpieczyłam kilka odcisków butów. Mogą się nam przydać, ale dopiero kiedy będziemy mieli je z czym porównać.

Przekłada kolejną kartkę. Davidsson odkasłuje.

– Niedaleko domu jest polanka, na której właściciele psów czasem zostawiają samochody. Zrobiłam zdjęcia śladów, próbowałam też zrobić odciski, ale ziemia jest bardzo sucha, więc w zasadzie pozostają nam tylko zdjęcia. Ale je też musimy mieć z czym porównać. Ślady zdają się pochodzić od co najmniej dwóch różnych samochodów. Oba to samochody osobowe.

– Na przykład ten? – mówi Brandén, podsuwając jej zdjęcie volvo.

Söderlund przygląda mu się chwilę.

– Tego nie mogę stwierdzić.

– Raczej mało prawdopodobne, żeby volvo stało zaparkowane gdzieś w lesie, skoro widziano je przy ulicy – zwraca uwagę Tove.

– Nie lubię zgadywać – mówi Söderlund. – Ale jeśli miałabym o czymś wnioskować, to mam wrażenie, że ślady, na które natrafiłam na ścieżce w lesie i na polance, raczej nie mają związku z miejscem zbrodni. Zabezpieczyłam je co prawda, ale głównie po to, żeby potem móc je wykluczyć.

– Dobrze – mówi Davidsson i znów odkasłuje. – Katar, jak zwykle na świętego Jana. Osobiście uważam, że najważniejszy w tym wszystkim jest samochód. Musimy rozesłać zdjęcie do kolegów w kraju i zapytać okolicznych mieszkańców, czy ktoś go widział. Jeśli w ogóle mamy coś robić, zanim zjawią się tu ludzie z Krajowej Policji Kryminalnej.

– Co to za podejście? – Söderlund patrzy na niego oburzona. – Chodzi o naszego kolegę.

– Tak, wiem. Masz rację – mówi Davidsson, unikając jej wzroku.

Zapada milczenie. Söderlund nadal mu się przygląda. Nagle wszyscy uświadamiają sobie, że od tej chwili sprawa należy do Policji Krajowej. Nikt nie chce ponosić odpowiedzialności. Wszyscy chcą iść do domu.

– Tove – mówi Davidsson, żeby w końcu przerwać milczenie. – Przejrzałaś jego rzeczy osobiste, prawda?

– Tak.

– Jakież wnioski?

– Trudno powiedzieć, czym dokładnie się zajmował – zaczyna Tove. Wyjmuje z torby kopie dokumentów, które znalazła w szufladach. – Niewykluczone, że po przejściu na emeryturę zamierzał wrócić do starych niewyjaśnionych spraw.

Opisuje pokrótce sprawy, których dotyczą dokumenty znalezione w segregatorach: cztery zbrodnie, wszystkie popełnione w Sztokholmie i okolicach. Morderstwo z użyciem noża w Farście z 1997 roku, gwałt w Enskede cztery lata później, morderstwo na John Ericssonsgatan i notatki dotyczące usiłowania zabójstwa w centrum Sztokholmu w 2005 roku.

Davidsson przegląda papiery.

– Gdzie reszta dokumentów z tej sprawy? – pyta, przerzucając kartki. – Do pozostałych jest dołączony komplet dokumentów, opis dochodzenia, nawet protokoły z przesłuchań świadków, a w tym przypadku, mam na myśli usiłowanie zabójstwa z dwa tysiące piątego, są jedynie odręczne notatki, nie ma nawet protokołu z zatrzymania.

– Nic więcej nie znalazłam. I właśnie to mnie dziwi – mówi Tove. – Nie wiadomo nawet, kim była ofiara.

Davidsson unosi brwi i sięga po notatki.

– Niejaki Rodrigo Serraz sporządza notatkę o godzinie szesnastej zero trzy dziesiątego maja 2005 roku. Na Vasagatan trzydziestoletnia kobieta napadła na dwa razy starszego od niej mężczyznę. Mężczyzna zeznał, że kątem oka dojrzał, że ktoś zmierza w jego stronę, z jakimś przedmiotem w ręku. Zrobił unik, ale został pchnięty nożem w bok. Doszło do szarpaniny. W końcu pomógł mu przechodzić. Inny zawiadomił policję. Patrol zjawił się po niespełna dwóch minutach. Mężczyzna został przewieziony karetką do szpitala Sabbatsberg, a kobieta radiowozem do aresztu Kronoberg. – Davidsson podnosi głowę. – To wszystko – mówi.

– Możemy przyjąć, że winny któregoś z tych zbrodni dowiedział się, że Levin do nich wrócił, i zaniepokoił się, że prawda może wyjść na jaw?

– I dlatego go zabił? Czemu nie? – Davidsson kiwa głową.

– Ale dlaczego zabrał komórkę, komputer i skaner? – dziwi się Söderlund.

- Już o tym mówiliśmy: dla kasy – tłumaczy Brandén.
- To się trzyma kupy – stwierdza Davidsson, zadowolony, że ktoś go poparł.
- Mów dalej.
- W szufladzie były też książki – ciągnie Tove. – Powieści szpiegowskie i kryminały. I jeszcze to.
- Pokazuje zdjęcie: mężczyzna, kobieta, dziecko. I podpis na odwrocie: *Ja, Marika i Eva, wiosna 78.*
- Jaki młody – mówi Söderlund łamiącym się głosem. – Miał trzydzieści, może trzydzieści jeden lat, nie więcej.
- Zostało zrobione w pokoju, w którym stało biurko – dodaje Tove.
- W domku, na miejscu zbrodni.
- W tym samym domu? – dziwi się Davidsson.
- W tym samym pokoju – precyzuje Tove.
- Niech to szlag. Coś tu brzydko pachnie. Jego rodzina. Jak miały na imię?
- Davidsson odwraca zdjęcie. – Marika i Eva. One też stąd pochodzą? Nie znam ich. Chociaż, zaraz...
- Davidsson mruży oczy, przysuwa zdjęcie bliżej, niemal dotyka nim czubka nosa.
- Tak, do licha... chwileczkę...

– Eva A. – mówi. – A coś tam. Takie dziwnie brzmiące nazwisko. Gdzie ja ją mogłem widzieć?

– Ona nie żyje – wchodzi mu w słowo Tove. – Zanim się pobrali, nazywała się Eva Alderin.

Davidsson wygląda na zawiedzionego.

– Mogłaś od razu powiedzieć.

– Wszystko jest w danych Levina, które zapewne znasz.

– Jasne – mruży Davidsson pod nosem i zaczyna bębnić palcami w zdjęcie.

– Eva Alderin, tak. – Kiwa głową, jakby chciał potwierdzić prawdziwość wydobytych z zapomnienia informacji. – Prawdziwa tragedia. Wypadek samochodowy, jeśli dobrze pamiętam.

– Sunesson też tak przypuszczał.

– Grudniowa noc – ciągnie Davidsson. – Byłem świeżo upieczonym funkcjonariuszem. Eva pojechała odebrać córeczkę od koleżanki, w drodze powrotnej wpadła w poślizg. Dziewczynce udało się wydostać z wraku – mówi i upuszcza zdjęcie. – Matka miała mniej szczęścia.

– Boże drogi. Teraz rozumiem, dlaczego się stąd wyprowadził – mówi Brandén.

– Mamy pewność, że jej śmierć nie ma nic wspólnego ze śmiercią Levina? – pyta Tove.

– Tak do końca na pewno nie. – Davidsson drapie się po policzku. – Możemy przejrzeć papiery, ale jeśli dobrze pamiętam, nie było żadnych wątpliwości. Czasem wypadek jest po prostu wypadkiem. Porozmawiam z moim przyjacielem, Danem. Wie o wszystkim, co się tu dzieje. – Znów odkasłuje. – Skupmy się na samochodzie i kierowcy. Myślę, że ktoś jeszcze powinien coś widzieć albo słyszeć. I dopilnujcie, żeby wszystkie materiały dotarły do Krajowej Policji Kryminalnej – rzuca ot tak, w powietrze, nie mówi do nikogo konkretnie.

Nikt nie reaguje, więc zapisuje to w notesie.

– Jest jeszcze coś – odzywa się nagle Brandén.

– Tak?

– Jeden ze świadków, z którymi rozmawialiśmy, zauważył coś, co może się okazać interesujące.

– Tak?

– To młody mężczyzna, Fredrik Oskarsson. Mieszka po drugiej stronie lasu, jakiś kilometr od miejsca zbrodni, w linii prostej. Osiemnastego około wpół do

dziesiątej wyszedł do ogrodu, żeby złożyć parasol. Zwrócił uwagę na mężczyznę, który szedł skrajem lasu.

– Szedł i wymachiwał bronią?

– Nie. Po prostu szedł – stwierdza Brandén i podnosi głowę. – To wszystko.

– To wszystko, co wiemy – podsumowuje Davidsson.

– Tak, sporządziłem notatkę.

– Bardzo dobrze.

Davidsson mruga oczami, jest zmęczony.

Söderlund wychodzi z pokoju, spieszy się, chce zdążyć na pociąg. Wydaje się, że opuszcza Bruket z ulgą i z nadzieją, że już nigdy nie będzie musiała tu wracać. Tove spuszcza wzrok, patrzy na notes. Całkowicie nieświadomie napisała w nim: „to, co piękne, popadnie w zapomnienie”.

– Jeszcze tu jesteś?

Brandén stoi w drzwiach, przebrany, z plecakiem na ramieniu. Wchodzi do pokoju, zerka na rozłożone przed Tove papiery, a potem na otwarte okno.

– Co roku latem jest tu jak w saunie.

Tove zaczyna się zastanawiać, ile Brandén może mieć lat i czy ma dzieci. Może ma.

– Pomyślałem... – zaczyna Brandén i nagle zmienia zdanie. – Przeglądałem wczoraj rejestr stanowisk – mówi. – W zeszłym roku Levin pracował w dziale dochodzeń wewnętrznych.

– Tak?

– Dokładnie wtedy, kiedy... kiedy Markus...

Trudno mu znaleźć słowa, udawać, że nic nie wie, czuje, jak ściska mu się żołądek.

– Co masz na myśli? – pyta Tove.

– Zastanawiam się, czy może go znałaś. – Jego wzrok wędruje za okno, jakby patrzył na jakiś niewidzialny przedmiot gdzieś za nią. – Albo może słyszałaś o nim?

– Nigdy go nie spotkałam.

Brandén zastanawia się chwilę, jak ma to rozumieć.

– Dobrze – mówi w końcu. – Ja... Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało z Markusem. Nie znałem go. Był sporo ode mnie starszy, ale wiem, kim był. Porządnym człowiekiem.

Tove wpatruje się w blat biurka.

– Mm...

Kątem oka widzi, że Brandén wciąż nie ruszył się z miejsca, jakby czekał na dalszy ciąg. W końcu odwraca się.

– Do jutra – rzuca.

– Mm...

Prawda jest taka, że początkowo usiłowała się dystansować od wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego ze śmiercią Markusa. Wiedziała, że prasa rozpisywała się o tym, co się stało w porcie w Visby, ale czytała tylko nagłówki. Kiedy Markus został zastrzelony, pracował w jednostce interwencyjnej zaledwie od roku.

Pamiętała, że się zmienił. Ludzie, którzy tam pracowali, szybko nabierali pewności siebie, rośli wraz z zadaniami, które im powierzano. Markus należał do

grupy, która stała w hierarchii najwyżej. Zauważyła, że się zmienił. A może to ona zaczęła go inaczej postrzegać? Może to nie jej brat się zmienił, tylko ona, jego siostra? Bo chociaż ona też wstąpiła do policji, zajmowała znacznie niższą pozycję. Może dlatego patrzyła inaczej na niego i na jego poglądy na świat.

Charles Levin dowodził jednostką dochodzeń wewnętrznych, kiedy zginął Markus. Ale wtedy tego nie wiedziała.

Dowiedziała się znacznie później, kiedy już była w stanie o tym czytać. Nazwisko Levina widniało w dokumentach ze śledztwa: jego zeznania, elegancki, wyważony podpis, zwróciła uwagę, że podczas przesłuchania uzupełniającego starannie dobierał słowa.

Charles Levin był cały czas obecny, stał tuż za kotarą, tuż za światłami rampy.

Kiedy Tove dociera do domu, jest już prawie noc. Rozbiera się i długo bierze prysznic. Myśli o zmarłym policjancie z domu przy Alvavägen 10. Idzie do kuchni, zauważa leżącą na stole komórkę: jedno nieodebrane połączenie.

– Minął rok – mówi matka, kiedy oddzwania.

– Rok od czego?

– Od pogrzebu.

Matka pociąga nosem.

– Wiem – mówi Tove.

Sprowadzenie ciała do Bruket zajęło trochę czasu, ale matka uparła się, żeby Markus został pochowany właśnie tam. Od śmierci do pogrzebu minęły trzy tygodnie.

Matka pyta, czy pamięta ostatnie lato, które spędziła razem z Markusem. Mieli urlop jednocześnie i całe dwa tygodnie spędzili w Bruket. Tove nic nie mówi.

– Nie ma problemów na linii? – pyta matka. – Mam wrażenie, że słyszę jakieś trzaski. Halo? Jesteś tam?

Z komórką w dłoni Tove powoli osuwa się w ciemnościach na podłogę.

– Tak – szepcze. – Jestem tu.

Wciskam guzik domofonu i słyszę w głośniku kolejne sygnały. Drzwi są zamknięte. Jest wpół do ósmej wieczorem, może personel myślnami jest już na wieczorze świętojańskim.

– Szpital S:t Göran, psychiatria – odzywa się ponury głos.

– Leo Junker.

– Leo. No proszę. W dzień przed świętym Janem. – Ktoś siorbie kawę, ktoś inny odkłada gazetę. – Wejdz, proszę. Wejdz.

Rozlega się kliknięcie, drzwi się otwierają.

Chciałbym móc opuścić miasto bez tych odwiedzin, ale to silniejsze ode mnie.

Pacjenci z oddziału psychiatrii sądowej to mężczyźni i kobiety, którzy popełnili czyny, których sami nie rozumieją. A przynajmniej tak uznał sąd. Pomieszczenia są chłodne, ciche i białe, każdy korytarz jest wygrodzony ciężkimi drzwiami z zamkiem kodowym.

– Leo Junker – mówi Klawisz. Podchodzi do mnie z kubkiem kawy w ręku.

– Dawno cię tu nie było.

Śmieje się i mruży coś pod nosem. Klawisz to były strażnik więzienny, wielki jak niedźwiedź, z ogoloną głową, piegowaty, z rudą kocią bródką.

– Jutro rano wyjeżdżam – mówię. – Chciałbym się z nim spotkać przed wyjazdem. Nie śpi jeszcze?

– John Grimberg właściwie nigdy nie śpi.

Ruszamy w stronę pierwszych drzwi.

– Jak z nim?

– Przyzwyczył się do nowego leku, więc może będzie trochę miłszy, ale i tak bym się z nim nie umówił na piwo. A jeśli już, to poszedłbym z bronią.

Zaczynam się śmiać. Zatrzymujemy się przed drzwiami, rozkładam ręce, musi mnie sprawdzić.

– Myślę, że powinieneś wiedzieć, że zażądał przeniesienia – informuje mnie.

– Dokąd?

– Gdzieś, gdzie byłby mniej kontrolowany, ale oczywiście nie dostanie zgody. Ale za to niedługo zacznie wychodzić na przepustki, mimo że Westin, zastępca szefa, robi wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

– Czy to się teraz przypadkiem nie nazywa przerwą w odbywaniu kary?

– Co za różnica. A tak przy okazji... słyszałem o tym zamordowanym policjancie – mówi, klęcząc przede mną. Przesuwa potężnymi dłońmi po moich

łydkach. – To prawda, że chodzi o Levina?

– Gdzie to słyszałeś?

– Jeden z twoich kolegów był tu po południu. Tuż po tym, jak napisali o tym w intranecie.

Wstaje, sprawdza mi ramiona, plecy, pas. Zatrzymuje się na wysokości kieszeni kurtki, unosi brwi.

– Jeśli poproszę, żebyś mi pokazał to opakowanie, nie będziesz mógł go potem ze sobą wziąć. Nie pora, żebyś z tym skończył?

– Pewnie tak.

Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Odwraca się i wystukuje kod, przesuwa przepustkę przez niewielką czarną skrzynkę. Rozlega się cichy pisk.

– Charles Levin. Do licha!

– Znałeś go?

– Nie powiedziałbym. W swoim czasie kilka razy mnie przesłuchiwał. W czasach kiedy trochę rozrabiałem. Potrafił wyciągnąć z człowieka wszystko. Pamiętam, że nigdy nie wiedziałem, co naprawdę myśli ani jakie pytanie mi zaraz zada.

– Bywał tutaj, prawda? Od czasu do czasu.

Klawisz otwiera drzwi do pokoju odwiedzin.

– Na niektóre pytania nie mogę odpowiedzieć, nawet jeśli bardzo bym chciał. Rozgość się, a ja pójdę po Johna.

Kiedyś John Grim Grimberg był moim najlepszym przyjacielem. Może nadal jest, tego nie wiem.

Dorastaliśmy w Salem, łączyła nas niezwykła więź, do czasu kiedy skończyłem szesnaście lat. Wtedy pękła. Nasze drogi się rozeszły i byłem przekonany, że już nigdy się nie spotkamy. I tak pewnie by było, gdyby niespełna rok temu z własnej inicjatywy nie wkroczył w moje życie.

Ja zostałem policjantem, on postawił na karierę kryminalisty i nałogowca. Stoczył się na dno społecznej kloaki. Wydostał się stamtąd jedynie dzięki własnej inteligencji. I dzięki temu, że potrafił sprawić, że ludzie rozpływali się w powietrzu.

Utrzymywał się z dostarczania ludziom z półświatka fałszywych tożsamości. Sam też żył nie pod swoim nazwiskiem. Sprawił, że J o h n G r i m b e r g zniknął.

Kiedy spotkaliśmy się ponownie pod koniec zeszłego lata, próbował mnie zabić. Nie udało mu się.

Teraz przebywa w szpitalu S:t Göran. I wiem, że jeśli zniknie, to już na zawsze. A on wie, że ja to wiem.

Grim wchodzi, a raczej zostaje wprowadzony przez otwarte drzwi. Wydaje się pobudzony, zaczynam nawet podejrzewać, że coś wziął. Mógłby to zrobić. Co rusz zdobywa zapalniczki, papierosy, komórki. Karton z niedozwolonymi rzeczami, które mu skonfiskowano, jest już prawie pełen. Jeśli ktoś potrafi w takim miejscu załatwić sobie zapalniczkę, potrafi załatwić również i inne rzeczy, na przykład narkotyki. I broń.

Uśmiecha się na mój widok. Zauważam, że zęby zaczynają mu żółknąć.

– Chyba powinienem ci życzyć dobrej zabawy, w końcu to wigilia świętego Jana – mówi.

Klawisz pomógł mu usiąść i wyszedł, zostawiając nas samych w chłodnym pokoju.

– No tak. A co z tobą?

– Potrzebuję nowej ładowarki.

Odwraca się do okna, widzę go z profilu i nagle czuję ukłucie w sercu. Wygląda, jakby znów miał siedemnaście lat.

– Moja stara padła. Zabrali mi ją.

Jest tu już ponad pół roku i przez cały ten czas regularnie go odwiedzam. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to robię. Może dlatego, że jednak nadal jest moim najlepszym przyjacielem. Z czasem nauczyliśmy się ze sobą obchodzić. Nauczyłem

się ignorować część z tego, co mówi.

– Zobaczymy się dopiero za jakiś czas. Wyjeżdżam.

– Służbo... – zaczyna i zanosi się kaszlem, rzęzącym, głębokim. – Cholerny kaszel. Wyjeżdżasz służbowo?

– Raczej nie. Jadę na kilka dni do Bruket.

– Do Bruket? Gdzie to jest?

– Dokładnie nie wiem.

– Co będziesz tam robić?

– Levin nie żyje.

Dziwnie się czuję, mówiąc to.

– Charles Levin?

– Przeniósł się tam w maju, po przejściu na emeryturę. Znaleziono go martwego. Dzisiaj. Najprawdopodobniej zmarł wczoraj.

– Jak?

– Nie wiem, policja podejrzewa, że doszło do przestępstwa.

Grim otwiera usta, widzę jego zęby.

– Więc zamierzasz tam pojechać i dowiedzieć się, co się stało, panie superdetektywie?

Nie wiem, co chcę, wiem tylko, że nie mogę tu zostać. Muszę go zobaczyć, ten ostatni raz. To proste.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o nim zimą? Powiedziałeś wtedy, że tu bywa.

– Uznałeś, że kłamię.

– Kilka dni później rozmawiałem z nim o tym.

– I co ci powiedział?

– Że był tu.

– Jak to wytłumaczył?

Śmieję się.

– Chwileczkę, najpierw powiedz mi, co widziałeś.

Grim odchyła się na krześle, chyba się zastanawia.

– To było w grudniu. Zobaczyłem go na korytarzu, kiedy prowadzili mnie na lunch. Szedł z kimś. Zachowywał się dyskretnie, starał się, żeby nikt go nie widział, ale musiał zauważyć, że go spostrzegłem, bo po lunchu przyszedł ze mną porozmawiać.

– I?

– Prosił, żebym nikomu nie mówił, że go widziałem. Dał mi komórkę, żeby mieć pewność, że będę milczał. To wszystko.

– Z kim wtedy szedł?

– Z kobietą. – Grim przekrzywia głowę i uśmiecha się. – Teraz twoja kolej.

Levin zaczął pisać pamiętniki, chociaż obiecywał, że zaczeka, aż przejdzie na emeryturę. Nie wytrzymał i zaczął wcześniej. Może dlatego, że chciał mieć dostęp do informacji, do których mógł dotrzeć tylko jako funkcjonariusz policji. Nie zdradzał się z tym, co robi. Podejrzewam, że tylko ja o tym wiedziałem. W pamiętnikach wracał do spraw, które nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Niektóre zdarzenia zaczęły mu się zacierać w pamięci, musiał sprawdzić jakąś informację, więc odwiedził kogoś, kogo jedno z dochodzeń dotyczyło, właśnie w szpitalu St. Göran.

Nie wiedziałem, czego konkretnie dotyczyło dochodzenie, poza tym że chodziło o morderstwo, a okres utajnienia niedawno minął. Gdyby wyszło na jaw, że wrócił do sprawy, patrząc na nią o ileż mądrzejszymi oczami niż wtedy, ryzykowałby, że da krewnym ofiary złudną nadzieję, a tego nie chciał. Pragnął to załatwić dyskretnie, z uwagi na nich.

– Tak mi to przedstawił – mówię.

– A ty mu uwierzyłeś?

– Wiara nie ma nic do tego. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– To cię nigdy nie powstrzymało.

– Wiesz, kim była kobieta, którą tu odwiedzał?

– Czemu pytasz?

– Chciałbym z nią porozmawiać.

Grim się śmieje. Macha ręką, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że mam sobie odpuścić.

– Załatw mi ładowarkę.

– Jeśli to zrobisz, to mi powiesz? – pytam i czuję, jak krew pulsuje mi w skroniach.

– Pewnie tak.

– Grim, do diabła! Co się z tobą dzieje?

Naprawdę nie wiem.

– Chciałbym, żebyśmy chociaż raz mogli porozmawiać jak normalni ludzie.

– Normalni ludzie nie niszczą sobie życia.

Słowa bolą. Nikomu się do tego nie przyznam, nie mogę tego zrobić, ale wiem to doskonale: kiedy myślę o tym, że Grim spędza tu wszystkie dni i noce, czuję w piersi palący wstyd. Bo to przeze mnie tu trafił.

– To prawda, że poprosiłeś o przeniesienie?

– A co?

– Dlaczego to zrobiłeś? Wiesz, że to nie działa w ten sposób.
– Formalnie mam prawo prosić, o co zechcę. Zobaczymy, co odpowiedzą.
Jak długo staracie się o dziecko?

– Co?

– Ty i Sam. Dlatego zafundowaliście sobie kota?

– Nie, nie dlatego.

Grim się śmieje.

– Znow kłamiesz?

– Nie.

Spuszczam wzrok, chociaż nie chcę tego robić.

– Więc kłamiesz – stwierdza.

– Nie chcę, żebyś... – zaczynam, ale nie kończę, bo nie chcę powiedzieć, co naprawdę myślę.

– Nie sądzę, żeby mi pozwolili wylegiwać się na plaży z drinkiem i *The Corrections*. Nie przejmuj się.

Nie w tym rzecz. Gdziekolwiek zostanie przeniesiony, będzie mi trudno go odwiedzać, a nie jestem pewien, czy sobie poradzę bez tych spotkań.

Obiecuję, że spróbuję mu załatwić ładowarkę, i wychodzę. Zostaje sam, czeka, aż Klawisz odprowadzi go z powrotem do pokoju. Do celi.

W drodze do wyjścia muszę się podpisać na formularzu, potwierdzić, że u niego byłem. W recepcji dwoje pracowników przegląda leki, które mają podać pacjentom. Jedno odczytuje imię i nazwisko pacjenta, drugie odhacza na liście. Irytuje mnie to. Nie powinni tego robić w obecności innych ludzi. Słyszę nazwiska, chociaż wcale tego nie chcę.

– Halo? – mówię, ale nikt nie reaguje.

Kiedy w końcu do mnie podchodzą, wyczuwają, że jestem zniecierpliwiony, i obruszają się. Przewracają oczami, nawet nie próbują się z tym kryć.

Opuszczam szpital, myśląc o Levinie, o tym, że nie żyje, i o czekającej mnie podróży.

luty 1984

Czasem Charles czuje się obco, jakby nie znał Sztokholmu. Same nieznajome twarze, nieznane rogi ulic, nowe zapachy i uczucia.

Ale to złudzenie, majaki, bo przecież zna miasto, i to dobrze. Zna jego ulice, jakby sam je tworzył, kiedyś, dawno temu. Przechodzi przez Sveavägen niedaleko ulicy Adolf Fredriks Kyrkogata, kuli się pod naporem wiatru i śniegu, podnosi kołnierz, ślizga się w błocie.

Dzwonek u drzwi kawiarni milczy, kiedy je otwiera. Nie jest głodny, a mimo to zamawia do kawy kanapkę. Kobieta w kasie jest miła, ma ładne zęby, nieco pulchne palce. Pyta go, czy chce gazetę.

Nie chce. W radiu ktoś śpiewa *we all need someone to talk, my oh my, we all need someone to talk to*. Melodia brzmi dziwnie samotnie i złowrogo. Pasuje do jego nastroju.

Paul siedzi przy jednym ze stolików przy wychodzącym na ulicę oknie, przed nim stoi do połowy pełna szklanka wody, obok leży nietknięta gazeta. Charles wieszka palto na oparciu krzesła, siada i wypija łyk kawy.

– Słyszałeś coś?

Paul kręci głową i odsuwa gazetę na bok.

– Od wczorajszego przedpołudnia nic.

– Powinniśmy byli załatwić jakieś mieszkanie. Tutaj jest za dużo ludzi. Ludzie zawsze coś widzą.

– Wiem.

Paul patrzy na niego niebieskimi oczami, zimnymi jak lód. Za oknem przejeżdża radiowóz. Nowego typu, z niebiesko-żółtym paskiem i światłem na dachu. Charles nie rozpoznaje twarzy kierowcy, niebo nad dachami kamienic i nad ulicą jest ciężkie jak mokry śnieg.

Zaczyna jeść kanapkę, głównie po to, żeby czymś zająć ręce. Nie smakuje mu. Paul przesuwa w jego stronę popielniczkę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje paczkę papierosów.

– Zamienimy się?

– Dobrze.

Paul przejmuje kanapkę. Charles zapala papierosa, zaciąga się i zamyka

oczy. Nagle świat wydaje mu się odległy, dźwięki przestają do niego docierać. Pracuje dla Paula już ponad trzy lata. Ma trzydzieści siedem lat, chociaż na ogół wszyscy mówią mu, że wygląda na mniej. Eva zawsze tak twierdziła, ale wie też, że ostatnio bardzo się posunął.

Otwiera oczy, wypija łyk kawy, czarnej, mocnej.

– Ilu ich jest, tam, na górze?

– Chyba trzy osoby. Można by było ich zobaczyć, ale są bardzo ostrożni.

Pilnują się, nie podchodzą do okna.

– Coś podejrzewają?

Paul kręci głową.

– Nie, ale paranoja daje o sobie znać.

W radiu muzyka przechodzi w wiadomości: marynarka wojenna przerywa poszukiwania podejrzanego okrętu podwodnego, który prawdopodobnie przebywał w okolicach Karlskrony. Wypowiada się Thunborg, ale wszyscy czekają na Palmego, jedyne, który nigdy nic nie mówi.

Potem powrót sportowców z Sarajewa. Radość Szwedów, Svan i Wassberg wracają do kraju z medalami. W Sarajewie zostało opuszczone miasteczko olimpijskie, zagraniczni korespondenci i napięta sytuacja polityczna. Próżnia to pierwsze słowo, które przychodzi na myśl, ale nikt nie wypowiada go na głos. A teraz: pogoda.

– Dziwne czasy, Charlie – mówi Paul, odgryzając kolejny kęs kanapki.

– Delikatnie mówiąc.

– Drzwi – dodaje po chwili.

– Co z nimi?

– Dzwonki nad drzwiami nie odezwały się, kiedy wszedłeś.

– Też uznałem, że to dziwne.

Paul się śmieje.

Po drugiej stronie ulicy otwierają się drzwi. Wychodzi mężczyzna w skórzanej kurtce. Ma ciemne włosy, na dłoniach grube rękawice, urwane ruchy zdają się świadczyć o nałogu.

– *Showtime* – stwierdza Paul.

Charles wstaje, sięga po palto. Nadal jest wilgotne. Opuszcza kawiarnię, nic nie mówiąc, nic nie myśląc.

Czasem zachowuje się tak, jakby był nieobecny.

Charles wkłada rękę do kieszeni palta, ścisną mały aparat fotograficzny, niewiele większy od paczki papierosów, i rusza przez Sztokholm za mężczyznę.

Mężczyzna czeka na kolejkę Roslagsbanan przy budynku politechniki i nagle znika w kiosku. Charles spaceruje po peronie, zapala papierosa.

Kawałek dalej stoi starsza pani, ściąga brwi, trzyma w ręku broszurę *A jeśli nadejdzie wojna*. Czyta ją uważnie. Charles rozpoznaje broszurę, zna ją z młodości: miał czternaście lat, kiedy się ukazała. On i jego brat czytali ją na okrągło, aż niemal nauczyli się jej na pamięć. Nawet dzisiaj pamięta zawarte w niej wskazówki i zalecenia, i trudny do odczytania podpis Tagego Erlandera, elegancko nachylone litery na zakończenie wstępu. Zalecenia i niepewność, paranoja wynikająca z obawy, że zimna wojna może się przekształcić w gorącą i że wcześniej czy później jednak do niej dojdzie: „Szwecja będzie się bronić, Szwecja potrafi się bronić, Szwecja musi się bronić. Każda informacja o zaniechaniu oporu będzie nieprawdziwa”.

Świat był groźnym miejscem. Każdej nocy można było się spodziewać, że zostanie się obudzonym i zmuszonym do ucieczki przed nadchodzącym dniem sądu ostatecznego.

Mężczyzna wraca. Kilka minut później wsiada do kolejki Roslagsbanan.

Śledzenie kogoś obciąża zmysły. Początkowo to nawet przyjemne uczucie: cała uwaga skupia się na jednym człowieku, wszystkie kontury stają się ostrzejsze, myśli bardziej wyraziste, ostre. Wszystko poza obiektem znika i zamienia się w szum gdzieś w tle. Ale to jest męczące, to ciągłe napięcie, skupienie, trzeba uważać, żeby nie zostać za bardzo w tyle, ale też żeby nie podejść za blisko, wystarczy chwila nieuwagi, żeby wszystko poszło nie tak.

Przygląda się mężczyźnie, który siedzi po drugiej stronie wagonika. Świat miga za oknami.

W Täby ulice są nieodśnieżone, na jezdniach kolejiny, chodniki są śliskie.

Håkansson. Musi znaleźć dom Håkanssona.

Mężczyzna skręca na podjazd prowadzący do parterowego domku z ciemnobrązowej cegły, przy domku jest garaż. Charles słyszy głosy, mężczyzny i kobiety. Są w garażu, ale brama jest zamknięta. I wtedy zauważa drzwi w dłuższym boku garażu. Są lekko uchylone. Wyjmuje kamerę i rusza w ich stronę, przesuwa się wzdłuż ściany, w pewnym momencie dociera do niego głos kobiety:

– ...nie będzie można z nim rozmawiać przez wiele tygodni.

– Gdzie jest klucz?

– Możesz doprowadzić do tego, żebym mogła z nim porozmawiać? Chcę go tylko usłyszeć. To mój mąż.

– Nie. – Głos mężczyzny jest ostry. – Daj mi klucz – rozkazuje.

Cisza.

Ona: Anette Håkansson. Mężczyzna, o którym mówi, to jej mąż, Sven Olof Håkansson. Prowadzi firmę elektroniczną Sunitron i siedzi w areszcie.

Słysząc, jak ktoś otwiera szafę, wyjmując butelkę czy puszkę, słysząc, jak ją otwiera, a potem cicho brzęczy klucz.

Charles zatrzymuje się przy rogu domu, czeka na mężczyznę. Jest: wychodzi na ulicę. Ręce w kieszeniach, wzrok skupiony.

Charles łapie go obiektywem. Kiedy mężczyzna rusza, wstrzymuje oddech i robi mu zdjęcie.

Rozlega się cichy, dyskretny dźwięk.

Kobieta opuszcza garaż, zamyka za sobą drzwi. Na drżących nogach wchodzi do domu i dopiero wtedy Charles zdobywa się na odwagę, żeby wyjść na ulicę.

Bagarmossen.

Jest na górze, nad powierzchnią. Znow może oddychać. Tak się czuje człowiek, który spędził dużo czasu pod ziemią, myśli. Mężczyzna się ślizga, jest rzut kamieniem od niego, w drodze do pobliskich bloków. Są w tym samym kolorze co palce nałogowego palacza.

Jeśli się kogoś śledzi wystarczająco długo, można pewne rzeczy przewidzieć, także kiedy to się stanie. Wzrok to powolny zmysł, potwierdza jedynie nasze wcześniejsze przecucia. Charles skręca za róg pierwszego domu, szuka mężczyzny wzrokiem, ale tak jak podejrzewał – zgubił go.

Szlag.

Z miejsca, w którym stoi, drzwi od klutek są dobrze widoczne, w górze okna – kilka rzędów. Tu i ówdzie kilka martwych krzaków, jasnozielony rower, kiedyś pewnie stał oparty o ścianę bloku, teraz leży przewrócony. Jakaś kobieta wyszła na spacer z balkonikiem. Słyszysz, jak stęka. I to wszystko.

Idzie między blokami, spokojnie, powoli.

A tak naprawdę ma ochotę głośno krzyknąć. Gra idzie o wysoką stawkę.

Wzdłuż krótszej ściany jednego z budynków biegną schody, prowadzą do otwartych szarych blaszanych drzwi do piwnicy. Widzi, jak się powoli zamykają i nagle zatrzymują.

Stoi przy rogu domu kawałek dalej, tak, żeby widzieć drzwi do piwnicy, jakby na kogoś czekał. Zimno przeniknęło przez podeszwy butów, palce ma sztywne, bez czucia.

Teraz.

Drzwi się otwierają, mężczyzna wychodzi. Charles wyjmując aparat, przygląda mu się przez obiektyw. Pstryka: łapie go, jak idzie na górę po schodach. Znow pstryka: zdjęcie z profilu, udaje mu się go uchwycić na końcu schodów, kiedy kieruje się do metra. I trzecie, ostatnie zdjęcie: plecy pod cienką skórzaną kurtką.

Gdzieś w pobliżu rozlega się wycie syren, karetka. Charles chowa aparat.

Działa solo. W ich wewnętrznym żargonie oznacza to, że pracuje bez wsparcia, bez żadnej ochrony. Nie jest nawet uzbrojony. Jeśli coś się stanie, nie może liczyć na żadną pomoc.

Piwnica to długi korytarz z niewielkimi boksami po bokach. Zaczynają się od numeru pięćset piętnaście i idą wzwyż. Boksy rozdziela metalowa siatka i belki z surowego drewna, wszystko skąpane w ciepłym żółtym świetle. Kiedy przechodzi pod lampą, czuje, jaka jest ciepła. Pająk wielkości pięciokoronówki przebiega przerażony przed jego stopami. Zadeptuje go.

Wokół unosi się zapach starych mebli i stęchlizny. Niektóre boksy są wypełnione do granic możliwości, inne niemal puste. Ma szczęście, bo zawartość każdego jest widoczna dla wszystkich: w jednym stoi stary stół do ping-ponga, w innym regał na książki, w sąsiednim zimowe ubrania, w jeszcze innym rower.

Powinien je zobaczyć. Jeśli tu są, to, do cholery, powinien je zobaczyć.

Są. Nieco w głębi po lewej, w boksie oznaczonym numerem pięćset trzydzieści sześć. Tuż pod ścianą stoi stara kanapa i lodówka z uchylonymi drzwiami. Wszystko ledwie widoczne za czymś, co stoi przed nimi: czymś dużym, w całości przykrytym grubym ciemnozielonym brezentem. Wysokość wydaje się właściwa, pakunek sięga mu do brody. Cokolwiek to jest, stoi tuż za drzwiami, można odnieść wrażenie, że przed chwilą zostało tam wstawione.

Kłódka wygląda solidnie. Charles rozgląda się, wyjmuje aparat, zerka przez obiektyw, nastawia światło i wstrzymuje oddech. Dwa lekkie pstryknięcia.

Tuż nad podłogą oczka w siatce są nieco większe. Kuca, wkłada rękę przez otwór, chwytając brzeg brezentu, unosi go, chce sprawdzić, co skrywa.

Wyglądają jak suszarki, solidne i ciężkie, jasne blaszane drzwi z filtrami wentylacyjnymi.

Na samym dole widać zapis, na pasku taśmy klejącej ktoś napisał tuszem:

VAX 11/782.

Zaczyna liczyć: jedna sztuka, dwie, trzy, cztery.

Wolną ręką znów sięga do kieszeni po aparat.

Komputery wyglądają niepozornie, ale są warte swojej wagi w złocie, we krwi.

Kiedy opuszcza Bagarmossen, zaczyna padać śnieg.

Jest koniec lutego 1984 roku.

styczeń–luty 1971

Ich spotkanie nie było dziełem przypadku, chociaż długo był o tym przekonany. Potem jednak zmienił zdanie. To była próba, której go poddała jakaś nieznana siła wyższa, próba, która sprawiła, że musiał pokazać swoją prawdziwą twarz.

Był ambitnym młodym mężczyzną, po studiach trafił do komendy w śródmieściu, do pierwszego okręgu, skąd został przeniesiony do wydziału śledczego. Tam jego nauczycielem został legendarny już Sivertsson, tak przebiegły, że zyskał przydomek Lis z Högdalen. Charles mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na Kungsholmen. Wieczorami studiował na uniwersytecie politologię, prawo i psychologię.

Na świecie dużo się zmieniało. Rok 1970 był ostatnim „rekordowym” rokiem. Nadal jeszcze duży wzrost gospodarczy umożliwił Palmemu przeprowadzenie reform społecznych, ale idylla domu ludowego zaczynała już blaknąć. Okazała się iluzją, ułudą, zjawą, która się zrodziła w ludzkich głowach. Rok 1968 wciąż jeszcze był otwartą raną. Pierwsze lata jego służby były oszałamiające, lata buntu i niepokojów. Teraz, zaledwie kilka lat później, brzydkie budowle z betonu i szkła tonęły w narkotykach i brudnych pieniądzach. Jedyni, którzy nie rozumieli, że coś się zmienia, to ci, którzy nadal wierzyli w utopię Erlandera.

Pod koniec stycznia 1971 roku został wezwany do gabinetu Sivertssona. Kiedy stanął w drzwiach, szef podniósł wzrok znad segregatora, słynnego segregatora Sivertssona, niemal równie legendarnego jak jego właściciel: grubego, w skórzanych okładkach, z zawartością ułożoną według systemu, którego ponoć żaden przeciętnie inteligentny człowiek nie był w stanie rozwikłać. Mówiono, że był to model jedyny w swoim rodzaju, nikt na komendzie takiego nie miał, mówiono też, że jeśli segregator nie leży na biurku Sivertssona, to jest w jego sejfie. Twierdzono, że to tam przechowuje materiały, które dostarcza mu prywatny detektyw śledzący jego żonę w związku z jej rzekomą niewiernością. Według innych segregator zawierał dane dotyczące dochodzeń, zebrane we współpracy ze służbami, dane wrażliwe, takie, do których dostęp miał jedynie on.

– Nie pora, żebym cię wysłał na jakąś konferencję? – spytał szef.

Jego głos odpowiadał jego wyglądowi: był ostry i wysoki. Wszystkie polecenia wydawał w ten sposób, więc Charles nie drażył tematu. Spytał tylko, kiedy i gdzie ma się stawić.

Konferencja miała trwać od dwudziestego ósmego lutego do pierwszego marca. Miała się odbyć w budynku konferencyjnym wzniesionym na ziemi niczyjej między Halmstad a niewielką miejscowością Bruket, jakieś osiem mil w głąb łądu. Pierwszego dnia miał na niej być sam szef Policji Krajowej Carl Persson.

Wieczorem rozmowy miały być „kontynuowane”, uczestnicy mieli się podzielić na dwie grupy: jedni mieli jechać do Halmstad, drudzy do Bruket. Kluby nocne w Halmstad nie wydały mu się atrakcyjną propozycją, więc wybrał Bruket. Koledzy, którym miał towarzyszyć, byli dwa razy starsi od niego, nazywali się Abrahamsson i Knutsson.

Postanowili jechać samochodem Abrahamssona. Szybko zauważyli, że z każdą milą ubywa ulicznych latarni; kiedy dotarli na miejsce, zapadł już zmrok, nie byli więc w stanie wyrobić sobie zdania o miasteczku. Zapewne to także przyczyniło się do tego, co się później stało. Przez pierwsze cztery godziny miał wrażenie, że został zamknięty w czarnej bańce, w innym wymiarze rzeczywistości.

Nie byłby nawet zdziwiony, gdyby się okazało, że różne rzeczy smakują tam inaczej: jabłka mają smak gruszek, a wino krwi. Miejsce miało w sobie coś, co sprawiało, że wszystko wydawało się możliwe, wszystko wyglądało trochę inaczej. A może to nie była wina miejsca, tylko jej.

Bo ona tam właśnie była, jakby na niego czekała.

Bar, do którego poszedł razem z kolegami, był jedynym barem w Bruket. Znajdował się przy oświetlonym rynku, w starym ceglany budynku z drewnianą werandą i neonowym szyldem nad drzwiami.

– Masz ze sobą legitymację, Levin? – rzucił Knutsson, kiedy wysiedli z samochodu.

Knutsson pochodził z Göteborga i jak na typowego mieszkańca tego miasta przystało nigdy nie było wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie. Charles zauważył, że kąciki jego ust się uniosły, więc może to był uśmiech, ale równie dobrze mogła to być próba ukrycia niezadowolenia.

Abrahamsson poklepał Knutssona po ramieniu.

– Przestań się z nim drażnić. Za karę będziesz prowadził.

– Nie drażnię się – bronił się zmieszany Knutsson.

Szybko się zorientowali, że ci, którzy spędzali ten wieczór w barze, byli tacy jak zawsze, tacy, jakich zwykle się spotykało w takich miejscach: popijający piwo samotni mężczyźni z czerwonymi opuchniętymi twarzami.

Za ladą stał mężczyzna o łagodnej twarzy, z lekko srebrzystymi wąsami. Trzymał w ręku banknoty nad otwartą kasą.

Charles i Abrahamsson zamówili po piwie i usiedli przy stoliku. Knutsson sączył z kamienną twarzą jakiś napój. Niewiele się do siebie odzywali.

Do baru weszły cztery młode kobiety, jedna za drugą. Ona była ostatnia. Idące przed nią koleżanki śmiały się z czegoś, co chwilę wcześniej powiedziała. Zwróciły się do barmana po imieniu. Magnus. Zamówiły coś do picia. Któraś spytała, czy naprawił już klamkę w toalecie.

– Myślisz, że mam czas na takie rzeczy? – zachnął się.

Siedzący przy stoliku trzech policjanci śledzili je wzrokiem. Musiały to zauważyć, ale wydawały się tym nie przejmować. Może były do tego przyzwyczajone. Zajęły miejsca przy stoliku za nimi. Jedna powiedziała, że zamiast tam przyjeżdżać, powinny być od razu pojechać do Moniki. Mówiła trochę niewyraźnie.

Charles miał wrażenie, że w rozproszonym świetle widzi wszystko jak przez mgłę. Wsłuchiwał się w wyraźny dialekt, którym mówiły, z gardłowym r, długimi samogłoskami i melodią zdań trudną do naśladowania.

– Nie jesteś zainteresowany, Levin? – zaczął go Abrahamsson.

– Niby czym?

– Nie wie, o co ci chodzi – powiedział Knutsson. – Daj mu spokój. Jesteś

pijany.

– Chodząca niewinność – zażartował Abrahamsson. Przekrzywił głowę i spojrzał na Charlesa jak na małe kociątko, a potem pokręcił głową. – Jeszcze niezepsuty.

Na ścianie za barmanem wisiał zegar. Wskazywał wpół do siódmej. Ale Charles wątpił, czy dobrze chodzi.

Poszedł do toalety, która w poprzednim życiu była pewnie szatnią. Była mała i ciasna i cuchnęła jak ubranie starego człowieka. Kiedy odkręcił kran, rury wydały dziwny odgłos, rozległo się złowieszcze zgrzytanie, więc szybko go zakręcił.

Stała na zewnątrz, oparta o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Włosy sięgały jej do ramion, jasne i kręcone. Była drobna, pół głowy niższa od niego, miała wąskie ramiona i delikatne dłonie. Nie miała polakierowanych paznokci, w jej oczach była ciekawość. Miała na sobie czarną sukienkę, do połowy uda, i czarne rajstopy, a we włosach czarną kokardę z aksamitu.

Przytrzymał jej drzwi. Uśmiechnęła się. Miała drobne, nierówne zęby, jak zęby dziecka.

Charles stanął przy barze, przy którym akurat nie było barmana. Mężczyzna wyszedł na zewnątrz, z papierosem w jednej ręce i butelką piwa w drugiej. Czas najwyraźniej nie miał dla niego wielkiego znaczenia.

– Nie umyłeś rąk.

Stanęła obok niego, czuł zapach jej włosów, a może perfum. A może jednego i drugiego.

– Nie miałem jak.

Roześmiała się.

– Wiem. Ja też nie umyłam. – W jej dłoniach zaszeleściły banknoty. – Gdzie on jest?

– Na dworze. Pali.

– Jasne. – Spojrzała do tyłu, przez ramię, a potem wyjrzała na dwór. Barman był w połowie papierosa i w połowie butelki piwa. – Mam na imię Eva.

– Charles.

– Nie jesteś stąd.

– Skąd wiesz?

– Słysząc to, kiedy mówisz.

– Więc skąd jestem?

– Powiedziałabym, że ze Sztokholmu. Ale to chyba byłoby za proste, więc powiedzmy, że z Uppsali.

– Ze Sztokholmu – powiedział Charles. Coś w jej niebieskich oczach sprawiło, że się roześmiał. – Przykro mi – dodał.

Jej przyjaciółki zaczęły chichotać, zaczerwienił się.

– Ze Sztokholmu – powtórzyła Eva, jakby smakowała słowa. – No proszę.

Dlaczego tu wylądowałeś?

– Jesteśmy na konferencji, kilka mil na zachód stąd, niedaleko Halmstad.

– Więc to twoi koledzy?

Człowieka osądza się po ludziach, z którymi się zadaje, a on był w towarzystwie dwóch szarych facetów. Taka jest kolej rzeczy? Kiedyś też taki będzie?

– Tak – przytaknął z pewnym oporem.

Spojrzał na jej usta. Trwało to sekundę, ale nie był w stanie się powstrzymać.

– Czym się zajmujesz? – spytała po chwili.

– Jestem policjantem. A ty?

– Pracuję w markecie, po drugiej stronie rynku. Ten czerwony neon, pewnie go widzieliście. Tam pracuję.

Barman wrócił, butelka w jego dłoni była pusta. Nie patrząc na nich, stanął za ladą, schylił się i włączył muzykę. Nie żeby ktoś jej słuchał, miała raczej być remedium na ciszę. Przeciągnął się i wypuścił z płuc powietrze. Wymagało to trochę wysiłku. Charles poczuł na twarzy zapach dymu i piwa.

– Tak? – zwrócił się do nich barman.

– Poproszę jeszcze raz to samo – powiedziała Eva, podając mu banknoty.

– Dla mnie też – dodał szybko Charles.

Powiedziała mu, że wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata. On zdradził, że ma dwadzieścia cztery. Nigdy nie była w Sztokholmie, urodziła się i wychowała tam, w Bruket. Spojrzał na jej palce, żadnego pierścionka, gładka skóra i jasne delikatne włoski. Wybierały się do dawnej koleżanki z klasy, do Moniki, na kolację, ale postanowiły, że najpierw przepłuczą gardła. Tak powiedziała: przepłucz gardła. Charles uznał, że to zabawne.

– Podoba ci się twoja praca? – spytała.

– Można poznać takie miejsca jak Bruket – powiedział.

Najwyraźniej ją to rozbawiło, bo się roześmiała. Dotknęła jego ręki.

Zawołała ją jedna z przyjaciółek, spytała, czy nie powinny już iść.

– Jak długo zostaniecie? – zapytała go.

– Pojutrze wyjeżdżamy.

Spojrzała na barmana: stał oparty o ścianę i czytał gazetę. Charles zaczynał już odczuwać skutki działania alkoholu. Musiał zmrużyć oczy, żeby się przekonać, ale owszem – to była gazeta sprzed trzech dni.

– Magnus, dasz mi pióro i jakąś kartkę? – Zapisała numer telefonu. – Zadzwoń, jeśli będziesz chciał się spotkać.

Złożył starannie niewielką kartkę i schował do kieszeni spodni.

Dopiero kiedy wyszły, a on wrócił do Abrahamssona i Knutssona, dotarła do niego muzyka, tekst piosenki i głęboki głos, ostry, a jednocześnie nieco chrapliwy. Do dzisiaj pamięta słowa: *I wasn't sad, I was just dissatisfied.*

Powinien był wyrzucić kartkę z jej numerem, wyrzucić i zapomnieć, że ją w ogóle spotkał.

luty 1984

W środku panuje zaduch, ale tylko ktoś bardzo naiwny oczekiwałby w domu narkomana czegoś innego. Przez okno w salonie widać wieżę kościoła Świętej Zofii, martwe czubki drzew i wiszące nisko niebo. W radiu leci *Love of the Common People*. Mieszkanie jest urządzone spartańsko: prosty stół, kilka krzeseł, kanapa, a mimo to sprawia wrażenie zagraconego i brudnego.

Jan Savolainen jest drobny, drży. Pali papierosa. Siedzi przed Charlesem i wygląda na szczuplejszego niż podczas wczorajszej podróży przez Sztokholm.

Charles sięga po leżącą między nimi na stole paczkę papierosów.

– Mogę jednego?

– Pewnie tak. – Savolainen stuka palcem wskazującym w papierosa, popiół spada do popielniczki. Patrzy na Charlesa, potem na drzwi, a potem znów na Charlesa. – Czego taki ważniak ode mnie chce?

Charles wyciąga papierosa z paczki, trzyma go między palcami. Tytoń trzeszczy w panującej w pokoju ciszy.

– Sven Olof Håkansson – mówi. – Skąd się znacie?

– Jak on się nazywa?

– Sven Olof Håkansson.

– Skąd się znamy?

– Tak.

– Nigdy nie słyszałem tego imienia i nazwiska.

– A Anette Håkansson?

– A to niby kto?

– Jego żona.

– Ach tak. Nie, nie wiem.

Charles zapala papierosa. Paznokcie Savolainena są długie i czarne.

– To niedobrze.

– Słucham?

Charles odchyła się na krześle, wydmuchuje dym, patrzy, jak się unosi w stojącym powietrzu. Kiedy spotyka wzrok Savolainena, widzi, że jest zdenerwowany. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuje zdjęcie. Kładzie je na stole i przesuwa w jego stronę.

– Potrafisz zidentyfikować faceta ze zdjęcia?

Savolainen bierze zdjęcie do ręki, podnosi je, mruży oczy. Zdjęcie jest wyraźne, profil wyraźnie zarysowany, ostry.

– To ja.

– Wiesz, gdzie to zdjęcie zostało zrobione?

– Nie.

– Nie poznajesz? Nie wiesz, gdzie byłeś?

Savolainen milczy, więc Charles mówi dalej, tym samym bezdźwięcznym głosem, jakby czytał z kartki:

– Wychodzisz z mieszkania Håkanssona w Täby. Wczoraj. Spędziłeś trochę czasu w jego garażu. Kiepsko, że go nie znasz, bo w takim razie mamy do czynienia z nielegalnym wtargnięciem. – Bierze zdjęcie, wkłada je do kieszeni.

– Przykra sprawa.

– Grozisz mi?

– Chciałbym, żebyś mi powiedział, gdzie jest Håkansson. To wszystko.

Savolainen wstaje z krzesła, tak gwałtownie, że krzesło się przewraca i pada z hukiem na podłogę, drewno uderza o drewno. Kładzie dłonie na blacie i pochyla się nad Charlesem.

– Idź stąd albo zaraz będą musieli cię stąd wynieść.

Jego ślina trafia Charlesa w twarz. Składa zdjęcie, chowa je do kieszeni.

– Możesz być tak uprzejmy i usiąść?

Nie czekając, aż to zrobi, Charles wyjmuje z kieszeni kolejne zdjęcie. Pokazuje mu: Savolainen wychodzi z piwnicy w Bagarmossen, widać, że się spieszy.

– Siadaj. Musimy to wyjaśnić.

Tym razem go słucha. Charles zostawia zdjęcie na stole, wyjmując z kieszeni spodni niewielką torebkę amfetaminy, kładzie ją obok zdjęcia.

– Jak dobrze znasz Håkanssona?

Savolainen bierze saszetkę, trzyma ją kciukiem i palcem wskazującym, przygląda się jej, wargi ma ściągnięte.

– Nie znam go. Miałem coś dla niego zrobić. To wszystko.

– A co?

– Chodziło o jego firmę. Sunitron. Nie wiem dlaczego. Kazano mi po prostu sprawdzić, czy pewna dostawa trafiła na miejsce.

– A gdzie miała trafić? Ta dostawa.

Savolainen patrzy na zdjęcie.

– Tam.

– Do tej piwnicy w Bagarmossen?

– Tak.

– Była tam?

– Co?

– Dostawa trafiła na miejsce?

– Tak.

– A co robiłeś w Täby?

– Musiałem odebrać klucz od piwnicy. Był u...

– U Anette.

– Tak. U jego żony.

– Nie wydaje ci się dziwne, że jedyny klucz od piwnicy znajduje się na drugim końcu Sztokholmu?

Savolainen trzyma w ręku saszetkę z amfetaminą, otwiera ją ostrożnie, wysypuje trochę białego proszku na blat. Formuje cienką linię, bierze małą metalową rurkę, przykładając ją do nosa, nachyla się nad stołem i wciąga proszek. Potem ślini palec wskazujący, zbiera nim resztki proszku, które zostały na stole, i smaruje nimi dziąsła.

– To był klucz zapasowy. Musiałem go odebrać, żeby gdzieś nie zniknął.

– Na czyje polecenie?

– A jak myślisz? Właściciela piwnicy.

– Czyli?

Savolainen bierze saszetkę z amfetaminą, składa ją i włada do kieszeni dzinsów.

– Öberga.

– Jakoba Öberga? Wykonujesz jego polecenia?

Savolainen przewraca oczami.

– Rozumiem, że tak – mówi Charles. – Co to była za dostawa?

– Nie wiem.

Charles unosi brwi.

– Nie wiesz?

Savolainen kręci głową.

– Wszystko było przykryte brezentem. Miałem tylko tam iść, spojrzeć na brezent i sprawdzić, czy coś pod nim stoi. Miało przypominać suszarkę. Tak mi powiedziano. I rzeczywiście tak było. Stały tam.

– Ale nie wiesz co?

– Powiedziałem, że nie.

– Wiem, że się domyśliłeś, co to takiego i ile jest warte. – Charles rozkłada ręce. – Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co naprawdę wiesz? I będziemy mogli się rozejść, każdy do swoich spraw.

– Skoro tyle wiesz, to wiesz też, co to za rzeczy. Do czego jestem ci potrzebny?

– Chcę, żebyś ty to powiedział i...

– Nie licz na to.

– Chcę uniknąć nieprzyjemności.

– Spadaj.

Charles patrzy na papierosa żarzącego się między jego palcami, widzi, jak bibułka powoli zamienia się w popiół. Mruga, czuje, że ma ciężkie powieki.

– Nie rób tak.

– Idź do diabła.

Charles powoli kiwa głową i podnosi się z krzesła.

Zwykle przebiegało to inaczej, nawet tuż po zerwaniu, kiedy wszystko jeszcze było świeże, kiedy wypadek był jak otwarta rana, a on właśnie zaczynał pracę.

Pamiętał ten pierwszy okres: on i Paul w dwóch przestronnych fotelach w foyer Grand Hotelu, zapach drogich perfum i dyskretny szelest gazet, które przeglądali mężczyźni siedzący przy stolikach, i przechodzące obok piękne kobiety w wąskich spódniczkach i czółenkach. Z windy wyszedł mężczyzna wyglądający na dyplomatę, podał im rękę, zwrócił się do niego nazwiskiem, które nie było jego nazwiskiem: *Guten Abend, Herr Möller. Würden Sie bitte mitkommen? Wir müssen vielses besprechen.*

Czuło się powiew historii, a wiatr wiał zarówno ze wschodu, jak i z zachodu. Praca była przyjemna, uczył się szybko i był dobry. Nie miał wyboru. Zanurzenie się w terażniejszości było sposobem na radzenie sobie z przeszłością. *Herr Möller, bitte, hören Sie mir zu...*

Godziny spędzane w samochodzie na śledzeniu, noce, kiedy siedzieli pochyleni nad rejestrami: składali części układanki, zestawiali różne informacje. Spotkanie w pociągu, ręce, które się dyskretnie dotykają, wymiana grzecznościowych formułek, jakieś pozdrowienie i człowiek zostawał sam: *Grüsse aus Berlin, Herr Möller.* Tak to wyglądało, ale nie tak.

– Wie, że to VAX-y – stwierdza Charles, kiedy dosiada się do Paula. Po chwili skręcają w Folkungagatan. Jezdnia jest pokryta lodem, zużyte zimowe opony citroena ślizgają się w śnieżnej brei. – Ale nie wie, do czego mają być użyte.

– Jesteś pewien? – Paul spogląda na jego nogi. – Pobrudziłeś buty.

– Nie słyszałeś nas?

– Pod koniec były jakieś trzaski.

Charles podnosi kołnierz, wyjmuje niewielki mikrofon, odpina dwa guziki koszuli i zdejmuje kawałki taśmy klejącej, którą był przymocowany. Widzi kawałek skóry, bladej, białej.

– Wyłączyłeś odbiornik? – pyta Charles.

– Tak.

Charles zapina koszulę, otwiera schowek przy siedzeniu pasażera. W środku jest paczka chusteczek. Odkłada sprzęt, wyjmuje chusteczkę, ściera z butów krew.

– Wie, dla kogo ta dostawa? – pyta Paul.

– Nie. To chyba słyszałeś.

Przed nimi jedzie duża ciężarówka. Spaliny dostają się do kabiny, ostra, cierpka woń.

Charles składa zakrwawioną chusteczkę i chowa do kieszeni. W milczeniu jadą na północ, wjeżdżają do tunelu i wkrótce są w samym sercu miasta, w dzielnicy rządowej, w której budynki samą swoją skalą sprawiają, że człowiek czuje się maleńki. To działa.

Dzięki informacjom, które do tej pory udało im się zebrać, wydaje się, że wszystko mają pod kontrolą. Jan Savolainen jest zerem z nerwami zszarpanymi amfetaminą. W ostatnim czasie był chłopcem na posyłki Jakoba Öberga. Öberg to gangster, słynący z przemytu narkotyków i paserstwa. Jego znani im znajomi to: Sigge Cedergren, Leif Skiffer, Clark Olofsson. Znane im adresy to: trzypokojowe mieszkanie w pobliżu kasyna Oxen i kawalerka w Bagarmossen z należącą do niej piwnicą.

Nie jest natomiast jasne, w jaki sposób Öberg i Håkansson się poznali. Håkansson prowadzi firmę Sunitron, handluje elektroniką. Dwudziestego czwartego lutego transport zaadresowany na jego firmę był w drodze do Szwecji. Utknął w Hamburgu, ponieważ coś zwróciło uwagę niemieckiej straży celnej: firma Sunitron wystąpiła o czasowe zwolnienie towarów z cła, co wskazywało na to, że nie zostaną w Szwecji, tylko zostaną przesłane dalej. Dokąd – tego nikt nie wiedział. Poza tym okazało się, że przesyłka zawiera nadajniki i odbiorniki

zaawansowanego systemu radarowego, pochodzącego ze Stanów Zjednoczonych. Kiedy następnego dnia rano wezwano Håkanssona na przesłuchanie, okazało się, że chociaż niewiele wiedział o dostawie, wydawał się przekonany, że towar ma zostać w Szwecji. Tak przynajmniej twierdził. Nadajniki i odbiorniki zostały na cle w Hamburgu i gdyby na tym cała historia się skończyła, wszystko zapewne potoczyłoby się inaczej.

Niestety policja postanowiła przeszukać mieszkanie w Täby, należące do niego i jego żony. W garażu znaleziono cztery ciężkie drewniane skrzynie. Na pytanie, co zawierają, odpowiedział, że to urządzenia do klimatyzacji, ale kiedy policja otworzyła skrzynie, okazało się, że są w nich komputery, VAX-y.

Wtedy do sprawy włączono wydział. Komputera VAX 11/782 można używać do celów cywilnych, ale również wojskowych. Można go też użyć do produkcji broni jądrowej.

Problem polegał na tym, że kiedy dwudziestego piątego lutego wieczorem Charles i Paul weszli do mieszkania Håkanssona, żeby zabrać komputery, okazało się, że już ich tam nie ma. Od tej chwili szef wydziału zaczął nałogowo palić.

Komputery zniknęły. Wszystko odbyło się elegancko, jakby się rozplynęły w powietrzu.

Poinformowali o tym szefa i zapanował chaos. Popielniczka trafiła w ścianę, słuchawka telefonu pękła, kiedy kilka razy uderzył nią o blat biurka, jakby walił młotkiem. Szarobiałe ściany salki konferencyjnej nagle zbliżyły się do siebie, wszyscy oddychali z trudem.

– Ucieszy się, że znaleźliśmy komputery – mówi Paul, skręcając w Hantverkargatan. – Ale jeśli zostaną w Bagarmossen, będziemy musieli zakończyć sprawę. Musimy go przekonać, że powinien je co jakiś czas prznosić. Z Bagarmossen w jakieś inne miejsce, potem w jeszcze inne, a potem może jeszcze gdzie indziej. Wtedy też będą mogły zniknąć w mgnieniu oka, tyle że... – Urywa, wyciąga rękę. Zaciska pięść, prostuje palce, szybko, jakby go coś paliło. – Puf i znikają, tyle że teraz już za naszym przyzwoleniem.

– Nie wystarczy go przekonać. Sam musi do tego dojść.

– Właśnie o to chodzi – stwierdza Paul i zaciska usta.

Charles patrzy na swoje dłonie, na pożółkłe od nikotyny palce. Opiera głowę o zagłówek fotela, zamyka oczy. Tak wielu ludzi okłamują. Cudownie byłoby się chwilę zdrzemnąć. Wkłada rękę do kieszeni, ścisną zakrwawioną chusteczkę.

W biurze służb zawsze panował ruch: sekretarki chodziły z segregatorami, przenosiły dokumenty z jednego pokoju do drugiego, słychać było dyskretny stukot obcasów. Urzędnicy wracali z lunchów z płaszczami przewieszonymi przez ręce, sprzątaczką chowała odkurzacz do schowka, ktoś z piętra wyżej wpadał z jakąś sprawą, szedł korytarzem w towarzystwie innych mężczyzn, grzecznie uśmiechniętych, ale patrzących z powagą.

Zwykły powszedni dzień, wszystko wydaje się proste, niegroźne.

Szef pali chesterfielda, jedyne przyzwoite amerykańskie papierosy. Ostatnio pali coraz więcej, jeśli wierzyć jego sekretarce, a pewnie należy. Wszyscy wiedzą, że jest pod presją.

– A więc wiemy, gdzie są – mówi szef. Przesuwa szklankę z wodą i przygląda się jej, zanim wypija łyk.

– Zgadza się. – Paul przekłada kartkę raportu. – Wiemy, że pochodzą z Ameryki i że dotarły do Szwecji przez Afrykę Południową i Niemcy.

– Wiemy, jak się tu znalazły?

– Nie. Nie wiemy, kiedy to się stało ani dlaczego, ani kto je przeniósł z Täby do Bagarmossen. Gdyby nie Charles – dodaje – nie wiedzielibyśmy nawet, że istnieją.

Szef zerka na szklankę, potem na blat biurka.

– Dobra robota, Levin. – Z kieszonki koszuli wyjmuje paczkę papierosów. – Wiemy, do kogo miały trafić?

– Podejrzewamy, że w to samo miejsce, w które miała trafić aparatura radarowa zatrzymana w Hamburgu.

– Zapewne tak, ale pytanie brzmi: dokąd?

Szef drąży. Zapewne wie, że pytanie jest retoryczne, ale może chce sprawdzić, czy nie kłamia.

– Mogą mieć kilka miejsc docelowych – mówi Charles powoli. – Węgry, Bułgaria, może Związek Radziecki. Ale podejrzewamy, że chodzi o Niemcy Wschodnie.

– Ja też. – Szef zapala papierosa. – Niech to szlag.

Wstaje, podchodzi do okna, ręce trzyma w kieszeniach, w kąciку ust tkwi papieros. Ściany w jego gabinecie są zastawione półkami z ciężkimi segregatorami, podręcznikami, nieoznaczonymi teczkami na dokumenty. Między dwoma regałami wisi jego mundur. Podłogę pokrywa dywan, wygląda na drogi. Zapach papierosów i męskiej wody toaletowej miesza się ze sztucznym zapachem z klimatyzacji.

Ma nos w kształcie wielkiego kranu, a uśmiecha się, tylko kiedy może coś na tym zyskać. Ale nawet kiedy to robi, jego uśmiech jest połowiczny i chłodny, jego oczy nigdy się nie śmieją. Trudno go oddzielić od branży, w której pracuje, jego fach widać w jego ruchach, uczuciach, w jego sercu. Ludzie mówią, że jak tylko objął stanowisko, zlecił wykonanie dodatkowej izolacji ścian, bo nie chciał, żeby cokolwiek wydostawało się na zewnątrz. Człowieka zdradzają niepozorne dźwięki: to, jak się wierci na krześle, jak poprawia kołnierz koszuli albo odkasłuje, kiedy jest zdenerwowany. U niego te dźwięki są wzmocnione, ostre.

– A Savolainen? – pyta zamyślony. – To jego widziałeś?

– Tak.

– Więc Öberg ma związek ze sprawą. Jeśli w grę wchodzi NRD, to posłużyli się porządnym szwedzkim łobuzem. Tego się nie spodziewałem.

– Jeśli w grę wchodzi NRD, to mogli o tym nie wiedzieć – mówi Paul. – Ten łańcuch może mieć wiele ogniw.

– Na pewno wiedzieli – stwierdza szef ponuro. – Takie rzeczy się wie. Zawsze. Pytanie, czy wiedzą, że my wiemy, gdzie one są.

– Nie – mówi Charles.

– Jesteście pewni?

– Tak.

Za oknem przelatuje sznur ptaków. Szef chyba nawet ich nie zauważa. Może zamknął na chwilę oczy. Dłonie Charlesa są wilgotne. Kiedy je odrywa od blatu biurka, pot zostawia ślad na lśniącym drewnie. Przesuwa po nim ręką, wyciera dłonie o uda.

– Załatwcie mieszkanie i pilnujcie piwnicy w Bagarmossen. Muszę wiedzieć, czy Öberg pracuje dla Håkanssona, czy dla kogoś innego. Rozmawialiście z nim?

– Z Öbergiem? – upewnia się Charles. – Nie.

– A z Savolainenem, jego pomocnikiem? Rozmawialiście z nim?

– Nie – kłamie Charles. Bez chwili wahania, niemal odruchowo.

Przywykł.

– To prawda?

– Tak.

– I niech tak zostanie. Nie kontaktujcie się z nim – mówi szef i wydmuchuje dym, który natychmiast zamienia się w chmurę wokół jego głowy. – Obserwujcie i dokumentujcie wszystko. Nie ingerujcie, chyba że wbrew naszym przewidywaniom sprawy zajdą tak daleko, że nagle okaże się, że komputery dostały skrzydeł i już są w drodze do granicy.

– Mogę spytać, skąd ta niezwykła ostrożność? – wchodzi mu w słowo Paul.

– Jesteśmy ostrożni... – zaczyna szef i urywa. Kaszle. Papieros wypada mu z ust, ląduje na podłodze. – Jesteśmy ostrożni, bo w czerwcu premier wybiera się z wizytą do NRD. Wczoraj zapadła decyzja. Jeśli to tam mają trafić komputery

i jeśli nie uda nam się temu zapobiec, to będzie niezła awantura.

Paul wygładza fałdkę na spodniach. Nonszalanckim, niemal prowokującym gestem. Szef zerka na papierosa, który leży i żarzy się obok jego lewego buta. Wzdycha, gasi go, przydeptując podszwą, nie wyjmując rąk z kieszeni.

– Zastanawiam się, czy za dużo nie ryzykujemy, pozwalając im zostać w tej piwnicy w Bagarmossen. Pewnie postoją tam kilka tygodni. Takie sprawy, niezależnie od tego, czy towar w końcu trafi do NRD, czy do innego kraju na wschodzie, zajmują dużo czasu.

– Zawsze ryzykujemy. To jest wpisane w naszą pracę.

– Więc mamy tam zostawić tę całą elektronikę? Wiedząc, że może chodzić o wyposażenie, które prawdopodobnie zostanie użyte przez komunistów do celów wojskowych?

– A co, do diabła, proponujesz? Mam wziąć te VAX-y na komendę?

– Oczywiście, że nie – mówi Paul i marszczy brwi. – Chodzi mi tylko o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi – przerywa mu szef. – Uważasz, że lepiej, żeby były w ruchu, że należy zmusić drania, żeby je co jakiś czas przenośli. Zwykle tak robiliśmy.

– Zwracam po prostu uwagę na ryzykowny punkt planu. Tego ryzyka można uniknąć.

– Przenoszenie aparatury przez jakichś gangsterów nie jest ryzykowne?

– Jest – mówi Paul i rozkłada ręce. O dziwo, wydaje się, że jest szczerzy, co jest naprawdę imponujące. – Oczywiście, że jest – powtarza.

Szef milczy.

– Jest jeszcze coś, co przemawia za tym, żeby zmusić ich do przeniesienia VAX-ów – wtrąca Charles.

– A mianowicie?

Ostrożnie.

– Takie ruchy wymagają udziału większej liczby osób. Ktoś będzie musiał im pomóc. A wtedy poweźmiemy kroki, żeby dotrzeć do ich współpracowników. Jeśli będziemy wystarczająco sprytni, może nawet dotrzemy do kilku enerdownów.

Szef sięga po kolejnego papierosa, trzyma go między palcami.

– To kusząca myśl.

Znów milczy, tym razem dłużej. Charlesowi kręci się w głowie, ma mdłości. W ustach zbiera mu się ślina. Przełyka ją.

– Jak ich zmusimy do przeniesienia komputerów? – pyta szef. – Jak, nie ujawniając się, zmusimy do tego kogoś, kto nie wie, że go śledzimy?

Paul się śmieje. Może dlatego, że wszystko to jest grą. W dzieciństwie, kiedy grał w gry strategiczne, zawsze czuł podniecenie, kiedy udało mu się przewidzieć ruch przeciwnika, a jeszcze większe, kiedy zdołał zwabić go w pułapkę.

- Z takimi drobiazgami zawsze sobie radzimy – mówi.
- Z drobiazgami – powtarza szef i zaczyna chichotać. Starszy pan nagle zamienia się w małego chłopca.

czerwiec 2014

Kupiłem samochód. Beżowego opla kadetta, rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy, silnik cztery cylindry, dwudrzwiowy. Tanio, od dość podejrzanego faceta z Högdalen. Poznałem go przy okazji sprawy pobicia. Przez dłuższy czas nie było do końca wiadomo, czy był sprawcą, czy ofiarą. Silnik pracuje jak silnik starego odkurzacza, na drodze nikt nie ustępuje mi miejsca. Sam go nienawidzi, a Birck na jego widok zaczął przewracać oczami. Ale mnie się podoba, lubię go, może dlatego, że wygląda dokładnie tak, jak ja w tej chwili się czuję.

Bruket to cofnięta w głąb łądu osada, niewielka polanka w środku dużego lasu. Wzdłuż szosy rosną gęste lasy świerkowe, tak gęste, że mniejsze drzewa brązowieją, bo przez gałęzie nigdy nie dociera do nich słońce. Powietrze, początkowo suche i gorące, zrobiło się wilgotne i duszne. Jest wigilia świętego Jana. Midsommar.

Pamiętam, że kiedyś była tu huta szkła. Pewnie stąd znam nazwę miasteczka. Moi rodzice mają komplet zrobionych tam kieliszków. Jadę szosą, las robi się nieco bardziej przejrzysty, mijam dawne tereny huty. Była duża, znacznie większa, niż myślałem. Za wysokim ogrodzeniem wznoszą się budynki, a raczej ich szare szkielety. Droga jest zaniedbana, upał sprawia, że pęka, krwawi przez szpary i szczeliny.

Wjeżdżam na rynek. Widok robi wrażenie: przywodzi na myśl wspomnienia dawnej społeczności, niewielkiej, ale jednak społeczności.

Kontrast między ponurym wnętrzem samochodu a mocnym białym słońcem na zewnątrz sprawia, że mrużę oczy. Jest niewiarygodnie gorąco.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Że wszystko zastygnie w bezruchu na widok obcego samochodu zatrzymującego się na rynku? Że ludzie uniosą brwi i zaczną się do mnie zbliżać powolnym krokiem, z wyczekiwaniem w oczach? Że ktoś dźgnie mnie palcem w klatkę piersiową i powie, że zabłądziłem i że lepiej będzie, jeśli pojedę dalej?

Nic takiego się nie dzieje. W ogóle nic się nie dzieje.

Na miejscu pasażera stoi klatka z Kitem. Musiałem go zabrać ze sobą.

Nie miałem nic wspólnego z jego pojawieniem się w naszym domu. To Sam

się uparła, a trudno odmówić komuś, kogo się kocha.

Teraz, kiedy w końcu znów się do siebie zbliżyliśmy, wiem już, że jest krucha i delikatna, że oboje tacy jesteśmy. Ci, którzy nas znają, twierdzą, że zawsze byliśmy nieprzewidywalni, i to prawda. Nigdy nie potrafiliśmy do końca przewidzieć, co przyniesie kolejny dzień. Z czasem okazuje się to łatwiejsze.

– Naprawdę chcesz mieć dziecko? – spytała mnie któregoś wieczoru jakieś dwa miesiące temu.

– Tak – odpowiedziałem. Szczerze. – A ty?

– Też. – Zawahała się. – Tylko nie wiem, czy sobie z tym poradzimy.

Rezultat: cholerny kot.

Ale jak już powiedziałem, to nie ode mnie wyszła ta propozycja.

Sam kupiła go od kolegi ze studia tatuażu. Jego kotka właśnie się okociła. Kit jest mieszanką czegoś z czymś, nie bardzo wiadomo z czym. Ma ciemnobrązowe futro i zielone oczy, ma cztery miesiące i w zasadzie nic jeszcze nie potrafi. Nie słyszy dobrze, widzi kiepsko i nie interesuje go nic, co zwykle interesuje koty. Głównie chodzi i dość beznamiętnie przygląda się światu. Sam twierdzi, że jesteśmy do siebie podobni.

Właśnie podniósł głowę i mruga oczami, bardzo powoli. Potem ziewa i znów układa się w klatce.

W kieszeni mam kartkę napisaną własnoręcznie przez Sam: o czym musisz pamiętać, żeby nie uśmiercić kota pod moją nieobecność.

Opuszczam nieco szybę, wypalam papierosa i zastanawiam się, co powiem, jeśli ktoś spyta, co tu robię.

Domy stojące wokół rynku są niskie, stare. Wsiadam, gaszę papierosa, otwieram klatkę i zostawiam lekko uchylone okno, żeby Kit miał czym oddychać, i nagle czuję, że wszystko wokół zamienia się w biały szum.

W wigilię świętego Jana w Bruket panuje dziwna cisza. Dawniej, kiedy byli dziećmi, kiedy huta pracowała na pełnych obrotach i wszyscy mieli pracę, jakiś cel w życiu, ten dzień był wyjątkowo pracowity: wszyscy starali się jak najszybciej uporać z obowiązkami, jechać do domu i cieszyć się weekendem. Już w porze obiadu hutę zaczynali opuszczać pierwsi robotnicy. Tove stawała przy drodze, którą zwykle szli, i wypatrywała twarzy ojca. Teraz cały ten dzień jakby tkwił w jakimś odrętwieniu, jakimś półśnie, który zwalnia wszelkie działania.

Nikommu już nie wierzę, pomyślała Tove. Może na tym polega problem.

Ta myśl przyszła jej do głowy podczas lunchu. Siedziała i dzwoniła do ludzi z okolicy. Pytała, czy są w domu i czy może przyjechać i pokazać im zdjęcie samochodu, który być może widzieli. Przed nią leżała lista, odhaczała na niej nazwiska tych, z którymi udało jej się skontaktować. Przy tych, którzy nie odbierali, stawiała krzyżyki.

Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale miała wrażenie, że większość coś przed nią ukrywa. Tak po prostu jest, wszyscy mamy swoje tajemnice. Dobry policjant powinien wiedzieć, komu może zaufać, a komu nie. Dla niej ta granica zaczynała być płynna.

Od chwili kiedy znaleziono martwego Levina, minęła już doba, od jego śmierci trzydzieści sześć godzin. Dawało to sprawcy dużą przewagę.

Ktoś w korytarzu zawołał ją po imieniu. Wyszła i zobaczyła jednego z funkcjonariuszy. Stał ze słuchawką w ręku.

– Co się stało? – spytała.

– Ktoś do ciebie.

Dziennikarz z „Aftonbladet”. Pytał, czy to prawda, że zmarły był policjantem.

– Nie, to nieprawda.

– Ale...

Odłożyła słuchawkę, wróciła do pokoju i do swoich rozmów. Nagle jakiś ruch sprawił, że podniosła głowę znad papierów.

W progu stał mężczyzna. Z uniesioną ręką, jakby właśnie zamierzał zapukać w futrynę.

– Ja... – zaczął i urwał. – Cześć, szukam Oli Davidssona – odezwał się po chwili.

Był mniej więcej w jej wieku, na nogach miał conversy, ubrany był w ciemne dżinsy i szary T-shirt z napisem PRINCE na piersi. Ciemne włosy,

wyraźnie zaznaczony nos. Był blady, raczej przystojny, nieco wychudzony, jak narkoman, pomyślała, który kiedyś był przystojny, zanim sam się zniszczył.

Nagle czuje, że zalewa ją czarna fala.

Mężczyzna, który stoi w progu, zastrzelił jej brata.

Morovi twierdziła, że dochodzeniem kieruje niejaki Ola Davidsson. Na tabliczce na drzwiach widnieje imię, nazwisko i tytuł: komisarz. Drzwi są otwarte, komputer włączony, ale lokatora nie ma. Jedną ścianę zajmuje duża tablica, na której wisi plakat z różnymi określeniami policjantów: gliny, gliniarze, psy, łapsy, pały, krawężniki.

Miški? Ktoś jeszcze tak mówi?

Idę dalej, wchodzę do podłużnego pokoju, do sali konferencyjnej. Na środku stoi stół z jasnego drewna, a przy nim kilkanaście krzeseł. Na stole leżą laptopy, sterty papierów i dokumentów, porozrzucane drobiazgi w oznakowanych foliowych torebkach, zapewne rzeczy z domu Levina.

Na jednej z krótszych ścian wisi biała tablica. Ktoś napisał na niej czarnym markerem: CHARLES JAN LEVIN, 470125 4694. Czuję ukłucie w sercu. Obok nazwiska ktoś przyczepił magnesem zdjęcie, zaznaczył coś na nim kółkiem, zrobił strzałkę, a za nią postawił znak zapytania. Zdjęcie jest niewyraźne i przedstawia ciemny samochód.

Przy stole siedzi kobieta. W jednej ręce trzyma telefon, w drugiej długopis. Coś zapisuje. Ma świeżące, spocone czoło, jest blada jak na tę porę roku. Jasne włosy ma spięte w węzeł na karku. Wydaje się nieco zaniedbana, jakby w krótkim czasie straciła kilka kilogramów.

– Ja... – zaczynam. – Cześć, szukam Oli Davidssona.

W ostrym świetle wpadającym przez okno jej oczy wydają się niemal czarne. Odkłada długopis.

– O co chodzi?

Głos ma chropowaty, głuchy. Pewnie pali więcej ode mnie. Zerkam na białą tablicę na ścianie, a potem na telefon w jej ręce. Ścisza go tak mocno, że bieleją jej knykcie.

Robię krok, wchodzę do pokoju i mam wrażenie, jakbym miał przed sobą gorącą ścianę.

– Charles Levin.

Przygląda mi się, mrużąc oczy.

– Myślałam, że jesteś z wydziału zabójstw.

– Czy my się znamy?

– Nie. Jesteś z wydziału zabójstw?

– Nie.

Właściwie nie jest to kłamstwo. Nie jestem tu na ich polecenie.

- Jesteś z Policji Krajowej?
- Tak – potwierdzam, zanim zdążę pomyśleć.
- Myślałam, że zjawicie się dopiero pojutrze albo w poniedziałek.
- Ach tak, no ale ja już jestem.

Chcę powiedzieć coś jeszcze, ale nie bardzo wiem co. Dziewczyna kogoś mi przypomina.

- Jestem Leo.
- Wiem.
- Tak?

Spuszcza wzrok, patrzy na rękę, w której ściska telefon. Rumieni się, ma czerwone uszy i szyję. Powoli się odpręża, kładzie komórkę na stole.

- Czy my się już kiedyś spotkaliśmy? – pytam.
- Davidsson uprzedził mnie, że pan przyjedzie.

Podchodzi do stołu i podaje jej rękę.

- Leo Junker.

Podaje mi prawą dłoń, ściskam ją. Jest drobna i twarda.

- Tove.

Nawet nie mrugnęła. Czuję się dziwnie nieprzyjemnie. Puszczam moją dłoń. Zastanawiam się, o czym myśli. Co z nią jest nie tak, a może nie z nią, tylko ze mną? Wiem, że niektórzy czują się w mojej obecności skrępowani. Mrużę oczy i zerkam na białą tablicę na ścianie.

- Kto to jest?
- Na tym zdjęciu?
- Tak, ten mężczyzna w samochodzie. To on?
- Czyli kto?
- Sprawca...

Tove wstaje, krzesło ślizga się, sunie po podłodze. Wychodzi szybkim krokiem, zostawia mnie w połowie zdania.

Patrzę za nią.

Świat to dziwne miejsce.

Podchodzę do tablicy ze zdjęciem, które ktoś przyczepił do niej magnesem. Niewyraźna fotografia, nieostre zdjęcie człowieka w zamazanym samochodzie, który wygląda na dość drogi. Mężczyzna. Chyba się po coś schyla. Mrużę oczy. Jego twarz to szara plama, bez rysów, bez zmarszczek, bez niczego.

Na stole leżą sterty papierów i zdjęcia z miejsca zbrodni. To dopiero zarys dochodzenia, ale od czegoś trzeba przecież zacząć. Przyglądam się zawartości foliowych torebek: jakieś ubrania, segregatory, kable do komputera. Zebrane w jednym miejscu wydają się dowodzić jednego: ludzie pracujący na miejscu zbrodni najwyraźniej nie bardzo wiedzieli, czego szukać.

Biorę tabletkę halcionu. Tuż pod powiekami cały czas mam dziwną mgłę.

Kątem oka widzę zdjęcia martwego Levina.

Podjeżdżają, że popełniono zbrodnię. To wszystko, co powiedziała mi Morovi.

Biorę do ręki jedno ze zdjęć. Levin leży na podłodze, z dziury na wysokości skroni leciała krew, całe mnóstwo krwi. To wszystko, co widzę. Wpatruję się w zdjęcie jak zahipnotyzowany.

Puszczam je. Spada obok zdjęcia zrobionego niedaleko drzwi prowadzących do kuchni, widać ciało i krew, ale z pewnej odległości, kuchenny blat i lodówkę, a w rogu dwa krzesła i stół. Na stole dwie filiżanki z kawą. Zastanawiam się, czy to, jak stoją krzesła, coś znaczy.

Trzecie zdjęcie pokazuje chmurę krwi na ścianie. Mija chwila, zanim dociera do mnie, co mam przed sobą. Levin musiał siedzieć na krześle, kiedy został zastrzelony.

Biorę do ręki kolejne zdjęcie, czwarte. Stukam w nie palcem. Widać na nim kosz na śmieci, stoi pod zlewem. Niebieskie wiadro, bez plastikowej torby w środku.

Przeglądam resztę materiałów, ale stojące powietrze mnie dekoncentruje. Zostawiam papiery i podchodzę do okna, kładę dłonie na parapecie. Pali mnie. Ulice są puste, jak ta salka.

– Gdzie, do diabła, są wszyscy?

Podnoszę wzrok, patrzę w niebo.

Coś z tym miejscem jest nie tak. Panujący tu spokój wydaje się nieobliczalny, jakby w każdej chwili mogła nas porwać wielka fala. Tak to czuję.

Co, do diabła, robił tu Levin?

Kroki. Kroki za moimi plecami. Tove wraca i siada na krzesło, wpatruje się w kartkę papieru, coś w rodzaju listy. Wyjmuje komórkę.

– Gdzie są wszyscy? – pytam.

– To znaczy?

– Tu nikogo nie ma.

– Nie jest nas zbyt dużo – mówi, nie podnosząc głowy. – A ci, którzy są... no cóż... jest wieczór świętego Jana...

– Ale jest dopiero pora lunchu. Jest pierwsza.

– Mają zebranie. Trzeba wyjść na korytarz, potem skręcić w lewo i iść prosto, to ten duży pokój w głębi.

– Davidsson tam jest?

– Nie.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

– Masz jego numer?

– Oczywiście, że mam. To mój szef.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

Nie odpowiada. Zastanawiam się, czy jej nie zabrać komórki, ale szybko dochodzę do wniosku, że to jednak nie najlepszy pomysł.

– To on? – pytam tylko i siadam po drugiej stronie stołu. – Sprawca?

– Ten na zdjęciu w samochodzie?

– Nie odpowiedziałaś mi, wyszłaś...

Tove blokuje przyciski w komórce, odkłada ją na bok, nasze spojrzenia się spotykają.

– Sądźmy, że to on. – Mam wrażenie, że to wszystko, na co jest w stanie się zdobyć, ale po chwili ciągnie dalej: – Zdjęcie zrobił świadek. Widział, jak ktoś wychodzi z domu i idzie do samochodu. A potem wsiada i odjeżdża.

– I nie macie pojęcia, kto to może być?

– Najmniejszego.

Tym razem to wszystko, co ma mi do powiedzenia. Czuję, że powinienem się napić wody. Halcion zaczął działać, szum w skroniach cichnie, w klatce piersiowej przestaje wibrować, w oczach czuję drobny żwirek.

– Jak sądzisz, co tam się stało? – pytam.

– Mam zgadywać?

– Spytałem, jak sądzisz.

Czy wszyscy tu są tacy jak ona?

– Sprawca przyjeżdża volvo, parkuje, jest około wpół do dziesiątej. – Przeciąga paznokciem kciuka po blacie, jakby próbowała zetrzeć jakąś plamę. – Levin go wpuszcza, co świadczy o tym, że go zna, a przynajmniej że go rozpoznaje. Siadają w kuchni, Levin prawdopodobnie częstuje go kawą. Wypija kilka łyków, w przeciwieństwie do sprawcy. Rozmawiają, tak przynajmniej zakładamy. Może nawet jakieś trzy kwadransy. Potem sprawca wstaje i strzela mu w głowę. – Tove krzyżuje ręce na wąskiej klatce piersiowej. – Mniej więcej tak to wyglądało.

– A potem?

– Sprawca bierze kilka rzeczy z sypialni, z biurka: komputer, drukarkę i komórkę. Wsiada do volvo i odjeżdża. – Pociera dolną wargę. – Mniej więcej tak to mogło wyglądać.

– A ten świadek... – Szukam w pamięci jego nazwiska. – Fredrik Oskarsson. Widział, jak leśną ścieżką za domem szedł jakiś mężczyzna.

– Tak?

– No... – zaczynam, waham się. Może czegoś nie zrozumiałem. – To mógł być sprawca.

Tove kręci głową.

– Mam świadka, który widział zaparkowany samochód, przy Alvavägen 10. Dlaczego kierowca miałby iść do lasu?

– Tak, ale... – Nasze spojrzenia się spotykają. Widzę chłód w jej oczach i wiem, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Coś jest nie tak, ale nie ma to nic wspólnego ze mną. – Masz rację – mówię.

– Sprawdzę, może uda mi się złapać Davidssona – mamrocze i sięga po komórkę.

– Skąd wiedziałaś, że mam na imię Leo?

– Już mówiłam. – Przykłada komórkę do ucha. – Davidsson o tym wspomniał.

– Ale...

– To ja – mówi, słysząc głos po drugiej stronie. – Jest tu facet z Krajowej Policji Kryminalnej. Pyta o... Tak, wiem, ale jeden z nich już tu jest. Zadzwońisz do Sztok... W porządku. Tak, już zaczęliśmy. Pokazałam mu zdjęcia i... Mam przed sobą listę mieszkańców, którzy mogli widzieć samochód. Umawiam się z nimi na rozmowy.

Słyszę ich głosy: głos Tove tuż obok mnie i jego po drugiej stronie linii, głęboki, brzydki. Po chwili przestaję się wsłuchiwać w słowa, pod jednym z segregatorów dostrzegam zrobione polaroidem zdjęcie.

Wyjmuję je i widzę, że na odwrocie Levin napisał:

Ja, Marika i Eva, wiosna 78

Tove kończy rozmowę.

– Jeśli możesz poczekać, to Davidsson będzie za pół godziny.

– W porządku – rzucam i wracam do zdjęcia. – 1978. Wiecie, gdzie zostało zrobione?

Tove szuka wśród zdjęć zrobionych na miejscu zbrodni.

– Tutaj.

Porównuję zdjęcia. Wygląda na to, że na tym, które mi właśnie podała, widać jego połączony z sypialnią gabinet.

– W tym samym domu?

– W tym samym pokoju. – Tove wstaje, zbiera swoje rzeczy. – Muszę już iść. Za chwilę przyjdzie Davidsson. Proszę tu poczekać.

Znów patrzę na tablicę, na zdjęcie mężczyzny w ciemnym volvo.

– Kazaliście szukać samochodu?

Tove się zatrzymuje.

– Oczywiście. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie sądzę, żeby to coś dało.

– Jakie okoliczności?

– Ma fałszywe tablice rejestracyjne. Nie mówiłam?

– Nie.

Wzrusza ramionami i wychodzi.

Czekając na Davidssona, zacząłem przeglądać dane i niemal natychmiast tego pożałowałem.

Wiem, że miał żonę, Elbę Wiklander, wiem, że kilka lat temu umarła. Widziałem ich razem kilka razy, czasem mi o niej opowiadał. Byłem przekonany, że była jego młodzieńczą miłością.

Eva Levin, nazwisko panięskie Alderin.

To, że już kiedyś był żonaty, jest dla mnie takim zaskoczeniem, że w pierwszej chwili jestem przekonany, że pomyłono jego dane z danymi kogoś innego. Ale nie, to nie pomyłka.

Eva Levin. Zginęła w wypadku samochodowym zimą 1980 roku. Wszczęto dochodzenie, na stole leży jasnobrązowa teczka z plikiem sprawozdań. Przeglądam je. Sprawa wydaje się jasna: odebrała córkę Marikę od koleżanki i wracała do domu. Matka zmarła, dziecko przeżyło. Zdjęcia pokazują kępę drzew. Samochód wpadł na jedno z nich, wybuchł pożar, po ugaszeniu został czarny wrak. Odnotowano, że samochód był stary, bak wymagał wymiany. W wyniku kolizji w baku powstała szpara, wystarczyła jedna iskra.

Czuję ukłucie w sercu, ból, który się czuje, uświadamiając sobie, że ktoś nam bliski stracił kogoś, kogo kochał.

Ukłucie w sercu, może również z powodu Mariki Levin.

Ma córkę.

Wpatruję się w jej imię, próbuję zrozumieć, co to wszystko znaczy. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział? Ukrywał ją? Dlaczego?

Wychodzę z ceglanego budynku. Ulicą jedzie traktor, w kabinie siedzi dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Silnik kaszle, dźwięki mieszają się z lecącą z głośnika muzyką: *tell me, tell me, tell me, baby, oh, who wrote the book of love? I've got to know the answer, was it someone from above?*

Patrzę za traktorem i wtedy nagle sobie przypominam.

Już kiedyś słyszałem to imię: Marika, ale nie Levin. Marika Alderin.

Niecałą dobę temu, kiedy dwóch świeżo zatrudnionych opiekunów w recepcji szpitala St:Göran szykowało leki dla pacjentów, a ja czekałem, aż będę się mógł podpisać na liście gości Grima. Jestem pewien, że słyszałem, jak mówią: Marika Alderin.

To musi być ta sama osoba.

Wydaje mi się to tak absurdalne, że zaczynam się śmiać. Ironia losu: córka Levina przebywa na tym samym oddziale, na którym jest mój najlepszy przyjaciel.

Stoję na rynku, przy samochodzie, i dochodzę do wniosku, że nie bardzo jest tu co robić. Jest oczywiście bar, Brukets Bar, sklep spożywczy, sklep z ubraniami Hannes Mode, kiosk, punkt ksero, w którym wydaje się również paczki i w którym są skrytki pocztowe, sklep monopolowy i stary, nieczynny już hotel. Wygląda na to, że to wszystko, ale może więcej wcale nam nie trzeba.

Gaszę papierosa i zaczynam szukać kluczyków. Kit leży na podłodze, w cieniu fotela pasażera. Kiedy otwieram drzwi, podnosi łebek, patrzy na mnie sennie, mruga, a kiedy mnie rozpoznaje, odwraca się ode mnie obrażony.

– To nie jest najlepsze miejsce – mówię. Biorę go na rękę, wysiadam i zamykam drzwi. – Jest piekielnie gorąco.

Wracam na komendę z kotem na rękę. Kit rozgląda się zdumiony, jakby się zastanawiał, gdzie, do licha, wylądował.

Davidssona ciągle nie ma. Puszczam Kita na podłogę w sali konferencyjnej, zamykam drzwi i próbuję ustawić okna w pozycji uchylonej. Walczę z nimi, zahaczam o coś, nie potrafię powiedzieć o co, widzę, że mam zakrwawioną dłoń. Kiedy w końcu udaje mi się uporać z oknami, dłonie mam całe umazane krwią.

Kit siedzi na podłodze i wygląda na ubawionego.

Idę do łazienki, zmywam krew, owijam rękę papierem. Wychodząc, wybieram w komórce numer Gabriela Bircka.

Słyszę, jak wybrzmiewają kolejne dzwonki, długie, falujące, jeden, drugi, trzeci, w końcu w słuchawce rozlegają się trzaski.

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Mam urlop.

– Nie masz urlopu. Masz dyżur.

– Przedwczoraj złożyłem podanie o urlop.

Słyszę, jak stuka w klawiaturę. Gra telewizor, cicho, leci jakiś program publicystyczny. W tle odgłosy Kungsholmen: wpadają przez otwarte okno w pokoju Bircka.

– I przyjęli je? Tuż przed świętem?

– Tak. Co robisz?

– Pracuję nad sprawą usiłowania zabójstwa w Observatorielunden.

– I co?

– W porządku – mówi Birck, dalej uderzając w klawisze. Ostre, gwałtowne dźwięki. – DNA się zgadza, tak twierdzą technicy z laboratorium. A co ty robisz, skoro cię tu nie ma?

- Jestem w Bruket.
- W Bruket? Gdzie to jest? Gdzieś w okolicach Uppsali?
- Gdzieś na granicy Hallandii i Smolandii. Sam dokładnie nie wiem.
- Hallandia? Kawał drogi. Co tam robisz?
- Słyszałeś o Levinie?

Stukanie ustaje.

– Tak – mówi Birck, łagodniej, innym tonem. – Słyszałem. Bardzo mi przykro.

– Przeniósł się tu wiosną. Pomyślałem, że... chciałem go zobaczyć.

– Jak zginął?

– Od strzału w głowę.

Cisza. W tle leci prognoza pogody, w Sztokholmie święto ma być deszczowe.

– Więc raczej nie ma nic do oglądania – odzywa się Birck. – Dlatego przełożyłeś urlop? Żeby móc tam pojechać?

– Tak.

– Wiesz, że to nie jest dobry pomysł.

Znow zapada cisza. W telewizji lecą reklamy, podniecony męski głos oznajmia, że gdzieś można kupić komplet mebli ogrodowych za jedyne trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć koron. Od upału zaczyna mi się kręcić w głowie, mrugam oczami.

– Chciałeś coś ode mnie? – pyta Birck.

– Chciałem cię o coś poprosić. A właściwie o dwie rzeczy. Przede wszystkim nie mów nic Morovi.

– To zależy, co planujesz.

– Gabriel – proszę go.

– Co mam powiedzieć, kiedy mnie spyta?

– Wie, że mam urlop, ale nie chcę, żeby wiedziała, że tu jestem.

Birck wzdycha.

– W porządku.

– A poza tym... – Milknę, zamykam na chwilę oczy. – Poza tym chciałbym, żebyś załatwił Grimowi ładowarkę do komórki. Dam ci pieniądze...

– Co? – Birck jest autentycznie zaskoczony. – Leo, do diabła...

– Zaczekaj. Chciałbym, żebyś go poprosił, żeby w zamian za tę ładowarkę opowiedział ci o wizycie Levina w szpitalu. Podejrzewam, że regularnie tam kogoś odwiedzał, kobietę. Marikę Alderin.

Birck milczy dłuższą chwilę.

– Mam się z nim targować?

– Tak teraz wyglądają nasze relacje.

– Próbował cię zabić. Próbował też zabić Sam.

- Wiem.
- Więc jak...
- Wiem, okej? To chore, ale chcę wiedzieć.
- Kretyn ma komórkę. Zadzwoń do niego.
- To nie jest rozmowa na komórkę.

Birck wzdycha po raz kolejny. Mam przed oczami jego twarz, jego zmęczone oczy. Coś szeleści, wyrywa kartkę z notesu, słyszę pstryknięcie długopisu, raz, po chwili drugi.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Marika Alderin – mówię i zaczynam literować. – Nie jestem pewien, czy to ją odwiedzał, ale podejrzewam, że tak. Nie podawaj mu od razu jej nazwiska, bo wtedy natychmiast to potwierdzi, niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie. Niech sam ci je poda.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Spróbuj coś wymyślić.

– Nie zamierzam improwizować, rozmawiając z Johnem Grimbergiem – oświadcza Birck i nie mogę mieć mu tego za złe.

Znów słyszę pstryknięcie długopisu. Pewnie nim obraca, bo po chwili klnie. Słyszę, jak długopis spada na podłogę.

– Kim jest ta kobieta? – pyta.

– Córką Levina.

Przeciągające się sekundy ciszy.

– No nie...

– Tak.

– Wiedziałeś o tym? Że miał córkę?

– Nie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Znaleźli jej zdjęcie, tak się dowiedziałem. To, że utrzymywał to w tajemnicy, a na to wygląda, musi coś znaczyć.

– Brzmi sensownie. Rozumiem.

Podaję mu markę i model ładowarki. Nic nie mówi, ale słyszę, że notuje. Skrobanie długopisu o papier sprawia, że zaczynam tęsknić za domem.

Kit wskakuje na stół, stąpa po zdjęciach z miejsca zbrodni, przygląda im się, jakby kryły jakąś tajemnicę.

– Udanego świętowania – mówi Birck.

We wspomnieniach czuję się starszy, niż jestem teraz. Jak przez mgłę widzę, jak późną jesienią, wiele lat temu, zaczynam pracować w wydziale zabójstw. Właśnie tam spotykam Levina. Przydzielono mi biurko w kącie dużego pokoju, siedzę tam zagubiony, kiedy nagle staje przede mną: wysoki, chudy, już wtedy z ogoloną głową, w okularach w czarnych oprawkach na orlim nosie, tuż nad wąskimi ustami.

– Nasz nowy nabytek – mówi. Wyjmuje rękę z kieszeni i uśmiecha się szeroko. – Charles Levin.

– Leo Junker.

– Nie spotkaliśmy się podczas rekrutacji. Zwykle trzymam się z dala. Przynajmniej formalnie.

Rozgląda się, zauważa krzesło przy jednym z biurek, siada na nim, zakłada nogę na nogę.

– Przychodzisz z wydziału do spraw broni, tak?

– Tak.

– A wcześniej gdzie byłeś?

– W narkotykach. Kilka miesięcy, po stażu w wydziale porządku publicznego.

– Podobało ci się?

– W porządku publicznym? Niespecjalnie.

Śmieje się.

– Mnie w swoim czasie się podobało. Byłem w pierwszym okręgu, pełniłem obowiązki kierownika. Tak to się wtedy nazywało.

Już w samej jego obecności – czuję to wyraźnie – jest coś niezwykłego. Jakby cały pokój żył jego rytmem. Gdyby chciał, mógłby nagle zniknąć albo pojawić się w światłach reflektorów.

– Ile masz lat, Leo?

– Dwadzieścia osiem.

– A ja ponad sześćdziesiąt – mówi zamyślony. – Jestem stary, bo to chyba dużo, prawda?

– Na pewno więcej niż dwadzieścia osiem.

Znów się śmieje, głośno, gwałtownie.

– To prawda. Nie da się ukryć, że czuję zapach papierosów. Jakie palisz?

– Chesterfieldy.

Unosi brwi.

– Naprawdę?

Wyciągam paczkę z kieszeni i pokazuję mu.

– Mój dawny szef też palił chesterfieldy – mówi, przyglądając się paczce.

– Oficjalnie nie palę, bo nie jest dobrze widziane, żeby ludzie na kierowniczych stanowiskach w policji palili. Mówi się, że powinniśmy dawać przykład, a palenie w tym przeszkadza. Kompromitowałoby nas. Cokolwiek to znaczy.

Otwieram paczkę, wydaję papierosa, podaję mu, ukrywając go w dłoni.

– Przypomniał mi się kawał, który opowiadał mój były szef – mówi Levin, kiedy jakiś czas później stoimy za rogiem, drząc z zimna, każdy z papierosem w ręku.

– Mów.

– Nie jest szczególnie zabawny.

– Teraz już musisz mi opowiedzieć.

Zaciągam się po raz ostatni.

– Wiesz, kim był Erich Honecker?

– Politykiem? Z dawnego NRD?

– Był enerdowskim przywódcą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. No więc pewnego ranka Honecker stoi na balkonie i ćwiczy, i nagle słyszy, że odzywa się do niego słońce: Dzień dobry, panie Honecker! Opowiada o tym towarzyszą z partii. Podczas przerwy na obiad zaprasza kilku z nich do domu. Wszyscy zbierają się na balkonie i słyszą, jak słońce mówi: Dzień dobry, panie Honecker! Są bardzo zdziwieni. Zaczynają rozmawiać o cudzie, którego przed chwilą byli świadkami. Honecker wraca wieczorem do domu i widzi, jak słońce chowa się za horyzontem. Tym razem jednak milczy jak głaz. Słońce! – woła Honecker. – Rano powiedziałeś mi dzień dobry, w południe też, dlaczego teraz milczysz? Po chwili rozlega się drwiący śmiech: Pocałuj mnie w dupę, Honecker. Teraz już jestem na zachodzie.

Levin milknie i patrzy na mnie.

– To wtedy było zabawne? – pytam.

– Niektórych to śmieszyło, na przykład mojego szefa.

– Chyba nie miał wielu przyjaciół?

– Ależ miał. Ale nie dzięki poczuciu humoru.

Kiedy wracamy do komendy, Levin pyta, czy może mi opowiedzieć jeszcze jeden kawał.

– Tym razem krótszy – mówi.

– Chyba nie mam wyboru.

– No więc są trzy rodzaje ludzi: ci, którzy opowiadają dowcipy, ci, którzy je spisują, i ci, którzy pracują w Säpo i spisują tych, którzy sobie dowcipkują.

Siadam na krześle w sali konferencyjnej, ocieram pot z czoła i zaczynam się zastanawiać, ile czasu minie, zanim się zorientują, że nie jestem z Policji Krajowej. Prawdę mówiąc, popełniam poważne przestępstwo.

Na korytarzu ktoś gwałtownie kicha. Po chwili do sali wchodzi tęgi mężczyzna: najpierw widzę jego brzuch, potem rękę z chusteczką. Wyciera nos, dotyka spoconego czoła.

– Leo Junker. – Wstaję. – Jestem ze Sztokholmu.

– Ola Davidsson – mamrocze. Nagle jego wzrok pada na coś za mną. – Co, do diabła?

Kot właśnie zaczął się dobierać do jednej z zamkniętych torebek. Czerwienię się.

– Musiałem wziąć go ze sobą. – Zdejmuję kota ze stołu, podchodzę do drzwi, zamykam je. – Inaczej nie mógłbym przyjechać tak szybko.

– Jak się nazywa?

– Kit.

– Jak samochód z Knight Rider?

– Tak. Albo jak Kit, z KitKat. Jak kto woli.

Davidsson pochyla się, opiera dłonie na kolanach, a z jego ust wydobywa się coś, co przypomina śmiech.

– Cześć, Kit.

Kot przygląda mu się bez zainteresowania. Nagle ociera się o jego grube łydki, a on zaczyna rechotać. Prostuje się i macha ręką.

– Usiądź.

Siadamy na krzesłach.

– Rozumiem, że Midsommar nie jest twoim ulubionym świętem. Skoro zgodziłeś się przyjechać już dzisiaj.

– Nie mam powodów do świętowania.

– Jak będziesz miał dosyć sprawozdań, przyjdź na stadion. Tam się wszyscy spotykamy. – Wyjmuje z kieszeni pudełeczko tic taców, wytrząsa cztery pastylki i kładzie je na języku. – Mówię w s z y s c y, bo nie ma nas znów tak wielu. Jestem ja, Tove, którą już poznałeś, i jeszcze kilku chłopaków, którzy odpowiadają za porządek. Poprosiliśmy o wsparcie, o piętnastu ludzi z okolicy. Wspólnie będziemy prowadzić dochodzenie. Teraz pewnie już ich nie ma, rozjechali się do domów. To najgorsza pora roku na takie rzeczy, jeszcze gorsza niż Wigilia i Nowy Rok.

– Tak – mówię, spoglądając na wiszącą na ścianie białą tablicę. – Wiem –

dodaje. – Jak myślicie, co on tu robił?

– Levin? Na razie nic nie wiemy. Pewnie pracował nad różnymi sprawami.

– Sprawami? Jakimi?

Davidsson wygląda na zdziwionego, po raz pierwszy wyczuwam w nim policjanta.

– Nad różnymi nierozwiązanymi dochodzeniami. Tove nic nie wspominała?

– Nie.

Davidsson marszczy brwi, odkasłuje. Kicha. I znów kaszle.

Pochyla się nad stołem, szuka czegoś w papierach porzucanych chaotycznie na stole, a może jednak nie tak chaotycznie, bo już po chwili wyciąga jakiś zeszyt.

– Są tutaj. Były w segregatorach, na samym spodzie kartonu z książkami i zdjęciami.

Przerzucam dokumenty. Policyjne sprawozdania, stare sprawy: morderstwo z użyciem noża na przedmieściu w 1997 roku, gwałt w Enskede w 2001, usiłowanie zabójstwa w centrum w 2005 i morderstwo na John Ericssonsgata na Kungsholmen w 2010. Pamiętam jedynie ostatnią sprawę, pracowałem wtedy w wydziale zabójstw. Levin był moim szefem.

– To usiłowanie zabójstwa w centrum... – mówię.

Davidsson usiłuje coś zapisać w komórce.

– Gdzie jest reszta dokumentów? To tylko notatki.

– No właśnie – stwierdza Davidsson i podnosi głowę. – I to jest dziwne. Nic więcej nie ma.

– Zbrodnie, które nigdy nie zostały wyjaśnione. Nad nimi pracował?

– Możliwe. Prawdę mówiąc, nie wiemy, czym dokładnie się zajmował. Mamy nadzieję, że właśnie to pomożecie nam wyjaśnić.

Odkładam papiery, przypominam sobie pamiętniki Levina. Chciałbym się dowiedzieć, co w nich jest.

– Oczywiście – mamroczę pod nosem. – Nie wiem, dlaczego nic mi nie powiedziała. Wasza koleżanka.

– Coś z nią nie tak. Z Waltersson.

– Słucham?

– Ma problemy.

– Jak się nazywa?

– Waltersson. – Davidsson unosi brwi, krzyżuje ręce na piersi. – A o co chodzi?

Robię wszystko, żeby uspokoić ręce.

– Znam to nazwisko.

– Pochodzi stąd. Jej matka mieszka tu, w Bruket. Tak mi się przynajmniej wydaje. O ojcu nic nie wiem. Poza tym, że pracował w hucie, a potem, kiedy ją

zlikwidowano, zniknął. No i chyba miała brata...

– Markusa.

– Markus – ciągnie Davidsson. – Był policjantem. Tak jak ona. Dziwne, że rodzeństwo wybiera ten sam zawód, prawda?

– Zginął – mówię cicho.

– Pracował w Sztokholmie. Został zastrzelony przez kolegę, na Gotlandii.

Wstaję i podchodzę do okna. Ściany zaczynają mnie przytłaczać, żeby nie upaść, muszę się chwycić stołu.

Wiedziałem, że miał siostrę. A może nie?

Ręce mi drżą, wydaję opakowanie halcionu. Została jedna tabletki. Jedna. Szlag.

Maj, rok temu. Stoję w porcie w Visby. Na wodzie w ciemnościach płynie łódź z, jak zakładamy, ładunkiem broni, która tam, w porcie, ma zmienić właściciela. Coś idzie nie tak. Mrugam oczami. W ciemnościach, z bronią w ręku, zbliżam się do szczeliny między dwoma kontenerami. A on tam leży, Markus Waltersson, i wykrwawia się na śmierć.

– To wszystko? – pyta Davidsson za moimi plecami.

Nie wie, że to byłem ja. Nie zna mnie, mimo że prasa rozpisywała się o tej sprawie jeszcze przez kilka tygodni po śmierci Markusa Walterssona. Może tak po prostu jest? Może tylko mi się wydaje, że wszyscy mi się przyglądają, że wciąż mówią o mnie za moimi plecami?

– Tak. To wszystko.

– Udanego świętowania – mówi Davidsson, wstaje i wychodzi.

marzec 1971

Pierwszego marca 1971 roku Charles Levin i Eva spotkali się po raz drugi. Zadzwoił pod numer, który mu zapisała. Zanim to zrobił, stał długo w budce telefonicznej w centrum kongresowym i wpatrywał się w kartkę z nierównymi, kanciastymi cyframi, napisanymi przez kogoś, kto w szkole najwyraźniej zajmował się ciekawszymi rzeczami niż odrabianie lekcji.

Uderzyło go, że kiedy odebrała, wcale nie wydawała się zdziwiona. Może kobiety takie jak ona już w wieku dwudziestu jeden lat przestają się dziwić mężczyznom.

– Zamierzasz iść na wagary?

To było jedyne pytanie, jakie mu zadała, a on czuł, że pałą go policzki.

Pamiętał jej głos. Jej osiemnaście pięćdziesiąt brzmiało tak grzesznie, że młodzi chłopcy rumienili się, wracali do domów, myli uszy i biegli z powrotem, żeby znów ją usłyszeć.

– Tak – powiedział. – Pozwolę sobie na wagary.

– A kiedy ostatnio sobie na to pozwoliłeś?

– Nie pamiętam – powiedział. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem powód – dodał.

W słuchawce zapadła cisza. Doszedł do wniosku, że może powiedział za dużo.

– No to do zobaczenia – usłyszał po chwili.

Podczas przerwy na kawę wymknął się z konferencji. Wziął samochód i po raz pierwszy miał okazję zobaczyć miasteczko w dziennym świetle. Na horyzoncie wznosiły się wysokie kominy, białoszary słup dymu sięgał nieba.

Parking na rynku był niewielki, zostawił tam samochód i ruszył do sklepu, który mieścił się w starym ciemnobrązowym drewnianym domu. W środku stało kilka wózków na zakupy, obok kasy. Drzwi się otworzyły i wyszła Eva. Uśmiechnęła się do niego.

– Dokąd chcesz iść? – spytała.

Rozejrzał się.

– A jaki mamy wybór?

Roześmiała się, poprawiła niesforny kosmyk włosów.

– Dobre pytanie. Kawalek stąd jest mała cukiernia. Nawet miła, jeśli komuś nie przeszkadza przypalona kawa.

– Jestem policjantem. Przywykłem.

Często go o to pytano. O to, jak to jest być policjantem. A on to wykorzystywał, nie on jeden zresztą – jego koledzy też to robili, w knajpach i klubach przy Birger Jarlsgatan. Działo.

Ale Eva go o to nie spytała. Chciała natomiast wiedzieć, jakiej słucha muzyki, czy pije kawę z cukrem, czy bez, czy na ścianach w jego mieszkaniu wiszą obrazy, czy zdjęcia, kiedy się zakochał po raz pierwszy, czy jest jedynakiem, czy może ma rodzeństwo, czy należy do tego rodzaju ludzi, którzy mają w mieszkaniach dywany.

– Do tego rodzaju ludzi? – powtórzył, popijając przypaloną kawę. – Co masz na myśli?

– To, czy mamy w domu dywany, czy nie, dużo o nas mówi. Pewien rodzaj ludzi ma w domu dywany.

– I co to za ludzie?

Spuściła wzrok, szukała właściwych słów.

– To ci uporządkowani. Zawsze porządni, pozbierani, zawsze prosto od fryzjera. Jeśli kogoś stać na kupno dywanu, stać go też na inne rzeczy. Podejrzewam, że to właśnie tacy ludzie kupują obuwie ortopedyczne.

Użyła określenia ortopedyczne, jakby to było coś należącego do obcej kultury.

– Nie mam dywanów – powiedział Charles.

– Tak podejrzewałam. – Uśmiechnęła się. – Ja też nie mam.

Zapadł zmrok, kolory wokół nich się zmieniły. Mieszkała przy Alvavägen, pięć minut samochodem od niewielkiego centrum. Nie miała samochodu, jeździła na rowerze albo chodziła piechotą, nawet zimą. Więc pojechali jego samochodem.

Zatrzymał się przy niskim jasnym płocie. Za nim wiała się ścieżka z kamiennych płyt, prowadząca do schodów i drzwi. Powiedziała mu, że kupiła dom rok temu. Kiedy skończyła szkołę, postanowiła, że będzie oszczędzać, żeby kupić dom.

Spytała, czy napije się z nią wina. Ruchem głowy wskazał na kuchenne okno ze szprosami, a potem na samochód.

– Prowadzę.

– Dzisiaj?

Roześmiała się, a jego zalała fala ciepła.

Usiedli na kanapie przed telewizorem, Eva podkuliła nogi i poprawiła kosmyk włosów. Po raz kolejny tego dnia żałował, że nie liczył, ile razy to zrobiła. Miałby potem co wspominać.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby się stąd wyprowadzić? – spytał.

Nie myślała.

– Tutaj dorastałam. Dobrze się tu czuję, mam wszystko, czego mi trzeba.

No... prawie wszystko – poprawiła się.

Wypił łyk wina, było ciężkie, czerwone.

– To tutaj normalne? – spytał. – To znaczy... że ludzie tu zostają.

– Myślę, że tak. Nie wiem. A dlaczego mieliby nie zostawać?

Wyciągnęła rękę, dotknęła jego przedramienia, przeciągnęła delikatnie paznokciami po skórze. Zauważył, że stają mu włoski na rękę, a ona zauważyła, że on to zauważył.

Kiedy ją pocałował, odpowiedziała gwałtownie, zachłannie. Czekwała na niego.

marzec 1984

Wschodnioniemiecka ambasada mieści się w Lärkstaden, przy Bragevägen, w cichej okolicy między Karlavägen a Valhallavägen. Jest jedną z tych ambasad, które nigdy nie zasypiają, zawsze ktoś tam czuwa, czeka. We wszystkich oknach palą się światła, za firankami przesuwają się cienie, ulicą suną samochody, niezależnie od pory dnia.

Poczucie obcości. Niewiele trzeba, żeby je poczuć.

– To niebezpieczne – stwierdza Charles. Kiedy mijają budynek ambasady, czuje, że zapada się głębiej w fotel.

– Wiem. Ale ma coś z nogą i nie może spacerować.

Samochód jest jak duch, chłodny, cichy mercedes z tablicami rejestracyjnymi wyszukany na tę okazję przez wydział. Cyfrowy zegarek na desce rozdzielczej pokazuje, że do północy zostały jeszcze dwie godziny.

Niewielkie skrzyżowanie w kształcie litery T, w miejscu, gdzie Engelbrekts kyrkogata spotyka się z Östermalmsgatan. Paul zatrzymuje samochód, ale nie wyłącza silnika i cały czas bacznie obserwuje okolicę we wstecznym lusterku. Charles pozwala myślom płynąć. Nie zajmuje się sprawą, zastanawia się, jak długo opiekunka do dziecka wytrzyma tym razem.

– Halo? – mówi do niego Paul. – Ogłuchłeś?

– Ja... nie. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że słyszałem, że hucie grozi zamknięcie.

– Hucie szkła?

– Tak. W dalszej perspektywie może to zagrozić istnieniu całego miasteczka. Nie będą w stanie sprostać konkurencji. Dzisiaj wszystko jest ze sobą powiązane, każdy tkwi w tej samej sieci, tylko w innym jej miejscu. – Milczy chwilę. – Kiedy tam byłś ostatni raz?

– W Bruket? Nie byłem tam od czasu naszego wyjazdu.

– Może poczułbyś się lepiej, gdybyś tam czasem pojechał?

Charles wygląda przez okno. Mija ich samotny biegacz, w świetle latarni wydaje się pomarańczowy. Biegnie i rozchlapuje błoto.

– Nie chcę o tym rozmawiać – stwierdza Charles.

– Muszę móc ci ufać, muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć.

- Czy kiedykolwiek dałem ci powód, żebyś w to wątpił?
- Jeszcze nie. Znam cię już ponad trzy lata. To...
- Przestań.
- To cię zżera. Codziennie...
- Przestań – mówi Charles nieco głośniej.
- Z każdym dniem jest gorzej.

Charles odwraca się do Paula, próbuje rozluźnić mięśnie szczęki, ale nie bardzo mu to wychodzi.

- Zamknij się.
- Nie zamierzam...

Powinien był odpiąć pas. Czujnik odbiera jego gwałtowny ruch jak nagłe hamowanie i cios trafia obok. Paul jęczy i kaszle.

- Trafiłeś mnie w szyję, kretynie.

Charles opiera głowę o fotel, czuje pulsowanie krwi. Paul masuje szyję. Dyszą w nierównym rytmie.

Na ulicy pojawia się utykający mężczyzna, podpira się cienką laską.

- Idzie – mówi Charles.

Paul otwiera usta, próbuje coś powiedzieć.

- Bolało jak cholera. Jak brzmię?
- Jakbyś był przeziębiony.
- Może być.

Paul się prostuje i we wstecznym lusterku śledzi wzrokiem zbliżającą się postać. Kiedy mężczyzna jest zaledwie kilka kroków od nich, przekręca kluczyk i uruchamia silnik. Mruczy cicho i przyjemnie.

Drzwi za nim się otwierają, w kabinie zapala się światło. Do środka wpada wieczór, wilgotny i zimny, a z nim wsiada mężczyzna i ostrożnie kładzie na siedzeniu laskę.

– *Good Evening, Mister Kraus* – mówi Paul.

– *Mister Goffman. It's good to see you again* – odpowiada Kraus.

Jest rezydentem wybranym po drugiej stronie muru przez enerdowski wywiad, HVA. Ambasada NRD funkcjonuje pod nazwą Rezydentura 227 i tak naprawdę jest jedynie zasłoną dymną. W rzeczywistości jest centralą wywiadowczą dysponującą możliwościami placówki dyplomatycznej, a za jej działalność odpowiada rezydent. Ambasador jest jedynie jej twarzą na zewnątrz. Od trzech lat rezydentem jest Johann Kraus. W tym czasie dość chimeryczny starszy pan zdążył obrosnąć legendą, którą można niemal porównać z legendą jego szefa, samego Markusa Miszy Wolfa.

Na ścianach w pokoju Krausa wiszą oprawione fotografie: Kraus stoi tuż za ministrem sprawiedliwości Stenem Wickbomem, witającym się z ambasadorem. Obaj się uśmiechają, Kraus zachowuje kamienną twarz. Inne zdjęcie: Kraus i Gunnar Fredriksson, redaktor działu politycznego socjaldemokratycznej popołudniówki „Aftonbladet”, jedzą kolację w Operakällaren. Kraus uśmiecha się szeroko, wyraźnie zadowolony, podczas gdy Fredriksson jest zdenerwowany, jakby podejrzewał, że zdjęcie trafi na Kreml. I kolejne: Kraus siedzi w wygodnym fotelu obok dyrektora teatru Dramaten. Najwyraźniej za chwilę rozpocznie się przedstawienie. I jeszcze jedno: Kraus i ambasador z wizytą w kancelarii rządu. Kraus trzyma w jednej ręce teczkę, w drugiej filiżankę z kawą. Stoją obok gabinetu Palmego, w tle widać drzwi, są uchylone.

To raczej trofea niż pamiątki.

– *Mister Levin* – mówi Kraus. – *It's nice to see you too.*

– *Thank you. Yes.*

– Co z twoją nogą? – pyta Paul.

– Coraz lepiej. – Kraus kładzie dłoń na rączce laski i wygląda przez okno.

– Szwedzka służba zdrowia jest niemal tak samo godna zaufania jak niemiecka.

– Kiedy w kabinie gaśnie światło, marszczy brwi. – Ma pan czerwoną szyję, panie Goffman.

– To egzema – odpowiada Paul i skręca w Östermalmsgatan. – Kiedy jest zimno, zawsze mnie wysypuje.

Jedziemy Karlavägen w stronę Birger Jarlsgatan, cicho, spokojnie, bez żadnego planu, bez celu.

Kraus wygląda przez okno. Można by pomyśleć, że widzi miasto po raz pierwszy. Spod czarnego kapelusza widać elegancko przystrzyżone gęste,

przyprószone siwizną włosy. Zza grubych szkieł okularów widać jego oczy, ciemne jak dwie głębokie studnie. Mówi po niemiecku, po szwedzku, po angielsku i po rosyjsku, ale zdecydowanie preferuje angielski, chłodny i powściągliwy język kapitalistów i burżuazji. Pozwala mu trzymać emocje na wodzy i kontrolować myśli.

Słyszy wszystko, wszystko widzi i jest w takim wieku, że nic już nie jest w stanie go zadziwić. Pracuje w Stasi, jest całkowicie oddany służbie. Pracuje dla nich od zawsze.

– Jadłem wczoraj lunch z jednym z waszych ministrów – mówi. – Nie zgadniecie, o czym rozmawialiśmy.

– O pieniądzach? – próbuje Paul.

Kraus się śmieje.

– To banalne. Nie, o moralności. Słyszałem, jak kiedyś ktoś, nie pamiętam już, kto to był, powiedział, że moralność ma odbicie w metodach, które wybieramy, żeby osiągnąć cel. Zgadzacie się z tym? – Milczenie. – Pewnie nie. Przypuszczam, że podobnie jak ów minister uważacie, że moralność wyraża się raczej w celu. Mam rację? Tyle że czasem trudno powiedzieć, co jest naszym celem. Szczególnie kiedy się jest Szwedem.

Mijają Roslagstull i Sveaplan, jadą wąskimi uliczkami w stronę Odenplan. Zwykle tego rodzaju spotkania nie odbywają się w ten sposób, twarzą w twarz, w samochodzie snującym się po centrum miasta. W większości przypadków wymienia się informacje, pieniądze albo towary, unikając spotkań z osobami zainteresowanymi. Charles, Paul i inni działający w tej branży zwykle starają się nie rzucać w oczy, ale pilna sprawa zmienia reguły.

– To wbrew wszelkim zasadom – mówi Kraus. – Właściwie to mi się to podoba! – Śmieje się. – Dwóch skorumpowanych szwedzkich policjantów ze służb bezpieczeństwa i prosty urzędnik ambasady. To jakby powiedzieć *fuck you* zachodniemu imperializmowi i szwedzkiej neutralności.

– Nikt nas nie wiedział? – pyta Charles.

– Zakładam, że nie. Bardzo starannie wybrałem miejsce i czas – mówi Kraus i wychyla się do przodu. – Przejdźmy do rzeczy. Jeśli dobrze zrozumiałem, jest jakiś problem z dostawą.

– Tak – potwierdza Paul. – Ale zlokalizowaliśmy ją.

– Przejęliście towar?

– Wiemy, gdzie jest, i mamy pewność, że nie zniknie.

– Macie pewność?

– Współpracujecie z kryminalistami – mówi Charles. – Powinniście nas o tym informować. To zwiększa ryzyko. O ile tym razem – ciągnie, mimo że Paul daje mu do zrozumienia, że powinien milczeć – nie zamierzaliście rozwiązać problemu po swoim.

– Chyba nie rozumiem, co masz na myśli – mówi Kraus.

– A ja mam wrażenie, że rozumiesz.

Kraus i jego przyjaciele najwyraźniej zamierzali ich wystawić do wiatru, skorzystać z innych, tańszych pośredników. Takich jak Savolainen i Öberg. Tańszych, bo mają znacznie mniej do stracenia.

Kraus poprawia okulary, wzdycha i wyraźnie zastanawia się, co powiedzieć.

Po drugiej stronie muru nie nadążają za rozwojem, wszyscy to wiedzą. Ludzie opowiadają sobie nawet o tym dowcipy: jak kromka chleba z masłem może zastąpić kompas? Wystarczy położyć ją na murze. Strona, która natychmiast zostanie nadgryziona, wskaże wschód. Albo: skąd wiadomo, że Stasi nas podsłuchuje? To proste: nagle w domu pojawia się mrucząca szafa, a na ulicy dziesięcioletni samochód z przyczepą, na której stoi generator prądu. Jeśli chodzi o technikę i elektronikę, zarówno Stany Zjednoczone, jak i Szwecja i wszystkie inne kraje po tej stronie muru stoją bez porównania wyżej. Macie więcej pieniędzy i większe możliwości. Kraje Europy Wschodniej próbują ukrywać swoje problemy, ale nikt im już nie wierzy.

– Nie chcemy – mówi Kraus z naciskiem, dyskretnym, ale jednak. – Nie chcemy narażać na szwank ani naszych relacji, ani dostawy.

– Więc rozumiecie, że musimy pewne rzeczy ponownie przedyskutować – mówi Charles, kiedy Paul zatrzymuje się na czerwonym świetle przy Odenplan.

Wieża pobliskiego kościoła wznosi się ku niebu, ostra i surowa, przypomina strzałę.

– Tego się obawiałem – mówi Kraus.

– Trzydzieści procent zamiast piętnastu.

– Niemożliwe. Dwadzieścia.

– Dwadzieścia pięć – mówi Charles.

Na sąsiednim pasie zatrzymuje się saab. Z tyłu, w dziecięcym foteliku, siedzi maleństwo. Ma okrągłą buzię, a na główce brązową, może bordową czapkę. Uśmiecha się do Krausa, a on podnosi rękę i macha. Uśmiecha się.

– Dobrze – mówi. – Dwadzieścia pięć.

Dwadzieścia pięć procent. Po dwa miliony dla każdego.

Światło zmienia się na zielone. Saab rusza w stronę Sveavägen, mercedes wyjeżdża na Odengatan, spokojnie, elegancko.

– Ale musicie mi dać trochę czasu – ciągnie Kraus. – Muszę przekonać Berlin. Zajmie mi to co najmniej miesiąc – mówi, jakby chciał uprzedzić pytanie.

– Może nawet więcej – dodaje.

– Czyli, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie inne okoliczności, które też musimy uwzględnić – mówi Charles – możemy być gotowi latem, a może dopiero na początku jesieni.

Wypowiedziane głośno słowa sprawiają, że nagle dostrzega, że sprawa jest

beznadziejna. To się nigdy nie skończy.

– To brzmi rozsądnie – kwituje Kraus. – Jak to widzicie?

– Jeśli chcemy, żeby zniknęły, to należy je przenieść. Rozdzielić poszczególne elementy, umieścić je w kilku, trzech, może czterech miejscach, i sprawić, żeby w drodze rozplynęły się w powietrzu.

– A co zrobicie, żeby takie zniknięcie uszło uwadze waszego szefa?

– To niemożliwe – stwierdza Paul. – Będziemy musieli kłamać.

– O ile jestem dobrze poinformowany, jest w takim stanie, że nie będzie to trudne. Podobno znów nałogowo pali – mówi Kraus.

– Tak – potwierdza Charles.

– Chesterfieldy?

– Zgadza się.

– Chesterfieldy to jedyna dobra rzecz pochodząca ze Stanów Zjednoczonych – mówi Kraus. – Poza bombą atomową.

Wracają do Lärkstaden na godzinę przed północą. Charles chce jechać do domu. Boi się, że opiekunka zasnęła albo się poddała i wyszła, zostawiając Marię samą w łóżku. Jeśli jej się przyśni jakiś koszmar, nie będzie przy niej nikogo.

– Nasz człowiek w Sztokholmie skontaktuje się z wami w odpowiednim momencie – mówi Kraus z ręką na klamce. – To może potrwać, ale kiedy dojdzie do spotkania, sugerowałbym, żebyście byli dla niego miłsi niż dzisiaj dla mnie.

– Na pewno – mówi Paul. – Bardzo mi przykro.

– Przepraszam, ale czy to miała być groźba? – pyta Charles.

Kraus uśmiecha się i otwiera drzwi.

– Jesteśmy socjalistami, nie bandytami – mówi i stuka łaską w asfalt. – Dobranoc panom.

Powinien zmienić opiekunkę. Kiedy na niego patrzy, zawsze czuje, że daje mu do zrozumienia, że powinien spędzać z córką więcej czasu. Podejrzewa, że w poprzednim miejscu też szybko jej podziękowali. Dziewczyna ma na imię Pauline, ma dziewiętnaście lat i kiedy przychodzi, zawsze ma ze sobą grubą książkę. Czyta, kiedy Marika zajmuje się czymś sama.

Kiedy staje w drzwiach, Pauline siedzi na krześle w holu, w ręce trzyma kurtkę, buty ma już na nogach.

– Śpi?

– Tak – mówi i wstaje. – Nie dałam rady pozmywać.

– Nie szkodzi.

I wtedy patrzy na niego tym swoim pełnym wyrzutu wzrokiem. Charles sięga po portfel, odlicza szybko banknoty, żeby nie musieć na nie patrzeć.

– Nie było żadnych problemów?

– Nie do końca.

– Tak? A co się stało?

Pauline wkłada kurtkę: najpierw jeden rękaw, potem drugi, powoli, jakby specjalnie wszystko przeciągała. To taka kara. Ma ochotę pchnąć ją na ścianę.

– Zachowała się agresywnie wobec kolegi z klasy.

– Dlaczego?

– Jak to: dlaczego?

– Marika nie jest złym dzieckiem. Jeśli zachowała się agresywnie, ktoś musiał jej coś zrobić.

Pauline wzdycha.

– Jasne. Ale nauczycielka twierdzi, że nie została sprowokowana.

– Co to za kolega?

– Patrik.

Charles szuka w pamięci.

– Czy on rozrabia? – pyta z banknotami w ręce.

– Nie. – Pauline bierze pieniądze. – Nie rozrabia. – Spogląda w lustro, poprawia włosy. – Na stole w kuchni leży kartka.

– Jaka kartka?

– Ze szkoły. Groziła mu nożem – mówi.

Po chwili wychodzi.

Dwunastoletnia dziewczynka powinna móc zostawać w domu sama, bez opiekunki, ale Charles rzadko bywa w domu, a kiedy Marika zostaje sama, nie je,

nie myje się, nie sprząta. Nie słucha żadnych poleceń, chyba że wie, że ktoś ją kontroluje. Zawsze tak było. Matka przekazała córce swoje ciemne strony.

Charles uchyla drzwi do pokoju córki. Marika leży na plecach z rękami rozłożonymi na boki, z na wpół otwartymi ustami.

W kuchni lampa rzuca łagodne światło na stół, na stojące na nim dwa brudne talerze. Kielbasa. Znów. Czy to jedyne, co Pauline potrafi przyrządzić? Naprawdę powinien ją zwolnić.

Początkowo podejrzewał, że jest szpiegiem, mimo że zanim ją zatrudnił, dokładnie ją sprawdził. Teraz w to wątpi. Nie jest wystarczająco inteligentna. Brak inteligencji nadrabia moralnością i poczuciem sprawiedliwości. Nie są to cechy charakteryzujące agentkę wywiadu.

Na stole między talerzami leży kartka ze szkoły, z jakiegoś powodu zatytułowana: PRZEBIEG ZDARZEŃ, 1984.03.01. Dyrektor szkoły Roland Rasmussen informuje go, że Marika Levin w czasie przerwy śniadaniowej najpierw zaczęła grozić, a potem usiłowała zrobić krzywdę koleżdze z klasy, Patrikowi Olssonowi, używając do tego celu noża. Do incydentu doszło w kolejce do stołówki, na szczęście niebezpieczeństwo szybko zażegnano. Patrik zrobił unik, a Marika szybko się uspokoila.

Przebieg zdarzeń. Jakby to pisał policjant.

Charles składa kartkę, zostawia na stole brudne talerze. Zaletą Pauline jest to, że zawsze robi to, co powinno zostać zrobione, nawet jeśli nie ma na to ochoty. Jeśli w mieszkaniu jest brudno, to sprząta. Jeśli zaczyna brakować czystych talerzy albo sztućców, zmywa. Wynosi też śmieci, kiedy zaczynają cuchnąć.

Charles wchodzi do salonu, nalewa sobie szklaneczkę whisky bez lodu, staje w oknie i wpatruje się w akademik po drugiej stronie ulicy.

Marika lubi czytać, półki w jej pokoju uginają się pod ciężarem książek. Ostatnio zaczęła palić. Zauważył, że podkrada mu papierosy. W ostatnim czasie kilka razy zdarzyło się, że po powrocie do domu czuł, że rękawy jej kurtki cuchną papierosowym dymem. Rano jest zmęczona, poza tym nosi dżinsy, nigdy nie wkłada spódnicy ani sukienki.

To właściwie wszystko, co wie o swojej córce. Nie wiedział, że bywa agresywna. Jeśli ta historia jest prawdziwa. Wmawia sobie, że ma wątpliwości, że nie wierzy, żeby mogła się zachować w ten sposób.

Wyjmuje kartkę z kieszeni spodni. Na samym dole Roland Rasmussen podał numer telefonu rodziców Patrika Olssona, Pera i Agnety.

Charles krąży po mieszkaniu ze szklanką whisky w ręku. Wypija duży łyk, czuje, jak pali go w gardle. Przypomina sobie słowa, zdania, które kiedyś słyszał, co różni ludzie mu mówili, ma gonitwę myśli, słowa bez ładu i składu: Paul, Kraus, Eva, i znów Paul.

Showtime.

Czasem trudno powiedzieć, co jest celem. Szczególnie kiedy się jest Szwedem.

Masz w mieszkaniu dywany?

Zatrzymuje się, patrzy na swoją rękę. Trzyma w niej komórkę, zaczął już nawet wybierać numer, kiedy nagle uświadamia sobie, że już prawie północ. Per i Agneta pewnie już śpią, on też powinien się położyć.

Opróżnia szklanę. Zaczyna mu się kręcić w głowie, za oknem błyszczy i migocze świat.

marzec 1971

Zawsze słyszał, że porywa się na różne rzeczy bez chwili zastanowienia. Kiedy dorastał na ulicach Söder, jego rodzice próbowali to w nim zwalczyć.

Ojciec mawiał, że kiedy wracał z pracy i okazywało się, że syn nie przyniósł ze szkoły żadnej uwagi, żadnej wiadomości o kolejnej katastrofie, której był sprawcą, mógł wypić jedno piwo mniej. Pił, jak twierdził, żeby ukoić zszargane nerwy.

Charles nie wiedział, czy rzeczywiście tak było, ale pewnie tak. Jeśli przez jakiś czas nic się nie działo, wmawiał sobie, że nareszcie dojrzał, wyrósł ze szczeniackich żartów, uspokoił się, ale dziwnym trafem właśnie wtedy zwykle znów coś się działo.

Tak było, kiedy miał dwanaście lat i pożyczył motorower Marka, nic mu o tym nie mówiąc, bo nagle przyszło mu do głowy, żeby pojechać przez most na Stare Miasto, do budki z najlepszymi lodami w Sztokholmie. Marka nie było w domu, a on uznał, że pewnie jest na randce z dziewczyną. A potem się okazało, że właśnie poszedł kupić nowe hamulce do motoroweru.

Przewrócił się. Skręcił nogę, złamał żebro, doznał wstrząśnienia mózgu, rozgrzany silnik poparzył mu prawą łydkę. A w wakacje musiał iść do pracy, żeby odkupić bratu motorower.

Może po prostu taki był: działał impulsywnie, bez namysłu.

* * *

Sztokholm. Kiedy wrócił do Sztokholmu, Mark był pierwszą osobą, której się zwierzył. Chociaż byli braćmi, jako dzieci odnosili się do siebie z dystansem. Może dlatego, że byli do siebie tak bardzo podobni. Jednak z wiekiem bardzo się do siebie zbliżyli. Mark wiedział o nim więcej niż ktokolwiek inny. Pracował już wtedy od roku w szpitalu Sabbatsberg. Od czasu do czasu spotykali się na dole w kawiarni i wypijali kawę. Była to jedyna forma kontaktów rodzinnych, na jaką Mark, świeżo upieczony lekarz, miał czas.

– Jesteś jakiś podniecony, braciszku – stwierdził natychmiast. – Co ci się tym razem przytrafiło?

Opowiedział mu o Evie, a on się roześmiał i spytał, czy ma o niej powiedzieć rodzicom. Charles też zaczął się śmiać, pokręcił głową i stwierdził, że chce jeszcze

zaczekać. Zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Chociaż raz podjąłeś rozsądną decyzję – przytaknął Mark. – Wiesz, jak to z nimi jest. Kiedy powiedziałem, że chcę studiować medycynę, od razu spytali, w jakim szpitalu zamierzam potem pracować. Jeśli powiesz, że poznałeś dziewczynę, natychmiast będą chcieli wiedzieć, kiedy razem zamieszkacie.

– Masz rację.

– Widzę, że naprawdę ją lubisz.

Nie mógł przestać o niej myśleć.

Na dworze padał deszcz.

– Niedługo znów się zobaczymy, braciszku – powiedział Mark, kiedy się żegnali. W przyпіływie czułości położył mu rękę na ramieniu. – Dbaj o siebie.

Charles postanowił przespacerować się do domu, mimo deszczu. Na placu budowy, który mijał, ktoś włączył wiertarkę. W tym mieście nigdy nie jest cicho, pomyślał. Zawsze coś zakłóca spokój. Gwar blokowisk, drżenie metra, spaliny unoszące się nad długimi ulicami, klaustrofobia, która go dopadała, gdy stał w korkach. W ciągu zaledwie kilku dni poczuł się bezpiecznie i swobodnie i teraz czuł się w mieście jak w zamknięciu.

Tak daleko od Evy.

Przypomniała mu się jej skóra, dotyk jej warg, jej podniecony oddech. Tamtej nocy żadne z nich nie mogło się nasycić. Odważył się zrobić z nią rzeczy, o których dotychczas jedynie marzył.

Powiedziała mu, że zawsze liczy swoje orgazmy. Od czasu kiedy była dziewczynką, dodała. Tak powiedziała, użyła słowa dziewczynka. Bo właśnie wtedy odkryła, do czego jej ciało jej zdolne. Przychodziło jej to naturalnie, jakby to było podświadome tykanie zegarka. Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że poczuł się niepokonany.

Leżał na łóżku w ciemności i wsłuchiwał się w jej oddech między słowami, czuł jej palce przy swoim pępku, a potem znów poczuł się twardy, jego ciało było gotowe. Chwycił ją, a ona zachichotała i roześmiała się głośno. Kiedy w nią wszedł, zaczęła drżeć, jęczeć, chwyciła go za ramiona.

Kiedy tamtego popołudnia wrócił do domu, położył się na kanapie i zamknął oczy. Widział przed sobą jej ciało i jej dom, zlewały się w jedno.

W holu zadzwonił telefon. Wstał i odebrał.

– Cześć, to ja – usłyszał jej głos.

Poczuł falę ciepła. Spytał, jak jej minął dzień, a ona odwróciła pytanie. Potem zapadła cisza.

– Trochę tu pusto bez ciebie – powiedziała. – Tęsknię za tobą.

Oparł się o ścianę. Dziwne uczucie. Takie same pytania słyszał wiele razy, wiele razy prowadził takie rozmowy: cała fizyczność zredukowana do głosu w słuchawce.

– Ja też za tobą tęsknię.
– Opisz mi swoje mieszkanie.
– Co?
– Wiesz, jak ja mieszkam. Na pewno pamiętasz, jak wygląda moja sypialnia
– powiedziała, chichocząc. – A ja nie wiem, jak ty mieszkasz.
– Przyjedź, to zobaczysz.
– Opowiedz mi – domagała się.
Rozejrzał się po holu, zobaczył swoje spojrzenie w lustrze, spuścił głowę
i zaczął się wpatrywać w podłogę.
– Na pewno nie mam dywanów.
Roześmiała się.
– Wspomniałeś, że masz mieszkanie – powiedziała. Zrozumiała, że musi mu
pomóc.

– Tak, dwa pokoje na czwartym piętrze na Kungsholmen.
– Gdzie jest Kungsholmen?
– W centrum, niedaleko ratusza i nowego budynku komendy.
– Chodzisz do pracy na piechotę?
– Tak. Albo jadę na rowerze.
– Jasne. Gdzie teraz jesteś?
– W domu.
– Ale gdzie w domu, głupku.
Głupku. Podobało mu się.
– Stoję w holu. Tu jest telefon.
– Masz tylko jeden?
– Nie, drugi mam w sypialni.
– Stoisz tuż przy drzwiach?
– Mniej więcej.
– Co widzi ktoś, kto wchodzi do twojego mieszkania?
Przeszedł do sypialni, zmienił aparat. Kiedy odłożył słuchawkę na widełki,
była ósma wieczorem, za oknem nad dachami domów zaległa już ciemność. Czuł,
że ma gorące ucho, a słuchawka w jego dłoni jest mokra od potu. Leżał na łóżku,
nagi i gorący. Miał wytrysk. Biały gęsty płyn wydawał się wypływać gdzieś z głębi
jego trzewi, spływał mu po brzuchu, po klatce piersiowej. Teraz, gdy zastygł,
sprawiał, że jego skóra była szorstka.

Tęsknił za Evą, ale również za Bruket. Jej głos przypominał mu zapach
niewielkiego miasteczka, stare domy, które wydawały mu się wolne od wpływów
zewnętrznego świata.

Upadam, pomyślał.

Tym razem naprawdę.

marzec 1984

Charles zerka na skrzynkę pocztową. Ostatnio opróżniono ją przed zaledwie kilkoma minutami, za pół godziny zostanie opróżniona ponownie. A jeśli właśnie z tego składa się życie, z bezsensownych zadań układających się w beznadziejne cykle?

Od jakiegoś czasu nieznany sprawca szantażuje instytucje państwowe i firmy, grożąc podłożeniem bomby. Łącznie zażądał już ponad miliarda koron. Listy z groźbami dostarczane są w brązowych kopertach formatu A5, a policja, łącznie z Charlesem i jego kolegami z wydziału bezpieczeństwa, nie odnotowała jak dotąd żadnych rezultatów. Jakiś geniusz wymyślił, że szantażysta wrzuca listy do żółtej skrzynki pocztowej na Dworcu Centralnym w Sztokholmie. Od stycznia policja pilnuje jej całą dobę, na okrągło: z mieszkania po drugiej stronie ulicy filmują i robią zdjęcia wszystkim, którzy wrzucają do niej listy. Opróżniają ją co pół godziny, przeglądają przesyłki, po czym wkładają je z powrotem do skrzynki.

Zwykle takie zadania wykonują ludzie z wydziału dochodzeniowego, ale tego dnia z jakiegoś powodu większość z nich jest na jakimś kursie. A ponieważ sprawa podlega Bezpieczeństwu, w mieszkaniu siedzą Charles i Paul.

– Marika? – woła Charles. – Gdzie jesteście?

Niestety nie są sami.

W rogu stoi kanapa, na poduszce leży porzucona książka, *Dobranoc, panie Tom*, otwarta mniej więcej na środku.

– Poszła do toalety – mówi Paul. – Mówiła ci, nie słyszałeś?

– Nie – odpowiada Charles cicho. – Przepraszam, że wziąłem ją ze sobą. Nie udało mi się załatwić opiekunki.

Paul mruży oczy i spogląda na żółtą skrzynkę pocztową.

– Jeszcze jeden.

Drugą stroną ulicy idzie mężczyzna, ręce ma w kieszeniach, pod pachą trzyma grubą białą kopertę, zatrzymuje się tuż przed skrzynką. Paul ustawia ostrość, przykłada oko do wizjera i robi kilka zdjęć. Mężczyzna wrzuca list i idzie dalej, spokojny i niewinny.

Paul opuszcza aparat.

– Charlie – zaczyna. – Czy w obecności ludzi takich jak Kraus mógłbyś się

zachowywać bardziej dyplomatycznie? Nie żartuję. Musisz mnie słuchać. Nie zapominaj, jaki charakter ma nasza relacja.

Nie brzmi to może jak groźba, ale nią jest. Paul chce mu przypomnieć, że kiedyś go uratował i że ich relacja nie opiera się na przyjaźni ani na wspólnych interesach, ale na całkowicie innych przesłankach. Właściwie to dziwne, że jednak można się nauczyć żyć i pracować w takich okolicznościach.

– Wiem – mówi Charles. – Będę pamiętał.

– Dobrze.

W głosie Paula już nie słychać chłodu.

Słychać spuszczenie wody w łazience, rury w mieszkaniu są stare. Marika wychodzi, zdejmując converse, siada po turecku na kanapie i bez słowa wraca do książki.

Jest bardzo podobna do matki. Ma co prawda ciemne włosy Charlesa, ostry, lekko garbaty nos też odziedziczyła po nim, ale poza tym wszystko wzięła po Evie.

– Usiądź z nią na chwilę – mówi Paul cicho. – Wykorzystaj wolną chwilę, zanim będziemy musieli opróżnić skrzynkę.

– Wszystko jest w porządku. Nie ma takiej potrzeby.

– Owszem, jest.

Charles podnosi się z krzesła, idzie i siada na kanapie, obok Mariki. Czuje, jak dziewczynka zastyga.

– Nie musisz – mamrocze ze wzrokiem wbitym w książkę.

– Ale chcę. – Kładzie ostrożnie rękę na jej plecach. – Dlaczego nie chciałaś dzisiaj iść do szkoły?

Marika odwraca kartkę, poprawia kosmyk włosów. Na palcu wskazującym ma pierścionek, ładną wąską obrączkę ze srebra. Charles przygląda się jej i zastanawia, od kogo ją dostała. A jeśli sama ją sobie kupiła, to skąd miała na to pieniądze.

– To z powodu tego, co się stało wczoraj? Z... – Urywa, próbuje przypomnieć sobie imię chłopca. – Z Patrikiem?

Żadnej reakcji. Cofa rękę. Paul stoi przy oknie, trzyma aparat przy oku, naciska wyzwalacz, sprawdza, czy wideo jest włączone.

– Marika, możesz odłożyć książkę? Marika.

Dziewczynka znów przewraca kartkę.

– Proszę, odłóż książkę i porozmawiaj ze mną.

Nic. Wyrywa jej książkę z rąk, zamyka ją. Marika nie wydaje się zdziwiona, krzyżuje ręce na klatce piersiowej.

Kiedy podnosi wzrok, Charles widzi przed sobą oczy Evy, jasne, błyszczące. Spuszcza głowę.

– Możesz mi opowiedzieć, co się wczoraj stało? Z Patrikiem.

– Nie rozmawiałeś z Pauline?

– Chcę poznać twoją wersję.

– Moją w e r s j ę?

– Tak. Twoją wersję.

Marika wzdycha.

– Rozmawiałam już o tym z Pauline.

– Więc teraz porozmawiaj ze mną.

– Muszę?

– Tak. – Charles odpina guzik koszuli, zaczyna mu się robić gorąco. – Patrik coś ci powiedział? Coś ci zrobił?

– Niby co takiego?

– Nie wiem. Może powiedział coś niemądrego, kiedy staliście w kolejce do stołówki.

– Nic nie zrobił.

– A co ty mu zrobiłaś?

Marika nie odpowiada. Patrzy na jego lewą rękę, w której trzyma książkę, sięga po nią. Charles cofa rękę, jakby się bawili.

– Groziłaś mu nożem? Marika?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może uznałam, że jest go za dużo.

– Że jest go za dużo? Chodzi ci o to, że za głośno mówił?

– Tak. Może.

Może. Aparat trzaska, Paul robi kolejne zdjęcie. Charles zerka na zegarek. Za kwadrans dziesiąta.

– Nie możesz tak tego zbyć. To poważna sprawa.

– Jasne – odpowiada dziewczynka mechanicznie. – Zrobiłam to, bo było go za dużo.

– Jeśli tak uważałaś, to nie mogłaś po prostu go poprosić, żeby był ciszej?

Żadnej odpowiedzi.

– Marika.

– Nie wiem, okej? – syczy. – Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Tak się po prostu stało. Może ma to coś wspólnego z moim wychowaniem.

– Nigdy ci nie groziłem – mówi Charles. Głos mu się łamie. – Nigdy cię nie skrzywdziłem.

– Tak, m n i e nigdy nie skrzywdziłeś.

Charles spuszcza wzrok. Słyszy, że Paul robi kolejne zdjęcie.

Marika wstaje z kanapy, wrywa książkę z rąk ojca.

czerwiec 2014

Wigilia wieczoru świętego Jana, Midsommar. Ulice opustoszały. Wszyscy świętują, spędzają wieczór z ludźmi, którzy są im bliscy, których lubią. Może dlatego Gabriel Birck wychodzi na balkon i zapala papierosa, chociaż przecież już dawno rzucił palenie.

W dole widać Lützengatan, cichą, spokojną ulicę, z oddali dochodzi szum z Karlaplan. Dopala papierosa i wraca do środka, wkłada buty i lekką kurtkę, opuszcza mieszkanie, wsiada do samochodu i rusza w kierunku Kungsholmen. Szybę ma opuszczoną, radio wyłączone. Kiedy się zatrzymuje przy szpitalu S:t Göran, nagle czuje, że coś mu ciąży.

John Grimberg to chory drań. Birck nie chce nawet myśleć o tym, co go łączy z Leo. Wie, że dorastali razem w Salem i że Leo zakochał się w jego siostrze, Julii. Umarła, kiedy byli nastolatkami. Z winy Leo, tak przynajmniej twierdzi Grimberg.

– To prawda? – spytał Birck, kiedy Leo mu o tym powiedział.

– Sam już nie wiem. To było tak dawno temu, a poza tym sprawa nie była taka prosta. Jedyne, co ma znaczenie, to to, że Grim tak uważa.

Wtedy, w Salem, zerwali ze sobą, jakieś piętnaście lat temu. W zeszłym roku ich drogi znów się skrzyżowały. Chodziło o zemstę, taką jak z kiepskich kryminałów. Grimberg z jakiegoś całkowicie niewytłumaczalnego powodu postanowił się zemścić na Leo, do czego we własnym mniemaniu miał pełne prawo. Żeby się do niego zbliżyć, posłużył się Sam. Próba się nie powiodła i został skazany na przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym.

Birck przygląda się ładowarce, która leży na desce rozdzielczej. Od dawna wie, że Leo odwiedza regularnie Grimberga, ale że robi z nim interesy? Niech to szlag!

Powinien o tym powiedzieć Martinowi. Znają się z czasów służby wojskowej. Pamięta, że Martin potrafił wtedy wypić najwięcej piwa z nich wszystkich. Może nadal potrafi. Istotne jest jednak to, że Martin Sanchez-Jankowski od czterech miesięcy jest również ordynatorem oddziału, na którym przebywa Grim, i odpowiada za większość tego, co się dzieje w obrębie murów szpitala. Czasem nadal się spotykają, ale już coraz rzadziej.

Leo nic o tym nie wie, nie podejrzewa, że mogą się znać. Od czasu do czasu zdarza się, że postanawia mu o tym powiedzieć, ale równie często sięga po komórkę, żeby zadzwonić do Martina i powiedzieć mu, że powinien skontrolować listę gości Grimberga i sprawdzić, jak często jego gościem jest Leo. Te wizyty powinny się skończyć i Martin mógłby w tym pomóc. Ale czy to naprawdę jego sprawa? Ma prawo tak postąpić? Grimberg trzyma Leo w garści, a Leo cierpi z tego powodu. W pracy jest niewielu ludzi, których towarzystwo Birck jest w stanie znieść, ale Leo jest jednym z nich, więc może jednak powinien spróbować mu pomóc.

Nieczęsto się zdarza, żeby podanie o widzenie w wigilię świętego Jana zostało rozpatrzone pozytywnie. I nie chodzi o kwestie prawne, tylko o to, że pracownicy w ten wieczór nie chcą mieć niepotrzebnych problemów. Wolą siedzieć w swoich gabinetach i współczuć samym sobie, że muszą spędzać ten wieczór w domu wariatów. Punktem kulminacyjnym wieczoru jest pewnie kawałek ciemnego chleba ze śledziem w sosie musztardowym w kuchni dla personelu, o ile dzienna zmiana coś zostawi.

– Dziękuję – mówi Birck, kiedy jeden z lekarzy, ponury mężczyzna o nazwisku Westin, wychodzi otworzyć mu drzwi. – Niestety sprawa jest pilna. Próbowałem się dodzwonić do Martina, ale nie odbiera.

– Pewnie jest na jakiejś imprezie – stwierdza Westin bezdźwięcznym głosem. – A o co chodzi?

– Sam dokładnie nie wiem – mówi Birck. Ściąga usta, bo nic nie zdradza kłamcy bardziej niż uśmiech. – Tylko tyle, że chodzi o tego policjanta, który nie żyje.

– Rozumiem – mówi Westin ze współczuciem. – Przykro mi, ale muszę cię sprawdzić.

Westin wypełnia swój obowiązek, po czym wyjmując z kieszeni pęk kluczy, znajduje właściwy i wkłada go do zamka. Następnie przykłada przepustkę do umieszczonej na ścianie puszki i wybiera kod. Przepustka przechodzi.

– Johnowi Grimbergowi powinno się zakazać wszystkiego. Niestety zachowuje się zbyt dobrze, żebym mógł uzyskać na to zgodę.

– Więc obecnie nie jest objęty całkowitym zakazem?

Westin kręci głową.

– Od pierwszego czerwca już nie. Co oczywiście nie oznacza, że ma dużo swobody.

Za drzwiami skracają w niewielki korytarz i dochodzą do kolejnych drzwi, identycznych jak te pierwsze. Wchodzą na oddział, na którym żyje John Grimberg. Wszędzie panuje cisza i spokój, ale w powietrzu wyczuwa się napięcie, które sprawia, że wszyscy myślą o tym, żeby zawrócić.

– Usiądź w pokoju dla gości – mówi Westin. – Pójdę po Johna.

Birck siada na jednym z krzeseł i zaczyna się przyglądać swojej prawej dłoni. Nie drży. Spodziewał się, że będzie w stanie zachować spokój? Pracuje w policji już niemal dwadzieścia lat, niejedyn raz się bał. Trzy razy zdarzyło się, że musiał sięgnąć po broń. A jednak to Johna Grimberga boi się bardziej niż kogokolwiek innego.

– Ty? – pyta Grimberg, kiedy staje w drzwiach i widzi Bircka. Jest zdziwiony. – Nie zamierzam z nim rozmawiać – mówi do Westina.

– Nie jestem tutaj dlatego, że się za tobą stęskniłem.

– Przestań, John – uspokaja go Westin.

– Chcę wrócić do pokoju. Daj mi moje tabletki.

– Najpierw rozmowa – uśmiecha się Westin. – Potem tabletki.

– To niedozwolony szantaż – mówi Grimberg. – Mogę cię oskarżyć.

– I ktoś ci uwierzy?

Westin nadal się uśmiecha. Birck przygląda się swoim butom. Grimberg stoi w progu, waha się, ale po chwili pozwala się wprowadzić do pokoju.

– Powiem Johannie, że tu jesteście – mówi Westin. – Za minutę tu będzie.

– Nie ma problemu.

Westin zerka na zegarek, sprawdza kajdanki na nadgarstkach Grimberga, po czym wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

– Przyzwyczałeś się do nich – mówi Birck, wskazując wzrokiem na kajdanki.

– Do tego nie można się przyzwycząć. Można się tylko dostosować.

Birck schyla się, podciąga nogawkę i wyjmuje niewielką ładowarkę ukrytą pod skarpetką. Miał szczęście. Westin nie sprawdził go zbyt dokładnie.

Kładzie ładowarkę na zimnym blacie, tak daleko, żeby Grimberg nie mógł do niej sięgnąć.

– Decyduj się, i to szybko. W każdej chwili ktoś może zajrzeć tu przez szybę w drzwiach. Podasz mi nazwisko. A w zamian dostaniesz to.

Grimberg zerka na ładowarkę z takim samym zainteresowaniem, z jakim patrzyłby na kawałek asfaltu.

– Jakie nazwisko?

– Nazwisko osoby, którą Charles Levin tu odwiedzał.

Grimberg podnosi ręce.

– Musisz mi ją włożyć za bluzę. Mam zajęte ręce czy jak to określić.

– Najpierw nazwisko.

Grimberg kręci głową. Birck patrzy na niego, w końcu jednak sięga po ładowarkę, wstaje, obchodzi stół i staje za nim. Spodziewał się, że Grimberg będzie go śledzić wzrokiem, ale tak się nie dzieje. Grimberg po prostu siedzi i czeka.

Mógłbym go zabić, myśli Birck. Może powinienem, zanim on zabije mnie.

Chwyta Grimberga za włosy, wpija w nie palce i ciągnie, zmusza go, żeby

odchylił głowę. Grimberg z trudem łapie powietrze. Birck szybko wkłada mu ładowarkę za bluzę, widzi, jak łąduje na jego klatce piersiowej. Kiedy wraca na krzesło, kładzie jedną dłoń na drugiej, żeby ukryć, że drżą.

– Musiałeś to zrobić? Teraz nie będę mógł ruszać szyją. – Twarz Grimberga wykrzywia grymas. Po chwili dwoma palcami poprawia bluzę. – Widać coś?

– Nie, bluza jest luźna. Mów.

– Nie masz lepszego pomysłu na Midsommar?

– John.

– Najpierw mi odpowiedz.

Birck przewraca oczami.

– Wyświadczam komuś przysługę.

– Rozumiem. A jak on się czuje?

– Kto?

– Wiesz, kogo mam na myśli.

Grimberg nagle unosi ręce, Birck zastyga w bezruchu. Grimberg się uśmiecha i drapie po policzku; ostry, wyraźny dźwięk.

– Jesteś spięty.

Birck mruga oczami. Powinien wstać i wyjść, a po drodze dać Grimbergowi w twarz, może uderzyć go w nos.

– Kogo Charles Levin tu odwiedzał?

Za drzwiami pojawia się Johanna, zagląda przez szybę. Gdzieś niedaleko rozlega się głos syren, nagły, ostry dźwięk. Za oknem powoli zapada mieniący się wszystkimi kolorami zmrok.

Kiedy dzwoni Birck, jest już po dziewiątej wieczorem. Pracuję, żeby nie musieć myśleć. Przejrzałem wszystkie dokumenty dotyczące miejsca zbrodni. To dla mnie trudne, ale prawdę mówiąc, bałem się, że będzie gorzej. Kiedy biorę do ręki dokumenty, zdjęcia albo teczki z papierami, mój wzrok staje się chłodny i skupiony.

– Kobieta, którą Levin odwiedzał, nazywa się Marika Alderin – mówi Birck.
– Według Grimberga jest tam już bardzo długo, pięć, może nawet dziesięć lat. Najwyraźniej nie jest w stanie mówić, a kiedy z rzadka próbuje coś powiedzieć, bełkocze. O ile można wierzyć Grimbergowi. A nie wiem, czy można.

Zazwyczaj nie, ale tym razem chyba tak.

– Jesteś zadowolony? – pyta Birck.

– Nie wie, że to córka Levina?

– Mam wrażenie, że nie. Ale nie spytałem. Nie chcę, żeby wiedział za dużo.

– Z nią też rozmawiałeś?

– Spała. Nie pozwolono mi.

– Spróbujesz jutro?

– W dzień świętego Jana?

– Mam przeczucie, że to może być ważne.

– Przeczucie?

– Dlaczego ukrywał, że ma córkę? – mówię, raczej do siebie niż do niego.

– To musi coś znaczyć.

– Tak. Możliwe.

– Gabriel...

– Dobrze. Porozmawiam z nią jutro.

Kończymy. Widzę, że dostałem MMS-a od Sam. Stoi na brzegu Tamizy, w okularach przeciwsłonecznych, krótkich dżinsowych szortach i białej bluzce. *tęsknię za tobą, pisze. kot żyje?* – dodaje po chwili.

Kit leży na krześle i śpi. Nie wiem, gdzie są wszyscy. Na korytarzu panuje cisza. Czasem słyszę, jak piętro niżej dzwoni telefon, jakiś głos odpowiada, ale nie słyszę, co mówi.

Jak tylko trochę się odprężam, on natychmiast wraca. On, Markus Waltersson. Na stole znalazłem listę z nazwiskami osób przydzielonych do dochodzenia, tych dodatkowych, ale również miejscowych. Tove Waltersson. Zapisałem numer jej komórki. Kilka razy chciałem do niej zadzwonić, ale zawsze po chwili się rozmyślałem.

Może mnie unika. Może postanowiła trzymać się z dala.

Ogarnia mnie niepokój. Muszę z kimś porozmawiać. Słyszę kolejne sygnały, długie, jednostajne. Kiedy w końcu odbiera, w tle słychać gwar przyjęcia, śmiechy.

– Leo Junker – przedstawiam się.

– Więc jednak zmieniłeś zdanie – mówi Davidsson nieco niewyraźnie. Hałas sprawia, że ledwie go słyszę.

– Klucze do jego domu – mówię. – Chciałbym...

– W dolnej szufladzie mojego biurka, w moim pokoju! – wrzeszczy. – Udanego wieczoru!

Chcę mu życzyć tego samego, ale rozłącza się, zanim zdążam się odezwać.

Dziwne uczucie: jechać przez nieznaną okolicę, szczególnie o zmroku, gdy świat powoli zrzuca starą skórę i przybiera nową postać.

Samotność. Jadąc przez miasteczko, w którym się nigdy nie było, można się poczuć samotnym. I może wolnym, ale wolność mnie przeraża. Zawsze mnie przerażała. Nie ufam samemu sobie, nie wiem, co jestem w stanie zrobić, kiedy nikogo nie ma w pobliżu i nikt mnie nie pilnuje.

Jadę szosą i myślę o Evie i o Charlesie Levinie, o wypadku samochodowym, który kosztował Evę życie. Zimą 1980 roku. I o zeznaniu Fredrika Oskarssona. W kieszeni spodni mam foliową torebkę z kluczem od domu Levina. Przyczepiony do niewielkiego kółka leżał w gabinecie. Według protokołu to jedyny klucz, jaki technicy znaleźli, ale zarówno drzwi frontowe, jak i te od strony ogrodu były zamknięte na klucz. Levin musiał mieć drugi klucz, sprawca musiał go zabrać.

Wygradzenie powinno się zaczynać już przy szosie, ale kawałki niebiesko-białej plastikowej taśmy łopoczą na wietrze dopiero na początku Alvavägen. Zatrzymuję opla, silnik kaszle zdziwiony, po czym milknie i zamiera. Wieczór jest ciepły, powietrze lekkie, niemal pełne nadziei. Gdzieś z daleka dobiega uporczywe szczekanie samotnego psa. Obok niebiesko-białej taśmy stoi oznakowany radiowóz, jest pusty, w środku jest ciemno.

Mijam wygradzenie i idę dalej. Gdzieś z cieni wyłania się pochyłona postać z żarzącym się papierosem w ręku. Zatrzymuje się, zamiera na mój widok i wtedy widzę, że to ona.

- Co ty tu robisz? – pyta.
- Chciałem zobaczyć, jak mieszkał.
- Nie widziałeś zdjęć?
- To nie to samo. A ty co tu robisz?
- Chciałam zobaczyć teren za domem, las.
- I?

Zaciąga się, rzuca papierosa na ziemię, mimo że jesteśmy już za wygradzeniem.

- I nic. Nic nie znalazłam.

Ma na sobie krótką skózaną kurtkę, pod nią T-shirt. Jedną rękę trzyma w kieszeni kurtki. Wygląda jak ktoś, kto mógłby grać na basie w kapeli z przedmieścia.

- Gdzie masz samochód? – pytam.
- Przyszłam na piechotę. Mieszkam niedaleko.

Odwraca się, patrzy w stronę domu. Może już wie, że ja wiem. Może to po mnie widać.

- Wejdziemy? – rzuca.
- Mogę to zrobić sam.
- Nie, nie możesz.

Ogródek jest mały, zarośnięty, co może oznaczać tylko jedno: Levin jeszcze nie zdążył się do niego zabrać. Wiem, że nigdy by nie pozwolił, żeby ogród tak wyglądał. Czuję ukłucie w piersi, odkasłuję, mrugam kilka razy. Tove patrzy na mnie pytająco.

Wyjmuję z kieszeni lateksowe rękawiczki, wkładam je. W kilku miejscach widać ślady działań policji: ktoś gdzieś zostawił rękawiczkę, na schodach stoi reflektor z napisem POLICJA.

W środku pachnie trochę jak w antykwariacie. Pokoje są niskie, jedyny ślad po Levinie to plama zaschniętej krwi na drewnianej podłodze w kuchni. Wszystko wydaje mi się nierzeczywiste. Czterdzieści osiem godzin temu siedział tu, żył i pił kawę ze sprawcą.

Niemal czuję jego obecność, jakby był gdzieś obok. Stoi w drzwiach, poza moim polem widzenia, i obserwuje mnie. Słyszę jego głos, słyszę, jak w ciszy wymawia moje imię. Ciepło, łagodnie, jakby się cieszył, że mnie widzi.

Oglądam kuchnię, salon, hol. Przyglądam się drzwiom prowadzącym na trawnik na tyłach domu. Dostrzegam ślady gumowych kółek. Otwieram drzwi i wychodzę na trawę, klękam.

– Czemu się przyglądasz?

– Jeśli są tu jakieś ślady, to pewnie widać je tylko w świetle dziennym.

– Spoglądam w stronę lasu. – Nic nie znalazłaś.

– To pytanie?

– Tak.

– Nic nie znalazłam.

– Rozumiem.

W tym wilgotnym mroku jest coś, co mnie przeraża. Nie potrafię powiedzieć co.

– Ten świadek – zaczynam. – Ten mężczyzna, który wyszedł do ogrodu złożyć parasol. Podobno coś widział.

– Zajmujemy się tym.

No i dobrze, myślę i wracam do domu.

– Gdzie jest jego gabinet?

Idzie przodem, staje przed drzwiami, krzyżuje ręce na piersi i pozwala mi wejść. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

Myślę o moim starszym bracie, Mikaelu. Spotykamy się tylko kilka razy w roku, chociaż jest jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Co bym zrobił,

gdyby ktoś mi go zabrał? Co bym zrobił, gdybym był na miejscu Tove?

Obawiam się, że podszedłbym i dałbym mu w głowę ręką pistoletu, tak żeby stracił przytomność.

A ona po prostu tam stoi.

– Jesteś stąd, prawda? To znaczy pierwotnie stąd.

– Co to znaczy: pierwotnie?

Przeciągam dłonią po ścianie, po łóżku, po niewielkim biurku, siadam na krześle, na którym pewnie siadywał Levin. A może wolał pracować gdzie indziej? Jeśli rzeczywiście nad czymś pracował.

– Miałem na myśli twój dialekt – mówię.

– Co z nim?

– Prawie go nie słyszeć.

– Dialekty nie znikają, mogą się tylko zmieniać.

– Na jedno wychodzi.

Biurko nie ma szuflad. To ciężki drewniany blat oparty na grubych, dość niskich nogach. Przesuwam dłonią po jego powierzchni, czuję kurz pod palcami, po chwili powtarzam to samo, tylko pod blatem.

Moja ręka czegoś dotyka.

Kłękam, włączam latarkę w komórcę i świecę pod blat. W przeciwieństwie do wierzchu spód nie jest lakierowany, jest ciemny i matowy. I nagle go widzę: jest przyklejony do blatu niewielkim kawałkiem taśmy klejącej.

– Co tam jest? – odzywa się Tove za mną.

Wycelowuję aparat w komórcę na spód blatu, robię zdjęcie. Włącza się flesz, rozbłyska na biało. Po chwili odrywam ostrożnie taśmę, biorę niewielki przedmiot w palce i pokazuję go jej.

– Klucz – mówię. – Techników tu nie było?

– Byli.

Wstaję, podchodzę do okna z kluczem, na którym został kawałek taśmy, i robię jeszcze jedno zdjęcie.

– Musimy go w coś włożyć.

Tove wyjmuję z kieszeni skórzanej kurtki sztywną papierową kopertę, podaje mi, wkładam do niej klucz z kawałkiem taśmy.

– Zawsze masz je przy sobie?

Nie odpowiada, zamyka kopertę, chowa ją do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Powinien to być klucz od jakiejś szuflady albo szafy gdzieś w domu – mówię. – Ale biurko nie ma szuflad i nigdzie w domu nie widziałem szafy. A ty?

– Też nie.

Tove wkłada ręce do kieszeni. Zdejmuję rękawiczki.

Już wkrótce, wkrótce to się stanie. Wiem, że tak będzie.

Na zewnątrz. Suche powietrze, niebo poprzecinane fioletowymi smugami, jakby przed chwilą odbył się pokaz fajerwerków.

– Dokąd się wybierasz? – pytam.

– Nie zamierzałam świętować. Więc chyba do domu.

– Mogę cię podwieźć, jeśli chcesz. Ale mam w wozie kota.

Tove szuka czegoś w kieszeni, wyjmując papierosa i zapalniczkę.

– Dobrze. Dzięki.

Zapala papierosa, zaciąga się, wypuszcza dym.

– Kto z twoich kolegów będzie tu pracował? – pyta.

– Tutaj? Na miejscu?

– Tak.

– No... Nie wiem. Znasz ludzi z Krajowej Policji Kryminalnej?

– Nie. – Znów się zaciąga. – Ale ty też nie.

– Co?

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Nie rozumiem.

– Co ty robisz? To jakiś żart? Zastanawiałeś się, jak to się skończy?

– Żart?

– Sprawdziłam cię. Nie wiesz, którzy z twoich kolegów będą się tym zajmować, bo nie masz tam kolegów. Wszystko, co mi mówiłeś, to kłamstwo. Pracujesz w wydziale zabójstw w Sztokholmie, a od wczoraj jesteś na urlopie! – Niemal pluje na mnie słowami. – A jesteś na nim dlatego, że żresz jakieś tabletki i generalnie zachowujesz się dziwnie.

Przed nami pręży się na wietrze plastikowa taśma policyjna. Mimo że się z tym liczyłem, dotyka mnie to bardziej, niż się spodziewałem. Jest mi wstyd.

– Znałem go – mówię. – Byliśmy... Chciałbym...

– Całe życie był policjantem – przerywa mi. – To chyba oczywiste, że miał kolegów wśród policjantów, a nawet przyjaciół. Widzisz tutaj któregoś z nich? Kogoś, kto by się aż tak zaangażował? Nie, bo to by było wbrew zasadom. Dopilnuję, żeby cię wylali, cholerny dupku!

Przeskakuje przez taśmę, podchodzi do mojego opla, który stoi tuż obok. Na fotelu pasażera siedzi Kit, spięty, z rozbieganym wzrokiem.

– Pozwoliłam ci wejść do jego domu po raz ostatni, żebyś mógł się pożegnać. Rozumiesz? W przeciwieństwie do ciebie mam serce.

Stoimy obok siebie, tak blisko, że czuję zapach jej włosów. Wydaje mi się

znajomy, w jakiś dziwny sposób.

– Chodzi o Mar... – zaczynam.

Tove upuszcza papierosa i nagle, tak nagle, że nie mam czasu się obronić, uderza mnie kolaniem w żołądek.

Zginam się wpół, ból promieniuje w górę, do klatki piersiowej, i w dół, do pachwin. Chwyta mnie za włosy, podnosi moją głowę, i nagle znów widzę jej kolano, tym razem zbliżające się do mojej twarzy. Próbuję ją chronić rękami, ale działam za wolno, cios trafia mnie w czoło. Jęczę, tak mi się przynajmniej wydaje, bo z gardła wydobywa się jakiś dźwięk, w oczach mam łzy. Tracę równowagę, upadam na ciepły asfalt.

Tove siada okrakiem na mojej klatce piersiowej, jej pięść trafia w mój policzek, słyszę bicie dzwonów.

Czekałem na to, czuję, jak się odprężam. Rozluźniam mięśnie, nie chcę, żeby mi coś złamała, nie stawiam oporu, zamykam oczy i przyjmuję ból.

Kolejny cios, tym razem trafia mnie w okolice prawego ucha, wszystkie dźwięki cichną. I kolejny cios, słyszę, jak pęka mi warga.

Ciepło, czuję ciepłą krew w ustach, spływa mi do gardła. Tove uderza moją głowę o asfalt.

Kolejny cios, tym razem chyba w skroń. Wszystko zaczyna falować, mam mdłości, czuję się jak na huśtawce, ale w jakiś dziwny sposób jest to nawet przyjemne. Jakby ktoś mnie kołysał do snu. Pulsujący ból, odpływam w dal, czuję, że za chwilę stracę przytomność. Nagle Tove pochyla się nade mną i chwyta mnie za głowę.

– Patrz na mnie! – syczy.

Nie jestem w stanie, nie mogę.

– P a t r z n a m n i e!

Otwieram oczy. Światło, jest bardzo jasne, eksploduje w moich oczach, wszystko mnie boli, oczy, kark, nos.

Jej wzrok jest ciemny i pusty.

– Wyjedź! I nie wracaj! Rozumiesz?

Puszcza moje włosy, czuję, jak uderzam głową o asfalt. Widzę w górze niebo, wierzchołki drzew z jednej strony, z drugiej koła samochodu. Tove wyciera o mnie ręce. Wyciera krew, przechodzi mi przez głowę. Wyciera ręce z krwi.

– Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, zabiję cię.

Boli mnie klatka piersiowa. Widzę jeszcze, jak Tove odchodzi szybkim krokiem, po chwili pochłania ją mrok i znika. Dociera do mnie, że nareszcie dostałem to, na co zasłużyłem.

WRZESIEŃ 1984

Funkcjonariusz jest niskim szczupłym mężczyzną w okularach z grubymi szklami, ma krótko obcięte włosy. W wojsku dostałby kategorię D, gdyby nie to, że ma talent do pracy w wywiadzie.

– Telefon – mówi, stając w drzwiach.

– Kto dzwoni?

– Nie przedstawiła się. Powiedziała tylko, że chce z kimś porozmawiać. I że to ważne.

– Przełącz ją do kogoś innego. Jestem zajęty.

– Ale... – Waha się. – Dzwoniła do ciebie, na twój numer – podkreśla.

Tu, na górze, wszystkie rozmowy przechodzą przez centralę, opanowaną przez kobiety, które trudno przestraszyć i którym trudno zaimponować. Wyjątkiem są nieformalni współpracownicy i różnego rodzaju informatorzy.

Charles siedzi w jednym z pokoiów i przegląda dokumenty dotyczące czerwcowej wizyty Palmego w NRD. Osobliwa lektura. Przed południem premier pośredniczył w rokowaniach pokojowych, a popołudniami sprzedawał broń.

– Więc dlaczego ty odebrałeś? – Charles wstaje i wychodzi na korytarz. – I co robiłeś w moim pokoju?

– Szukałem segregatora.

Charles wchodzi do swojego pokoju. Kiedy zamyka drzwi, gwar biurowych rozmów milknie, zamienia się w cichy szum. Można niemal odetchnąć z ulgą.

Na biurku leży słuchawka, niektóre guziki są wciśnięte, świecą. Stojąc przy biurku, sięga po nią, przykładając ją do ucha i wciska guzik.

W tle słychać gwar głosów, dzwoni jakiś telefon.

– Cześć – słyszy wysoki kobiecy głos. – Halo? Do kogo się dodzwoniłam?

– A z kim chce pani rozmawiać?

– To policja? Tak?

– Słucham?

– Jaki to wydział?

W tle nadal dzwoni telefon. Słychać go przez gwar rozmów.

– Jak pan się nazywa?

Coś mu nie pasuje. Telefon w tle przestaje dzwonić, ktoś odbiera, słyszy

męski głos:

- Telewizja Szwedzka, Fredrik.
- Jesteś dziennikarką? – pyta Charles.

Kliknięcie.

Lato było ciężkie. Zaczął pić, żeby móc spać. Obiecał sobie, że szybko przestanie, ale jeszcze mu się to nie udało. Wieczorami śledził doniesienia mediów dotyczące zabójstwa Catrine da Costa, wspomnienia z przeszłości wracały niczym echo.

Jeśli chce się przemyścić objęte embargiem towary, trzeba to robić określonymi drogami. Jeśli wywiezienie VAX-ów ze Szwecji miało się udać, należało zsynchronizować działania wszystkich stron: tych z kraju ich pochodzenia, tych z krajów tranzytowych i tych, dla których były przeznaczone. Takie rzeczy wymagają czasu. Trzeba przekazać konieczne dane, dać znać odpowiednim osobom, a wszystko w tajemnicy.

To nigdy nie dzieje się szybko, ale nigdy jeszcze sprawy nie przeciągały się tak jak wtedy. Na razie komputery przenoszono z jednego miejsca w inne. Robili to Öberg i jego podwładni.

Paul rozmawiał z Krausem pod koniec lata, szyfrem, przez telefon. Zapewnił, że wszystkie tryby maszyny działają, sprawa nadal jest aktualna. Wkrótce wszystko się zakończy.

Nasz człowiek w Sztokholmie skontaktuje się z wami.

Ani Charles, ani Paul nie wiedzą, o kogo chodzi ani czy ktoś taki w ogóle istnieje.

Jakby tego było mało, Charles podejrzewa, że Marika zaczęła mu podbierać alkohol.

Stoi ze słuchawką w ręku. Wciska widełki, przełącza na linię wewnętrzną, wybiera numer i czekając na połączenie, zapala papierosa.

- Tak? – słyszy głos Paula, który cztery pokoje dalej odbiera telefon.
- Musimy się spotkać.

Nastały nowe czasy, niespokojne, niepewne. Nikt już nie wie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Wszyscy wyglądają tak samo, mówią tym samym językiem, ściskają dłoń tak samo ciepło.

Jeśli się okłamujemy, to dlatego, że musimy.

Charles został rzucony na głęboką wodę, ale jeszcze zanim wydział stał się całym jego życiem, powinien był się domyślić, co Paul ukrywa za fasadą uprzejmości. Zaczęło się tuż po jego przyjściu do wydziału, pewnego dnia już prawie cztery lata temu, od drobiazgów dotyczących spraw nadzorowanych przez Paula. Potrafił sprawić, że pewna suma pieniędzy, partia broni czy heroiny lądowała w szufladach jego biurka zamiast w sejfie organów bezpieczeństwa.

Paul nie miał natury kolekcjonera, więc zarekwirowany towar, tak go określał, nie leżał tam długo. Pieniądze, broń, narkotyki i inne rzeczy zamieniały się w kapitał, który szybko trafiał do szarej strefy i prowadził do kolejnych sukcesów.

Pewna suma, która zniknęła po uderzeniu w komunistyczną siatkę w Sollentunie, została miesiąc później użyta do przekupienia urzędnika.

Broń, którą Paul zabrał po tym, jak pewien policjant powiązany ze skrajnie prawicowym środowiskiem podziemnym popełnił samobójstwo, pół roku później trafiła do rąk byłego radzieckiego szpiega, który wtedy mieszkał już w Sztokholmie, ale od kiedy przeszedł na Zachód, obawiał się o swoje życie.

Zarekwirowane partie narkotyków przejęte przez Paula wykorzystywano do werbowania informatorów i ludzi niepotrafiących się oprzeć pokusom, takich jak Savolainen.

Nie chodziło jedynie o pozbycie się pieniędzy. To była także część jego oficjalnej pracy. Zdarzało się, że jego szef patrzył na to, co robił, przez palce, kiwał głową i milczał. Widział, że jest skuteczny, i wołał nie pytać o metody. Żadne ręce, w których kiedykolwiek znalazło się coś ważnego, nie są czyste. Ta iluzja się rozwiązała, kiedy wybuchła afera w kontrwywiadzie, IB, wiele lat temu.

A jednak minęło trochę czasu, zanim Charles się zorientował, że ręce Paula działały pod stołem – niezwykle aktywnie. Tak naprawdę dotarło to do niego dopiero któregoś wieczoru w 1982 roku, kiedy uderzyli w podejrzaną grupę terrorystyczną niedaleko Uppsali, a potem zatrzymali się na stacji benzynowej w pobliżu Bergshamry.

Stacja stała na odludziu, ale kiedy wysiedli z samochodu, z cienia wyłonił się mężczyzna. Był starszy od nich, miał okulary, szkła były grube i ciężkie, wyraźnie

mu ciążyły.

- Masz dla mnie prezent? – spytał w wyraźnym skanskim dialekcie.
- Mam. – Paul podał mu niewielką paczuszkę. – Odjąłem swoją część.

Mężczyzna ważył paczkę w ręku.

- Bardzo przezornie.
- Musisz mi zaufać, że tym razem też nie wziąłem więcej, niż powinienem.
- Kto to jest? – spytał nagle mężczyzna.
- Mój kolega.

Zaczął mu się przyglądać.

- Jest po naszej stronie?
- Tak – potwierdził Paul.
- Jak masz na imię?
- Charles.

Mężczyzna skinął głową, poprawił okulary i po chwili rozpląnął się w ciemności.

– To nie jest do końca... koszerne – powiedział Charles, kiedy po jakimś czasie za szybą pokazał się kampus uniwersytecki Frescati. – Prawda?

– Niewiele rzeczy dzisiaj jest – odpowiedział Paul. – Otwórz skrytkę – poprosił po chwili.

Charles wykonał polecenie. W środku był cienki, ale porządnie przygotowany zwitek banknotów. Trzeszczały mu pod palcami.

- Co to jest?
- Twoja część.

Próbował policzyć banknoty. Doszedł do trzydziestu tysięcy i się zgubił.

– W sumie skubnęliśmy ich na osiem dych – powiedział Paul. – Te dranie mają forsę jak lodu. I lepiej nie próbować dociekać skąd. Tak czy inaczej czterdzieści tysięcy jest dla ciebie. Jemu dałem dwadzieścia, drugie tyle zatrzymałem dla siebie.

– Czterdzieści? – Charles czuł, jak banknoty parzą mu rękę. – Dlaczego tak dużo?

– Zwykle dzielimy się po połowie. Potem połowę swojej działki daję ludziom takim jak Gert.

– Dlaczego?

– Bo... – Paul zmienił bieg i zatrzymał się przed czerwonym światłem. – Kiedyś potrzebowałem pomocy. Jak ty w swoim czasie. Jedynymi, którzy byli mi skłonni jej udzielić, byli ludzie pokroju Gerta.

- O co chodziło?
- W czym potrzebowałem pomocy?
- Tak.

Paul wrzucił luz.

- Nie powinienem o tym mówić.
- A chciałbyś?
- Nie. – Światło zmieniło się na zielone. – Nie chciałbym.

Charles znów dotknął banknotów.

Później dowiedział się, że Paula odebrano rodzicom, z dość niejasnych powodów, i umieszczono w rodzinie zastępczej, gdzieś pod Uppsalą. I właśnie tam spotkał Gerta.

Minęło sporo czasu, zanim się zorientował, kim był Gert, czy może raczej czego był częścią. Paul przekazywał pieniądze skrajnie prawicowemu ruchowi, w skład którego wchodziłi policjanci, wojskowi i cywile. Spotykali się od czasu do czasu w pewnym mieszkaniu na Starym Mieście. Paul nie robił tego z powodów ideologicznych, tylko dlatego, że mu za to płacono. Pozwalano mu zachowywać połowę. Na co ją przeznaczzał, tego Charles nie wiedział: ani wtedy, w 1980 roku, ani potem, cztery lata później. A ruch potrzebował pieniędzy na łapówki, żeby móc wywierać presję na różne osoby. Nienawidzili Palmego, najchętniej widzieliby go martwym. I to się nie zmieniło.

- Nie chcę ich – powiedział Charles. – Nie chcę brać w tym udziału.

Paul spojrział na niego z kamienną twarzą. Charles położył mu banknoty na kolanach.

- Weź je.
- Nie.

– Myślisz, że masz wybór? – Głos Paula był lodowaty. – Wiesz, co na ciebie mam. Wiesz, co mogę zrobić. – Podniósł plik. – Jesteś mi potrzebny – powiedział już nieco łagodniej. – Właśnie do tego. Wiesz, co dla ciebie zrobiłem. Uratowałem ci tyłek, do cholery. Uratowałem w a s.

- Nie mogę.
- Nie jestem twoim wrogiem, Charlie. Jestem twoim przyjacielem.

Charles wyglądał przez szybę, unikał wzroku Paula. Wiedział, że przegrał i że stało się to już dawno temu.

Nie protestował, kiedy Paul włożył mu banknoty do ręki.

Jest późny wieczór. Zza zamkniętych drzwi pokoju Mariki słysząc muzykę, powtarzające się dźwięki gitary i odbijające się echem synkopy, i głos śpiewający *just like the old days*. Załamujący się, pojękujący, jakby wokalistę ktoś pchnął nożem.

Marika nie potrafi zasnąć bez muzyki. Charles co wieczór musi do niej iść i wyłączyć aparaturę. Początkowo go to irytowało, ale z czasem uznał, że to jedna z najbardziej wartościowych chwil w jego życiu: wchodzi, wyłącza muzykę, a potem stoi w ciemności ze szklaneczką w dłoni i przygląda się córce, która leży w łóżku, zawsze na plecach, z kołdrą podciągniętą pod brodę, z włosami rozsypanymi na poduszce jak promienie słońca i z na wpół otwartymi ustami.

Siada na kanapie i wypija łyk, przygląda się leżącej na stole niewielkiej ciemnoczerwonej książeczce. Wie, że zaraz ją otworzy. A mimo to walczy ze sobą.

Zostawiła ją tam. Chce, żeby przeczytał.

Jest lżejsza, niż mu się wydawało. Opróżnia szklanke, odstawia ją. Ostry, narastający ból rozsadza mu skronie. Nie może się odprężyć. Ta książka to tak naprawdę coś w rodzaju notesu. Nie jest to dziennik ani pamiętnik, ale przy wpisach czy tekstach, czy jak je nazwać, Marika stawia daty. Przy pierwszym 8/3 1984. Píše codziennie albo co drugi dzień, aż do tego dnia. 25/9 1984. Jest zdziwiony, że pisze tak dobrze, że tak świetnie radzi sobie ze słowami. To pewnie dlatego, że tyle czyta. W pierwszym momencie duma rozsadza mu pierś, ale zaraz potem przychodzi wstyd.

Nawet nie wiem, w czym moja córka jest dobra.

Nie chce czytać. A jednak to robi, ale czyta tylko ostatni zapis. Więcej nie jest w stanie znieść. Przeciąga palcami po kartce, czuje słowa pod skórą. I odkłada książkę.

Ręce mu drżą, nie potrafi tego powstrzymać.

Umysł Mariki jest nieobliczalny, już od dobrych czterech lat. Trudno mu powiedzieć, jak sobie poradziła z tym, co się stało. Wie, że pamięta, ale nie wie jak dużo.

Nigdy jej o to nie pytał, nie odważył się. Wiedział, że pamięć bywa w takich przypadkach zawodna, działają naturalne mechanizmy wypierania. Poza tym czytał gdzieś, że młodzi ludzie zapamiętują traumatyczne przeżycia lepiej niż dorośli, bo wszystko przeżywają mocniej.

Teraz już wie. Wpatruje się w książkę.

Ona rzeczywiście wszystko pamięta.

Starając się nie robić hałasu, idzie do toalety i siada na podłodze. Płacze, niepohamowanie, może z tęsknoty.

październik 1965

Niedaleko Uppsali było kiedyś gospodarstwo. Pewnego późnego październikowego wieczoru w okolicy panowała tak wielka cisza, że można było pomyśleć, że jest opuszczone. Młody mężczyzna, który szedł szutrową drogą, wydawał się jedynie ledwie widocznym konturem.

Torba, która w drodze tutaj wydawała mu się ciężka i nieporęczna, była teraz zadziwiająco lekka. Kiedy przeskoczył przez płot i przeszedł przez ogród, poczuł drżenie w piersi. Był tam zaledwie kilka godzin wcześniej, ale miał wrażenie, jakby wracał z dalekiej podróży. Myślami był daleko.

Zatrzymał się przed domem z nieprzyjemnym uczuciem, że jest obserwowany. Kiedy się rozejrzył, zobaczył jedynie ciemność.

To pewnie taka pora, pomyślał. Taka, która budzi w nas niepewność.

Postawił torbę na ziemi i uklęknął. Otworzył ją i ostrożnie sięgnął po śrutówkę. Odłożył ją na bok i wyjął nóż myśliwski. Był ciężki, ale chwycił go tak, jakby to robił codziennie. Skóra przywarła do rękojęści, palce objęły ją mocno.

W jego głowie odbijały się echem różne głosy. Cztery lata dawały mu spokój. Nie przeszkadzały mu. Okazało się to możliwe, bo ludzie nigdy nie byli dobrzy i nigdy nie będą.

Kiedy wchodził do domu, serce nie biło mu jak oszalałe, pracowało spokojnie, rytmicznie, jakby go nawoływało do działania.

Wyszedł, ale wiedział, że nie skończył tego, czego się podjął. Musiał sobie zrobić przerwę. Było gorzej, niż się spodziewał. Więcej krwi. Miał ją na dłoniach, na policzkach, na twarzy, na ustach, wszędzie.

Otarł nóż o nogawki, wytarł go i splunął.

– Mogę ci pomóc – usłyszał głos z ciemności.

Cichy, skupiony, mówiący jakimś dziwnym dialektem. Przeszył go prąd.

– Nie – wyszeptał.

– Są tam pieniądze? – spytał mężczyzna.

– Tak.

– Kosztowności?

– Tak sądzę.

– Wiesz gdzie?

Młody mężczyzna skinął głową. Nóż w jego dłoni był gorący, ciężki.

– Idź i weź je. Włóż je do torby.

– Ale...

– Wiem, co robisz – przerwał mu. – I wiem, dlaczego to robisz. Ale jeśli mam ci pomóc, musisz przestać.

– Nie mogę – wyszeptał. – Jeszcze nie. – Odwrócił się w stronę domu. – Zostały mi jeszcze dzieci.

październik 1984

Wiem, co robicie. Zadzwoń na 08 180614 o 13.00.

Tak ktoś napisał na kartce, którą dostarczono dzisiaj do biura. Na kopercie zamiast nazwiska adresata był numer telefonu.

Numer telefonu Charlesa.

Paul siedzi przed nim na krześle dla gości i zaintrygowany obraca kopertę. Charles pali. Zaciąga się zachłannie, jak robią to ludzie zdenerwowani, ale on nie próbuje tego ukryć.

– Co to ma być? – pyta Paul.

– Groźba?

– Mam na myśli to, że na kopercie nie ma nazwiska adresata, tylko twój telefon.

– Pewnie nie wie, jak się nazywam.

– Myślisz, że to kobieta?

– Zakładam, że to ta sama osoba, która dzwoniła do mnie kilka tygodni temu. Opowiadałem ci o niej, o tej dziennikarce.

Charles pociera dolną wargę, strzepuje popiół z papierosa tak mocno, że żar odrywa się i spada na podłogę.

– Wkrótce będzie po wszystkim – mówi Paul. – Właściwie jesteśmy już gotowi. Muszę jeszcze tylko porozmawiać z rezydentem, żeby się przygotował. Zamiast myśleć o ryzyku, skupmy się na pieniądzach.

– Miała wysoki głos, ta dziennikarka – mówi Charles. – Chyba jest młoda.

Paul odkłada kopertę i przygląda się odręcznie napisanej kartce.

– Trochę rozchwiane pismo, przypomina pismo dziecka. To numer do budki telefonicznej?

– Na Dworcu Centralnym, na poziomie ulicy.

– Bardzo praktyczne rozwiązanie. – Uśmiecha się.

Charles dopala papierosa, wydmuchuje dym, patrzy, jak wędruje w górę, pod sam sufit.

Nachyla się nad biurkiem, podpira łokciami.

– Co zrobimy, jeśli się okaże, że ona naprawdę coś wie?

Paul składa kartkę, chowa ją do wewnętrznej kieszeni.

– Nie wiemy nawet, czy to ona. Zaczniemy od telefonu.

Drzwi za plecami Paula otwierają się gwałtownie, do pokoju wpadają głosy z korytarza: stukot maszyn do pisania, szybkie kroki, ktoś gdzieś idzie, głos, ktoś pyta, gdzie w Berlinie Wschodnim można kupić najlepsze papierosy. Na progu staje szef, wygląda świeżo, ma podwinięte rękawy, koszulę rozpiętą pod szyją.

– Levin i Goffman. Do mojego pokoju, natychmiast.

– Dowiedziałem się, że VAX-y znów są przenoszone, z magazynu przy politechnice do jakiegoś garażu w Skärmarbrink.

Opada na krzesło, odchyła się do tyłu, kładzie nogi na biurku. Na podeszwie jego buta został niedopałek papierosa. Żaden z nich nie zwraca mu na to uwagi.

– Tak? – mówi Paul. – To chyba dobrze.

– Denerwuję się. Chciałbym jak najszybciej mieć to z głowy. To trwa już dobre pół roku. – Szuka papierosa w kieszeni koszuli. Nie znajduje, rozgląda się zdezorientowany, aż w końcu Paul częstuje go swoim. – Dzięki. – Zapala go. – Macie rozwiązać ten problem.

– Śledzimy ich całą dobę – mówi Charles. – Ale jak dotąd nie widzieliśmy ani Öberga, ani Savolainena. Próbujemy ich otoczyć. Całą siatkę.

– To nie jest tego warte. – Szef uderza ręką w blat biurka. Twarz ma czerwoną. Jakiś długopis spada na podłogę. – To się musi skończyć! – wrzeszczy. Z ust leci mu ślina. – Natychmiast.

– To nie takie proste – mówi Paul.

– Nie mów do mnie tym tonem.

– Oczywiście. Przepraszam. Ale jeśli wziąć pod uwagę, co to za towar, to przeznaczaliśmy na to spore środki. Byłoby niedobrze, gdybyśmy nie byli w stanie przedstawić żadnych rezultatów. Niedługo będzie to możliwe. Ale potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

Szef mruczy coś pod nosem, zdyszany od niespodziewanego wysiłku.

– Tydzień – mówi. – Daję wam jeszcze tydzień. – Otwiera usta, ale nic nie mówi, zerka na ścianę, na której wisi w ramce elegancki kalendarz. – Macie czas do jedenastego października.

– Pewnie skończymy szybciej – mówi Paul.

– Chcę się ich pozbyć. Przeszkadzają mi.

– Nam też.

– Dobrze, a teraz nie chcę was już tu widzieć.

Charles owija się płaszczem i wchodzi do środka, od strony wiaduktu Klaraberg, żeby nie musieć przechodzić przez poczekalnię. Kiedy się zbliża do holu, słyszy przybierający na sile gwar. Jakiś głos odczytuje godziny odjazdów, drugi informuje o opóźnieniach. Charles trzyma ręce w kieszeniach i nikomu nie patrzy w oczy.

Na dole stoją w rzędzie trzy budki telefoniczne. Na górze jest tylko jedna. Wchodzi do niej, udaje, że wybiera numer, ale cały czas patrzy w dół. Wszystko dobrze widać. Uspokaja go to, ale na krótko.

Wychodzi z budki, sprawdza, która godzina, spogląda na tablicę na ścianie z godzinami przyjazdów i odjazdów, przygląda się długiemu szeregowi ławek.

13:27.

Marika. Przeczytał wpis w jej notesie i chciałby przeczytać również pozostałe. Za każdym razem, kiedy próbował, czuł między sobą a ciemnoczerwonym notesem dziwne napięcie. Notes był kluczem do innego czasu, innego życia, tego, które nigdy nie wróci.

13:28.

Nigdy nie przyprowadza do domu koleżanek. Bardzo rzadko idzie do kogoś po szkole. Tak mu się przynajmniej wydaje. Musi spytać Pauline. Może już ją nawet o to pytał, nie pamięta.

13:29.

Podchodzi do budki, podnosi słuchawkę i słyszy monotony sygnał.

Wyjmuje z kieszeni spodni monety, obraca je w palcach. W dole ludzie, mężczyźni i kobiety, mijają budki, ale nikt się przy żadnej nie zatrzymuje.

13:30.

Wkłada monetę, wybiera numer. Kolejne sygnały wybrzmiewają, przebijają się przez gwar, słyszy je nawet tam, na górze. Kątem oka widzi Paula: krąży bez planu po poczekalni z kubkiem kawy w ręku.

Poprawia okulary i nagle między ławkami widzi kobietę. Idzie szybkim krokiem, ma mały okrągły nosek, ostro zarysowany profil, jasnobrązowe włosy zaczesane na bok, z przedziałką. Opadają jej na ramiona. Ma na sobie dzinsy i tenisówki, i ciemnozieloną kurtkę do pół uda, która przypomina płaszcz od deszczu.

Wchodzi do środkowej budki i podnosi słuchawkę. Paul śledzi ją wzrokiem.

Wybrzmiewają kolejne sygnały.

– Halo? – mówi.

- Wiem, co robicie, i chcę porozmawiać.
- Ten sam głos, wysoki, wyraźny.
- Jak się nazywasz?
- Nie próbuj.
- Jeśli mamy rozmawiać, muszę wiedzieć, jak się nazywasz.
- I nawzajem.
- Nazywam się Frank Möller – mówi Charles.
- To twoje prawdziwe imię i nazwisko?
- A jak ty się nazywasz?
- Wiem różne rzeczy i chciałabym, żebyś to skomentował.
- Jesteś dziennikarką.
- A ty pracujesz dla służb.

Mówi szybko, bez wahania. Przygotowała się do rozmowy, wie, co mówić. Paul przechodzi obok budki, zerka na jej plecy. Charles mruga oczami i Paul znika.

– Zgadza się? – pyta kobieta.

Charles się waha. Frank Möller to jeden z ich oficerów operacyjnych, to znaczy jest oficjalnie zatrudniony, wydano odpowiednie dokumenty, ma nawet życiorys, tyle że nie istnieje. Istnieją jedynie jego dane na papierze. Używa się ich właśnie w takich sytuacjach jak ta.

– Tak. Zgadza się – mówi Charles.

– Czy to prawda, że obserwujecie dostawę VAX-ów przeznaczonych dla Niemiec Wschodnich?

– Proponuję się umówić i...

– Więc to prawda?

– Nie, ale chciałbym się z tobą spotkać i porozmawiać o twoich źródłach.

– To możemy zrobić później.

Źle to rozgrywa. Charles mruży oczy i spogląda na budkę telefoniczną. Kobieta rusza się jak ktoś młody i tak się zachowuje. Widać, że brakuje jej doświadczenia.

Głos podaje, kiedy odjedzie jakiś pociąg. Charles słyszy go wokół siebie, dochodzi do niego z głośników, słyszy go w słuchawce. Widzi, jak kobieta sztywnieje.

Wie, że tu jestem, myśli. Wie, że jestem gdzieś w pobliżu.

– Skąd znasz dyrektora Sunitronu, Svena-Olofa Håkanssona? – pyta. Stara się zachować obojętny ton, ale jej to nie wychodzi.

Charles wie, że ona wie.

Odkłada słuchawkę na widełki i patrzy na aparat i na nią, w budce na dole. Wydaje się zdziwiona. Po chwili odkłada ostrożnie słuchawkę, rozgląda się i wychodzi.

Trzynasta trzydzieści dwie.

W ułamku sekundy Paul staje obok niej, idzie kilka kroków za nią z kubkiem kawy w ręce. Podąża za nią, kiedy wychodzi z hali dworca.

wrzesień 1971–sierpień 1972

Kocham ją, pomyślał. Naprawdę ją kocham.

Rozumiał to, ale dopiero kiedy podjął decyzję o przeprowadzce, dotarło do niego w pełni, na co się zdecydował. Jego sztokholmski szef, Sivertsson, wymamrotał coś pod nosem, kiedy poinformował go o swojej decyzji.

– Zawsze odchodzą ci najmdirzejsi – powiedział. – Ale po raz pierwszy zdarza się, żeby ktoś odchodził do takiej dziury. Czyżby cię nawrócili ci pomyleni Zieloni?

– Nie.

– Tak czy inaczej, bardzo nad tym ubolewam.

– Przykro mi.

Sivertsson się roześmiał, głośno, szczekliwie.

– Wcale nie jest ci przykro. Ale życzę ci powodzenia.

Charles nie miał nic przeciwko rozstaniu z kolegami, ale wiedział, że Sivertssona, Lisa z Högdalen, będzie mu brakować.

Jego rodzice byli zszokowani, ale starali się udawać, że są po prostu zaskoczeni. Robił, co mógł, żeby ich uspokoić. Postarał się nawet, żeby poznali Evę. Przyjechała do Sztokholmu na urlop. Spędzili razem dziwny wieczór. Mark się śmiał, może z nich, a może po prostu bawiła go ta sytuacja.

– Lubię Marka – stwierdziła Eva, kiedy już było po wszystkim. – Ale twoich rodziców nie potrafię rozgryźć.

Podczas obiadu siedzieli przy stole i próbowali zrozumieć, co Eva mówi. Dialekt z Bruket brzmiał w ich uszach jak obcy język. A jeśli już udało im się coś zrozumieć, najwyraźniej mieli problem ze zrozumieniem treści.

– Nie jesteście nawet małżeństwem – powiedziała cicho mama. – To niepojęte.

– Tak, jeszcze nie jesteśmy małżeństwem – powiedział Charles. – Ale zamierzamy się pobrać.

– To byłoby... – zaczął ojciec i urwał. – Mieszkać razem przed ślubem... – dodał po chwili. – To dość drastyczne posunięcie.

– Drastyczne? – powtórzył Charles.

– Tak. Drastyczne.

Mark zaczął się śmiać. Charles westchnął. Eva nie bardzo wiedziała, co zrobić z rękami.

– Nie myśleliście, żeby... – zaczął znów ojciec. Zawahał się. – Masz tu dobrą pracę, przyjemne życie. A ty gdzie pracujesz? – zapytał Evę. – W sklepie, tak?

– W markecie – powiedział Charles przez zaciśnięte zęby. – Przed chwilą to powiedziała.

– Pozwól mi mówić samej, kochanie. – Eva położyła rękę na jego dłoni i spojrzała na jego ojca. – Tak, pracuję w sklepie samoobsługowym.

– Nie ma w tym nic złego, to dobra praca – odpowiedział ojciec. – Ale nie moglibyście... Nie moglibyście zamieszkać tutaj? – wydusił w końcu. Odchrząknął i spojrzał na kobietę, która od dwudziestu dziewięciu lat była jego żoną. – Dobrze mówię?

– Tak – odpowiedziała matka i wzięła głęboki oddech.

No i się zaczęło. Byłoby lepiej, gdyby się nie przeprowadzał, tylko gdyby to Eva przeprowadziła się tutaj. Na początku mogłaby zamieszkać u niego, rodzice pomogliby im znaleźć większe mieszkanie, nie potrzebowaliby samochodu, poza tym tu jest więcej miejsc, w których mogłaby pracować, nawet w najbliższej okolicy są dwa duże sklepy...

– Mamo, ale my nie chcemy. Ja nie chcę. Mam dwadzieścia cztery lata, nie jestem już dzieckiem.

– Tak, wiem. – Matka wstała i zaczęła zbierać filiżanki z niedopitą kawą. – Wszystko wiem, ale na taki pomysł mogło wpaść tylko dziecko!

Mark zaczął przewracać oczami, Eva ścisnęła dłoń Charlesa. Charles westchnął. Pomyślał, że właśnie w tym momencie się od siebie oddalają: on i jego rodzice.

Zaciągnął Evę do łazienki. Matka hałasowała za ścianą. Zmywała. Przycisnął Evę do ściany. Miała na sobie długą niebieską suknię. Kiedy uniosła ją do bioder, zobaczył, że nie ma na sobie majtek. Widział jedynie trójkąt gęstych włosów i blade gładkie nogi.

Uśmiechnęła się, a on poczuł, że za chwilę oszaleje. Ale natychmiast spoważniał.

– Są dziwni, ale pewnie po prostu chcieliby mieć cię blisko siebie – tłumaczyła mu.

– Wiem.

– To nic dziwnego. Jesteś ich synem.

– Wiem.

Pogładziła go po policzku, a po chwili odwróciła się do niego plecami.

– Mocno – powiedziała, jakby wiedziała, czego potrzebuje. – Tak mocno, jak potrafisz.

Więc rzucił się w nowe życie, jak we wszystko, co było dla niego ważne. Kiedy podejmował tę decyzję, był bardzo młody i nie zostawiał za sobą nic, co miałyby dla niego jakąś wartość.

Był przekonany, że zaczyna nowe życie, a jeśli nie, to przynajmniej spędzi miło czas w oczekiwaniu na nie.

Huta szkła widziana z lotu ptaka przypominała niewielkie miasteczko, z miejscami parkingowymi i drózkami łączącymi poszczególne budynki. Idąc rano do pracy drogą z osady do miasta, gdzie była komenda, mijał wielki parking. Widział, jak ludzie wysiadają z samochodów i niemal gęsiego ruszają w stronę głównego budynku. Szli wyprostowani, w rękach mieli śniadaniówki, czasem ktoś niósł plecak. Czasem, jeśli udało mu się wrócić do domu wcześniej, widział, jak po pracy wychodzą z głównego budynku, zgaszeni, powolni, jakby dźwigali ciężar większy niż ciężar całego dnia pracy.

Przyjechał do Bruket, ale był obcy, i tak już zostało. Z czasem nawiązał jakieś znajomości, a jeden z majstrów z huty, Lars-Erik Sunesson, zaprosił go nawet do domu, kiedy znalazł jego skradziony samochód. Był sympatyczny, ale istniało między nimi jakieś napięcie. Zachowywał się tak, jakby był mu coś winien. Poznał też innego mieszkańca osady, Pettera Aspgrena. Było to pewnego popołudnia, kiedy stał w kolejce w markecie. Aspgren pracował w hucie, odpowiadał za komunikację wewnętrzną. Był niski i drobny, ale charakter miał silny. Można mu było ufać.

Przez pierwsze lata Charles walczył o posadę na komisariacie w Bruket, ale komisariat miał niewielu pracowników, a kiedy się zwalniało jakieś miejsce, zawsze znajdował się ktoś chętny wśród znajomych. Tak po prostu było. Zastanawiał się, czy nie zrezygnować z pracy w policji i nie poszukać sobie pracy w hucie, ale Eva odwiodła go od tego pomysłu.

– Jesteś urodzonym policjantem. Nic innego nie byłbyś w stanie robić – przekonywała go, a on wiedział, że ma rację.

Dom, do którego się wprowadził, szybko stał się również jego domem, jego skorupą. Eva Alderin została Evą Levin. Ceremonia była krótka, oprócz nowożeńców uczestniczyło w niej jedynie kilka osób.

– Idealny. To był idealny dzień – wyszeptała Eva w nocy.

Powiedziała też, że się cieszy, że zmieniła nazwisko. Jakbym zmieniła skórę, dodała. Zaczął jej rosnąć brzuch. Kiedy Charles go dotykał, czuł lekkie falowanie.

A potem pewnego dnia nagle ruszyli do szpitala. On prowadził. Ona siedziała obok niego. Kiedy przychodziły skurcze, mocno ścisnęła jego dłoń. A gdy kilka godzin później na świat przysła ich córeczka, świat zrobił koziołka i nagle zastygł w bezruchu. Dziewczynka była śliczna. Miała oczy matki i ciemne włosy ojca...

Kiedy to odkrył, byli już ze sobą mocno związani. Kiedy rano wychodził do

pracy, Eva spała z Mariką przy piersi. Kiedy dziewięć godzin później wrócił do domu, zastał je w tej samej pozycji.

– Przeleżałaś tak cały dzień?

– Mm... – Głos Evy był pusty, mechaniczny. – Trzeba ją przewinąć.

Dziecko nie płakało, nie krzyczało, oglądało swoje rączki i gaworzyło.

– Nie zmieniałaś jej pieluchy?

– Tylko raz. – Eva zamrugnęła oczami. – Nie miałam siły.

– Wszystko w porządku? – Charles usiadł na krawędzi łóżka i wziął Marikę na rękę. – Jesteś chora?

– Chyba nie. – Eva spuściła wzrok, patrzyła na swoje dłonie. – Jestem tylko... jestem bardzo zmęczona.

Słyszał o depresji poporodowej, więc się domyślił, co się dzieje z jego ukochaną. Zdziwił się jednak, kiedy następnego dnia odzyskała energię i znów śmiała się jak zawsze. Kiedy ją pocałował, odwzajemniła pocałunek z dawną żarliwością.

Ta sprawa pozostała dla niego tajemnicą. Zdarzały się dni, kiedy Eva działała jakby na wolniejszych obrotach. Zapadała się w siebie, stawała się nieobecna, wręcz apatyczna. Trwało to dzień, dwa, góra trzy, po czym wracała do formy.

Próbował sobie z tym radzić, oboje próbowali.

– Jesteś dzisiaj moją małą ciemnością? – pytał łagodnie, stając obok kanapy, na której leżała, patrząc przed siebie, z córeczką przy piersi.

– Mm... – mamrotała i uśmiechała się.

Trzeba trochę czasu, żeby poznać drugiego człowieka. Niestety jeszcze więcej czasu trzeba, żeby poznać samego siebie.

Mała ciemność. To określenie szybko stało się ich szyfrem, takim, jakie ma wiele par, czymś, co rozumieli tylko oni.

– Kocham cię – mówił. A kiedy ona się uśmiechnęła, zrozumiał, po raz pierwszy, że on też jest kochany.

On miał dwadzieścia pięć lat, ona dwadzieścia trzy. Byliśmy tacy młodzi, myśli, kiedy czasem pozwala sobie wrócić do starych fotografii.

czerwiec 2014

Krew, uświadamia sobie Tove, kiedy starszy pan otwiera jej drzwi. Niech to szlag, mam pod paznokciami jego krew, zżyma się.

Ale mężczyzna nie zauważa brunatnoczerwonych plam. Uśmiecha się tylko łagodnie i patrzy na nią smutno.

– Przykro, że odszedł – mówi. – Był dobrym człowiekiem.

Podają sobie ręce, Tove chowa swoje do kieszeni.

W dzień świętego Jana tuż po wpół do dziesiątej przed południem są tu tylko oni i jeszcze jeden mężczyzna. Siedzi w samochodzie na rynku i śpi.

Mężczyzna, który prowadzi firmę, nazywa się Petter Aspgren, a jego działalność to tak naprawdę pozostałość po czasach świetności huty w latach siedemdziesiątych. Wtedy biuro znajdowało się na terenie huty, a jego zadaniem było obsługiwanie całkiem obfitej wewnętrznej korespondencji na terenie zakładu. Z czasem Aspgren rozwinął działalność i kiedy huta została zlikwidowana, postanowił ją kontynuować. Przeniósł się do lokalu przy rynku i do tej pory ma tam firmę.

Kiedy urząd pocztowy zniknął, a listów i paczek zaczęło ubywać, zaczął proponować klientom tanie kopiowanie, wynajem skrytek pocztowych, a także możliwość odbierania większych paczek. Jest typem człowieka z dawnych lat: miły pan, którego się odwiedzało, kiedy mama szła odebrać pocztę.

Jedna ze ścian jest pokryta skrytkami pocztowymi, zimnymi, metalowymi. Drugą wypełniają przykłady jego rękodzieła: kopie obrazów, rysunków, plakatów i ulotka z dwa tysiące piątego roku informująca o demonstracji przeciwko likwidacji miejscowego hotelu. W jednym kącie pokoju stoją duża milcząca kopiarka i drukarka, w drugim jest niewielka lada, za którą widać drzwi prowadzące do mniejszego pokoju.

Aspgren zdejmuje granatową czapkę z daszkiem, przeciąga palcami przez włosy, przez tę resztkę, która mu jeszcze została, i znów wkłada czapkę. Jest niski, drobny, ma sumiaste srebrzystobiałe wąsy i okulary w kanciastych oprawkach.

– Właśnie dlatego zadzwoniłem – mówi. – Powinienem się odezwać wcześniej, ale prawdę mówiąc, nie przyszło mi to do głowy. Ale dzisiaj w nocy obudziłem się i długo nie mogłem zasnąć. To przez te upały. Leżałem

i przewracałem się z boku na bok i nagle coś mnie oświeciło. – Puka się w skroń.

– Zacząłem się zastanawiać, co mam zrobić z jego skrytką.

– Charles Levin miał tu skrytkę?

– Tak. – Aspgren wskazuje palcem na skrytkę oznaczoną numerem trzysta osiemdziesiąt dwa. – Zacząłem wynajmować skrytki, żeby związać koniec z końcem. Czasy są trudne. Tak czy inaczej, ta należała do niego.

– Wynajmował ją od pana?

– Tak. Problem polega na tym, że nie mogę się do niej dostać. Musiałbym wyważyć drzwiczki. Klucz jest tylko jeden.

I jest w mojej kieszeni, pomyślała Tove. Leo znalazł go wczoraj, w domu Levina. Zanim zrobiłam mu z twarzy miazgę, dodaje w myślach. Na samo wspomnienie czuje, że bolą ją knykcie, ale sprawia jej to nawet przyjemność. Tak długo na to czekała. Postąpiła tak, jak powinna.

Oszukał ją. Pomyślała, że może został czasowo przesunięty z wydziału zabójstw do Krajowej Policji Kryminalnej. Dobrze znał Levina, więc mógł się okazać pomocny. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że nikt z policji nie pozwoliłby, żeby w dochodzeniu uczestniczył ktoś, kto był tak blisko związany z ofiarą. I wtedy chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła do Sztokholmu.

Zastanawia się, czy będzie miała przykrości, jeśli się okaże, że dopuściła do dochodzenia kogoś nieuprawnionego. Zaciska mocno pięści.

Jeśli będzie miała przykrości, to on na pewno będzie miał większe.

Sama myśl o tym sprawia, że wszystko nagle wydaje jej się trochę łatwiejsze.

Przygląda się błyszczącemu zamkowi. Ma nadzieję, że kluczyk będzie pasował. Nie podoba jej się, że to on go znalazł, że oni go przeoczyli. Jeszcze gorzej będzie, jeśli kluczyk okaże się istotny.

– Wie pan, co tu trzymał?

Skrytka nie wygląda na dużą, ale może jest głęboka.

– Wszystkie mają standardową wielkość. Taką jak zwykle skrzynki na listy. Ale nie mam zielonego pojęcia, co w niej trzymał. To nie moja sprawa. Nie wchodzę w takie rzeczy. I dlatego cieszę się zaufaniem – dodaje.

– Czy po jego śmierci ktoś tu był i pytał o skrytkę?

– Nie. Nikt.

– A pan jest tu sam?

– Zgadza się. To jednoosobowa firma.

– Jak długo miał tę skrytkę?

– Zaraz ci powiem – mówi starszy pan i wyraźnie podniecony, że jednak może w czymś pomóc, idzie do pokoiku za ladą. – Zaraz wracam – rzuca.

Tove wychodzi na słońce, bierze z samochodowej skrytki lateksowe rękawiczki. Przynajmniej nie będzie widać paznokci. Kiedy wraca, Aspgren pokazuje jej coś kościstym palcem w grubym segregatorze.

– Dwudziestego pierwszego maja wynajął skrytkę numer trzysta osiemdziesiąt dwa. Cały czas wynajmował tę samą – mówi i przeciąga palcem po kartce. – Nie ma żadnych adnotacji, co znaczy, że nic nie zwróciło mojej uwagi.

– Dobrze, dziękuję.

Dwudziestego pierwszego maja. Niemal zaraz po tym, jak się tu przeprowadził.

– Często tu bywał?

– Owszem – przytakuje Aspgren. – Przychodził codziennie rano i po południu.

– W ostatnią środę też był?

– Tak, dwa razy.

Tove wyjmuje z kieszeni tekturową kopertę. Otwiera ją i ostrożnie wyjmuje mały kluczyk z resztką taśmy klejącej.

– To może być ten kluczyk?

Aspgren robi wielkie oczy, jest zaskoczony.

– Tak.

Tove odrywa od kluczyka resztki taśmy, wkłada go do zamka i przekręca.

Szlag. Pasuje.

– Chciałabym na chwilę zostać sama.

– Tak, oczywiście. Mam co robić, muszę nadgonić księgowość. Proszę powiedzieć, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Odchodzi. Tove zagląda do skrytki.

Jest pusta.

Mruży oczy. Nie, nie do końca. Ostrożnie wkłada rękę do środka, czuje pod palcami coś niewielkiego, kanciastego.

Otwiera okno. W sali konferencyjnej powinno być otwarte całą dobę, żeby chłodne nocne powietrze mogło ją schłodzić, ale do obowiązków nocnego strażnika należy sprawdzenie, czy wszystkie szafy, drzwi i okna są zamknięte. Tove się zastanawia, czy strażnik nie dałby się przekupić.

Włącza laptopa, wpisuje hasło i czekając, aż laptop zacznie pracować, wyjmuje to, co znalazła w skrytce Levina. Czerwonego pendrive'a. Mniejszego od zapalniczki. Kiedy laptop jest gotowy, podłącza go.

Na ekranie wyświetla się jeden katalog, zatytułowany *text*. Zawiera kilka podkatalogów, oznaczonych liczbami: 77, 80, 81, 82, 83 i 84. To pewnie daty. Jest też plik dźwiękowy. Odczytuje jego nazwę i czuje, jak skręca jej się żołądek.

Plik jest zatytułowany *leo*.

Nagranie jest krótkie, nie trwa nawet kwadransa. Słucha go dwa razy, w nadziei, że uda jej się rozróżnić głosy, uporządkować to, co słyszy. Próbuje coś notować.

Jeden z głosów należy do Levina, drugi do kogoś, kto najwyraźniej ma na imię Paul. Jest jeszcze trzeci głos. Też należy do mężczyzny, ale jego imię nie pada.

Tove otwiera pusty dokument tekstowy, znów włącza plik i spisuje rozmowę tak dokładnie, jak tylko potrafi.

Robi kopię i wyłącza komputer, wkłada pendrive'a do kieszeni, wychodzi na zewnątrz, zapala papierosa i zastanawia się, co dalej.

Nie do końca jest w stanie się zorientować, o czym mówią, ale rozumie dostatecznie dużo, żeby się zaniepokoić. Plik został nazwany jego imieniem. Zastanawia się, czy Leo wie, co na nim jest. A może byłby w stanie usłyszeć więcej niż ona? W końcu znał Levina.

Kim jest Paul?

Próbuje usunąć z paznokci resztki zaschniętej krwi. Niech to szlag. Powinna była porządniej umyć ręce.

W Bruket powoli budzi się nowy dzień, poranek świętego Jana. Tove opuszcza centrum, mija domki stojące wzdłuż Alvavägen. Ludzie mają otwarte okna i drzwi, jedzą śniadanie na zewnątrz, na słońcu. W powietrzu rozchodzi się zapach kawy i trawy, słychać krzyk dzieci i śmiech dorosłych. Przy domu Levina nie ma ani Leo, ani jego starego samochodu, została tylko niebiesko-biała plastikowa taśma.

Tove mija kolejne ulice, przemierza odległe zakątki osady, dojeżdża do skraju lasu i wraca do centrum. Jedzie dalej w drugą stronę: dociera do terenów dawnej huty szkła. Wypatruje wyblakłego opla. Powinna była zapisać numer jego komórki i numer rejestracyjny samochodu. Czuje pulsowanie w skroniach i narastający strach: co zrobi, jeśli go znajdzie? I co zrobi, jeśli go nie znajdzie?

Tereny huty są rozległe. Tuż po likwidacji zarządzono przegląd całego terenu i okazało się, że mieszkają tam nie tylko zwierzęta: lisy i dzikie koty, ale i ludzie. Wtedy nie było jeszcze tylu bezdomnych. Tych, którzy zdążyli się zdomowić w dawnej hucie, przepędziła policja. Ich i mieszkające tam zwierzęta.

Tove skręca w lewo, jedzie wzdłuż wysokiego ogrodzenia i nagle go widzi.

Samochód stoi przy ogrodzeniu. Wygląda na to, że kierowca szukał cienia pod rosnącymi wzdłuż drogi potężnymi drzewami. Ukryty pod rozłożystymi

gałęziami samochód przypomina opuszczoną maszynę z dawnej huty.

Tove parkuje przy drodze, wysiada, zarzuca torbę na ramię, wchodzi pod gałęzie i podchodzi do stojącego pod nimi samochodu. Od strony kierowcy. Samochód wygląda na pusty, ale po chwili dostrzega w środku jakiś ruch.

Kot. Miauczy i spaceruje ostrożnie po piersi mężczyzny. Tove pochyla się, niemal dotyka nosem szyby.

Prawa ręka Leo, poplamiona zaschniętą krwią, próbuje odgonić kota, bez skutku. Może jest za słaby, a może kot jest zbyt zwinny.

Leo rozłożył fotel, na tyle, na ile to było możliwe w tym niewielkim samochodzie. Widać, że krew z rozciętej wargi spływała mu po brodzie i po szyi, poplamiała górną część T-shirtu.

To ja to zrobiłam. To przeze mnie tak wygląda.

Drzwi od strony kierowcy są zamknięte. Tove postanawia zapukać w szybę: puka dwa razy.

Leo podnosi głowę, jego twarz wykrzywia grymas. Po chwili znajduje pokrętło i podnosi fotel. Bardzo powoli.

Kiedy osiąga pozycję pionową, słońce trafia go w twarz. Zamyka oczy i jęczy. Przez zamkniętą szybę dźwięki brzmią głucho.

– Kot – wykrztusza w końcu, charcząc. Kiedy otwiera drzwi, z ust sączy mu się krew. – Kot nie ma wody.

Tove patrzy na niego i nie potrafi powiedzieć, co czuje. Ale cokolwiek czuje, wie, że musi zapalić papierosa.

– Możesz przesunąć samochód?

Leo przesuwa dłonią po brodzie, ściera świeżą krew.

– Mmh?

– Możesz podjechać kawałek dalej i skręcić w bok, żebym mogła wejść od drugiej strony?

Leo nie jest w stanie skupić wzroku. Patrzy na Tove, na jej oczy, ramiona, potem znów na twarz.

– Dlaczego? – pyta.

– Żebym mogła usiąść obok ciebie.

– Po co?

– Możesz to zrobić?

– Kręci mi się w głowie.

Tove zamyka drzwi od strony kierowcy, Leo włącza silnik i zaczyna powoli skręcać. Tove cofa się, samochód wykonuje trzy podskoki i w końcu staje, przodem do drogi. Tove obchodzi go i otwiera drzwi od strony pasażera. Bierze kota na rękę, siada w fotelu i zamyka za sobą drzwi.

W kabinie jest duszno, woń potu miesza się z zapachem metalu i starej tapicerki. Kot przelewa jej się przez rękę, puszcza go na podłogę.

– Nie, nie puszczaj go – prosi Leo grubym głosem.

Tove podnosi kota, Leo otwiera drzwi, opiera się o kierownicę i wychyla się na zewnątrz. Słysząc, jak wymiociny uderzają o ziemię.

Tove przygląda się kotu, a on posyła jej niezgłębione spojrzenie. Leo wzdycha, zamyka drzwi, ostrożnie opiera głowę o zagłówek, bierze głęboki oddech.

– Okropnie się czuję. – Patrzy na kotka na jej kolanach. – Na tylnym siedzeniu jest miseczka i mały pojemnik z wodą. – Patrzy na nią nieco bardziej przytomnie. – Mogłabyś...

Tove znajduje pojemnik, nalewa wody do miseczki i stawia ją u swoich stóp. Kotek zeskakuje jej z kolan i zaczyna pić, łapczywie i głośno.

– Jak się wabi?

– Kit. – Milczenie. – Przyjechałaś tu... – zaczyna i przerywa. Musi zaczerpnąć powietrza. – Przyjechałaś tu, żeby mnie zabić?

– Co?

– Tak wczoraj mówiłaś. Że jeśli znów mnie zobaczysz, to...

Nie kończy zdania.

– Nie, nie dlatego – odzywa się Tove po chwili.

Leo poprawia lusterko i przygląda się swojej spuchniętej twarzy, fioletowym sińcom na czole i na policzku.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale zdarzało mi się wyglądać gorzej.

Tove opiera się nagłemu impulsowi: chce mu zrobić krzywdę.

Leo sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjmując plastikową fiolkę, zdejmując zakrętkę i stwierdza, że fiołka jest pusta.

– Więc czego chcesz? – pyta.

– Ja... – zaczyna Tove, ale nie kończy.

Naprawdę powiedziała, że chce go zabić? A może on kłamie?

Kit przestaje pić, układa się na podłodze u jej stóp.

– Rano odebrałam telefon – mówi Tove i opowiada mu o pendrivie, który znalazła w skrytce pocztowej Levina.

Leo opuszcza szybę.

– Co na nim jest?

– Katalog zatytułowany *text*. Zawiera mnóstwo dokumentów i plik dźwiękowy: *leo*.

– Naprawdę?

– Jakbyś nie wiedział.

– Nie wiedziałem.

Tove otwiera torbę, wyjmując laptopa i włącza go. W ciszy kabiny wiatrak wydaje się szumieć wyjątkowo głośno.

– Spisałam wszystko, ale pewnie wolisz posłuchać.

– Kluczyk.

– Co z nim?

– Od czego był? Od skrytki?

– Tak.

Tove wyjmując z kieszeni pendrive'a i niechcący trąca nogą Kita. Kotek unosi łebek, przekrzywia go, patrzy na nią obrażony, po czym znów układa się przy jej stopach.

[Trzaski, szuranie. Słysząc, jak otwierają się drzwi]

CHARLES: Cześć. Przepraszam za spóźnienie, ale byłem w [niewyraźnie, szelest]...

PAUL: Cześć, Charlie.

CHARLES: Myślałem, że będziemy tylko my dwaj. Tak się chyba umawialiśmy?

MEŹCZYŻNA: To prawda [odkasłuje], wiem, że tak się umawialiśmy, ale potem doszedłem do wniosku, że zaproszę też Paula. W tej sytuacji tak będzie lepiej.

CHARLES: Ach tak.

[Trzaski, szuranie. Levin siada?]

PAUL: Dobrze znów cię widzieć, Charlie. Co z tobą?

CHARLES: W porządku, tylko zrobiło się trochę zamieszania.

PAUL [śmieje się]: Domyślam się, że w wydziale dochodzeń wewnętrznych wieją teraz zimne wiatry.

MEŹCZYŻNA: Napijesz się kawy? Poproszę sekretarkę, żeby...

CHARLES: Nie, dziękuję.

MEŹCZYŻNA: Proponuję przejść do rzeczy. Co mogę dla ciebie zrobić, Levin?

[milczenie]

CHARLES: Ja... [odchrząkuje] Wiem, że może to zabrzmieć niegrzecznie, ale wolałbym porozmawiać o tym w cztery oczy.

MEŹCZYŻNA: Rozumiem, ale ja chciałbym, żeby Paul przy tym był. O ile nie masz nic przeciwko temu.

CHARLES: Dlaczego, jeśli wolno spytać?

MEŹCZYŻNA: To wyniknie z rozmowy.

CHARLES: Nie miej mi tego za złe.

PAUL: Oczywiście, że nie. Ta sytuacja jest dziwna dla nas wszystkich.

MEŹCZYŻNA: Proponuję zacząć.

CHARLES: No cóż... chciałbym, żebyśmy to jeszcze raz omówili.

MEŹCZYŻNA: Co konkretnie masz na myśli?

CHARLES: Chodzi o nowy nabytek wydziału. Nie rozumiem tej decyzji. Żebym mógł odpowiedzieć na pytania moich ludzi, zwłaszcza gdyby coś poszło nie tak... chodzi też o związek zawodowy policjantów i prasę, to...

MEŹCZYŻNA: Oczywiście.

CHARLES: Byłoby dobrze, gdybym wiedział coś więcej.

MEŹCZYŻNA: Pełna zgoda.

CHARLES: No więc... [milczenie] Chcecie, żebyśmy przejęli Junkera.

MEŹCZYŻNA: Zgadza się. Chodzi o to, że... [szuranie, trzaski] Zakładam, że to, o czym rozmawiamy, nie wyjdzie poza ten pokój.

PAUL: Wszystko zostanie w tych czterech ścianach.

CHARLES: W porządku.

MEŹCZYŻNA: Dobrze. Dostałem polecenie z góry. Mam nadzieję, że rozumiesz, co to znaczy. Mam zrobić coś z tym, co się dzieje w wydziale dochodzeń wewnętrznych. To właśnie dlatego kierownictwo uznało, że jesteś odpowiednim kandydatem na szefa. To chyba oczywiste?

CHARLES: Tak.

MEŹCZYŻNA: Musimy zacieśnić współpracę z informatorami, a to oznacza dla nas większe ryzyko. Dlatego...

CHARLES: Tak, przepraszam, że wchodzę ci w słowo, ale tego właśnie dotyczy moje pierwsze pytanie. Wspominałeś o tym także poprzednim razem. Chciałbym, żebyś sprecyzował, co to znaczy, że ryzykujemy więcej.

[milczenie]

PAUL [chrząka]

CHARLES: Jeśli to możliwe oczywiście...

MEŹCZYŻNA: Oczywiście. Chciałbym to powiedzieć wyraźnie, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości. Kierownictwo, które zgadza się na to, żeby policja działała na granicy prawa – powtarzam: na granicy... Dodam, że ta granica jest w praktyce bardzo trudna do zdefiniowania, o czym dobrze wiesz, jest kierownictwem wrażliwym politycznie. Jeśli coś się stanie, wszyscy ryzykujemy utratę stanowisk. Twoja sytuacja będzie chyba najtrudniejsza.

CHARLES: Jestem świadom tego, jak wygląda moja sytuacja.

MEŹCZYŻNA: Z drugiej strony jeśli zrezygnujemy z takich metod pracy, nie osiągniemy celów, które sobie postawiliśmy. Nie poradzimy sobie z przestępczością zorganizowaną. Dostaliśmy większe środki, ale musimy się wykazać wynikami. Może jest jakaś sensowniejsza, bezpieczniejsza czy nawet skuteczniejsza, nazwij to, jak chcesz, metoda pracy z informatorami, ale w tej chwili nic takiego nie widzę.

CHARLES: Co dowodzi, że oczekiwania polityczne wobec nas są nierealne.

MEŹCZYŻNA: I co w związku z tym? Jesteśmy urzędnikami państwowymi, Levin. Biurokratami. To wszystko. Jeśli wziąć pod uwagę założenia, to jedyne możliwe rozwiązanie.

CHARLES: I to rozwiązanie... I tu moja druga prośba do ciebie. Chciałbym, żebyś potwierdził, że jeśli dobrze zrozumiałem, to – przepraszam, że powiem to wprost – ale jeśli dobrze zrozumiałem to, o czym rozmawialiśmy poprzednio, to

chcesz, żebyśmy postawili kogoś na bramce, tak? Kozła ofiarnego, na którego spadnie cała wina, jeśli któraś z operacji się nie powiedzie.

MEŹCZYŻNA: Bardzo [milczenie] brutalnie stawiasz sprawę. To szalenie ważna kwestia, Levin. Chcę podkreślić, że ani ja, ani nikt z kierownictwa na serio nie zakłada, że tak się stanie. Ale przyznaję, że nie jest to standardowe rozwiązanie w przypadku ewentualnych komplikacji.

CHARLES: W notatce napisałeś: gdyby doszło do kompromitacji podczas którejś z naszych operacji. To mało klarowne stwierdzenie.

MEŹCZYŻNA: To niefortunne sformułowanie i nieprawdziwe. Powinno być: gdyby któraś z naszych operacji zakończyła się katastrofą. Pamiętajcie, że takich ryzykownych operacji mamy jedną, może dwie rocznie. Obecnie wy też jesteście w nie zaangażowani, więc wydaje się naturalne, że występujący w nich aktorzy powinni być związani z wami.

CHARLES: Załóżmy, że jednak coś pójdzie nie tak i że będziemy musieli wykorzystać naszego kozła ofiarnego. W takiej sytuacji bardzo szybko okaże się, że to ktoś od nas. To poważnie podważy zaufanie do całej jednostki.

MEŹCZYŻNA: Założenie jest takie, że światła reflektorów skierują się na tę konkretną osobę, nie na jednostkę jako taką. To nasz podstawowy cel. Całe zainteresowanie i całą dyskusję należy odpowiednio ukierunkować. Innymi słowy chodzi o sposób radzenia sobie w sytuacji kryzysowej i odpowiedni PR.

CHARLES: Nie brzmi to zbyt przekonująco.

MEŹCZYŻNA: Wiem, Levin. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy w pułapce. I nikt nie chce się zbliżyć do ognia, żeby nie spłonąć. Niestety, jeśli nagle wybuchnie pożar, to jakaś część organizacji na pewno poniesie straty. Tak czy inaczej, przedstawiłem wam naszą propozycję. Mogę też zapewnić, że człowiek, którego wam proponujemy, doskonale się nadaje do tego celu.

CHARLES: Tyle że to mu może zniszczyć życie.

PAUL: Mogę spytać [trzaski], przepraszam, że przerywam, ale...

MEŹCZYŻNA: Nic nie szkodzi.

PAUL: Dziękuję. Chciałem spytać, dlaczego nie weźmiecie pierwszego lepszego drania.

MEŹCZYŻNA: Komuś takiemu nie moglibyśmy zaufać. To by nie zdało egzaminu.

PAUL: Więc któregoś z informatorów?

MEŹCZYŻNA: Są zbyt ważni, przepraszam, że tak mówię.

PAUL: Rozumiem. [milczenie] Leo Junker, o niego chodzi, tak?

MEŹCZYŻNA: Tak.

PAUL: Dlaczego uznaliście, że będzie najlepszy?

MEŹCZYŻNA: Kilka lat pracował z Levinem w wydziale zabójstw. To znaczy, że ci ufa. A w tej sytuacji zaufanie jest najważniejsze. Musi być

przekonany, że działasz w jego interesie. Poza tym tobie pewnie nie odmówi. No i jest młody. Niedawno skończył trzydziestkę, ma nie do końca jasną przeszłość, przeżył osobistą tragedię. Jeśli dobrze zrozumiałem, jest zdolnym śledczym, ale psychicznie mało stabilnym. Tak więc gdyby, powtarzam, g d y b y doszło do tego, że będziemy musieli sięgnąć po tak drastyczne środki, to będzie idealny.

[milczenie]

PAUL: Wydaje się bardzo dobrym kandydatem.

CHARLES: A jak to wszystko miałyby się odbyć w praktyce? Tego właśnie nie rozumiem. Zakładacie, że będzie na miejscu nie tylko podczas samej operacji, ale też wtedy, kiedy coś pójdzie nie tak. To wydumana sytuacja. Leo ma wady, ale jest bardzo kompetentnym policjantem. Jeśli coś pójdzie nie tak, ale nie z jego winy, to co to znaczy, że zostanie kozłem ofiarnym?

MEŹCZYŻNA: Dobrze wiesz, że takie sprawy zawsze można załatwić.

CHARLES: Jeśli mam w to wejść, muszę wiedzieć, jakie kroki musiałbym powziąć.

MEŹCZYŻNA: Masz kilka możliwości. Możesz go przekonać, żeby wziął na siebie winę, żeby ratować jednostkę, a tak naprawdę cały nasz wydział. Myślę, że mógłby na to pójść...

CHARLES: To poroniony pomysł. Nie zgodzi się. Możecie mi wierzyć.

MEŹCZYŻNA: Możemy go też oczernić na zewnątrz. Przedstawimy go jako winnego. Nawet jeśli to nie będzie prawda.

CHARLES: Będziemy musieli kłamać. A co, jeśli udowodni, że nie jest winien niepowodzenia akcji?

MEŹCZYŻNA: To wszystko hipotezy. Strasznie teoretyzujesz, Levin. Rozmawiajmy o konkretach, nie wymyślajmy wszelkich możliwych scenariuszy. Gdyby tak się miało zdarzyć, przedstawimy dowody na to, że jest inaczej. Jakie – to oczywiście będzie zależec od sytuacji. Robiliśmy już takie rzeczy, kiedy okoliczności nas do tego zmuszały. Pamiętacie operację w Danderyd w 2010 albo obławę w Göteborgu w 2002? A wcześniej w Räckście w 2004?

CHARLES: Policjant z Göteborga pół roku później popełnił samobójstwo. A ten, który został uznany za winnego po akcji w Räckście, do dzisiaj jest na zasiłku.

MEŹCZYŻNA: Takie mamy dyrektywy i takie są propozycje rozwiązania ewentualnych problemów. Musimy się z tym pogodzić, taka jest brutalna prawda.

CHARLES: I z tym wiąże się moje ostatnie pytanie. Bardzo wyraźnie przedstawiłeś... czy przedstawiliście... wytyczne, a moje pytanie brzmi: co będzie, jeśli odmówię?

MEŹCZYŻNA [milczenie]: To chyba twoja działka.

PAUL: Niestety.

CHARLES: Nie powiem, że jestem zdziwiony.

PAUL: Masz barwną przeszłość. Podobnie jak ja [śmiech] i chyba my wszyscy. My, którzy jeszcze pamiętamy tamte czasy. Wiesz, co na ciebie mam. A kiedy w 1986 wybuchła wiadoma afera, wiele spraw przestało być tajemnicą. Tak więc nasz drogi szef też niejedno wie. Nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

MEŹCZYŻNA: Chciałbym dodać, że nie jestem ciekaw reszty. Im mniej człowiek wie o tamtych czasach, tym mniejszy ból głowy. Tak zawsze mówił Holmér.

PAUL: I miał rację. Wiesz, co masz do stracenia, Charles.

CHARLES: Jeśli coś się stanie, pociągnę cię za sobą.

PAUL: Nie tylko mnie, ale i dużą część naszej organizacji. Podobnie jak w 1986. Dlatego tak bardzo mi zależy, żebyśmy rozwiązali to w sposób akceptowalny dla wszystkich. I... [milczenie]

CHARLES: I?

PAUL: Mógłbyś nas na chwilę zostawić samych?

MEŹCZYŻNA: Ja?

PAUL: Tak.

MEŹCZYŻNA: Mam wyjść z własnego pokoju?

PAUL: Powiedziałaś przed chwilą, że nic więcej nie chcesz wiedzieć.

MEŹCZYŻNA: Rozumiem. Dobrze. Pójdę do toalety. [Kroki, otwierają się drzwi, a potem zamykają]

PAUL: Dziwny facet. Nie masz takiego wrażenia?

CHARLES: Owszem.

PAUL: Kto oprawia w ramkę swój dyplom magisterski? I jeszcze wiesz go na ścianie?

CHARLES: Ktoś taki na pewno nie powinien być szefem.

PAUL [śmieje się]: *Touche*. Myślę, że to rodzaj [trzaski] trofeum.

CHARLES: O co chodzi, Paul? Co chcesz mi powiedzieć?

PAUL: Proszę, nie zrozum mnie źle, ale chcę mieć pewność, że wiesz, jakie to mogłoby mieć dla ciebie konsekwencje. Gdybyś nie przyjął jego propozycji, jego i całego szefostwa. Jeśli się sprzeciwisz, wtedy... Wtedy cała twoja przeszłość wyjdzie na jaw. Nie będziesz w stanie oszczędzić Mariki. Bo ona w jakiś sposób też jest w to wszystko zamieszana. Wiem, że chcesz ją chronić, i pewnie byśmy próbowali, ja na pewno, ale to by się nie udało [długie milczenie]. Rozumiesz?

CHARLES: Tak.

[Trzaski, szuranie. Levin wstaje z krzesła. Słychać kroki]

PAUL: Charlie, co...

[głośne uderzenie]

PAUL [jęczy]

[milczenie]

PAUL: Pewnie sobie na to zasłu...

CHARLES: Nie udawaj, że ci na niej zależy. Tobie zależy tylko na sobie.

[milczenie]

PAUL: Podbiłeś mi oko.

CHARLES: Nie pojmuję, jak możesz... [kroki, szuranie, trzaski, Levin znów siada na krześle?] Dużo ryzykujesz, wszystko, co ci się udało osiągnąć od czasu sprawy Lichtera...

PAUL: Ty ryzykujesz więcej. I wiesz równie dobrze jak ja, że zawsze tak jest. Ulega ten, kto ma więcej do stracenia.

[długie milczenie]

CHARLES: Zacząłem... [dalej tak cicho, że go nie słychać] wszystko dla niej.

PAUL: Co? Dla Mariki?

CHARLES: Co tydzień, kiedy ją odwiedzam, opowiadam jej trochę.

[Szuranie, ruch. Paul wstaje? Słychać kroki]

PAUL: Dlaczego? Dlaczego to robisz?

CHARLES: Po części dlatego, że tylko ona mi została. Ale też dlatego, że uważam, że ma prawo się dowiedzieć, co naprawdę się wtedy stało. Nawet jeśli nie rejestruje tego, co do niej mówię. Ale przede wszystkim dlatego, że jestem egoistą. Kiedy to z siebie wyrzucam, trochę łatwiej mi to znosić.

PAUL: Skąd wiesz, że nic do niej nie dociera?

CHARLES: Widziałeś ją kiedyś, prawda? Po tym... po tym, jak tam trafiła.

PAUL: Tak.

CHARLES: Więc chyba wiesz.

PAUL: Ale mimo wszystko... przecież ona... ona tam była.

CHARLES: Nawet gdyby rozumiała, co do niej mówię, to kto uwierzy psychicznie chorej kobiecie skazanej za usiłowanie zabójstwa?

[długie milczenie]

PAUL: Więc dogadaliśmy się? Co do aktualnej sytuacji.

CHARLES: Tak.

PAUL: Dobrze.

[znów długie milczenie]

CHARLES: Kiedyś przyjdzie ci za to zapłacić.

PAUL: Wtedy...

[pukanie do drzwi]

PAUL: Tak?

MEŹCZYŻNA: Skończyli panowie?

[chwila ciszy]

PAUL: Tak.

[Drzwi się otwierają i zaraz znów zamykają, słychać kroki]

PAUL: Rozumiem, że się dogadaliśmy?

CHARLES: Jutro porozmawiam z Junkerem.

MEŹCZYŻNA: Doskonale. Paul, do diabła, co ci się stało?

PAUL: Nie rozumiem?

MEŹCZYŻNA: Masz czerwony policzek.

PAUL: Ach, to... to... egzema. Czasem mnie wysypuje.

[Żegnają się. Drzwi się otwierają, a potem zamykają. Słysząc, jak się rozchodzą, każdy wydaje się iść w swoją stronę. Levin się zatrzymuje, jest sam. Słysząc, jak wciska przycisk, cichy pisk, potem szum i elektroniczny głos: piętro siódme. Levin wsiada do windy, drzwi się zamykają. Głośne trzaski, szelest]

CHARLES: Dwudziesty sierpnia dwa tysiące dwunastego.

[Nagranie się urywa]

Głosy milkną.

– Masz może papierosa? – pyta Leo. – Moje leżą na tylnym siedzeniu.

Tove podaje mu paczkę. Leo zerka na Kita, który śpi u jej stóp, ostrożnie otwiera drzwi i zapala papierosa. Tove dopiero teraz zauważa, że stara się nie używać lewej ręki. Zwisa mu niemal bezwładnie, dłoń położył na kolanie.

Widzi, że się przygląda jej dłoniom, a potem paznokciom i resztkom krwi.

– Mam kilka pytań – zaczyna Tove.

– Ja też.

– Wiedziałeś o tym?

– O czym?

– O tym, dlaczego się znalazłeś w wydziale dochodzeń wewnętrznych. Jeśli wziąć pod uwagę to, że przed chwilą dowiedziałeś się, że zostałeś zdradzony, wydajesz się bardzo spokojny.

– Levin dawał mi kiedyś do zrozumienia, że za moją obecnością na Gotlandii kryje się jakaś większa sprawa, ale nie powiedział mi, że właśnie z tego powodu się tam znalazłem. Nie zdawałem sobie sprawy, jak poważne było to przedsięwzięcie.

– Mruga oczami. – Jestem w lekkim szoku – przyznaje. – Muszę to przetrwać.

– Tak czy inaczej, Levin okazał się posłuszny.

– Przynajmniej częściowo.

– Co to znaczy?

– Wydział dochodzeń wewnętrznych już wtedy był alibi dla innych wydziałów. Stanowisko, które przydzielił mi Levin, było właściwie stanowiskiem administracyjnym, ale tak naprawdę moim zadaniem było kontrolowanie wydziału od środka. Miałem dotrzeć do dochodzeń, które skończyły się niczym. Byłem prawdziwym kretem – mówi i próbuje lekko przekrzywić głowę. – Może to był jedyny sposób, żeby się im przeciwstawić.

– Ten drugi ma na imię Paul – mówi Tove. – Do kogo należy trzeci głos?

– Myślę, że wiem. To nie szef policji, ale człowiek z jego najbliższego otoczenia. To znaczy w tamtych czasach. Nazywał się Einar Wallensten. Umarł na raka prostaty jakiś rok temu. Jeśli dobrze pamiętam, Levin był na jego pogrzebie.

– Ironia losu.

– Ten drugi facet, Paul, nazywa się Goffman i pracuje w służbach, w Säpo.

– Säpo, niech to szlag.

– Prowadzą dochodzenia. Pewnie zajmują się też śmiercią Levina, u siebie, w Sztokholmie. Tak przynajmniej zakładam. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło

być inaczej.

- Nie słyszałam, żeby ich w to włączono.
- No właśnie – mówi Leo, jakby to potwierdzało jego przypuszczenia.
- Znasz Goffmana?
- Osobiście nie.

Wypalił papierosa niemal do filtra. Kiedy wyrzucił popiół, wydaje się zawiedziony, że przyjemność się skończyła.

– Wiedziałeś, że on i Levin się znali? Z rozmowy wynika, że kiedyś wiele ich łączyło.

– Wiedziałem, że się znali, ale nie że tak blisko. A ta sprawa, o której wspomina na koniec? Co to było?

Tove wyjmując z torby zapis rozmowy, szuka właściwego miejsca.

- Sprawa Lichtera.
- Brzmi znajomo, ale nic więcej nie kojarzę.

Leo mruga, oczy ma przekrwione, zmęczone.

Tove sięga po komórkę, wpisuje Lichter, szuka w internecie. Od razu wyświetla się artykuł ze „Svenska Dagbladet” sprzed zaledwie kilku dni. Chodzi o niewyjaśnione dotąd morderstwo Catrine da Costa. Znaleziono ją poćwiartowaną. Właśnie minęło trzydzieści lat. W nawiązaniu do artykułu autor podaje listę innych, podobnych zabójstw.

– Jedną z ofiar był Ted Lichter – mówi Tove. – Niewiele o nim piszą, jeśli to rzeczywiście ten Lichter. Wiosną 1980 roku jakiś narkoman zabił i posiekał na kawałki innego narkomana.

- Hm... – mruczy Leo pod nosem i marszczy brwi.
- Co?

– Jestem za blisko – niemal szepcze. – Wszystko nagle staje się takie bliskie. Nie mogę... Nie widzę tego, co zwykle widzę.

Nagle przypomina sobie o czymś, wyjmując z kieszeni komórkę, zaczyna przeglądać kontakty, po chwili przykłada komórkę do ucha.

– Cześć – mówi. – Obudziłem cię? Przepraszam. Mam zadzwonić później czy... Pomyślałem, że może już tam byłeś, ale pewnie nie, więc... Tak, rozumiem. Zadzwonisz, kiedy... Dobrze... Nie, nic takiego. Chyba w nocy trochę się przeziębilem. Kiedy będziesz z nią rozmawiać, spytaj, co Levin jej mówił, kiedy ją odwiedzał. Dobrze, tak, cześć.

Kończy rozmowę.

– Kto to był?

– Nikt. Nic ważnego.

– Zjawiasz się tutaj, angażujesz w dochodzenie, z którym nie masz nic wspólnego, a potem nie chcesz mi nic powiedzieć, chociaż tak naprawdę to właśnie ja prowadzę śledztwo.

Leo siedzi nieruchomo w fotelu, oddycha, jego usta wykrzywia grymas bólu, mruga i znów oddycha głęboko.

– Jeśli nie powiesz mi, co robisz, zgłoszę, że przekroczyłeś uprawnienia – mówi Tove.

Rozkoszuje się każdym słowem. Nareszcie to ona ma nad nim władzę. Leo odwraca powoli głowę, unosi brew.

– Jeszcze tego nie zrobiłaś?

Tove przygląda mu się.

– Rozumiem – mówi Leo i nagle wydaje jej się dziwnie mały.

Powinna wysiąść i go zostawić. Ale go potrzebuje. To jest jej sprawa, jej dochodzenie, jej i Davidssona, przynajmniej jeszcze przez jeden dzień. I chociaż czas ucieka, bo zegar bije nieubłaganie, i rozwiązanie sprawy oddala się z każdą minutą, ma wrażenie, że jednak posuwają się do przodu. Leo może wiedzieć coś, o czym ona nie ma pojęcia. Może wiedzieć o drobiazgach, które ona mogłaby zbagatelizować, a które widziane w innym świetle mogą się okazać ważne.

Ale istnieje ryzyko, że w jej mózgu nastąpi zwarcie.

Że znów go zaatakuje.

– Poprosiłem kolegę ze Sztokholmu, żeby pojechał do szpitala S:t Göran – mówi Leo. – To szpital, w którym przebywa Marika Alderin, od wielu lat. Wiem, że Levin ją tam odwiedzał. – Patrzy na komórkę, przeciąga po niej palcem. – Nie był tam jeszcze.

– Jeśli to, co słyszeliśmy, jest prawdą, to nie ma z nią za bardzo kontaktu.

Szosa przejeżdża samochód, Tove go nie rozpoznaje. Śledzi go wzrokiem, a Leo to zauważa.

– Kto to był?

– Dziennikarze. Już się pojawili, na komisariacie. A właśnie. – Spogląda na zegarek. – Powinam tam jechać.

– Gdzie jest Davidsson?

– Słyszałam, że się wybierał na spotkanie ze starym znajomym, który najwyraźniej wie coś o Evie Levin. Ale pewnie już wrócił.

Zamyka laptopa, wyjmuje pendrive'a i chowa go do kieszeni. Laptopa wkłada do torby.

– Co było w pliku tekstowym? – pyta Leo.

– Jeszcze nie zdążyłam mu się przyjrzeć. Mam wrażenie, że to mieszanina różnych dokumentów, skany starych protokołów, zdjęcia. Przejrzę wszystko po zebraniu. Nie miałam czasu... – Urywa, waha się. – Chciałam najpierw porozmawiać z tobą o tej rozmowie.

– Rozumiem.

– Musisz tu zostawić samochód. Jeśli dasz radę przejść do mojego, zabiorę cię do miasta. – Tove otwiera drzwi od strony pasażera. – Poza tym nie zamierzam ci pomagać.

Jadą szosą. Mijają stację benzynową, wyprzedzają pyrkający traktor. Za kierownicą siedzi stary człowiek w czapce z daszkiem, słońce grzeje mu plecy. Na karku ma krople potu.

– Mieli szczęście – mówi Tove. – Że rzeczywiście schrzaniłeś sprawę, tam, na Gotlandii.

– Wiem.

– Wykorzystali to i nie musieli nic robić.

– Wiem.

– To, o czym mówili... – tłumaczy powoli. – To, że wybrali cię na kozła ofiarnego, niczego nie zmienia. Rozumiesz, prawda? Nadal jesteś facetem, który go zastrzelił. Gdyby nie ty, on dalej by żył.

– Myślałem, że mnie zabijesz.

Słowa trafiają boleśniej, niż się spodziewała.

– Ja też tak myślałam, przynajmniej na początku. – Muszę się dowiedzieć, myśli w duchu. Muszę, powtarza sobie. – Myślisz czasem o tym? – pyta głośno.

– To znaczy?

– O Markusie.

– Niemal codziennie.

– Nie kłam.

– Nie sądziłem, że będę mógł z tym żyć. Nie wierzyłem, że znów będę mógł normalnie funkcjonować, wykonywać codzienne obowiązki, jeździć do pracy, rozmawiać z ludźmi o pogodzie, o tym, gdzie się wybierają na urlop, i o innych bzdurach. Nie wierzyłem, że to możliwe. Przez dobre dziewięć miesięcy nie było. I... wciąż jeszcze nie stanąłem na nogi.

– Łykasz jakieś prochy?

– Tak.

– Żeby...

– Żeby funkcjonować.

Zbliżają się do rynku.

– Proponuję, żebyś następnym razem stawiał opór. Jeśli cię uderzę, broń się, bo nie odpowiadam za siebie.

Leo milczy dłuższą chwilę.

– Nie wiem, czy chcę.

– Czy co chcesz? Czy chcesz się bronić?

– Tak.

– Ty naprawdę masz coś nie tak z głową.
– Przecież wiesz, że... to była pomyłka. Spanikowałem.
– Nie chcę słuchać żadnych cholernych usprawiedliwień.
– Nie o to chodzi. Przyjechałem do Visby na kilka dni przed planowaną akcją. Podejrzewaliśmy, że dostawcy przyłyną z towarem łodzią, a kupujący dotrą samochodem, od strony lądu. Sprawdziłem teren, starałem się zapamiętać wszystkie drogi prowadzące do portu i z portu. W pewnym momencie zacząłem się bać, nie bardzo wiedziałem dlaczego. Czułem, że coś jest nie w porządku. Kiedy zaczęły dochodzić słuchy, że rzeczywiście coś jest nie tak, poczułem się jeszcze bardziej zdezorientowany i... W tamtym momencie w moim życiu panował chaos. Zerwałem z dziewczyną, my... Było mi cholernie trudno. Tej nocy, kiedy miała się odbyć operacja, stałem za jakimś budynkiem. Miałem stamtąd widok na wszystko. Zobaczyłem, że do portu zbliża się łódź, bez świateł. Dobiła do nabrzeża i nagle pojawiły się cienie. Wyczuwało się napięcie. Ktoś zaczął ładować na łódź skrzynie. Podjechał duży jeep, zatrzymał się, ktoś otworzył tylną klapę. Strony się spotkały. Odbiorcy chcieli sprawdzić zawartość skrzyń...

– To już wiem. Czytałam o tym.

Odbiorcą był jeden ze sztokholmskich gangów. Dostawcą mafia. Ale w skrzyniach nie było broni, tylko plastikowe zabawki i stare gazety.

– Kto kogo chciał wystawić... tego nigdy nie wyjaśniono – ciągnie Leo. – Wielu podejrzewało, że sztokholmska policja współpracowała z ludźmi z mafii i namówiła kogoś, żeby podmienił towar. Według Levina pewne rzeczy na to wskazywały. Ale sprawa nigdy nie została wyjaśniona. W momencie kiedy odbiorcy zrozumieli, że zostali oszukani, włączono potężny reflektor. Jednostka interwencyjna – dodaje i patrzy na Tove.

Tove zatrzymuje się przy rynku.

– Nie wiem, kto oddał pierwszy strzał, ale na pewno nie była to policja. Pewnie kupujący. Nagle się okazało, że wszyscy mają broń. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Było wielu rannych, także policjantów, pamiętam, że... Pamiętam, że wyszedłem z cienia, w którym się ukrywałem. Musiałem spanikować. Oddałem strzał w stronę kogoś, kogo wziąłem za dostawcę, któremu udało się kogoś trafić. Nie byłem do końca pewien kogo. Kogoś z oddziału interwencyjnego. – Odwraca głowę, patrzy przez okno. – Nie mogłem po prostu tam stać. Musiałem coś zrobić. Ale nie byłem na to przygotowany. Byłem zbyt rozchwiany emocjonalnie.

Milknie. Tove siedzi z rękami na kierownicy, nie wyłączyła silnika, pracuje na pustych obrotach. W lusterku wstecznym widać klatkę kota. Słońce grzeje coraz mocniej.

– Wiem, że nie zrobiłeś tego specjalnie – mówi Tove. – Wiem, że sytuacja nie była czarno-biała. Aż tak głupia nie jestem.

– Nie, ale...

– Pozwól mi dokończyć. – Jej głos drży z napięcia. – Próbuję przekonać samą siebie, że to proste. Wiem, że to nieprawda, ale muszę. Rozumiesz? Tylko tak mogę się pogodzić ze śmiercią brata. Inaczej nie mogłabym żyć. Picie niewiele pomaga, praca też nie. Nic nie mam: nie mam przyjaciół, nikogo. Jedyne, co mnie trzyma przy życiu, to przekonanie, że mój brat zginął przez jakiegoś drania, który strzelił do niego z premedytacją, a nie dlatego, że doszło do jakiejś cholernej pomyłki.

Obnażam się, pomyślała. Za bardzo się przed nim obnażam. Boże, gdybym teraz miała przy sobie dużą whisky. Duża whisky w ciemnym pokoju, cichym i chłodnym. W ciszy słyszy głos matki, jej smutek. Rok bez Markusa był bardzo długi.

– Muszę iść na górę – mówi. – Davidsson czeka.

Leo przeciąga językiem po ustach, zlizuje krew z pękniętej wargi.

– Wspominał o tobie i o Markusie, i o tym, co się stało – mówi po chwili.

– Davidsson, kiedy wczoraj z nim rozmawiałem. Ale nie sądzę, żeby wiedział, że to ja go zastrzeliłem. Nie rozpoznał mnie, nawet mojego nazwiska.

– Davidsson ma tę zaletę, że nie przejmuje się niczym, co się dzieje poza Bruket. Pewnie dlatego. Pójdiesz ze mną na górę?

– Ja... nie sądzę, żebyśmy byli w stanie ustać na nogach. Pewnie natychmiast zemdleję.

– Co, do cholery?

Davidsson patrzy na mnie i opada mu szczęka.

– W porządku – uspokajam go. – Muszę tylko usiąść.

Wchodzimy do sali konferencyjnej. Opadam na krzesło, klatkę z Kitem stawiam na podłodze.

– Co ci się stało? Nie dość, że dziennikarze już zwietrzyli aferę, to jeszcze coś takiego.

– Przepraszam.

– Kto im dał cynk, że chodzi o Levina?

Nikt nie odpowiada, więc Tove pyta:

– Wiedzą, że to on?

– Jeśli nikt nie puścił pary z gęby, to naprawdę mają intuicję – mruczy Davidsson pod nosem.

– Nietrudno się dowiedzieć, kto tam mieszkał – mówię, ale Davidsson mnie nie słucha. Schrypniętym głosem woła Åhlunda, prosi, żeby przyniósł apteczkę.

Wydaje się bardziej przeziębiony niż wczoraj.

– Upadłem i się uderzyłem – mówię.

– Gdzie?

– Na terenie dawnej huty, koło tych starych budynków. Pojechałem tam, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Do tej pory tylko o niej słyszałem. Wszedłem do jakiegoś budynku i zacząłem wchodzić po schodach. Powinienem był trzymać się od nich z daleka.

Davidsson mruży oczy.

– I upadłeś na twarz?

– Nie takie rzeczy się zdarzają.

Próbuję się uśmiechnąć, obrócić wszystko w żart. Kręcę głową, ale wtedy w polu widzenia pojawia się coś czarnego, więc przestaję.

Warga ciągle krwawi, nie wycieram już krwi, tylko ją łykam. Czuję, że zaraz zrobi mi się niedobrze.

Głos Levina. Dziwne uczucie. Słyszę go przez małe komputerowe głośniki. Taki znany, a jednak inny. Jestem wstrząśnięty. Miałem rację. Trafiłem do Visby przez niego. Spisałem się tak dobrze, że nie musieli już nic robić. Upiekło im się. Inaczej cały plan diabli by wzięli. Wcześniej czy później.

Długo się nad tym zastanawiałem. Wmawiałem sobie, że niezależnie od tego, jak było naprawdę, poczuję ulgę, kiedy w końcu się dowiem.

Okazało się, że nie. Nie czuję ulgi.

Nic nie czuję.

A może jednak? Nie wiem. Ból sprawia, że nie mogę się na niczym skupić. Może naprawdę nic nie czuję, a może to po prostu początek końca.

Zjawia się Åhlund z dużą zieloną skrzynką z namalowanym białym krzyżem.

– Opatrz go – mówi Davidsson. – Potem trzeba go będzie zawieźć do szpitala.

Åhlund waha się, patrzy to na mnie, to na Davidssona.

– Nie jestem pielęgniarką.

– Sam to zrobię – mówię.

Davidsson parska.

– Nie jesteś w stanie ruszyć lewą ręką.

– To przez żebra. Ręka jest w porządku.

– Po prostu go opatrz – zwraca się Davidsson do Åhlunda. – Nie mamy czasu.

Tove, która dotąd siedziała na krześle i w milczeniu śledziła ruszającego się w klatce Kita, patrzy zdziwiona na szefa.

– Nie mamy?

– Doceniam wasz wkład w śledztwo, jestem też wdzięczny naszemu gościowi ze stolicy za przybycie. Jutro albo w poniedziałek przybędzie nam gości, ale do tej pory sprawa pewnie zostanie już rozwiązana.

– Rozwiązana?

Åhlund bada mnie. Najwyraźniej ma wprawę.

– Kiedyś chodziłem na kurs kierowcy karetki pogotowia – mruczy pod nosem. – Zaliczyłem dwa semestry. Potem dostałem się do szkoły policyjnej w Växjö. Tak że trochę się na tym znam.

Uspokajam się.

– Tak, rozwiązana – potwierdza Davidsson. – To bardzo prawdopodobne. Przed południem udało nam się dowiedzieć nowych rzeczy, mamy przypuszczalnego sprawcę – mówi.

Zamyka drzwi sali konferencyjnej.

październik 1984

– Tam. Tam idzie. Widzisz ją?

Paul wyłącza radio, Fleetwood Mac milknie, odgłos uderzających o szybę kropli deszczu przybiera na sile.

– Widzę ją.

Z marketu wychodzi kobieta w ciemnozielonej kurtce. Kuli się na deszczu, zaciąga zamek błyskawiczny i rusza dalej.

– Mieszka tam, przy Barnängsgatan 40. Tam poszła wczoraj po rozmowie z tobą na dworcu.

Paul przekręca kluczyk, włącza silnik.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – mówi Charles.

– Ja też nie. – Włącza kierunkowskaz, zerka przez ramię. – Ale dobrze byłoby się dowiedzieć, co wie. A przede wszystkim s k ą d to wie.

Strach nie pasuje do Paula, ale widać wyraźnie, że jest zaniepokojony. Gra idzie o dużą stawkę: dostawa jest gotowa. Nagroda jest na wyciągnięcie ręki. Charles niemal już czuje zapach pieniędzy. Ich bliskość sprawia, że pewne rzeczy zaczyna widzieć inaczej. W spojrzeniu Paula widać chciwość i strach, bo przecież w ostatniej chwili coś może się nie udać i wszystko wyjdzie na jaw.

Cholerna dziennikarka. Niech ją szlag.

– Jakoś się to rozwiąże – mówi Paul.

– Mam wrażenie, że ona wie – stwierdza Charles.

– Co powiedziałeś?

Charles zamyka oczy, na chwilę.

– Nic.

Tak naprawdę mnie tu nie ma.

Suną powoli ulicą Nackagatan, na obrzeżach Södermalmu. W powietrzu unosi się woń spalin i smażeniny, jak wszędzie w Sztokholmie. Jakiś chłopiec mija ich na BMX-ie, pedałuje z całej siły. Charles patrzy za nim. Zastanawia się, czy się wybrał na wagary, a jeśli tak, to dokąd.

Chłopiec skręca w Barnängsgatan, na południe. Paul i Charles skręcają w prawo, na północ, w stronę czynszówek. Kobieta znika w bramie domu numer czterdzieści.

– Maureen Cathryn Harriet Falck – mówi Paul. – Cathryn, ale wszyscy mówią na nią Cats, lat trzydzieści jeden, urodzona w Enskede jedenastego lipca 1953 roku. Pracuje w SVT, jest reporterką programu *Rapport*. Ładnie to brzmi. Domyślam się, że chciałyby uchodzić za dziennikarkę śledczą, ale tak naprawdę zajmuje się wszystkim, kręci wstawki do różnych programów. Wcześniej była sekretarzem programowym. Nie jest nikim wybitnym. Nie ma dziecka ani męża, mieszka sama.

Mijają kamienicę, zatrzymują się kawałek dalej na Barnängsgatan.

– Mieszka na czwartym piętrze. – Paul patrzy na Charlesa. – Chcesz parasol?

Charles kręci głową, otwiera drzwi.

– Pamiętaj – mówi Paul i kładzie rękę na jego przedramieniu.

– Co?

– Żebyś był ostrożny.

Na klatce kroki odbijają się głośnym echem. Charles patrzy na jej drzwi, na szparę na listy z tabliczką i jej nazwiskiem, i karteczką: ŻADNYCH REKLAM, DZIĘKUJĘ. Napisała to ręcznie na kartce wyrwanej z zeszytu w linię. Dzwonek jest stary, ciemnobrązowy. Zanim go wciśnie kciukiem, wkłada rękawiczki.

Dźwięk jest ostry, drażniący. Charles robi krok do tyłu, żeby było go widać przez wizjer. Czeka.

– Kto tam? – Za drzwiami rozlega się jej głos.

– To ja – mówi Charles. – Frank. Rozmawialiśmy przez telefon. – Milczenie.

– Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Możemy sobie pomóc.

Rozgląda się. Na piętrze są cztery mieszkania.

Czas mija. Charles wzdycha, odwraca się, jakby zamierzał odejść, nie odchodzi, tylko udaje, że to robi, i wtedy słyszy, jak Falck przekręca klucz w zamku.

Mieszkanie jest małe, niskie. W wąskiej ciasnej kuchni stoją dwa krzesła i stół, dalej jest pokój, połączenie salonu z sypialnią. I jeszcze łazienka, i to wszystko.

Kobieta waha się. Jest opalona, niedawno wróciła z zagranicy.

– Napijesz się kawy? – pyta.

Na samą myśl wszystko przewraca mu się w żołądku. Nie pamięta, kiedy ostatnio jadł.

Zmusza się do uśmiechu.

– Chętnie – mówi.

– No więc – zaczyna. Wypija łyk kawy z białego kubka z granatowym logo szwedzkiej telewizji. – Co chcesz wiedzieć?

– Nazywasz się Frank Möller – mówi kobieta. Puszczą ucho kubka, wygładza ręką fioletowy obrus.

– Tak.

– I pracujesz w służbach?

– Tak.

– W dziale operacyjnym.

– To pytanie?

– Chcę się upewnić, czy jest tak, jak myślę.

– Jak dotąd tak. – Charles wypija łyk. *I ani kropli więcej, zaraz zwiemiotuję.*

Uśmiecha się, odstawia kubek. – Skąd wiesz, kim jestem?

– Do wczoraj nie wiedziałam.

– A list? Numer telefonu?

– Nie wiedziałam, do kogo dzwonię, wiedziałam tylko dokąd.

– Skąd?

Kręci głową.

– Ochrona źródła.

– Rozumiem, że nie możesz podać nazwiska, nic, co by mnie do niego zaprowadziło, ale mnie nie interesują nazwiska.

– A co cię interesuje?

Ostrożnie.

– Kiedy wczoraj rozmawialiśmy, wspomniałaś coś o komputerach.

– VAX-y.

– Co o nich wiesz?

– Że mają bardzo wiele zastosowań, cywilnych, ale także wojskowych. –

Waha się, jakby się zastanawiała, na ile może mu zaufać. – Można ich użyć do wyprodukowania broni jądrowej. No i wiem, że mają trafić do NRD, mimo embargo. Mają zostać przemycane. Obecnie są przenoszone z miejsca na miejsce. Niemcy Wschodnie wykorzystują do tego sztokholmskich gangsterów. – Dotyka palcami kubka. – Mam rację?

– A nie wiesz tego jeszcze?

– Po prostu powiedz: tak czy nie.

Charles ostrożnie kiwa głową.

– Wiem, że dotarli do Szwecji ze Stanów, za pośrednictwem firmy Sunitron, należącej do Håkanssona. Wiem też, że właśnie w tym momencie wkroczyliście do sprawy wy.

Ktoś puścił parę. I to ktoś od nich, ktoś, kto wiedział, że właśnie w tym momencie wydział został formalnie włączony do sprawy, a także że odpowiedzialność za całość operacji ponoszą on i Paul. Nie wiedział jednak, jaką funkcję pełnią nieformalnie ani że robią to od dawna. A może to ktoś, kto doskonale wiedział, że są w to zaangażowani, ale nie zdradził jej tego, bo wtedy sam by się obnażył.

Któryś z bandytów? Öberg?

Nie. Savolainen?

Savolainen.

– Czego od nas oczekujesz?

– Potwierdzenia.

– Czego?

– Że to prawda. – Ich spojrzenia się spotykają, jej jest chłodne i zdecydowane. – Wschodnioniemiecki wywiad współpracuje ze szwedzkimi przestępcami. To dopiero byłby temat!

A więc o to jej chodzi, myśli Charles. Nie wie, że bierzemy w tym udział.

– Chyba już to potwierdziłem.

– Muszę mieć nazwiska.

– Czyje?

– Szwedzkich przestępców, wschodnioniemieckich agentów. Kogo się da.

Charles odchyła się do tyłu, wygląda przez okno.

– Nie udało nam się dotrzeć do Niemców. Jak dotąd znamy tylko Szwedów mających związek z tą sprawą. Ich nazwiska mogę ci dać.

– Oficjalnie?

Śmieje się, ona zapewne tego właśnie oczekuje.

– Skądże. Mogę ci je dać, ale musisz je potwierdzić z innego źródła.

– A czego ty ode mnie oczekujesz?

– Dwóch rzeczy: chcę wiedzieć, kto ci podał numer telefonu, na który dzwoniłaś. I co naprawdę masz. To na pewno temat na pierwszą stronę. Ale my musimy dbać o kontakty międzynarodowe. Również premier jest tym zainteresowany. Dla niego NRD to partner handlowy jak każdy inny.

Kobieta wstaje, sięga po leżący na blacie notes i ołówek i wraca na krzesło.

– Mów pierwszy.

– Jan Savolainen – mówi Charles. – I Jakob Öberg.

Kobieta zapisuje. Prosi, żeby przeliterował nazwisko. Savolainen. Pyta, czy Jakob pisze się przez c, czy przez k, ale wszystko to gra: widać, że je zna. Od Öberga na pewno nic jej się nie udało wyciągnąć, Charles jest tego pewien. Natomiast z Savolainenem sprawa wygląda inaczej.

Musiła się z nim kontaktować. To niebezpieczne.

Savolainen wie o nim i o Paulu. Wie, ale najwyraźniej nic jej nie powiedział.

Pytanie: dlaczego.

A może jednak powiedział. *Może ona też wie.* Może w ten sposób próbuje go złapać w pułpkę.

Charles mruga oczami.

Ma mętlik w głowie.

– Jeszcze jakieś?

– Tylko tych udało nam się powiązać ze sprawą. To wszystko, co mamy.

Kobieta nie kryje zawodu. Widać to w jej ruchach: opuszcza ramiona, kuli się. Charles wypija łyk kawy.

– Twoja kolej – mówi. – Od kogo dostałaś mój numer?

– Wpadły mi w ręce dokumenty Håkanssona. Zapisał go.

– Sven-Olaf Håkansson?

– Tak.

– Dziwne.

– Też tak uważałam – mówi i uśmiecha się.

Na początku lutego, zanim towar Håkanssona utknął na cle w Hamburgu, kontaktował się z nim. Podał mu swój numer i poprosił, żeby go zapamiętał. Podkreślił, że nie wolno mu go nigdzie zapisywać. Håkansson westchnął, stwierdził, że cierpi na paranoję, ale obiecał, że tak zrobi.

Obiecał.

Szlag!

– Pewnie z czasem się to wyjaśni – mówi Charles. – A teraz druga sprawa. Chciałbym zobaczyć, jakimi materiałami dysponujesz. Zanim coś opublikujesz. Nie zamierzam domagać się żadnych zmian w tekście. Chcę tylko, żebyś mi dała znać, żebyśmy nie byli zaskoczeni: ja i moi koledzy. To wszystko. Kiedy artykuł się ukáže?

– Tak naprawdę mam teraz na głowie inne rzeczy. Tą sprawą zajmuję się w czasie wolnym, więc pewnie jeszcze trochę to potrwa.

Zapada cisza. Kobieta najwyraźniej wyczerpała listę pytań, a on chce jak najszybciej wyjść. *Coś tu nie gra.*

Pochyla się nad stołem, opiera ręce o krawędź blatu.

– Kiedy następnym razem będziesz chciała się ze mną skontaktować, zrób to w bardziej konwencjonalny sposób. Tak będzie łatwiej. I dla ciebie, i dla nas.

– Musiałam być ostrożna. – Kobieta krzyżuje ręce na piersi. – Nie wiedziałam, jaką rolę w tym odgrywacie.

I nadal nie wie, myśli Charles. Ale pewnie wkrótce zacznie się domyślać.

Na dworze pada coraz mocniej, ale tam, w kuchni, przy niewielkim stoliku, powietrze nagle robi się rzadkie, jak wtedy gdy człowiek czuje, że wokół jego szyi zaczyna się zaciskać pętla.

TEL ONT ÄREN

W sercu Kungsholmen, rzut kamieniem od komendy, jest stary motel. Kiedyś świecił nad nim neon. Kiedy jeszcze działał, informował, że właśnie tam znajduje się MOTEL PONTONJÄREN.

Trzeba zejść pół piętra w dół, do ogromnej piwnicy podzielonej na pokoje, każdy z podłużnym wąskim oknem wysoko nad podłogą. W każdym stoi pojedyncze łóżko, stolik nocny, lampa i szafa. To wszystko. Na łóżku w pokoju numer jedenaście naprzeciwko Charlesa i Paula siedzi poważny mężczyzna. Ma bladą twarz, ostre rysy, krzaczaste brwi i oczy osadzone tak głęboko, że wyglądają jak dziury. Na łóżku leży niedbale rzucony płaszcz.

Nasz człowiek w Sztokholmie.

Kiedy podaje rękę, jego dłoń jest chłodna. Ma na sobie jasnoniebieskie dżinsy i biały T-shirt, jak Bruce Springsteen na okładce *Born in the USA*. Może świadomie się na nim wzorował, może tak się wyraża ironia wschodnioniemieckich służb.

– Heffler – przedstawia się. – *Good evening. As I understand it, you are both fluent in German.*

– Zgadza się – odpowiada Paul po niemiecku.

Heffler to pseudonim, który mu przydzieliło Stasi, jak tylko się pojawił w Firmie. IM Heffler. Tajny współpracownik. Mówi się, że Ikea zatrudnia ludzi, których jedynym zadaniem jest wymyślanie nazw dla produktów. W Stasi jest podobnie: zatrudnia się cały sztab ludzi, których jedynym zadaniem jest szukanie pseudonimów dla nieformalnych współpracowników rekrutowanych przez oficerów operacyjnych. Charles też ma swój. *Wächter*. A Paul to *Meister*.

Trudno powiedzieć, jak długo Heffler ma ich na oku. Kilka dni? Tygodni? Paul twierdzi, że objawił się dopiero poprzedniego dnia. Minął go, kiedy na Barnängsgatan czekał w samochodzie na Charlesa, który siedział przy stole w kuchni Cats Falck, próbując trzymać nerwy na wodzy. Heffler go minął, doszedł do następnej przecznicy, przeszedł na drugą stronę i wrócił tą samą drogą. Podszedł do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i usiadł obok niego. A potem zmusił go do krótkiej przejażdżki, w trakcie której rzucił nazwę motelu i godzinę, po czym otworzył drzwi i wysiadł.

Nie jest tak elegancko, jak można by się spodziewać.

– Jesteśmy gotowi – mówi Heffler. – W poniedziałek. O szóstej rano z Malmö odpływa prom do Danii. Stamtąd zabierzemy je do Gandawy.

– Do Belgii? Dlaczego? – dziwi się Charles.

– Taką trasę udało nam się zabezpieczyć. Zrobilibyśmy to już dawno temu, gdyby nie różne szczegóły, które trzeba było skoordynować. VAX-y miały być u nas już tydzień temu. Planowaliśmy, że dotrą przez Hiszpanię. Tydzień wcześniej miały to być Włochy, a jeszcze wcześniej Szwajcaria. Ale czasy są trudne. Jeden z naszych...

Na stoliku leży paczka papierosów. Mężczyzna wyjmuje jeden, wkłada go do ust, szuka zapalniczki w kieszeniach spodni.

– Jeden z naszych ludzi z Gandawy pchnął sprawę do przodu. Zwerbował pewną kobietę, która była związana z firmą dostarczającą towary do Belgii. Kobieta...

Nie znajduje zapalniczki, sięga po płaszcz, zaczyna szukać w kieszeniach. I wtedy właśnie miga im przed oczami rewolwer, ciężki, czarny.

– Oczywiście sprawdziliśmy ją. Bardzo dokładnie.

Heffler wyjmuje z kieszeni pudełko zapalek. Zapala papierosa, w ciszy słysząc trzaski, jakby ktoś szedł po suchych liściach. Jego spojrzenie wędruje gdzieś ponad ich głowami, w stronę niewielkiego okienka, przez które widać jedynie buty i nogawki przechodniów.

– To fascynujące. Widzieć tylko nogi. – Częstuje ich papierosami. – Proszę, zapalicie?

– Nie, dziękuję – mówi Charles.

Stasi zawsze tak pracuje. Heffler to jedna z głównych postaci agencji służb, dzięki którym udało się zsynchronizować działania i umożliwić przesyłkę. Stasi nigdy nie ma bezpośredniego dostępu do towarów, nigdy też nie kontaktuje się bezpośrednio z uczestnikami transakcji: działa przez pośredników i podwykonawców, którzy wiedzą tylko tyle, ile muszą. W ten sposób Stasi pozostaje niewidzialne. I to daje mu władzę.

– Pewnie się przestraszyliście – mówi Heffler. – Pod koniec lutego, kiedy komputery po prostu zniknęły. Nasz rezydent poinformował mnie, że bardzo was wzburzyło, że korzystamy z pomocy podejrzanych typów z marginesu.

– Wzburzyło to nie jest właściwe określenie – wchodzi mu w słowo Paul. – Powiedziałbym, że nas to zaniepokoiło. To ludzie, którym nie można ufać. Wiemy, że jeden z nich niestety powiedział trochę za dużo.

– Tak?

Mężczyzna unosi brwi, ale ma je tak nisko osadzone, że nie robi to większej różnicy. Ciekawe, jak się czuje człowiek, który nigdy nie sprawia wrażenia zdziwionego, zastanawia się Charles.

– Naprawdę to zrobił? – ciągnie Heffler.

– Wiesz, kto to jest. – Charles nie ma żadnych wątpliwości.

– Mam swoje przypuszczenia. Źle go oceniliśmy. Sądziliśmy, że Savolainen

jest po naszej stronie. To o niego chodzi, tak? Komu coś chlapnął?

– Reporterce Telewizji Szwedzkiej.

– Co jej powiedział?

– Tego nie wiemy – mówi Charles i zdaje mu sprawozdanie z rozmowy z Falck.

– Bardzo niefortunne.

To jedyne, na co się zdobywa.

– Podejrzewamy – ciągnie Charles – że może być tym zainteresowana bardziej, niż to okazuje. Twierdzi, że artykuł ma pokazać różne powiązania szwedzkich przestępców, ale podejrzewam, że po prostu nie chciała zdradzić, że interesuje ją także nasz udział w sprawie.

– To oczywiste – mówi Heffler zamyślony. – Każdy by tak zrobił. Jak ona się nazywa?

– Cats Falck.

– Bardzo niefortunne, łagodnie mówiąc. Jakoś sobie poradzimy. Musicie tylko przypilnować, żeby ciężarówka, która w poniedziałek dostarczy towar ze Sztokholmu, nie miała towarzystwa.

Sprawa jest trudniejsza, niż mogłoby się wydawać. Wydział pilnuje towaru dzień i noc, nie spuszcza go z oka, nawet w nocy. Samochód jest w pogotowiu, w każdej chwili może wkroczyć do akcji. Ryzyko jest za duże. Są za blisko całej sprawy.

Sufit jest nisko, klaustrofobicznie nisko. Heffler gasi papierosa na nocnym stoliku. Na blacie zostaje wyraźny brzydki ślad. W pokoju zaczyna się unosić woń palonego drewna.

Październikowe słońce stoi nisko na niebie, wieża kościoła Świętej Zofii rzuca ciężki cień na kwartał domów przeznaczonych do rozbiórki. Jedna z poprzecznych uliczek jest wąska i ciemna, idealnie nadaje się na miejsce zbrodni.

Na drugim piętrze jednego z domów mieszka Jan Savolainen. Na drzwiach nie ma tabliczki z nazwiskiem, jest tylko subtelna rada dla listonosza i innych gości: SPADAJ.

– Powinien dostać nauczkę – mówi Paul, wchodząc po schodach. – Powinniśmy go unieszkodliwić.

– Niestety za dużo wie. Lepiej dać mu do zrozumienia, że rozmawiając z Falck, może dużo stracić.

Twarz, która się pokazuje w uchylonych drzwiach, cuchnie piwem i papierosami. Od ostatniego spotkania mężczyzny z Charlesem minęło ponad pół roku, ale ślady są nadal widoczne: w miejscu, gdzie warga pękła, została brzydka poszarpana blizna. Przecina całą wargę.

– Musimy porozmawiać. – Charles kładzie przed nim saszetkę z amfetaminą. – Warto.

– Nie chcę towaru. Zerwałem z tym. Jestem czysty.

Charles wybucha śmiechem.

– Otwórz.

* * *

– Nie wiem, czego ode mnie chcecie. – Savolainen zapala papierosa, nachyla się nad blatem. – Ja i Öberg robimy wszystko tak, jak było ustalone.

– Jasne. – Charles odsuwa krzesło, siada przy stole. – Jasne, Janne.

– Macie dziwne zachcianki – mówi Savolainen i wypuszcza z płuc dym. – Przenieście je tutaj, przenieście je tam. A graty są ciężkie jak cholera.

Charles kładzie na stole saszetkę z amfetaminą. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjmuje pieniądze, zaczyna liczyć: jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście tysięcy koron.

– Starczy ci na czynsz na jakiś czas – mówi Paul. – I jeszcze zostanie na prezenty pod choinkę. Zbliży się Boże Narodzenie.

– Idźcie do diabła. Wiesz, na co pójdzie forsa.

– Ile jesteś winien Öbergowi?

– Piętnaście tysięcy.

Oczywiście przesadza, ale chyba nie bardzo. Charles kładzie na stole jeszcze pięć tysięcy.

– Są twoje, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze: my zadajemy pytania, ty odpowiadasz. I nie kłamiesz. Po drugie... ale o tym za chwilę. To będzie wymagać trochę pracy.

– Pracy? Co to ma, do diabła, znaczyć? – Wzrok Savolainena pada na saszetkę. – Daj ją tutaj.

– Zaraz do tego przejdziemy. – Charles podaje mu saszetkę, poprawia się na krześle, zakłada nogę na nogę. – No więc punkt pierwszy: Cats Falck.

– Kto to?

– Wiem, że z nią rozmawiałeś.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Janne – przerywa mu Paul. – Daj spokój.

Savolainen upuszcza papierosa do zlewu. Rozlega się syczenie. Otwiera saszetkę, wkłada palec do ust, macza go w białym proszku, wyjmuje i masuje dziąsło.

– Chcę wiedzieć, jak wyglądało wasze spotkanie. O co cię pytała i co jej powiedziałaś.

Savolainen patrzy na nich nerwowo: najpierw na Charlesa, potem na Paula, a potem znów na Charlesa.

– Nic nie powiedziałem. Pary z gęby nie puściłem.

– Spokojnie. Jak się poznaliście?

Savolainen znów wkłada palec do saszetki, potem do ust. Tym razem zlizuje dokładnie proszek, jak dziecko liże lizak.

– Zadzwoiła do mnie.

– Skąd miała twój numer?

– Mówiła, że rozmawiała z żoną Håkanssona. Z Anitą.

– Anetta – poprawia go Paul. – I to ona skierowała ją do ciebie?

– Zakładam, że tak.

– O czym rozmawialiście?

– Wypytywała o mnóstwo rzeczy w związku z tymi komputerami. Pytała też o Öberga, o tych Niemców i o was.

Charles czuje, że przeszywa go dreszcz. Czuje go w koniuszkach palców. Savolainen patrzy na banknoty i oblizuje wargi.

– Pytała, czy jesteście w to zamieszani – mówi. – Ale ja nic nie powiedziałem. To znaczy nic istotnego. Nic z tych rzeczy.

Rozmawiają jeszcze kilka minut. Charles i Paul pytają, Savolainen wszystkiemu zaprzecza.

– Myślę, że mówi prawdę – stwierdza w końcu Paul.

– Jasne, że mówię prawdę.

– Dobrze, Janne – mówi Paul. – A jeśli znów do ciebie zadzwoni, to co jej powiesz?

– Nie jestem dzieciakiem – cedzi przez zęby. – Wiem, co mam powiedzieć.

– Dobrze – chwali go Charles. – Więc możemy przejść do drugiej części, tej, która będzie wymagać trochę pracy. – Z kieszeni płaszcza wyjmuje niewielki notes i ołówek, zapisuje numer rejestracyjny. – Ten samochód... – zwraca się do Savolainena, przesuwając kartkę w jego stronę – ...będzie jutro w pobliżu miejsca, gdzie jest przechowywany towar, na parkingu w Skärmarbrink.

Savolainen pochyła się nad kartką, czyta numer i patrzy na Charlesa pytającym wzrokiem.

– Aha?

– Słucz wcześniej dwie, trzy flaszki, zawiń je w gruby koc albo w jakieś ubranie i weź ze sobą. Rozsyp odłamki na parkingu, ale nie za blisko samochodu. Zrób tak, żeby to wyglądało jak ślady po jakiejś bójce. A potem natnij oponę. Zrób dwa cięcia: jedno na wysokości felgi, żeby mieć pewność, że powietrze wyjdzie, drugie, większe, takie zwykłe, na samej oponie. To jeden z naszych samochodów, ma standardowe opony, więc nie powinno być problemów.

– Nie lepiej doprowadzić do wycieku płynu z chłodnicy? Mniej zachodu, a skuteczniejsze.

– Na pewno – przyznaje Charles. – Ale też bardziej podejrzane, bo od razu nasuwa się podejrzenie, że to sabotaż. A tego nie chcemy.

– Czym mam przeciąć tę oponę? Nie zamierzam używać własnego noża.

– Nie będziesz musiał. – Paul sięga do kieszeni i wyjmuje niewielki nożyk.

– Użyjesz tego.

– Musisz być na miejscu pół godziny wcześniej – wchodzi mu w słowo Charles. – Wybierz moment, kiedy w pobliżu nikogo nie będzie.

– Za pięć tysiaków?

– Dostaniesz piątkę zadatku i piątkę po wszystkim. Umowa stoi?

Savolainen oblizuje wargi i wyciąga rękę, Paul daje mu nóż. Savolainen

przygląda mu się, wprawnym ruchem wysuwa ostrze, przykłada je ostrożnie do ręki. Na skórze pokazuje się mała kropla krwi.

Odkłada nóż. Paul się uśmiecha. Palec wskazujący Savolainena znów trafia do saszetki.

maj–lipiec 1980

- Nie czuje się dobrze, Charles – powiedziała Eva. – Chyba sam widzisz?
- Nie rozumiem, w czym problem. Po prostu jest trochę marudna.
- Nie jest taka jak inne dzieci. Naprawdę tego nie widzisz? Jest spokojniejsza, ale potrafi nagle wpaść w złość. Wtedy się wścieka.

Marika rzeczywiście była bardzo spokojnym dzieckiem, ale miewała napady złości. Nie trwały dłużej niż kilka chwil, a potem zamykała się w sobie, jak w bańce. Wychodziła po godzinie, dwóch. I to w zasadzie wszystko.

Siedzieli w kuchni i patrzyli na rozsypane na podłodze odłamki szkła. Chwilę później stanęli przed uchylonymi drzwiami do pokoju córeczki: siedziała na podłodze i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Głowę oparła na kolanach, objęła nogi rękami.

- Nic jej nie jest – stwierdził Charles.
 - Zaklinanie rzeczywistości niczego nie zmieni – rzuciła Eva i odeszła.
- Coś się zmieniło, pomyślał, patrząc, jak jego żona idzie do kuchni zrobić kolację. Już mnie nie dotyka. Ja jej zresztą też nie.

Zastanawiał się chwilę, kiedy to wszystko się zaczęło i jak w ogóle do tego doszło. To się stało niedawno, ale ich życie się zmieniło.

Charles skończył trzydzieści jeden lat. Powierzono mu dochodzenie w sprawie o morderstwo: pewien mężczyzna zniknął w tajemniczych okolicznościach. Ciało znalazło kilkoro nastolatków.

Tak naprawdę tylko część ciała.

Siedzieli i pili piwo nad rzeczką na obrzeżach miasta. Na brzegu rosły stare dęby, ciężkie gałęzie opadały w dół, sięgały błyszczącej powierzchni wody. Kiedy jeden z chłopców odszedł na bok, żeby oddać mocz, zwrócił uwagę, że leżąca w wodzie gałąź wygląda jakoś dziwnie. Po chwili zrozumiał dlaczego: oddawał mocz na ludzką rękę.

Ręka należała do mężczyzny, to jedyne, co policja mogła stwierdzić. Nie potrafili powiedzieć, czy sprawca rozczłonkował ciało, czy padło ono ofiarą ostrej blachy silnika motorówki. W miejscu, gdzie znaleziono rękę, wkrótce zaczęły się pojawiać kolejne części ciała zamordowanego mężczyzny: udo, stopa, kawałek klatki piersiowej, głowa. Dopiero kiedy odkryli na czole ślad po kuli, mogli ustalić

przyczynę zgonu i tożsamość mężczyzny. Nazywał się Ted Lichter, a sprawa stała się znana jako sprawa Lichtera.

Dochodzenie było trudne. Sprawca nie zostawił żadnych śladów, a im brakowało ludzi i doświadczenia, żeby prowadzić tak skomplikowane dochodzenie. Poza tym musieli robić wszystko, żeby nic nie przeciekło do mediów.

Wszystko zaczęło się właśnie tego ciepłego majowego wieczoru, kiedy chłopcy znaleźli w rzece rękę Lichtera. Ofiary szukano już od dziesięciu dni. Okazał się nią trzydziestodwuletni mężczyzna. Mieszkał w jednym z domów przeznaczonych do rozbiórki niedaleko centrum. W domu nie znaleziono nic, co mogłoby wskazywać na to, kto go zamordował. Z wizyty w jego mieszkaniu Charles wyniósł tylko jedno: myśl o tym, jak nisko człowiek może upaść i nadal nie dotknąć dna.

Lichter nadużywał heroiny, utrzymywał się ze świadczenia usług seksualnych, głównie mężczyznom.

Maj przeszedł w czerwiec. Dostali wsparcie ze Sztokholmu. Biurko Charlesa pokrywało się kolejnymi dokumentami z dochodzenia wstępnego. W końcu zrobiło się ich tak dużo, że część wylądowała na podłodze. Gdzieś pod stertą papierów była jego maszyna do pisania. Nie widział jej już kilka dni, może nawet tygodni. Stracił poczucie czasu, nie potrafił powiedzieć, kiedy zjawiał się na komisariacie ani kiedy wracał do domu. Im bardziej sprawa wydawała się beznadziejna i im wolniej posuwała się do przodu, tym bardziej był zdecydowany doprowadzić ją do końca.

Zmienił się centralny punkt w jego życiu. Dotąd był nim dom, Eva i Marika. Teraz dzielił uwagę między dwa miejsca: swój gabinet i samochód. Jeździł z parkingu na komisariat i z powrotem. Zmianę tę przyjął z pewną ulgą, chociaż na pewno by się do tego nie przyznał.

Co rano odwoził córeczkę do szkoły. W drodze, między domem a stojącym w pobliżu niskim budynkiem szkoły, niedaleko stadionu, mieli chwilę dla siebie. Próbował z nią rozmawiać, ale nigdy mu się nie udało wycisnąć z niej więcej niż parę słów. Marika siedziała i obserwowała świat z wyrazem twarzy, który trudno było rozszyfrować.

Kilka dni po tym, jak rozpoczęło się śledztwo w sprawie Lichtera, skończyła osiem lat. Eva urządziła przyjęcie urodzinowe. Zdążył na nie z trudem, i to tylko dlatego, że jeden z jego kolegów przypomniał mu, że miał wrócić do domu wcześniej. A po drodze kupić balony i tort czekoladowy.

– Zdążyłem – oświadczył, wchodząc do salonu. Marika siedziała w otoczeniu koleżanek i kolegów z klasy. – Tatuś zdążył.

Marika wpatrywała się w swoje dłonie. Eva się uśmiechnęła, ale nie był to uśmiech idący prosto z serca.

Często wracał do domu tak późno, że Marika już spała. Eva siedziała na

kanapie w salonie i czekała na niego. Zawsze, nieważne, jak bardzo była zmęczona. Ale jak tylko wchodził, wstawiała, mówiła cześć, obejmowała go i szła do łazienki przygotować się do snu.

Zostawał sam w ciemnościach przed telewizorem, z piwem w ręce. Czekał, aż alkohol wprawi go w stan lekkiego oszołomienia. Często budził się rano na kanapie. Słyszał, jak Eva hałasuje w kuchni, czasem był pewien, że robi to specjalnie, żeby go obudzić.

Nadal uprawiali seks. Potrzebował tego i wmawiał sobie, że ona też.

Często kochali się rano, kiedy Marika jeszcze spała: w kuchni, na kanapie albo na podłodze w łazience. Łączyło ich jakieś milczące porozumienie: czasem to ona podchodziła do niego, czasem on do niej. Wystarczyło, że ścisnęła jego dłoń, dotknęła go wargami, położyła jego twarz na swoich piersiach albo na szyi, żeby poczuł pulsującą twardość. Sam się dziwił, że wciąż tak na niego działa. I zawsze wszystko kończyło się szybciej, niż oboje pragnęli.

– To jedyne chwile, kiedy jesteś ze mną – powiedziała kiedyś.

– Wiem.

Osiem lat, pomyślał. Dano nam osiem dobrych lat. Jakie będą następne?

Chciał ją przeprosić, ale nie potrafił.

Słyszał o nich, o policjantach, których praca pochłania do tego stopnia, że całe ich życie się rozpada, a oni nie są w stanie nic zrobić. Obiecał sobie i Evie, że im się to nigdy nie przydarzy. Pamiętał też, jak po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy to się już nie stało. Czy to już? – pomyślał w pewien słoneczny lipcowy poranek. Był to pierwszy dzień jego urlopu. a on wsiadał do samochodu, żeby pojechać przesłuchać kolejnego świadka w sprawie Lichtera.

Roześmiał się. W pierwszej chwili dlatego, że pytanie, czy to już, brzmiało absurdalnie, a potem dlatego, że zrozumiał, że odpowiedź brzmi: tak. Roześmiał się, bo wiedział, że nie jest w stanie nic z tym zrobić.

październik 1984

Ten dzień miał się okazać pamiętny.

Samochód jadący za ciężarówką wiozącą towar na południe musiał się zatrzymać w Södertälje. Powód: przebicie lewej opony. W samochodzie siedzieli oficerowie operacyjni Larsson i Johansson. Wysłali przez radio rozpaczliwą prośbę o pomoc, a potem w środku nocy zaczęli zmieniać oponę. W tym czasie ciężarówka zniknęła i rozplynęła się w jesiennych ciemnościach.

Larsson i Johansson opisali kolegom ciężarówkę, podali też numery rejestracyjne. Wszystko na nic, bo ciężarówka niczym się nie wyróżniała, co oczywiście było zamierzone, a tablice rejestracyjne kierowca zmienił na parkingu przy drodze, zanim wjechał do Malmö.

Larsson i Johansson przygnębieni zawrócili na północ. Kiedy dotarli na miejsce, wezwał ich szef. Nie potrafili powiedzieć, co przebiło oponę. Po jakimś czasie przypomnieli sobie, że na parkingu leżały odłamki szkła.

– Na szczęście ta sprawa od samego początku była tajna – cedzi przez zęby szef, kiedy Charles i Paul stają przed nim. – Inaczej musiałbym zwolnić cały dział, łącznie z sobą. – W rękę trzyma kieliszek koniaku. Jest jedenasta przed południem. – Myślicie, że to możliwe? Można zwolnić samego siebie? To najgorsze, co mi się w życiu przytrafiło! Tyle pieniędzy, tyle pracy. Na nic. Larsson i Johansson, jak w tych dowcipach o durnych policjantach.

– Wiemy, że ciężarówka jechała na południe – wchodzi mu w słowo Paul. – Pewnie do Göteborga, a potem na prom...

– Wiem – przerywa mu szef. Jego głos wibruje w powietrzu. – Może do Anglii. A może do Norwegii. A może pojechała dalej, do Malmö, a potem promem do Danii. Albo do Niemiec Zachodnich. Tak czy inaczej, zgubiliśmy ją.

Paul mruga oczami.

– To prawda.

Szef zerka na kieliszek.

Rzuca nim o ścianę. Odłamki szkła lecą na podłogę, koniak pryska na ściany. Kropla ląduje na dolnej wardze Charlesa, druga na jego policzku.

– Panowie – wita ich uśmiechnięty rezydent. – *Comrades. I must congratulate you. Berlin sends her warmest regards.*

Dla Johanna Krausa Berlin to zawsze Berlin Wschodni. Inaczej musiałby uznać istnienie części miasta leżącej po drugiej stronie muru. W obecnych czasach to pewnie ważniejsze niż kiedykolwiek.

Tym razem Kraus siedzi z przodu, obok Paula. W ręce trzyma teczkę. Charles siedzi z tyłu, za nimi. Boli go głowa. W ręce trzyma niebieską sportową torbę. Ma ochotę na coś mocniejszego, ale musi zaczekać. Nie może przesadzić.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, wszystko poszło jak trzeba – mówi Kraus.

– Też nam się tak wydaje – potwierdza Paul.

Suną powoli, zostawiają za sobą Lärkstaden. Kraus przekazuje teczkę Charlesowi. Charles ją otwiera i przesuwając palcami po banknotach. Sytuacja wydaje mu się znana, jakby od ostatniego razu minęło zaledwie kilka dni. Tak naprawdę minął już ponad rok.

– Połowa teraz – mówi Kraus, nie patrząc na niego. – Druga za miesiąc, może trochę później.

Charles otwiera torbę.

– Rozumiem, że były pewne komplikacje – ciągnie Kraus, patrząc przez szybę. – Heffler wspominał coś o jakiejś dziennikarce. – Żaden z nich nie odpowiada, więc wraca do przerwanej wątku: – Przykro mi, że sam muszę o tym wspomnieć.

– Chodzi o to, że nadal nie do końca wiemy, co ona wie – mówi Paul.

– I właśnie to mnie niepokoi.

– Badamy to.

– Tego właśnie od was oczekuję. Tego, no i że poweźmiecie odpowiednie kroki, kiedy sprawa się wyjaśni. – W ciemnościach jego profil wydaje się ostry jak nóż. – Sprawa sięga głębiej, niż wam się wydaje. O wiele głębiej. Wiecie, dlaczego potrzebujemy VAX-ów, wiecie też, że firma ma długie ręce. Od czterech lat wasza ukochana Asea dostarcza nam isostaty. To co prawda dwie odrębne sprawy, ale ponieważ są od siebie zależne, są też punkty wspólne. Na pewnym poziomie to powiązanie staje się bardzo wyraźne. Wspomniana dziennikarka dużo ryzykuje, może zacząć grzebać zbyt głęboko. W pewnym momencie pojawią się n a z w i s k a. Jeśli je pozna, może być za późno. Kto trafi tak głęboko, może mieć problemy z wyjściem na powierzchnię.

Nikt się nie odzywa. Banknoty szeleszczą w dłoniach Charlesa, kiedy

przekłada je do torby.

– Rozumiem – mówi Paul.

– Oczywiście nie proszę, żebyście powzięli jakieś dramatyczne kroki. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

– Oczywiście, że nie.

– Ale jeśli...

– Rozumiem – powtarza Paul jeszcze raz.

lipiec 1980

Przełom w sprawie Lichtera nastąpił, kiedy pojawił się świadek. Wcześniej nie miał odwagi się z nimi skontaktować. Pewnego lipcowego wieczoru, w sobotę, zadzwonił na komisariat. Upierał się, że musi rozmawiać z Charlesem. Funkcjonariusz, który odebrał telefon, skontaktował się z nim i podał mu numer. Charles zadzwonił do niego z domu. Mężczyzna się nie przedstawił. Powiedział tylko, że wie coś o Tedzie Lichterze. Powiedział, gdzie i kiedy mogą się spotkać, i się rozłączył.

Charles stał ze słuchawką w ręku. W piersi czuł delikatne łaskotanie, jakby już wiedział, że wkrótce coś się wydarzy.

W poniedziałek rano wsiadł do samochodu, chociaż obiecał Marice, że zjedzą razem śniadanie, a potem obejrzy z nią program w telewizji. Eva odprowadziła go do drzwi, ale się nie odezwała.

– To pan? Tego się nie spodziewałem.

Siedzieli w samochodzie Charlesa na wzgórzu, z którego rozciągał się piękny widok: na okoliczne domy, wieżę kościoła, a nawet na most przez wijącą się i spływającą do morza niewielką rzeczkę.

Mężczyzna, który siedział obok niego, był samorządowcem, miał żonę i dwoje dzieci, był w miasteczku znaną postacią.

– Długo się nad tym zastanawiałem – powiedział. – Właściwie od chwili kiedy dotarło do mnie, że to był on.

– Że to był Lichter?

– Tak, ale... dużo ryzykuję.

– Nie będę naciskał, żeby pan złożył formalne zeznanie. Może to w ogóle nie będzie konieczne. Wystarczy, jeśli nam pan powie coś, co posunie dochodzenie do przodu.

– Uznałem, że muszę to zrobić. Nie chcę dłużej tego w sobie nosić. Wiem, a przynajmniej tak mi się wydaje, co się może za tym kryć.

Spojrzał na niego, jakby szukał poparcia.

– Ma pan rację.

– Czytałem o panu w gazetach – ciągnął mężczyzna. – Wydaje się pan w porządku.

– Staram się – powiedział Charles.

Mężczyzna się roześmiał.

– Ja też. Mimo wszystko. Pewnie trudno więcej od siebie wymagać.

Jakieś dwa lata wcześniej po raz pierwszy w życiu postanowił zaspokoić potrzeby, które zawsze odczuwał. Ted Lichter nie był tym pierwszym, ale potem spotykał się – takiego określenia użył – z wieloma innymi, z nim także.

Początkowo ich relacje były dość bezosobowe, przynajmniej na tyle, na ile mogą być bezosobowe relacje z kimś, kto świadczy usługi seksualne za pieniądze.

– Ostatni raz spotkaliśmy się zaledwie kilka dni przed jego zniknięciem. Wtedy byliśmy już ze sobą na tyle blisko, że zwykle trochę rozmawialiśmy, zarówno przed, jak i po, czy jak to określić. Powiedział, że widział moje zdjęcie w gazecie, w związku z otwarciem nowej pływalni. Od początku bałem się, że coś takiego się stanie. Wyczuł, że jestem skonsternowany. Pewnie nie było zbyt trudno. Przypuszczam, że miałem to wypisane na twarzy, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Ale on mnie uspokoił. Roześmiał się i powiedział, że przywykł do takich sytuacji. Spytałem, co ma na myśli, i wtedy ... – Kręci głową. – Wtedy opowiedział mi dziwną historię – kończy po chwili.

– Prawdziwą?

– Nie mam na to żadnych dowodów. Gdyby ktoś chciał, to pewnie by je znalazł, ale ja nie zamierzam w to wnikać. Nie widzę sensu.

Charles czekał. Miał ochotę zapalić papierosa, ale wiedział, że mężczyzna nie pali, więc się powstrzymał.

– Powiedział mi, że spotkał faceta, polityka, który podróżował razem z jednym z naszych byłych ministrów, który wypytywał go o jego usługi. To było na początku marca, a wszystko działo się w hotelu, w którym ja też zwykle się zatrzymuję, tyle że w trochę lepszym pokoju.

– Co to za polityk?

Mężczyzna długo milczał.

– Pewnie wcześniej czy później pan by do tego doszedł, więc oszczędzę panu czasu i trudu.

– Dobrze.

Wziął głęboki oddech, zatrzymał na chwilę powietrze w płucach.

– Ulrik Bondesson. Wielu pewnie nic to nie mówi, ale za czasów Palmego pracował w Ministerstwie Obrony, był jednym z najbliższych współpracowników ówczesnego podsekretarza stanu Paulssona.

Bondesson. Paulsson. Palme.

Dość nieoczekiwana lista nazwisk.

– Po wszystkim zadzwonił telefon Bondessaona. Lichter brał prysznic w łazience, więc Bondesson nie bardzo mógł go wyprosić. Odebrał. Rozmawiali po niemiecku. Jak już mówiłem, Lichter brał prysznic, więc nie słyszał wszystkiego, ale ponieważ jego dziadkowie pochodzili z Hamburga, dość dobrze znał niemiecki. Ta część jego mózgu, której nie zniszczyły narkotyki, funkcjonowała całkiem nieźle – powiedział, a Charles zobaczył na jego twarzy smutek.

Zapisał nazwisko w notesie, czekał.

– Bondesson spytał, czy może zadzwonić później. Powiedział, że ma gościa i że nie bardzo może rozmawiać, ale sprawa musiała być pilna, bo mimo wszystko chwilę rozmawiali. Bondesson wymienił jedno nazwisko – dodał mężczyzna cicho. Zamilkł, a po chwili mu je podał.

Charles zapisał je w notesie.

– Znam je – powiedział.

– Od paru lat jest zastępcą szefa Asei.

– Jest pan pewien, że to był on?

– Wszystko na to wskazywało. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Lichter. Bondesson w ostatnim czasie blisko z nim współpracował, chodziło o nową umowę między Aseą a Niemcami Zachodnimi. Początkowo nie mogli się dogadać co do ceny. Pamięta pan tę historię?

– Słabo.

– Lichter usłyszał, że padły takie słowa jak firma i dranie z Berlina. Potem się pożegnali. Kiedy wyszedł z łazienki, Bondesson się na niego wydarł. Krzyczał, że jeśli piśnie komuś choć słówko, nie dożyje następnego dnia.

– No proszę.

Mężczyzna poprawił się w fotelu pasażera, poszukał pokrętła opuszczającego oparcie. Znalazł je, opuścił oparcie, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

– Oczywiście spytałem, czy to zrobił. Czy komuś o tym powiedział. Twierdził, że nie. Nie był strachliwy. Nie był też głupi. Więc zamiast rozsiewać plotki, postanowił sprawdzić kilka rzeczy. Szczegółów nie znam, ale ktoś taki jak on ma różne możliwości, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Znał wiele ważnych osób. Powiedział mi, że firma to zapewne Stasi, a ten, który mu płacił za seks, Bondesson, to ich współpracownik.

– No proszę – powtórzył Charles.

Mężczyzna odchrząknął.

– To wszystko. Kilka dni później uznano go za zaginionego.

Charles patrzył na rozciągające się u ich stóp miasto: na domy, okna, widział też dach budynku, w którym pracował. Był na urlopie. Pomyślał, że to dziwne uczucie.

Spojrzał na notatki. Próbował je złożyć w całość, ułożyć w jakąś historię.

– Powiedział pan, że nie widzi pan powodu, żeby Lichter miał kłamać. Ja dostrzegam kilka.

Mężczyzna otworzył oczy.

– Na przykład?

– Chciał się pochwalić, pokazać, że jest kimś ważnym. Że wie o różnych sprawach.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie ten typ.

– Co to znaczy?

– Ted nigdy nie robił z siebie ważniaka. Między innymi dlatego go lubiłem. Po prostu był sobą. Chociaż oczywiście mógł kłamać.

Charles spojrzał na niego, a potem na notatki.

– Bardzo dziękuję. Może niewiele to da, ale wszystko sprawdzę.

– Takie rzeczy zwykle prowadzą do celu – powiedział mężczyzna, otwierając drzwi. – Pytanie, czy chcemy wiedzieć, co nas tam na końcu czeka.

czerwiec 2014

Powietrze w sali konferencyjnej stoi. Davidsson bierze głęboki wdech, jego twarz wykrzywia grymas. Kicha tak mocno, że kolor jego twarzy zmienia się z różowego na czerwony. Åhlund, który siedzi przede mną, tłumi uśmiech.

– Ta szrama na wardze powinna zostać zszyta – mówi.

– Nie można jej skleić taśmą?

– Mogę spróbować.

– I podaj mi coś na moje zębra. – Znow przełykam krew. – Najlepiej morfinę.

Åhlund najpierw się waha, ale po chwili podchodzi do apteczki.

– Więc mamy jednego podejrzanego – zaczyna Tove i spogląda na Davidssona. – Możesz nam powiedzieć coś więcej?

– Wspominałem, że zamierzam porozmawiać z moim przyjacielem, Danem. Wie wszystko o wszystkich. Wściubia nos we wszystko, ale poza tym to porządny facet. Już wcześniej zdarzało się, że nam pomagał, i gdyby nie jego upodobanie do prowadzenia samochodu bez prawa jazdy, pewnie by nam się przydał, tu, na komisariacie. No ale trudno. – Davidsson staje obok białej tablicy, na której widnieje imię i nazwisko Levina i jego PESEL, tuż obok zdjęcia nieznanego mężczyzny w samochodzie. – Wczoraj wiedzieliśmy tylko tyle, że zamordowany mężczyzna pochodzi ze Sztokholmu, chociaż mieszkał tu od 1971 do 1980 roku. Przy Alvavägen, z Evą Alderin, która wkrótce została panią Levin. Wiosną 1972 urodziła im się córeczka, Marika.

Davidsson rysuje kreskę od nazwiska Levin, obok pisze: *Eva Levin (Alderin)*. W połowie stawia pionową kreskę i pisze: *Marika Levin*.

– Mój przyjaciel Dan twierdzi, że należałoby tu dodać jeszcze jedno nazwisko, chociaż nie potrafi powiedzieć, jaką dokładnie funkcję ta osoba pełniła.

Na górze, nad nazwiskiem Levin, Davidsson rysuje ukośną kreskę, a obok pisze: *Daniel Bredström*.

– Kto to jest Daniel Bredström? Naszemu niedawno przybyłemu współpracownikowi pewnie przyda się krótkie wprowadzenie.

– Będę wdzięczny – mówię.

Åhlund znajduje jakąś fiolkę, czyta etykietkę i wyjmuje jedną kapsułkę. Jest

mała, owalna, przypomina tabletkę od bólu głowy.

– Właściwie są tylko na receptę. Wody?

– Po prostu mi ją daj.

– Nie chcesz wiedzieć, co to takiego?

Kręcę głową. Ból szyi staje się nie do wytrzymania. Wkładam tabletkę do ust. Jest gładka, połykam ją.

– Daniel Bredström, urodzony w październiku 1950 roku. Dzisiaj ma sześćdziesiąt trzy lata. Dorastał w Bruket, po odbyciu służby wojskowej rozpoczął naukę w warsztacie blacharskim Erkensjö. Jeśli ktoś nie pamięta, znajdował się niedaleko złomowiska. Po dwóch latach został zatrudniony na etat. Pracował tam do roku 1975, kiedy to postanowił założyć własną firmę. Zajmował się naprawą samochodów i splajtował w 1980. Wtedy ujawniono nieprawidłowości w księgowości. Okazało się też, że prowadził interesy z podejrzanymi osobami. Zarzucano mu także paserstwo. Na początku 1981 został skazany właśnie za paserstwo. Sąd nakazał mu zapłacić zaległe podatki i firma zbankrutowała. Zaczął pić. W 1981 roku został skazany na rok więzienia za pobicie. Stało się to podczas awantury w barze. Potem było już tylko gorzej. Kilka razy trafiał do szpitala na odtrucie, ale brakowało mu motywacji. Godził się na to chyba tylko po to, żeby otrzymywać zasiłek. W następnych latach oskarżono go o posiadanie narkotyków i nielegalnie nabytej broni palnej, między innymi śrutówki i rewolweru, o kupowanie seksu, kilka razy o pobicie, o napad z użyciem noża i pobicie urzędnika.

Davidsson odchrząkuje. Åhlund przemywa mi wargę spirytusem, oczy zachodzą mi łzami. Mam wrażenie, że zaraz wypali mi dziurę. Tove wyjmuję z torby notes, coś zapisuje.

– Dzisiaj jest już pewnie za stary, żeby naprawdę narozrabiać. Żyje w miarę przyzwoicie. Od kilku lat jest na wcześniejszej emeryturze. Alkohol pozostał jego najlepszym przyjacielem, podejrzewam, że jego wątroba musi być w szcątkowym stanie. Mieszka na skraju lasu, przy szutrowej drodze niedaleko Vårmyntan. Wychodzi z domu, tylko kiedy musi pojechać do Systembolaget po alkohol. Kiedy sklep zostanie zlikwidowany, pewnie już w ogóle nie będziemy go widywać.

Åhlund skleja moją pękniętą wargę kawałkiem taśmy klejącej. Nie wiem, czy to coś da, ale nagle odczuwam ulgę. Po chwili uświadamiam sobie, że pewnie to morfina zaczęła działać.

– Pod koniec maja Levin wrócił do Bruket, po trzydziestu czterech latach – ciągnie Davidsson. – Jeśli chodzi o naszą ofiarę, szereg śladów wydaje się obciążać Bredströma.

Na tablicy obok nazwiska Bredströma stawia jedynekę.

– Po pierwsze to, co powiedział Dan: trzy dni temu Levin staje w kolejce do monopolowego. Tuż za Danem. Dokładnie w środę, osiemnastego, czyli w dniu,

kiedy zginął – podkreśla Davidsson. – Mając przed sobą niecałe dwanaście godzin życia, kupuje małą butelkę szkockiej whisky. Bredström nabywa zgrzewkę piwa. Levin zapewne kupował whisky z myślą o zbliżającym się wieczorze świętego Jana. Bredström nabywał swoją dzienną rację. Stał w kolejce za Levinem, więc wie, co mówi. – Davidsson bierze głęboki wdech, rozgląda się za szklanką z wodą. – Ani Levin, ani Bredström nie wiedzą, obok kogo stoją, do chwili kiedy Bredström nagle się odwraca. Wtedy się rozpoznają. Dan twierdzi, że wymieniają kilka słów, krótko, chłodno.

Obok jedynki pisze 18/6 i dodaje: *L&B się spotykają.*

– Dan dochodzi do kasy, płaci, więc nie wie, co się w tym czasie dzieje. Kiedy po minucie, może dwóch wychodzi ze sklepu, widzi Levina i Bredströma. Stoją na rynku tuż obok sklepu Aspgrena. Rozmawiają, a raczej Bredström coś mówi do Levina. Gwałtownie, ostro, jak twierdzi Dan. Od czasu do czasu dotyka palcem jego klatki piersiowej i popycha go. Potem odwraca się na pięcie i odchodzi szybkim krokiem. Levin wchodzi do sklepiku Aspgrena, a Dan wraca do domu na rowerze.

Davidsson patrzy na tablicę.

18/6 L&B się spotykają.

Groźba?

Åhlund kończy opatrywać moją wargę, zamyka zieloną skrzynkę.

– Te kapsułki... – mówię. – Możesz mi dać fiołkę?

– Nie, ale mogę ci dać kilka kapsułek. – Wyjmuje kilka sztuk. – Powinieneś się zgłosić do lekarza – mówi. Po chwili wstaje i zwraca się do Davidssona: – Mam zostać?

– Nie. Zejdź do aresztu i sprawdź, jak się mają nasi pijaczkowie. Większość powinna już wytrzeźwieć.

Wkładam kapsułki do kieszeni kurtki. Dopiero teraz widzę, że mój T-shirt z Prince'em jest zakrwawiony. Muszę go zmienić.

Åhlund wychodzi. Davidsson znów kicha.

– No dobrze – zaczyna grubym głosem. – To pierwszy punkt. – Pod jedynką stawia dwójkę. Obok niej przypina zdjęcie mężczyzny w aucie. – Samochód. Jego ostatnim właścicielem jest Bredström.

– Co takiego? – mówię zdziwiony, czuję, jak ciągnie pęknięta warga. – Facet, który żyje z zasiłku i piwa, może sobie pozwolić na taki samochód?

– Podejrzewamy, że jest kradziony. Pewnie przechowuje go w swoim garażu, a po jakimś czasie go sprzeda. Fałszywe tablice rejestracyjne mogą na to wskazywać. Tak czy inaczej – ciągnie Davidsson – Bredström stara się raczej przestrzegać prawa. Chociaż oczywiście wszystko jest względne. Jego najbliższa sąsiadka, która mieszka kilkaset metrów dalej przy tej samej drodze, twierdzi, że widziała go przy samochodzie co najmniej dwukrotnie. Ta sąsiadka to Ylva Larsson, rozmawiałem z nią osobiście. Kiedy jej pokazałem zdjęcie, nie miała żadnych wątpliwości. Powiedziała tylko: no proszę. – Davidsson stuka palcem w zdjęcie. – Jeśli się zmruży oczy, widać, że to on. A to prowadzi nas do kolejnego punktu.

Pod dwójką rysuje na tablicy trójkę. Waha się i pisze: *Wygląd*.

Zerkam na Tove i zastanawiam się, czy myślimy o tym samym. David unika słowa charakterystyka, ponieważ nie jest pewny, jak się je pisze.

– Jeśli założymy, że osoba na zdjęciu to nasz sprawca, to on i Bredström są do siebie bardzo podobni.

– Ale zdjęcie jest zamazane. Nie widać rysów twarzy.

– Stosując metodę wykluczania, można się posunąć dalej. Mężczyzna na zdjęciu na pewno nie ma ciemnych włosów – jak Bredström. Wiek trudno określić, ale nie sprawia wrażenia młodego. Bredström ma sześćdziesiąt trzy lata. – Davidsson rozkłada ręce. – No a do tego wszystkiego mężczyzna ze zdjęcia siedzi w samochodzie, do którego według Ylvy Larsson Bredström miał mieć dostęp.

– Domyślam się, że pani Larsson nie zwróciła uwagi na tablice rejestracyjne – wtrąca Tove.

– To prawda, więc nie mamy całkowitej pewności, że to rzeczywiście ten sam samochód. Tym bardziej że ten, który tu widzimy, miał fałszywe tablice. Wiemy natomiast, że nadal nie udało nam się go odnaleźć.

– Nie stoi u Bredströma? – pytam.

– W tej chwili nie. Garaż jest pusty.

– Skąd to wiadomo?

– Byłem tam i sprawdziłem.

– Nic nie mówiłeś. – Tove jest wyraźnie zdziwiona.

– Spytałem, gdzie jest. Najpierw oczywiście stwierdził, że nie ma pojęcia, o czym mówię. O jaki samochód mi chodzi? W życiu takiego nie widział. Ale w końcu się poddał. – Davidsson uśmiecha się ostrożnie. – Stwierdził, że rzeczywiście miał kiedyś taki samochód, ale ktoś mu go ukradł. Pewnie po morderstwie przestawił go w jakieś inne miejsce, a może podpalił i w ten sposób się go pozbył. Diabli wiedzą. Poza tym w garażu stał żółty wózek, taki na dwóch kółkach. Oczywiście potrzebujemy pozwolenia, żeby móc się mu przyjrzeć bliżej. Wiem też, że to nie musi nic znaczyć, w końcu takie wózki są bardzo popularne, ale warto to odnotować. Podobny wózek mógł zostać użyty w domu Levina.

– Ale komputera, komórki i drukarki nie znalazłeś? – pyta Tove.

– Nie w garażu. Mogą być w domu albo zdążył je już sprzedać. Kto to wie. Od osiemnastego czerwca mógł zrobić wiele rzeczy. I tu przechodzimy do punktu czwartego. – Pod trójką stawia czwórkę, a obok pisze: *Alibi*. – Bredström nie ma alibi na czas, kiedy Levin zginął. Twierdzi, że był w monopolowym, a potem siedział w domu, pił piwo i oglądał telewizję. I tak przez cały dzień, do wieczora. I nikt nie jest w stanie tego potwierdzić. Do nikogo nie dzwonił, z nikim się nie spotkał, nic. Poza tym – ciągnie, dopisując na tablicy piątkę – prawdopodobnie ma dostęp do broni. Ma skłonność do gwałtownych zachowań i kilka razy w wyniku bójek doznawał zaników pamięci. Zdarza się, że nie do końca wie, co robi. Ostatni raz był karany za pobicie kilka lat temu. Więc możemy stwierdzić na pewno, że bywa gwałtowny i że zdarza mu się tracić panowanie nad sobą.

Dodaje szóstkę i pisze na tablicy: *Gwałtowny*. Odkłada marker, przygląda się tablicy, studiuje swoje dzieło.

– Więc już z nim rozmawiałeś – odzywa się Tove.

– Pokierowałem rozmową tak, żeby myślał, że interesuje nas kradziony samochód. A przy okazji podpytałem go, co robił osiemnastego wieczorem – mówi Davidsson i zwraca się do mnie: – Kiedy coś się dzieje, zwykle zaczynamy od sprawdzenia starych znajomych. To nie była nasza pierwsza wizyta u niego. Przy drodze, gdzieś między jego domem a domem Ylvy, zostawiłem w cywilnym samochodzie Brandéna. Jeśli Bredström ruszy się z domu, będziemy o tym wiedzieć.

– Wie, że Levin nie żyje? – pyta Tove.

– Wie. I nie sprawia wrażenia, jakby ubolewał nad stratą, jak to się mówi.

Przyglądam się zapisanym na tablicy imionom i nazwiskom: Levin, Eva, Daniel Bredström. Mają jakiś ukryty wymiar. Coś się za nimi kryje. Tylko nikt nie wie co.

– Myślicie, że to możliwe, że Eva i ten Daniel... – zaczyna Tove. Przerywa, bo ktoś puka do drzwi.

Åhlund nie czeka na odpowiedź: otwiera i wkłada głowę w szparę.
– Ten samochód – mówi. – Jaki miał numer rejestracyjny?
– FOR 528 – odpowiada Tove.
– Przed chwilą mieliśmy telefon. – Åhlund zerka na kartkę, którą trzyma w ręku. – Znalaziono go w lesie na tyłach cmentarza.
Davidsson uśmiecha się szeroko.
– A nie mówiłem?
– Jest spalony – dodaje Åhlund ostrożnie, jakby nie był pewien, czy ten szczegół coś zmienia.

W zeszłym roku Gabriel Birck spędził Midsommar z przyjemnym kacem w swoim łóżku, pogrążony w lekturze *Last Exit To Brooklyn*. Książka opowiada o ludziach, których losy raczej nie obfitowały w przyjemności, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co spotkało Marikę Alderin.

Obecnie ma czterdzieści dwa lata i wielokrotnie przebywała w różnych zakładach, zanim ostatecznie została umieszczona w szpitalu dla psychicznie chorych. Doszło do tego po nieudanej próbie samobójczej w Sztokholmie, dziewięć lat temu.

Birck siedzi przy komputerze w swoim pokoju, popija sok, żeby zapewnić organizmowi witaminy, i kawę, żeby zwalczyć zmęczenie. Wchodzi w kolejne pliki.

Urodziła się jako Marika Levin, ale w roku 1990, w wieku osiemnastu lat, zmieniła nazwisko na Alderin. Marika Alderin – to można wyczytać z rejestru Urzędu Skarbowego. Przyjęła nazwisko matki. To właśnie to nazwisko należy wpisać, jeśli się szuka w rejestrach jakichkolwiek informacji o niej, a i tak nie znajdzie się wiele, jedynie strzępy życia: jakiś adres, informacje o dochodach, nic więcej.

Birck wychodzi z gabinetu i rusza w stronę szpitala S:t Göran.

– Nie wiem, czy pamiętasz, jak w latach osiemdziesiątych wyglądały szpitale psychiatryczne – mówi Klawisz. Stoi obok Bircka, niemal ramię w ramię, w jednym z gabinetów. Przeglądają kartę choroby Mariki. – Ja wtedy dopiero się urodziłem.

– Dawano wszystkim tabletki, bez opamiętania. Panowało przekonanie, że w ten sposób można rozwiązać wszystkie problemy młodych ludzi. Nikt nie był świadomy konsekwencji takich działań.

– To prawda – potwierdza Klawisz. – Ta część karty to jedynie coś w rodzaju szkicu i pewnie już nim pozostanie. Tak to bywa w przypadku ludzi takich jak ona. W ich życiu są dziury, których nikt nigdy nie wypełni.

Wiosną 1985 roku Marika Levin zaczęła przyjmować lekarstwa, które miały tłumić lęk. Miewała ataki paniki. W historii choroby odnotowano, że od dziecka była psychicznie niestabilna. W tym czasie jednak nawet jej ojciec doszedł do wniosku, że sytuacja stała się nie do wytrzymania.

W roku 1990, po pięciu latach przyjmowania leków, Marika zmienia nazwisko. Bierze też wtedy regularnie narkotyki, co w krótkim czasie prowadzi do tego, że zgodnie z prawem trafia na przymusowe leczenie. Po jakimś czasie opuszcza szpital. Często się przeprowadza, pojawia się w różnych miejscach w środkowej Szwecji: w Norrköpingu, w Uppsali, w Enköpingu, w Sali i w Västerås.

W roku 2000 Marika Alderin kończy dwadzieścia osiem lat. Pewnego dnia wchodzi do biura opieki społecznej i oświadcza, że słyszy głosy. „Twierdzi, że słyszy między innymi swoją mamę, która nie żyje już od dwudziestu lat (LEVIN, EVA)”.

Co się dzieje potem, nie jest do końca jasne, ale na pewno nie otrzymuje żadnej pomocy, a jej stan się nie poprawia. Jesienią 2002 roku sztokholmski wydział narkotykowy robi nalot na kwartał domów w Bandhagen, w których urzędują narkomani. Wśród zatrzymanych jest Marika Alderin. Zostaje skazana za posiadanie narkotyków i wysłana na przymusowe leczenie. Dość szybko opuszcza zakład, ale po kilku miesiącach trafia tam ponownie.

Sytuacja powtarza się kilka razy, aż do roku 2005. Wtedy coś się dzieje: pod koniec kwietnia Marika ucieka z zakładu, przedawkowuje i wchodzi w ostrą fazę psychozy, na którą cierpi do dzisiaj.

Właśnie w stanie ostrej psychozy próbuje kogoś zamordować, co prowadzi do tego, że jesienią znów trafia do zakładu zamkniętego. Zostaje przewieziona do

Säter, dostaje silne leki uspokajające, tak silne, że właściwie jest nieprzytomna.

– Jest u nas już prawie pięć lat – mówi Klawisz. – O, tutaj odnotowano, kiedy ją przewieziono do nas z Säter. Dwudziestego czwartego sierpnia 2009 roku.

– Wie, że jej ojciec nie żyje?

– Tak. Powiedzieliśmy jej, jak tylko otrzymaliśmy wiadomość.

– Co powiedziała?

– Nic.

– W ogóle nie zareagowała?

– Może zareagowała, ale nie dała tego po sobie poznać.

Marika Alderin siedzi ze skrzyżowanymi nogami, ręce trzyma na kolanach, głowa jej zwisa jak sępowi. Kiedyś jej włosy były ciemne, dzisiaj są poprzepłatane srebrnymi pasemkami. Są rozdzielone przedziałkiem, sięgają jej do ramion. Grzywkę ma obciętą nierówno, jak czasem dzieci strzyżone przez rodziców. Kiedyś była ładna, teraz jej rysy wydają się zniekształcone: oczy są za duże w porównaniu z nosem, usta za szerokie w porównaniu z brodą. Wygląda pociesznie, chociaż nie ma w tym nic śmiesznego. Porusza mechanicznie wargami, jak ktoś, kto żuje gumę, i patrzy na siedzącego naprzeciwko Bircka.

Birck czuje się tak, jakby wtargnął na teren, na którym nie powinno go być.

– Marika. Mam na imię Gabriel i chciałbym z tobą chwilę porozmawiać.

Jej głos jest niski, ciemny, szorstki jak wióry:

– Dziecko jest ojcem mężczyzny.

Odrywa wzrok od stołu, patrzy na niego, unosi brwi.

– Tak... – mówi Birck ostrożnie.

– Tak – powtarza Marika. Krzyżuje ręce na piersi i zaczyna się kołysać na krześle. – Tak. Tak. Tak.

– Jeśli będziesz chciała przerwać, daj mi znać. Natychmiast wyjdę.

– Mm. Mm. Mm.

– Wydaje mi się, że ktoś cię tu odwiedzał. Jakiś mężczyzna.

Marika przekrzywia głowę, mruga, uśmiecha się niepewnie.

– Paliło się! Sadza i popiół, to wszystko, co zostało.

– Marika, chciałem cię spytać, czy był tu jakiś mężczyzna. Pokażę ci jego zdjęcie. Wystarczy, jeśli powiesz tak albo nie. Rozumiesz?

Jej twarz znów się zmienia, pojawia się na niej oczekiwanie.

– Tak – mówi Marika.

Birck znajduje w komórce zdjęcie Charlesa Levina, pokazuje jej. Marika pochyla się do przodu.

– Był tu? Odwiedzał cię?

– Młodszy.

– Mężczyzna, który cię odwiedzał, był młodszy?

Marika kręci głową.

– Na zdjęciu wydaje się młodszy niż w rzeczywistości?

Marika kręci głową.

– Ty jesteś młodszy. Dużo młodszy – mówi.

Brick śmieje się bezradnie.

- To prawda.
- Kładzie komórkę obok niej.
- Paliło się. Sadze i popiół. Tylko to zostało.
- Co się paliło?
- Samochód. Palił się.
- Samochód spłonął?
- Mm. Samochód. Palił się.

Marika spuszcza wzrok. Kosmyki siwych i ciemnych włosów opadają jej na policzki. Ekran komórki robi się czarny.

- Możesz jeszcze raz spojrzeć na to zdjęcie?
 - Jeśli chcesz.
 - Chcę, żebyś na nie spojrzała.
- Birck znów wyświetla zdjęcie.
- Boli – mówi Marika.
 - Coś cię boli?
 - Mm. Boli na to patrzeć.

– Więc go poznajesz?

– Och, tak. – Marika znów zaczyna się kołysać. – Och, tak. Nigdy go nie zapomnę.

- To on cię odwiedzał?
- Dziecko jest ojcem mężczyzny.
- Mariko...
- Sadze i popiół. To wszystko, co zostało.

Marika wydaje jakieś dźwięki, jakby nagle coś w niej ożyło: chichocze. Głośny chichot bulgocze jej w gardle, aż w końcu wychodzi na zewnątrz. Zaczyna się rzucać na krzesła, to w jedną, to w drugą stronę, jakby szarpała nią jakaś niewidoczna ręka. Chichot zamienia się w śmiech, śmiech odbija się od ścian.

Przekląty Leo. Namówił go na tę żalospną wizytę, a i tak wszystko na nic.

- Dziękuję, Mariko. Nie będę ci dłużej przeszkadzał.

Marika milknie, nieruchomieje. Patrzy na niego. W jej spojrzeniu jest pustka, tak wielka, że Birck się wzdryga.

- Możemy się kochać, jeśli chcesz – szepcze.

Birck wstaje i zawstydzony rusza do drzwi.

Ma ochotę napić się czegoś mocniejszego, żeby wyłączyć emocje, albo przynajmniej zapalić papierosa, żeby zająć czymś ręce. Zrobić coś, cokolwiek. Ale nie robi nic. Stoi na parkingu i skupia się na swoich płucach: napęnia je powietrzem, wypuszcza je. Kontrola, myśli. Muszę zachować kontrolę.

Po jakimś czasie znów wchodzi do szpitala, mija bramki, idzie długim korytarzem, który prowadzi go z powrotem. Kiedy wchodzi do holu, zdziwiony Klawisz unosi brwi.

– Właśnie się zastanawiałem, co się z tobą stało.

– Musiałem na chwilę wyjść.

Klawisz patrzy na niego ze zrozumieniem. Pewnie każdy tego potrzebuje od czasu do czasu, żeby w ogóle przetrwać.

– Pora na lunch – oznajmia, patrząc na zegarek. – Jesteś głodny?

– Nie.

– Ja też nie. Ale pewnie jednak powinniśmy pójść coś zjeść.

– No więc tak jak mówiłem – zaczyna Klawisz. Drapie się po brodzie i zaczyna jeść kanapkę. Zapach rostbefu i smażonego jajka tonącego w zadziwiającej ilości remulady przenika wszystko. – Z Mariką Alderin trudno się rozmawia.

– Ale poznała Levina. To było wyraźnie widać.

W niewielkiej kafeterii w drugim końcu szpitala panuje cisza i spokój. Powietrze jest lekkie, przyjemne. Klawisz je kanapkę. To idealne miejsce na rozmowę o czymś, o czym tak naprawdę powinno się milczeć. Birck wkłada kawałek marchewki do niewielkiej miseczki z humusem.

– Problem polega na tym, że między nią a światem wznosi się niewidzialny mur – mówi Klawisz.

– Ale nie jest warzywem. Rejestruje różne rzeczy.

– Owszem – przytakuje Klawisz. – Ale tylko czasem, dzisiaj tak. Wiem, że pomaga jej muzyka. Lubi słuchać muzyki. Przez jakiś czas miała w pokoju magnetofon, ale jakiś tydzień temu musieliśmy jej go zabrać. Wolno jej było mieć go tylko u siebie, a ona wynosiła go na zewnątrz.

– Ale skoro muzyka jej pomaga...

– Wiem. Ale zasady to zasady. Co można zrobić? Od czasu kiedy została tu przyjęta, tylko raz słyszałem, żeby się odezwała z sensem. Do jednego pacjenta. Podejrzewamy, że się znali. Pewnie kiedyś ich drogi się skrzyżowały. Widać było, że dobrze się czuje w jego towarzystwie. Coś w niej poruszał. Dlatego uznaliśmy,

że jej stan jednak...

- Kto? – wchodzi mu w słowo Birck.
- Słucham?
- Kto to był? – pyta Birck już spokojniej.

listopad 1984

Charles i Paul spotykają się z rezydentem. Otrzymują drugą połowę obiecaną sumy za VAX-y. Rezydent nazywa to ich h o n o r a r i u m. Przyjeżdżają na miejsce samochodem Paula, robią rundkę wokół kwartału.

Kiedy wysiadają, Charles kątem oka zauważa błysk, jakby flesz aparatu fotograficznego. Odwraca głowę. W jednym z domów trwa przyjęcie, jakiś bankiet. Może ktoś robi zdjęcia.

Rezydent nic nie zauważa, ale Charles, który właśnie zamyka drzwi, nieruchomieje.

Cienie. Cienie w ciemnościach.

Mężczyzna dzwoni do Paula na jego wewnętrzny numer. Jest zły i wzburzony. Pracuje na stanowisku sekretarza w jednej z firm utworzonych przez dział operacyjny. Zajmują się sprawami, z których wiele powinno pozostać w cieniu. Tworzenie tego rodzaju firm to był pomysł szefa. Teraz, po kilku latach, chyba tego żałuje. Bo trudno je kontrolować. Mężczyzna, który dzwoni do Paula, mówi, że godzinę wcześniej stało się coś dziwnego.

– Była tu jakaś kobieta. Pytała, czy to prawda, że czarny citroen z numerem rejestracyjnym SOM 364 jest zarejestrowany na naszą firmę.

SOM 364. Samochód Paula.

– Powiedziałem, że tak – mówi sekretarz. – Bo co, do diabła, miałem powiedzieć? Wtedy spytała, czy przypadkiem nie został skradziony. Odpowiedziałem, że nie. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Ona na to, czy jesteśmy zwykłym biurem rachunkowym. Odpowiedziałem, że oczywiście. Więc jak to możliwe, pyta, że samochód jest zarejestrowany na naszą firmę i nie został skradziony, a jeździ nim dwóch facetów z bezpieczeństwa.

– Nie rozumiem – mówi Paul do słuchawki.

Charles siedzi obok niego i przysłuchuje się rozmowie. Ma wrażenie, jakby jakaś lodowata dłoń ścisnęła mu serce.

– Pokazała mi zdjęcie – mówi sekretarz. – Zrobione w pobliżu wschodnioniemieckiej ambasady. Wyraźnie widać na nim twoją twarz, twoją i twojego kolegi. Niestety widać także twarz wschodnioniemieckiego rezydenta w Szwecji. – Sekretarz zniża głos, nie jest już tak wzburzony, raczej zdziwiony. – Coś was z nim łączy?

– Jak się nazywa ta dziennikarka?

– Cats Falck.

Paul się rozłącza. Charles siedzi nieruchomo. Długo rozmawiają: jak jej się udało tak bardzo do nich zbliżyć? Co przeoczyli? Może zobaczyła samochód i zapisała numery? Kiedy to zrobiła?

– Niech to szlag, Paul. Ma zdjęcie.

Paul odpala jednego papierosa od drugiego. Charles otwiera okno. Paul podchodzi i je zamyka. Na jego twarzy widać, że zaczyna wpadać w paranoję.

C z a s. Czas to jedyna rzecz na świecie, której nie można zamrozić, jedyna, która nieustannie się porusza w takim samym rytmie, nieważne, czy próbujemy się temu przeciwstawić, czy nie. Pewne zjawiska są potężniejsze od człowieka.

Charles ustawia cyfrowy zegarek: 22:14:55, 22:14:56, 22:14:57. Wkłada do magnetofonu kasetę, spokojnie, nie robiąc hałasu. Włącza ją dopiero, kiedy załącza się odbiornik po drugiej stronie.

22:15:00. Do przybycia Paula zostało jeszcze czterdzieści pięć minut.

Pada zimny wieczorny deszcz.

Miasto zamyka się wokół niego, pozwala wstać ceniom, niezliczone zaułki stają się jeszcze głębsze. Czegokolwiek szukamy, tu na pewno to znajdziemy. Perspektywa wejścia w jeden z nich, zniknięcia w jego mroku, wydaje się kusząca.

Mieszkanie znajduje się naprzeciwko Barnängsgatan czterdzieści, kuchnia jest jedynym miejscem, w którym trzaski są do zniesienia. I cienie są tam najdłuższe.

22:19:42.

Reguluje słuchawki. Łaskoczą, a każde dotknięcie wywołuje trzaski i szuranie tak głośne, jakby hałas pochodził gdzieś z wnętrza głowy.

Charles wzdyga się za każdym razem, kiedy słyszy syreny. Jest przekonany, że został nakryty, że zaraz się zjawią i go zabiorą.

Paul zamontował mikrofon wczoraj, kiedy kobieta wyszła rano z mieszkania. Charles przypomina sobie niewielki salon. Pewnie umieścił go właśnie tam, może w jakimś wazonie albo w lampie. Odbiornik włącza się jedynie na dźwięk ludzkiego głosu, ale sprzęt jest stary, więc może również reagować na głos z radia albo telewizora, a także na pukanie do drzwi albo w okno.

Trzaski. Charles klnie.

22:47:11.

22:47:12.

T e r a z.

Kobieta wraca do domu, schodzi z roweru i znika w bramie. Lampa na klatce mruga.

22:48:09. W mieszkaniu – w holu – zapala się światło.

22:48:50. W słuchawkach słychać pstryknięcie. Charles wstrzymuje oddech. Taśma rusza, pierwszych słów nie słychać.

– ...Cats. Jest Lena? Dziękuję.

Telefon. Cholera. Powinni byli jej założyć podsłuch.

– Cześć, to ja. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale przed chwilą wróciłam do domu. Nie, z pracy. Wyobraź sobie, że całe popołudnie spędziłam przed wschodniemiecką ambasadą. Mam na oku coś naprawdę dużego. Jak dobrze pójdzie, dostanę za to nagrodę.

Śmieje się.

Charles ma mdłości.

– Porozmawiamy o tym jutro, kiedy się zobaczymy. Właśnie to chciałam potwierdzić. Przyjadę do ciebie i razem zabierzemy się do sprzątanía. A wieczorem możemy iść do Öhrns Horn. Zadzwońisz do brata i poprosisz, żeby zarezerwował stolik? Potem możemy się przenieść do Café Opera... Dobrze. Okej. Tak, zadzwonię też do Ulli. Super. Do jutra. Cześć.

Kończy, ale mikrofon wyłącza się dopiero po trzydziestu sekundach, więc Charles słyszy, jak kobieta wybiera kolejny numer. Dzwoni do Ulli. *Kto to jest?* Z Ullą rozmawia krócej, tylko o jutrzejszym spotkaniu.

Charles się poci. Krople potu spływają mu po policzkach, moczą słuchawki, dźwięk zamienia się w szum. Poprawia słuchawki, wyciera się koszulką.

Mija pół minuty. Szum znika, mikrofon się wyłącza. W mieszkaniu nadal pali się światło. Widzi, jak Cats się przemieszcza, staje gdzieś w głębi, dalej od okna.

22:54:31. W słuchawkach coś stuka. Włączyła radio, to dlatego. Słyszy jej kroki, słyszy, jak myje zęby, odkręca kran i puszcza wodę. Słyszy, jak Bob Dylan śpiewa *how long must he wait for one more simple twist of fate*, słyszy, jak się rozbiera. Robi się tak intymnie, że jest mu wstyd.

22:58:50. Ktoś przekręca klucz w zamku. Wchodzi Paul.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Pracuje nad czymś. Ma nadzieję, że dostanie za to nagrodę.

Paul się śmieje.

– Pycha kroczy przed upadkiem.

Charles wychodzi do holu, podnosi słuchawkę. Jest czerwona i ciężka.

Marika jest u Jenny. Tyle pamięta, ale nie pamięta numeru do jej rodziców. Mieszkają w Danderyd. Wzdycha i dzwoni do Pauline. Mija trochę czasu, a kiedy w końcu odbiera, przedstawia się, chichocząc. W tle słycać muzykę, głosy, jakieś krzyki. Udaje mu się wydobyć od niej numer. Dziękuje i rozłącza się. Pauline odkłada słuchawkę bez słowa. Może jednak jest szpiegiem, zastanawia się.

– Cześć – mówi, kiedy Marika podchodzi do telefonu. – Co robicie?

– Czego chcesz?

– Jadłaś?

– Tak.

– Co robicie?

– Oglądamy film.

– Jaki?

– Czego ode mnie chcesz, tato?

– Chcę wiedzieć, co robicie.

– Dlaczego?

Charles widział Jenny tylko raz, ale nie lubi jej. Miała na sobie dziurawe dżinsy, ostry makijaż, pachniała słodkimi perfumami i papierosami. Coś w jej spojrzeniu go zaniepokoiło.

– Gdzie są rodzice Jenny?

– Wyjechali.

– Nie powiedziałaś mi.

– Powiedziałam, tylko mnie nie słuchałeś.

– Jesteś pijana?

Marika rzuca słuchawkę tak mocno, że ta trafia w widełki i spada na podłogę, ale połączenie nie zostaje przerwane. Charles słyszy, jak gdzieś w głębi Jenny pyta ją: Coś się stało? A ona odpowiada: Nie, nic. A po chwili: Możesz mi jeszcze dolać?

Mają po dwanaście lat. Dwanaście.

W tle słycać muzykę, może z telewizora. Rozpoznaje piosenkę. Słyszał ją już kiedyś, ale dopiero teraz słowa docierają do niego z całą mocą. Stoi w ciemności, ze słuchawką w ręku, i słucha *Dancing in the Dark*. Jego córce ktoś dolewa alkoholu, słyszy, jak chichocze: Nie tak dużo, przelejesz, uważaj, a potem *you can't start a fire without a spark*. Po chwili piosenka się kończy.

Charles wraca do kuchni, zaczyna coś mówić, ale Paul go ucisza. Patrzy przed siebie, stara się nawet nie mrugać, tylko słucha. A im dłużej słucha, tym bardziej staje się zawzięty.

Siada po drugiej stronie stołu. Taśma cały czas się kręci. 23:14:02. Pieką go oczy. Musi przespać choć jedną noc. Nie pamięta, kiedy ostatnio spał dłużej niż dwie, trzy godziny bez przerwy. Co noc budzi się spocony, przerażony, w paranoi.

Słuchawki przepuszczają jakieś dźwięki: głos Cats Falck. Ma gościa? A może znów rozmawia przez telefon? Charles zerka w okno. Firanki są ciemnozielone, krótkie.

W słuchawkach zapada cisza. Mijają sekundy.

Co zrobi, jeśli Marice coś się stanie? Jeśli wypije za dużo?

Taśma się zatrzymuje. Paul zdejmuję słuchawki.

– Co? Co się stało? – pyta Charles.

Paul wygląda przez okno.

– Powinniśmy założyć podsłuch w telefonie.

– Też o tym pomyślałem.

Cofa taśmę.

– Dzwoniła do kogoś. Nie wiem do kogo. Załóż słuchawki.

Charles słucha szumu. I nagle rozlega się głos:

– Halo? Cześć, to ja. Dzwonię nie w porę?

I krótka przerwa.

– Dobrze, świetnie. Posłuchaj, chciałam z tobą porozmawiać. Właśnie wróciłam z... z telefonu domowego. Co? Nie, nie masz się czego bać. Zaczynam się domyślać, o co w tym wszystkim chodzi. I mam pytanie... Tak, wiem, ale chcę tylko, żebyś coś potwierdził. Oczywiście jeśli rzeczywiście tak jest. Nie wymieniam żadnych nazwisk... Nie, on w to nie wchodzi. Mam tylko ciebie. Więc dobrze...

Szeleści papier. Kobieta szuka czegoś w notesie.

– Szwedzka firma Sunitron przemycy sprzęt elektroniczny do Niemiec Wschodnich, mimo embarga. Proceder trwa od kilku lat. To prawda, że na początku października tego roku kilka VAX-ów typu jedenaście siedemset osiemdziesiąt dwa zostało przemyconych ze Szwecji?

W jej głosie słychać napięcie.

– Dobrze. A czy to prawda, że wydział bezpieczeństwa Policji Krajowej pilnował ich, kiedy jeszcze były w Szwecji? – Kolejna pauza. – Dobrze. – Bierze głęboki wdech. – Czy to prawda, że brali w tym udział ludzie z tego wydziału?

– Milczenie. – Dobrze. Rozumiesz, do czego zmierzam... Co powiedziałaś? Nie wiesz, w jaki sposób, ale jesteś pewien, że w tym uczestniczyli? Dobrze...

Nie wydaje się zdziwiona. Charles przyciska słuchawki do uszu, stara się usłyszeć jak najwięcej.

– Możesz powiedzieć, o kogo chodzi? Nie, oczywiście. Rozumiem. I jeszcze ostatnie pytanie. Rezydent Niemiec Wschodnich w Szwecji, Johann Kraus, czy on i szwedzcy funkcjonariusze operacyjni... Nie wiesz? Nie, ja... Tak, na pewno.

Rozmowa się kończy.

– Boże drogi – słysząc jeszcze, jak mówi. Sama do siebie, w pustym mieszkaniu.

Mija trzydzieści sekund. W słuchawkach słysząc jakiś dźwięk.

– Savolainen – mówi Charles. – Mogę się założyć, że to on. Nikt inny nie wchodzi w grę.

– O ile jej źródło mówiło prawdę.

– Generalnie mówił prawdę. Dostała potwierdzenie tego, co Savolainen wiedział. A tylko on to wiedział. To musiał być on.

Paul drapie się po policzku. Jest zamyślony.

– Musimy coś z nim zrobić.

– Jeśli napisze ten artykuł i jeśli jej źródłem rzeczywiście jest Savolainen, to nie będzie to dobrze wyglądać, jeśli nagle zniknie.

– Oczywiście możemy mu pozwolić chodzić po mieście i dalej paplać.

To wszystko trwa już za długo. Zbyt wielu ludzi okłamali.

– To co mamy zrobić, do cholery? – pyta Charles.

– Musimy ją powstrzymać.

– Jak?

Paul wygląda na ulicę.

Charles wraca myślami do Mariki. Wie, że wcześniej czy później ją straci.

lipiec 1980

Sprawa Lichtera. Latem 1980 roku pierwsze dni urlopu Charles spędził na poszukiwaniach, których nie powinien był się podejmować. Metoda wykluczania zaprowadziła go daleko. I wysoko. Nagle pojawili się Asea i socjaldemokraci, i Ulrik Bondesson. Zaczął sprawdzać dane, sprawdzać, kto gdzie był i kiedy.

Po niespełna tygodniu miał w zasadzie gotowy obraz sytuacji. Opierał się głównie na zeznaniach samorządowca. Uzupełnił je danymi z różnych rejestrów, mimo że miał dość ograniczony dostęp do dokumentów i katalogów, ponieważ wiele informacji było objętych tajemnicą.

W ostatnim okresie rządów Palmego sekretarzem ministra obrony był niejaki Leif Paulsson. Jeden z jego najbliższych współpracowników, Ulrik Bondesson, został zwerbowany przez wschodnioniemiecki wywiad. Był politycznym ogniwnem łączącym Szwecję z Niemcami Wschodnimi, człowiekiem, który pomagał firmie elektronicznej Asea sprzedawać sprzęt na Wschód, mimo embarga. Charles dotarł do billingów, na których wyszczególniono połączenia między Bondessonem, Aseą i rezydentem wschodnioniemieckiej ambasady.

Boże drogi.

Historia była wybuchowa, ale kiedy siedział w swoim pokoju w opustoszałej podczas urlopów komendzie, nie bardzo wiedział, co robić. Imienia i nazwiska zabójcy Teda Lichtera jeszcze nie poznali, pozostawało w ukryciu, jakby czekało gdzieś poza kanwą opowieści.

– Gdzie jest mama? – spytał Charles.

Marika siedziała na starej kanapie przy stoliku i rysowała.

– Nie wiem.

– Pracuje?

– Powiedziała, że wychodzi.

Charles spojrział na zegarek.

– Kiedy to było?

– Nie pamiętam.

– Zostawiła cię samą? Tak po prostu?

– Powiedziała, że niedługo wróci.

Charles podszedł do kanapy i usiadł obok córeczki.

– Co rysujesz?

Wzruszyła ramionami. Narysowała dwa drzewa, brązową i zieloną kredką. Przed nimi była woda: wielkie, potężne fale. W wodzie stał mężczyzna. Nogi miał za długie w stosunku do tułowia, poza tym proporcje były właściwe. Marika narysowała mu szeroki uśmiech, w ręku trzymał odciętą głowę.

Charles poczuł, że robi mu się czarno przed oczami.

– Co to jest?

– Znalazłam gazetę.

– U nas w domu nie ma gazet z takimi zdjęciami.

– Wiem, że nie miał głowy – upierała się Marika. – Czytałam o tym.

– W gazecie?

– Tak.

– Gdzie jest ta gazeta?

Marika się rozejrzała.

– Leżała tu.

– Nie chcę, żebyś czytała gazety – ciągnął Charles. – I nie chcę, żebyś rysowała takich panów...

Słowa grzęzły mu w gardle.

– Ale ja...

– Nie, Mariko. – Zobaczył, że się wzdrygnęła, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że w jego głosie słychać złość. – Kochanie – powiedział już łagodniej, ale nie zagłuszyło to ani wyrzutów sumienia, ani narastającego bólu głowy. – Nie mogłabyś narysować konia? Albo królowy i królewicza?

Nie odpowiedziała. Odłożyła kredkę. Wziął jej rysunek do ręki.

– Ty i mama – zaczęła, patrząc na niego pustym wzrokiem. – Nigdy się nie cieszyście.

– Co?

– Nigdy się nie cieszyście.

– Ależ cieszymy się – powiedział i uśmiechnął się. Starał się zachować spokój. – Masz moje słowo. No i pamiętaj, że i mama, i ja bardzo cię kochamy.

Marika patrzyła na niego.

– Uściskaj mnie – powiedział.

Zrobiła, o co prosił, a on chłonał zapach jej włosów. Pachniały jak włosy Evy, tylko bardziej słodko. Poczuł, że płacz ściska mu gardło.

Gdyby tamten mężczyzna tamtego popołudnia nie zadzwonił do jego drzwi, pewnie wcześniej zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego Eva tak długo nie wraca. Ale mężczyzna zadzwonił, jakąś godzinę po tym, jak Charles podarł rysunek Mariki i spuścił go w wucecie.

– Cześć – powiedział, stając w progu.

Po drugiej stronie niskiego płotu, przy ulicy, stał jego samochód, granatowy citroen.

– O co chodzi?

– Przepraszam – powiedział mężczyzna i wyciągnął do niego rękę. – Jestem Paul. Paul Goffman.

Charles się zawahał, ale podał mu dłoń. Pomyślał, że nie pochodzi stąd. Jego dłoń była chłodna, sucha.

– Charles.

– Wiem. Jesteśmy kolegami po fachu.

– Tak?

Mężczyzna wyjął legitymację.

– Ze Sztokholmu – przeczytał Charles.

– Mogę wejść?

– A o co chodzi? – powtórzył Charles.

– Ted Lichter.

Powiedział to tak, jakby przeproszał, jakby już samo imię i nazwisko zwiastowało kłopoty.

Paul Goffman był w jego wieku, miał na sobie ciemne dżinsy, jasną koszulę i dobrze dobraną marynarkę. Był szczupły, szeroki w ramionach, miał czworokątną twarz z wyraźnie zaznaczonymi brwiami i lodowatoniebieskie oczy.

– Masz bardzo piękną córeczkę – powiedział, kiedy usiedli przy oknie w kuchni, każdy z kubkiem kawy w ręku.

– Tak, jest wyjątkowa.

Paul wypił kawę.

– Kiedy szukałem twojego adresu, zauważyłem, że jest tu też zameldowana Eva Levin.

– To moja żona. – Charles spojrzął na swoje dłonie. – Jest w pracy. – Podniósł wzrok. – A więc Ted Lichter.

– Ted Lichter – powtórzył Paul. – Zgadza się. Rozumiem, że... – Nagle urwał. – Pewnie się domyślasz, skąd jestem? – dokończył po chwili.

– Domyślam się, że z wydziału bezpieczeństwa Policji Krajowej.

– Wydział działań operacyjnych. Mamy swoje powody, żeby się interesować Tedem Lichterem, a raczej jego powiązaniem. Myślę, że nasz obraz – ciągnął – jest zgodny z tym, do czego sam doszedłeś podczas swoich poszukiwań. Asea, Bondesson i tak dalej. Twoje przypuszczenia są słuszne.

– Nie obchodzi mnie, czy są słuszne, czy nie. Zależy mi tylko na złapaniu tego, kto to zrobił.

– I właśnie tutaj mogę się okazać pomocny.

– W jaki sposób?

Paul wziął głęboki wdech.

– Mogę ci podać pewne nazwisko.

– Nazwisko?

– Tak.

– Tego, kto to zrobił?

– Tego, kto trzymał w ręku broń. Jedyne, czego oczekuję, to żebyś na tym poprzestał i nie próbował dążyć dalej. Tym zajmiemy się my.

– Jasne.

– Dobrze – powiedział Paul zdziwiony. – Więc jesteśmy umówieni?

– Tak.

– Sprawdzimy, czy dotrzymasz słowa.

– Dobrze. Możesz wracać do Sztokholmu.

Paul się roześmiał.

– Okej. Manfred Lundin.

– Manfred Lundin?

– To on to zrobił.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Manfred Lundin był jednym z najbardziej znanych miejscowych narkomanów. Miał czterdzieści lat, połowę życia spędził w więzieniu albo na leczeniu. Jego nazwisko wypłynęło podczas dochodzenia, ale było tylko na liście znanych ofiary.

– Lichter za dużo wiedział. Ktoś wynajął kogoś, kto wynajął jeszcze kogoś innego, a ten wynajął Manfreda Lundina. Dwóch mężczyzn z marginesu, którzy się o coś pokłócili. Przynajmniej tak to miało wyglądać.

– To on rozczłonkował ciało?

– Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, do czego narkomani są zdolni, kiedy są na głodzie. To właśnie wykorzystują różni ludzie i różne organizacje.

– Jakie organizacje masz na myśli?

Paul uśmiechnął się i wyjrzał przez okno.

– Dziwne miejsce. Bruket. Jak tu trafiłeś?

Coś w tonie jego głosu zdradzało, że już to wie.

– Byłem na konferencji, tu, w pobliżu, i przypadkiem poznałem Evę.
– No tak. Kobieta. Oczywiście. – Paul zamrugał oczami i wypił łyk kawy.
– Zrobiłeś kawał dobrej roboty. Pozwoliłem sobie – mam nadzieję, że nie będziesz mi miał tego za złe – przejrzeć testy, które kiedyś pisałeś, i sprawy, którymi się zajmowałeś. Masz wyjątkowe osiągnięcia. Poza tym jesteś młody, podobnie jak ja, i chyba znasz się na polityce. Byłbyś dla nas cennym nabytkiem.

Charlesa zdziwiła jego szczerość.

– Może kiedy indziej.
– Wcześniej pracowałeś w Sztokholmie, prawda? U Sivertssona?
– Tak.
– To był prawdziwy policjant. Nie brakuje ci wielkiego miasta?
– Czasem. I nie tyle miasta, ile tamtego życia. Masz do mnie coś jeszcze?
– Nie. – Paul wstał. – Nie będę ci już zajmował czasu. Przemysł moją propozycję i pozdrów ode mnie swoją śliczną córeczkę.

Charles stał w oknie i patrzył, jak odjeżdża. Zna drogę, pomyślał. Nie musiał się zastanawiać, w którą stronę skręcić. Zapamiętał numer rejestracyjny jego samochodu. Miał dziwne przeczucie, że jeszcze się spotkają.

Pół godziny po tym, jak Paul odjechał, do domu wróciła Eva. Kiedy mijała go w holu, poczuł zapach, którego nie znał.

– Gdzie byłaś?
– W mieście.
– Wszystko w porządku?
– Tak. Wszystko w porządku.
– To dobrze.

Wycofał się.

Dwa tygodnie później policja przeszukała mieszkanie Manfreda Lundina. Pod podłogą w holu znaleziono komplet siedmiu noży, którymi miał rozkawałkować ciało Teda Lichtera. Badania laboratoryjne wykazały, że na czterech z nich były ślady ludzkiej krwi.

Lundin został zatrzymany w sierpniu. Charles nadal pamięta, że dzień był wyjątkowo gorący. Marika była na koloniach, gdzieś na północ od Bruket, ale wtedy miał na głowie tyle innych spraw, że nie był w stanie się tym przejąć.

listopad 1984

Człowiek Krausa w Sztokholmie, Heffler, nie jest zadowolony, kiedy się spotykają w jego mieszkaniu.

– *It's my sleep* – tłumaczy. – *If I don't sleep, I get cranky.*

– A kto nie – odpowiada Paul po niemiecku.

Heffler ziewa.

– Przepraszamy, ale nie mieliśmy wyboru – mówi Charles. – Wiem, że wolisz się spotykać w motelu.

Mieszkanie Hefflera jest duże, jasne, wysokie. W powietrzu unosi się zapach farby i elektroniki, a kiedy się stoi przy oknie, ma się za plecami wodę i ciągnącą się między domami Götgatan.

Zegar nad jego głową pokazuje, że za cztery minuty będzie wpół do piątej.

– Mamy pewien problem – mówi Paul.

– Wspominaliście o tym. Rozumiem, że chodzi o tę dziennikarkę.

– Jak dobrze rozumiesz szwedzki?

– Wystarczająco. – Heffler wypija łyk kawy, krzywi się. – Szwedzka kawa, niech to szlag.

Paul otwiera ciężką torbę ze sprzętem nagrywającym.

– Więc sam posłuchaj – mówi. Sięga po kabel i rozgląda się za kontaktem.

– Tak będzie najprościej. – Włącza ciężki magnetofon i wyjmuje słuchawki.

– Nagranie zostało zrobione jakieś sześć godzin temu.

Heffler mamrocze coś pod nosem, niewprawnymi ruchami zakłada słuchawki i wciska play. Taśma rusza. Paul mruga. Ma czerwone oczy.

Czekając na nich, Heffler zaparzył kawę i włączył wideo: leci *Piaskowy Dziadek*, wschodniemiecki serial dla dzieci. Charles go zna. Każdy odcinek to inna historia z życia Piaskowego Dziadka. Podróżuje po NRD, jedzie do Związku Radzieckiego, wybiera się nawet w kosmos.

Tym razem postanowił odwiedzić wschodniemieckich żołnierzy. Dowódca armii oprowadza go po koszarach, Piaskowy Dziadek i towarzyszący mu dwaj przyjaciele biją brawo.

Heffler zdejmuje słuchawki.

– *Blöde Fotze.*

– Jest też zdjęcie, na którym widać, jak Kraus wysiada z Citroena Paula
– dodaje Charles.

– Widać, że to on?

– Niestety.

– Kiepska sprawa. – Heffler kręci głową. – Naprawdę kiepska. – Pociera
dolną wargę. – Muszę porozmawiać z Krausem. Znacie jej plany na najbliższe dni?
Kiedy zamierza z tym wyjść?

– Nie wiemy, jak blisko jest prawdy. Tego jeszcze nie wiemy. – Charles, nie
pytając o pozwolenie, zapala papierosa. – Ale istnieje ryzyko, że...

– Tak. – Heffler wypija kolejny łyk kawy. – To prawda. Gdzie ona mieszka?

– Barnängsgatan 40.

Paul idzie do kuchni, otwiera jakąś szafkę. Słysząc brzęk naczyń, potem
nalewa kawę do kubka.

– Wiemy, że dzisiaj ma pomóc przyjaciółce sprzątać mieszkanie. Lenie
Gräns. O siódmej są umówione z trzecią koleżanką w Öhrns Horn, małym lokalu
na rogu Folkungagatan i Borgmästargatan. Pracuje tam brat Leny Gräns. Później
wybierają się do Café Opera.

– To nasza szansa. W mieszkaniu będzie trudniej. Musimy zaryzykować,
choć prawdę mówiąc, nie mamy czasu, żeby cokolwiek zaplanować. Ma
samochód?

Paul kręci głową.

– Jej przyjaciółka, Lena Gräns, ma białe Renault TS. Numer rejestracyjny
HSG 771.

– Może go wezmą wieczorem. A potem zostawią, jeśli będą pić alkohol.

– To już coś.

Na ekranie Piaskowy Dziadek i jego przyjaciele wracają do domu. Czeka na
nich wesoła gromadka dzieci. Piaskowy Dziadek opowiada, co zobaczył podczas
wizyty w koszarach. Wszyscy są zadowoleni.

Paul ziewa.

Heffler bierze do ręki pilota, wyłącza dźwięk.

– Jak daleko jest od tej restauracji do Hammarbyhamnen? – pyta.

lipiec–sierpień 1980

Nie jestem nawet zdziwiony.

Pewnego lipcowego popołudnia Charles stanął w drzwiach sypialni. Nie miał pojęcia, jak się nazywał mężczyzna leżący w ich łóżku, chociaż wydał mu się znajomy. Prowadził niewielki warsztat samochodowy w Bruket. Powietrze było ciężkie, gorące. Mężczyzna miał na sobie bokserki, z przodu zsunięte. Eva właśnie mu je zdejmowała. Charles widział jego sztywny członek. Z każdą chwilą malał, aż w końcu zrobił się naprawdę żalony.

Spojrzenia Charlesa i Ewy się spotkały. Jej klatka piersiowa była czerwona z podniecenia. Powiedziała coś, widział, jak jej wargi się poruszają, ale nie był w stanie zarejestrować słów.

Pamiętał, że kiedy się tam przeniósł, czuł się młody. Miał wrażenie, że ma dużo czasu i że może jeszcze spokojnie czekać na chwilę, kiedy zacznie to prawdziwe życie.

Gdzieś po drodze skończył trzydziestkę, a potem nagle miał trzydzieści trzy lata i był dorosły. Właściwie nie chodziło o wiek, bo bardziej niż wiek to codzienność określała, w jakim momencie życia się znalazł. To, co robił, i odpowiedzialność, którą na siebie brał: to, o czym rozmawiał z żoną, córka i ich relacje, kontakty z sąsiadami i z kolegami i to, których z nich mógłby nazwać przyjaciółmi, a także pensja, która co miesiąc wpływała na jego konto.

I decyzje, które trzeba podjąć w rozstrzygającym momencie: zerwać ze wszystkim i uciec czy zostać.

Żeby zrozumieć własne życie, należy się przyjrzeć tym wszystkim drobiazgom. Kiedy Charles to zrobił, zrozumiał, że stał się kimś, kogo nie znał.

Powinien odejść.

Przeprowadził się do motelu. Spędził tam kilka nocy. Był zadowolony, że ma urlop i może chodzić do monopolowego tak często, jak tylko ma ochotę. Tak naprawdę poszedł tam tylko raz. Kupił butelkę i szybko ją opróżnił, a potem tego żałował. Uznał to za kolejną porażkę. No i nie miał już dokąd pójść.

Kiedy wrócił do Bruket, był przekonany, że Evy już tam nie ma. Że światła będą zgaszone, a dom pusty. Ale tak nie było: światła się paliły, a drzwi były otwarte.

Eva wyszła mu na spotkanie ze łzami w oczach.

Nie patrzył na nią. Miał ochotę ją uderzyć, ale nie zrobił tego.

Powinien był wyjechać.

Siedzieli na kanapie, na wyciągnięcie ręki. Nie potrafił powiedzieć jak długo. Pół godziny? Może pół nocy. Jedyłą osobą, która mogła go usłyszeć, była Eva, więc krzyczał tak głośno, aż ochrypl. Eva płakała cicho, nie patrząc na niego, aż zażądał, żeby jednak na niego spojrzała. Kiedy to zrobiła, zacisnął pięści.

Umknął wzrokiem. Rzucił o ścianę butelką po piwie.

– Muszę iść do łazienki – powiedziała Eva.

Podniosła się powoli i wyszła. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, wstał i pozbierał leżące pod ścianą odłamki rozbitej butelki.

Wypytał ją o wszystko: jak długo to trwa, gdzie i kiedy się spotykają, co wtedy robią. Spytał, czy facet ma tatuaże, spytał też, czy bierze jego członka do ust, czy pozwala mu dojsć.

Spojrzała na niego, jakby był chory. Tak naprawdę wcale nie chciał tego wiedzieć, ale zauważył, że Eva cierpi, kiedy odpowiada, że jest jej wstyd, i spodobało mu się to. Zasłużyła na karę.

– Zamierzasz nadal się z nim spotykać?

– Nie.

– Kłamiesz.

– Nie. – W jej oczach znów pojawiły się łzy. – Nie, nie kłamię. I nie będę już tego robić.

– Więc po co to robiłaś? Wolisz być z nim?

– Nie.

– To po co to robiłaś?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Czuję się...

– Jak?

– Nie wiem – wyszeptała.

– Już nigdy nie będę mógł ci zaufać. Chyba to rozumiesz? Tego się nie da naprawić.

Spojrzała na niego. Jej spojrzenie było puste.

– Co to znaczy?

– Nie wiem.

Wyszedł i wsiadł do samochodu.

Wieczorami mówił Marice dobranoc, dotykał ustami jej czoła. Zawsze było ciepłe, gładkie i takie miękkie.

Krótkie letnie noce spędzał za kierownicą, sunął uliczkami Bruket. Włączał radio. Muzyka coś w nim poruszała, docierała do pustki, do miejsca, w którym, jak

mu się wydawało, ma jeszcze duszę.

Lipiec przeszedł w sierpień, koniec był coraz bliżej.

listopad 1984

Sztokholm: jest południe, osiemnasty listopada 1984 roku. Mimo chłodu powietrze jest dusząco wilgotne. Niebo wisi nad miastem jak płat szarej blachy, nisko.

Charles jest w domu Paula, który rozmawia przez telefon. Mieszka na Gärdet, dwie przecznice od nich, od niego i Mariki. Na biurku stoi matrioszka. Można odnieść wrażenie, że obserwuje człowieka, niezależnie od tego, gdzie się stanie.

– Przełączam na tryb głośnomówiący – mówi Paul. – Jesteśmy tu tylko my. Siada na biurku i daje Charlesowi znać, żeby podszedł bliżej.

– Pan Levin – skrzeczy w telefonie Kraus.

– Dzień dobry, panie Kraus – odpowiada Charles.

– Raczej niezbyt dobry.

Kraus kaszle, w słuchawce znów słyszczyć trzaski.

– O co chodzi? – pyta Paul.

– Niefortunny zbieg okoliczności.

Kraus zawiesza głos.

– Proszę mówić – zachęca go Paul cicho.

– Kontaktowałem się z Berlinem. Proszą, żebym wycofał Hefflera.

Charles patrzy na Paula. *Nie*.

– Proszą cię? – odzywa się w końcu Paul.

– Takiego sformułowania użyli. A ja wiem, panowie, że jeśli Berlin o coś prosi, to trzyma w ręku sznur i myśli o belce na suficie. W pokoju był sam Mistrz. Słyszałem go gdzieś w głębi.

Kraus mówi o nim tak, jakby chodziło o istotę nadprzyrodzoną. Może rzeczywiście tak jest. Erich Mielke urzęduje na najwyższym piętrze wieżowca Stasi właściwie od 1950 roku. Prezydenci i premierzy przychodzą i po jakimś czasie znikają, ale Mielkego nikt nie odważy się tknąć.

– Dlaczego... – zaczyna Charles. Nagle głos mu się łamie, odchrząkuje i zaczyna od początku. – Dlaczego pana Hefflera należy wycofać?

– Niestety nie mam pojęcia – oświadcza Kraus. – Ale dla nas oznacza to, że zaplanowana na wieczór operacja nabiera nowego znaczenia.

- Tak – przytakuje Paul.
- Jak zapewne rozumiecie, musi zostać przeprowadzona.
- Tak – powtarza.
- I nie widzę nikogo, kto mógłby to zrobić, poza wami dwoma.

Paul mruga oczami. Charles podchodzi do okna, wstrzymuje oddech. Próbuje dojrzeć w szybie swoje odbicie, ale widzi jedynie szare niebo, zimne fasady budynków i pozbawione barw drzewa.

- Nie wiem, co planował Heffler – mówi Paul wyjątkowo mocnym głosem.
- Oczywiście, że nie. Zakładam, że takie szczegóły zachował dla siebie.
- Nie mamy doświadczenia, a w takiej sytuacji jest ono konieczne. Nie mamy też środków, które również są konieczne.
- Mam wrażenie, że nie doceniacie siebie.
- Panie Kraus...
- Nie chcę z was drwić. – Kraus nie zamierza dopuścić go do głosu. – Ale kobieta, naiwna dziennikarka, i dwóch kompetentnych funkcjonariuszy operacyjnych... Prawdę mówiąc, nie widzę problemu.
- Problem... – zaczyna Paul i urywa. Przeciąga palcami przez włosy. – Problem...

Nagle jakby uszło z niego całe powietrze. Sprawia wrażenie bardzo małego.

– Jeśli nie rozwiążecie problemu, wiecie, jakie to będzie miało konsekwencje. I nie mam na myśli artykułu w prasie.

Gdzieś w oddali słychać bicie kościelnych dzwonów.

Paul patrzy na głośnik.

– To groźba?

W słuchawce słychać kliknięcie. Paul szarpie nią, a potem z całej siły rzuca o ścianę.

– Niech to szlag! – krzyczy. Cholera!

Na jego szyi pokazują się żyły, skronie mu pulsują. Twarz ma czerwoną, na ustach błyszczy ślina. Uderza pięścią w stół.

– Cholera! – wrzeszczy.

Charles podchodzi do okna, zerka na telefon. Plastikowa słuchawka jest pęknięta. Paul nadal krzyczy, w końcu zaczyna chrypnąć.

Charles siada na podłodze, opiera głowę o ścianę, zamyka oczy. Dzwony nadal biją.

Chwilami odnosi wrażenie, że w ogóle go tam nie ma.

– Wiesz, co dla ciebie zrobiłem – mówi Paul. Stoi z luźno zwieszonymi rękami, w jego głosie słychać napięcie. Bierze głęboki wdech. – Wiesz, co mi jesteś winien.

– Wiem.

– Jeśli ta sprawa zostanie rozdmuchana... z tego może się zrobić wielka afera, Charlie.

– Wiem.

Jakaś jego część chce, żeby doszło do wybuchu.

– Pomyśl o Marice.

Ten argument to ostatnia deska ratunku. Charles wie, że jeśli Paul postanowił posunąć się tak daleko, to musi być zdesperowany.

– Myślę o niej.

– Więc jak... – zaczyna Paul i przetyka ślinę. – Zaczynamy?

Czeka.

Charles zastanawia się, kiedy dzwony znów zaczną bić.

czerwiec 2014

Morfina zaczyna działać podczas odprawy w sali konferencyjnej. Odprawę zwołano po tym, jak jeden z funkcjonariuszy odczytał numer podwozia spalonego samochodu, co pozwoliło mu ustalić, że samochód został skradziony w lutym w Helsingborgu. Jego prawdziwy numer rejestracyjny to XJP 396, a właściciel nazywa się Lars Ingvar Rønnerud.

– I co? – pyta Tove. – Myślisz, że Bredström zastrzelił Levina, a potem odjechał i pozbył się auta?

– Może.

I wtedy właśnie morfina robi swoje: otula ciepłą wełną nie tylko moje ciało, ale i moją duszę, o ile posiadam coś godnego tego określenia. Wszystko staje się spokojniejsze, cieplejsze. Wszystko jakby łagodnieje.

Ktoś znalazł w szafie stary T-shirt, sprany, z tułowiem i wrednym pyskiem Garfielda. Kocur krzyżuje łapy na piersi, a obok widnieje napis: *You've cat to be kitten me right meow.*

– Jeśli Bredström jest tym, którego szukamy – mówi Tove – to jak wrócił do domu po tym, jak spalił samochód?

– Na rowerze? – proponuję.

– Który wcześniej tam schował? – Tove kręci głową. – To wszystko nie trzyma się kupy. Musiałby iść pieszo, a to kawał drogi.

– Jak myślisz, co ich łączyło? Levina i Bredströma?

– To proste. Bredström i Eva Levin spotykali się latem 1980 roku.

Dzwoni moja komórka, wyświetla się nazwisko: Birck.

– Mój kolega. – Patrzę na zegarek. – Muszę odebrać. Możliwe, że rozmawiał z Mariką Alderin.

– Przełącz na głośnomówiący – mówi Tove.

– Za chwilę.

– Dlaczego?

– Za chwilę. Cześć, Gabriel. Jak poszło?

– To zależy, co masz na myśli. Rozmawiałem z Mariką Alderin. Właściwie to ona nic nie mówi, a jeśli już, to bełkocze.

– Tak podejrzewałem.

– Więc czemu, do cholery, mi tego nie powiedziałeś? – Birck wzdycha. – Pokazałem jej zdjęcie Levina. Rozpoznała go, to było widać. Ale poza tym żadnej reakcji. Na okrągło wspomina jakiś samochód. Najwyraźniej spłonął i jedyne, co zostało, to sadza i popiół.

– Właśnie znaleźliśmy spalony samochód.

– Żartujesz.

– Nie.

– Jaki?

– Volvo. Może należeć do sprawcy. Tak czy inaczej, ma związek z morderstwem.

– Jestem pewien, że chodzi o dwa różne samochody – mówi Birck. – Marika jest tu od sierpnia 2009 roku. Od 2005 przebywa w zakładach i jak już mówiłem, wypowiada się dość nieskładnie. Nie mogła wiedzieć, że w Bruket spłonął samochód. Według pracowników jest w takim stanie od początku. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Klawisz twierdzi, że tylko kilka razy mówiła do rzeczy. Zawsze w świetlicy, kiedy rozmawiała z innym pacjentem. Nie zgadniesz z kim.

Mija chwila, zanim słowa Bircka docierają do mojej świadomości.

– Nie zgadnę.

– Z Johnem Grimbergiem – mówi Birck.

Nie. Zamykam oczy.

Wszystko jest kołem. Wszystko stoi w miejscu.

– Okej. Porozmawiaj z nim.

– Znów?

Słyszę głos Bircka, schrypnięty, zmartwiony.

– Tak, i sprawdź listę gości Mariki. Szpital rejestruje odwiedzających.

– Nie mam prawa żądać, żeby mi ją pokazali.

– Wiem, ale postaraj się.

– Nie bardzo wiem, o co miałbym go pytać – broni się Birck.

– Jedyne, co wiem, to to, że Levin wiele razy ją tam odwiedzał i opowiadał jej różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Nie mam pojęcia. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

Kończymy i otwieram oczy. Wszystko jest kołem.

– Nie mam ochoty z tobą rozmawiać – stwierdza Grimberg.
– Ja też nie. Ale nic na to nie poradzimy.
– Ze względu na niego. Tak?
– Można tak powiedzieć.
– Chodzi o śmierć Levina? – Grimberg unosi brwi. – No proszę. Chcesz, żebym ci coś powiedział. A co będę z tego miał?
– Nic.
– Jedno wyjście w miesiącu – mówi Grimberg. – Dwunastogodzinna przepustka.
– W porządku – rzuca Birck, niewiele myśląc.
Grimberg powoli kiwa głową. Nagle odwraca się i woła strażnika. Klawisz otwiera drzwi, zagląda do środka.
– Mógłbyś wyprowadzić funkcjonariusza? – pyta Grimberg.
Klawisz patrzy na niego zdziwiony.
– Co takiego? – pyta Birck. – Nie, jeszcze nie. Przecież się zgodziłem. Załatwimy to między sobą. Proszę, zamknij drzwi – mówi do Klawisza.
Na twarzy Grimberga pojawia się cień.
– Wystawisz mnie do wiatru.
– Nieprawda.
– Nie kłam, dobrze? Masz mnie za durnia czy co? Nie możesz tak powiedzieć, bo nie masz żadnego wpływu na to, czy mi wydadzą przepustkę, czy nie. I wiesz, że ja to wiem. Powinieneś powiedzieć: nie mam takich uprawnień, ale zrobię, co będę mógł. Albo: porozmawiam z ordynatorem. Jeśli sądzisz, że powiesz okej, a ja wezmę to za dobrą monetę, to mnie obrażasz.
Klawisz stoi obok Grimberga i nie bardzo wie, co robić. Nie mają rękawiczek, myśli Birck. A powinni. Co zrobią, jeśli Grimberg kogoś ugryzie?
– To twoja decyzja, John – mówi Klawisz łagodnym głosem. – Nie musisz z nim rozmawiać.
– Pięć minut – rzuca Birck. – Naprawdę nie zamierzam tego ciągnąć dłużej, niż to konieczne.
– To musi być coś bardzo ważnego, skoro jesteś gotów kłamać – stwierdza Grimberg i mruży oczy. – To raczej do ciebie niepodobne, prawda?
– Normalni ludzie zwykle trzymają się prawdy.
Grimberg patrzy na swoje dłonie.
– Nie, wcale nie.

Klawisz waha się chwilę, ale w końcu wychodzi. Zamyka za sobą drzwi. Birck słyszy własne tętno, czuje, jak bije mu serce.

– No dobrze, John. Zaczniemy jeszcze raz. Chodzi o Marikę Alderin. Wiem, że to imię i nazwisko jest ci znane, i to lepiej, niż wynikało z naszej wczorajszej rozmowy.

– Jeśli teraz odpowiem na twoje pytania, wiedząc, że przed chwilą chciałeś mnie oszukać, to jaką będziesz miał pewność, że nie kłamię?

– Nie wiem. Pewnie będę musiał ci zaufać. Kiedy spotkałeś ją po raz pierwszy?

– Tutaj?

– Nie. W ogóle.

Grimberg wodzi wzrokiem po pokoju. Albo naprawdę próbuje coś sobie przypomnieć, albo udaje.

– Pytasz o ciemny okres w moim życiu – mówi w końcu i uśmiecha się krzywo. – Ja... niewiele z niego pamiętam. To pewnie był rok 2002. Po atakach na World Trade Center, ale przed zamachem na Annę Lindh.

– W jakich okolicznościach się poznaliście?

– No, w normalnych.

– Chodziło o prochy?

– Tak, przez jakiś czas mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu.

– W jakim? Gdzie?

– Gdzieś w Bandhagen. Nie pamiętam dokładnie.

– Byliście tam sami?

– Nie, to było miejsce, gdzie ludzie przychodzili, żeby dać sobie w żyłę albo trochę się zabawić, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Zapomnieć na chwilę o wszystkim. Jeśli dobrze pamiętam, to była jesień. Wrzesień. Pamiętam, że w radiu leciała audycja poświęcona Ground Zero. *Rok później*, taki chyba miała tytuł.

– I właśnie tam ją spotkałeś?

– Tak mi się wydaje.

– Była tam czy nie?

– Była. Brała morfinę, ja heroinę. Jeśli dobrze pamiętam, w pewnym momencie było nas tam z piętnaście osób. Jak w jakiejś komunie. Potem policja zrobiła kocioł i wszystkich zgarnęła. Mnie się upiekło.

Bandhagen. Rok 2002. Głośna operacja wydziału narkotykowego. Przynajmniej fakty się zgadzają.

– Możemy wrócić do czasów przed obławą? Byliście parą? Ty i Marika.

– Co takiego?

– Byliście parą?

– Kto ci coś takiego powiedział?

– Nikt. Pytam.

- Nie byliśmy.
- Tak czy inaczej, musiałeś zrobić na niej wrażenie.
- Jak to?
- Skoro jesteś jedyną osobą, z którą rozmawia.
- No tak. Może. – Grimberg się uśmiecha.

We wspomnieniach zawsze czuję się starszy.

Ostatni raz widziałem się z Levinem pod koniec kwietnia, w stołówce. Siedziałem przy narożnym stoliku pod oknem. Świeciło słońce, blat był ciepły. Piłem kawę i przyglądałem się leżącej na talerzyku bułeczce z cynamonem. Niebo wydawało się pełne nadziei, jak rzadko. Zapowiadało się ładne lato.

Zobaczyłem go z daleka. Szedł z filiżanką herbaty i kanapką. Wysoki, szczupły, w okularach w okrągłych oprawkach, jak zawsze, i z ogoloną czaszką. Wydatny nos nad wąskimi ustami. Przypominał stracha na wróble.

Odwracam wzrok. Od Gotlandii minął już prawie rok.

– Leo?

Podnoszę głowę.

– Mogę się przysiąść?

– Tak.

Zdejmuje marynarkę. Siada, zaczyna pić herbatę. Jego dezodorant pachnie świeżo, dyskretnie. Pamiętam ten zapach od zawsze, od kiedy go poznałem.

– Jak ci jest tam, na górze? – pytam.

– Wietrznie. – Śmieje się i zdejmuje folię z kanapki. – A co u was, tu, na dole?

– Przeciągi.

Śmieje się, głośno i serdecznie.

– Brakuje mi wydziału zabójstw – stwierdza.

W pierwszej chwili tego nie zauważyłem, ale teraz widzę wyraźnie, że bruzdy na jego twarzy są głębsze, pod czerwonymi oczami ma cienie. Ogoloną głowę pokrywa kilkudniowy srebrny meszek.

– Wyglądasz na zmęczonego.

Zaczyna jeść kanapkę, widać, że jest głodny.

– Ostatnio poprzestawiały mi się godziny. To raczej do mnie niepodobne, ale czasem tak jest.

– A co się stało?

– Wiesz, jak to jest. Za dużo papierkowej roboty.

– Papierkowej roboty? – powtarzam. – Jakiej?

– Takiej, którą trzeba wykonać samemu.

Rozumiem, chociaż tak naprawdę nic nie rozumiem. Levin pełni funkcję intendenta w zarządzie Policji Krajowej, co znaczy, że zajmuje się sprawami, do których nikt inny nie ma dostępu. Często nawet ludzie pracujący w jednym pokoju

nie wiedzą, czym się zajmują ich koledzy.

Czekam na ciąg dalszy, ale nic się nie dzieje. Tak było zawsze: sprawia wrażenie otwartego i szczerego, a po chwili zamyka się w sobie.

Moja kawa zaczyna stygnąć. Na samą myśl o bułeczce z cynamonem robi mi się niedobrze.

– Wydasz przyjęcie? – pytam.

– Co takiego?

– W maju przechodzisz na emeryturę. Zamierzasz to uczcić?

– O to ci chodzi. – Śmieje się, ale tym razem nieco mniej serdecznie. – Nie.

– Dlaczego?

– Przejście na emeryturę to nie powód do świętowania, Leo. Emerytura to...

– Urywa, bierze kolejny kęs i wyraźnie szuka właściwego słowa. – To trudny okres w życiu człowieka. W pewnym sensie to jak zakończenie książki.

– I tym właśnie teraz się zajmujesz? Mam na myśli te papierki – dodaje.

– Coś w tym rodzaju. – Zapada cisza. Levin kończy kanapkę. – Nie będziesz jadł tej bułeczki? – pyta.

– Możesz zjeść, jeśli chcesz.

– Musisz jeść, Leo. Jesteś chudy.

Przesuwam talerzyk w jego stronę.

– Ty też.

Levin pije herbatę, zaczyna jeść moją bułeczkę.

– Z Sam wszystko w porządku? Z wami też?

– Chcemy kupić kota.

– Kota?

Levin rzadko się dziwi, a w każdym razie nigdy tego nie okazuje, więc to jeden z rzadkich momentów, kiedy jego maska opada.

Poprawiam się na krześle.

– To nie był mój pomysł.

– Zawsze myślałem, że należysz do ludzi, którzy wybraliby psa.

– Dlaczego?

– Koty to samodzielne, dumne zwierzęta. Nie potrzebują nikogo. Same sobie radzą. A pies... jeśli go zostawisz samego choćby na kwadrans, to zaraz albo wpadnie w depresję, albo zeżre coś trującego albo cennego. Psami trzeba się zajmować.

– Potrzebuję kogoś, kim mógłbym się zająć?

– Chodzi o odpowiedzialność i o pewną rutynę.

– Tak, może masz rację.

– Sam wróciła do pracy? Słyszałem, że pracuje w galerii przy Rosenlundsgatan.

– Tak. Wieki temu studiowała historię sztuki. Koleżanka ze studiów

zaproprowowała jej pracę.

– Kilka dni temu tamtędy przechodziłem. To bardzo ekskluzywna galeria.

Byłeś tam?

– Jeszcze nie miałem czasu, ale na pewno się wybiorę.

– Dobrze – mówi Levin i uśmiecha się. – Sam dobrze wyglądała.

Ucieszyłem się.

– Na pewno czuje się coraz lepiej.

Siedzimy chwilę, nie odzywając się do siebie. Levin kończy jeść bułeczkę z cynamonem, zerka na zegarek, wkłada marynarkę.

– Pewnie nieprędko znów się zobaczymy, Leo – mówi. – Nie wiem, co się wkrótce stanie, ale cokolwiek to będzie, ja będę już daleko stąd.

– O czym ty mówisz?

– Nie bardzo mogę o tym rozmawiać. – Wygląda przez okno. – Ale wrócę.

– Tak?

– Na pewno.

Uśmiecha się, a ja mam wrażenie, że nawet nie wie, że może się mijać z prawdą. A skoro tak łatwo go przejrzeć, to wiem, że czuje się zraniony i że sprawa jest poważna.

Pewnego majowego wieczoru przychodzę do niego do domu, do jego mieszkania na Starym Mieście, z prezentem. Sam mnie namówiła. Przecież przeszedł na emeryturę, tłumaczyła mi. Jadę windą, wysiadam, podchodzę do drzwi i od razu zauważam tabliczkę: mieszkanie jest na sprzedaż. Zajmuje się tym jedna ze sztokholmskich agencji nieruchomości.

Na tabliczce na skrzynce na listy nie ma już jego nazwiska.

Zniknął. Pewnie równie nagle, jak kiedyś się pojawił. Po cichu, tak, że nikt tego nawet nie zauważył, jak cień, który widać tylko przez chwilę, kiedy światło pada pod właściwym kątem: przed chwilą tu był, a teraz już go nie ma.

Czekanie. Zawsze czekanie.

W rogu ekranu komputera tyka zegar: 14:21, 14:30, 14:55.

– Dlaczego to tyle trwa? – denerwuje się Tove. – Tak? To dobrze – mówi i zerka na mnie. – Tak, przekażę mu – dodaje i rozłącza się. – Pani prokurator zajęła się sprawą Bredströma – mówi. – Davidsson prosił, żeby ci przekazać, że twoi koledzy z Policji Krajowej wyruszyli ze Sztokholmu jakąś godzinę temu. Spodziewamy się ich wieczorem.

– Hm... – mruczę, skupiony na monitorze. – To dobrze.

– Dobrze?

– Wtedy mnie już tu pewnie nie będzie.

– Tak?

– Mam takie przeczucie.

– Tak czy inaczej, sprawa wyjdzie na jaw. Davidsson się domyśli, że nie masz z nimi nic wspólnego. Podejrzewam, że centrala też nie będzie zachwycona.

– I masz rację.

– Ale ty się tym nie przejmujesz?

– Owszem, przejmuję się – mówię, odrywając wzrok od ekranu. – Tylko nie wiem, co to wszystko może znaczyć.

Tove zerka na monitor.

Folder z pendrive'a Levina zawiera podfoldery oznaczone numerami: 77, 80, 82, 83 i 84. W każdym znajdują się dokumenty i zdjęcia z danego roku.

Jest ich dużo. Kilka razy próbowałem je wydrukować, żeby łatwiej mi je było ogarnąć, ale komputer za każdym razem wydawał syk i się zawieszał. Musiałem go resetować.

W folderze oznaczonym liczbą 77 znajdują się pisma z roku 1977, zaadresowane do szefa wydziału operacyjnego służb. Jeśli dobrze rozumiem komentarz Levina, pismo ma związek z udaną rekrutacją niejakiego Jonathana Ekbloma. I to wszystko.

W folderze oznaczonym liczbą 80 jest więcej dokumentów. Pierwszy to pismo, a raczej spisana z pamięci notatka sporządzona przez funkcjonariusza kryminalnego Charlesa Levina piątego lipca 1980 roku, dotycząca sprawy zabójstwa Teda Lichtera. Levin streszcza rozmowę ze świadkiem, który pragnie zachować anonimowość. Mówi o nim „świadek” albo „on”. Może dlatego, że świadek zeznaje, że płacił Lichterowi za seks.

Następne foldery zawierają ponad trzysta zeskanowanych dokumentów

i zdjęć. Na dole każdego z nich ktoś – zakładam, że Levin – napisał kilka słów wyjaśnienia, żeby było wiadomo, o co chodzi.

– To tym się tam zajmował – mówi Tove.

– Więc na pewno nie próbował rozwikłać starych spraw – dodaję. Czuję, jak tętno mi przyspiesza. Zaczyna mnie boleć głowa. – Musiał mieć więcej dokumentów, nie tylko te, które u niego znaleziono – mówię. – Bo w domu nie znaleziono nic więcej, prawda? – zwracam się do Tove. – Tylko te, które były w segregatorach.

– Mogę dla pewności sprawdzić w protokole techników.

Tove wstaje z krzesła i wśród papierów rozrzuconych na prostokątnym stole szuka protokołu.

Przypominam sobie głosy, które słyszałem w samochodzie, rozmowę, która odbyła się na krótko przed moim przejściem do wydziału dochodzeń wewnętrznych. To Levin mnie do tego namówił, a potem sprawił, że pojechałem na Gotlandię. Został do tego zmuszony. Dlatego się tam znalazłem, dlatego moje życie się zmieniło.

Teraz przynajmniej to wiem. Plik nazywa się *leo*. Chciał, żebym się dowiedział. Był pewien, że trafi w moje ręce. Patrzę na nie. Nie drżą. Morfina działa.

Goffman. Przyjaźnili się, więc może on coś wie. Muszę z nim porozmawiać.

– Nie – słyszę głos Tove, która przegląda gruby protokół. – Nie ma tu nic o żadnych innych kartonach z dokumentami. Na liście są ubrania, buty, porcelana, książki, naczynia kuchenne i tak dalej. I to wszystko – mówi, ale słyszę, że dalej przerzuca kartki. – Nic – dodaje po chwili i kręci głową. – Jeśli były jeszcze jakieś papiery, to sprawca musiał je wziąć ze sobą. A jeśli miały coś wspólnego z motywem, to Bredström wydaje się mało prawdopodobnym sprawcą.

– Może i o nim coś tu znajdziemy. Pytanie, czy Levin zdążył doprowadzić wszystko do końca. Dokumenty wydają się uporządkowane chronologicznie.

– Otwórz ostatni plik.

Klikam w 84 i otwieram folder, okazuje się dokumentem tekstowym. Na samej górze widnieje pieczętka: STRICTLY CONFIDENTIAL. Tuż obok ktoś dopisał ręcznie dużymi literami: FOR YOUR EYES ONLY. DESTROY UPON READING. Nie wiem, kim jest nadawca, ale podobnie jak pierwsze pismo to także jest zaadresowane do ówczesnego szefa działu operacyjnego służb bezpieczeństwa.

10/10/1984

Z przykrością odebrałem wiadomość o tym, że w wyniku błędu popełnionego przez waszych oficerów operacyjnych straciliście komputery VAX. Nie zamierzam bynajmniej uczyć pana, jak należy dowodzić ludźmi, mam jednak nadzieję, że powéźmie pan wobec nich odpowiednie kroki. Łączy nas wspólna

przeszłość, znam pańskie kwalifikacje, więc nie mam wątpliwości, że tak się stanie.

Dane zebrane przez pańskich ludzi potwierdzają nasze podejrzenia: najbardziej wiarygodnymi odbiorcami są nasi zdradzieccy sąsiedzi. Oczywiście zrobimy wszystko, żeby ich zlokalizować. Proszę oczekiwać dalszych instrukcji.

– Myślisz, że zdążył zakończyć tę sprawę? – pyta Tove. – Że to naprawdę ostatnie pismo w tej sprawie, a nie po prostu ostatnie, które dołączył?

– Nie wiem – odpowiadam. – VAX-y. Co to jest, do cholery?

– Nie mam pojęcia.

Siedzimy chwilę w milczeniu, wpatrujemy się w monitor. Zaczynam otwierać kolejne pliki, w nadziei, że znajdę coś, co dotyczy Daniela Bredströma.

– Więc może jednak to był skaner – odzywa się nagle Tove.

– Co?

– Nie wiemy, czy na biurku stał skaner, czy drukarka.

Otwieram kolejne dokumenty. Na ekranie pokazuje się zdjęcie starszego pana, nie rozpoznaję go. Na marginesie Levin zapisał odręcznie: „J. Kraus, 1984”.

– Levin uznał, że zawartość pendrive’a jest na tyle istotna, że powinien go ukryć w skrytce pocztowej. Nie znamy natomiast zawartości jego komputera i komórki.

– Powiedział mi, że zajmuje się papierkową robotą.

– Co takiego?

– Wiosną, kiedy się widzieliśmy po raz ostatni. Wtedy tak mi powiedział. Że zajmuje się papierkami i że to coś, co musi zrobić sam. – Znów spoglądam na monitor. – To musiało być właśnie to. Nie pomyślałem o tym wcześniej. A poza tym jestem przekonany, że sprawca zabrał ze sobą komputer, komórkę i skaner, jeśli to rzeczywiście był skaner. I dokumenty, te istniejące fizycznie, w kartonie, może w kilku. To do tego potrzebował wózka.

Drzwi się otwierają. Kit, który je coś w kącie, nieruchomieje. Po chwili przekręca łebek, wyraźnie zły.

– Nic jeszcze nie znaleźliśmy – stwierdza Davidsson. Jest wściekły i cały czerwony. – Ale nie będziemy dłużej czekać. Za chwilę przywiozą Bredströma na przesłuchanie.

– Nie wiedziałem, że palisz – mówi Grimberg.
– Bo nie palę – odpowiada Birck.
– Twoje ubranie jest przesiąknięte dymem papierosowym.
– W tym mieszkaniu, w 2002 roku, w czasie kiedy ty i Marika się...
spotykaliście. O czym rozmawialiście?

Grimberg wzdycha, wydaje się znudzony.

– Narkomani niewiele rozmawiają. Poza tym ona była znacznie starsza ode mnie. Jakieś dziesięć lat. Minęło trochę czasu, zanim zaczęliśmy ze sobą gadać. A do tego ona... Teraz jest w kiepskim stanie, sam widziałeś, ale to się zaczęło już wtedy. Twierdziła, że słyszy głosy.

– Co jej mówiły?

– Nie wiem.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– O tym, o czym zwykle rozmawiają ćpuny. Kto wpadł i za co, jakie wężyki są dobre, a jakie nie.

– Mówiła coś o sobie? O swojej rodzinie?

Grimberg się waha, widać to po nim.

– Powiedziała, że... – zaczyna i urywa. – Myślałem, że żartuje. Powiedziała, że jej stary jest gliniarzem.

– Kiedy zrozumiałeś, że jednak nie żartuje?

– Spytałem, czy to prawda. A ona powiedziała, że tak.

– I uwierzyłeś jej?

– Nie miałem wrażenia, że kłamię.

– Mówiła coś jeszcze? O nim?

– Powiedziała, że zniszczył jej życie. Że zniszczył życie jej matce.

Birck czeka.

– Nic więcej?

– Nic.

– Kiedy się domyśliłeś, że jest córką Charlesa Levina?

– Dopiero kiedy znalazłem się tutaj i zobaczyłem ich razem. To było zimą.

– Wracając do roku 2002... co jeszcze mówiła? O sobie.

– To znaczy?

– Cokolwiek.

– Większość z tych, którzy trafiają w takie miejsca, nie ma ochoty gadać o sobie. Łatwiej rozmawiać o innych.

– Mówiła coś o tych głosach, które słyszała?

– Tylko że wszystko potoczyło się tak jak zawsze. – Grimberg wygląda przez okno, wydaje się zniesmaczony. – Potrzebowała pomocy, ale ją zignorowali. Powiedzieli jej, że wszystko to wina prochów i że to one są jej prawdziwym problemem.

– Myślisz, że tak było?

– Prochy niszczą ludzi, to prawda. Ale w jej przypadku chodziło o coś jeszcze, o coś poważniejszego. Była w niej jakaś ciemność. Można ją zauważyć, jeśli samemu się ją w sobie ma.

– Ty ją masz.

– Tak – mówi Grimberg. Ich spojrzenia się spotykają. – Niestety.

Pewnie dlatego wtedy się do siebie zbliżyli i może dlatego teraz, po latach, znów mu na to pozwala. Stare zmartwienia zbliżają ludzi.

– Opowiedziałeś jej? O sobie.

– Gabriel – zaczyna Grimberg i chyba po raz pierwszy używa jego imienia.

Birck czuje w piersi lęk.

Grimberg to zauważa.

Uśmiecha się.

– Tak?

– Nudzisz mnie. Nie mam ochoty dłużej rozmawiać. Jeśli mamy to ciągnąć, musisz mi dać coś w zamian.

– Jak to?

Grimberg nie przestaje się uśmiechać.

WYCIĄG Z PROTOKOŁU Z PRZESŁUCHANIA (nr sprawy 0500-K1754-08)

PRZESŁUCHIWANY: Bredström, DANIEL

PESEL: 195010124-4674

W CHARAKTERZE: podejrzanego

PODEJRZANY W SPRAWIE: podejrzanym o zamordowanie Charlesa Jana Levina 140618, w jego domu przy Alvavägen 10, w Bruket.

PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE: Ola Davidsson

DATA PRZESŁUCHANIA: 20140621

GODZINA ROZPOCZĘCIA PRZESŁUCHANIA: ok. 16.10

GODZINA ZAKOŃCZENIA PRZESŁUCHANIA: ok. 17.00

MIEJSCE PRZESŁUCHANIA: Pokój przesłuchań, komisariat policji w Bruket

RODZAJ PRZESŁUCHANIA: RB23:6

SPISAŁ: R.A.

DAVIDSSON: Jak się dowiedziałeś o śmierci Charlesa Levina?

BREDSTRÖM: Nie pamiętam. Chyba usłyszałem o tym od kogoś.

DAVIDSSON: Od kogo?

BREDSTRÖM: Nie pamiętam.

DAVIDSSON: Kiedy się o tym dowiedziałeś? Pamiętasz?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Kiedy ostatni raz widziałeś Levina?

BREDSTRÖM: W... Zaraz, zaraz, w środę. Osiemnastego, w sklepie monopolowym. Stał za mną w kolejce. To było nasze pierwsze spotkanie po trzydziestu latach. To chore... to wszystko.

DAVIDSSON: Rozmawialiście ze sobą?

BREDSTRÖM: Nie nazwałbym tego rozmową. Powiedziałem coś w stylu: widzę, że wróciłeś, albo coś podobnego. A on na to: tak. I tyle.

DAVIDSSON: Tak? Nie możesz kręcić głową. Popsuła nam się kamera, więc musisz odpowiedzieć do mikrofonu.

BREDSTRÖM: Rozumiem. No więc to było wszystko.

DAVIDSSON: Wymieniliście kilka słów w kolejce, a potem już ze sobą nie rozmawialiście?

BREDSTRÖM: Zgadza się.

DAVIDSSON: Nie rozmawialiście ze sobą potem na zewnątrz?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Mamy świadków, którzy twierdzą, że jednak rozmawialiście, przed sklepem monopolowym. Dlaczego kłamiesz?

BREDSTRÖM: A co to ma za znaczenie, czy rozmawialiśmy, czy nie?

DAVIDSSON: To może mieć bardzo duże znaczenie. Odpowiedz.

BREDSTRÖM [długie milczenie]: No dobrze. Tak. Rozmawialiśmy.

DAVIDSSON: Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

BREDSTRÖM: Wiem, że Levin nie żyje. Przyjeżdżają po mnie prawie na sygnale, a teraz ty mnie wypytyujesz, kiedy go widziałem po raz ostatni. Nie jestem kretyńcem, przechodziłem już przez to.

DAVIDSSON: No to spytam jeszcze raz: powiedz, kiedy się z nim widziałeś po raz ostatni.

BREDSTRÖM [wzdycha]: W sklepie nic się nie stało. Zapłaciłem i wyszedłem. Potem ucieliśmy sobie pogawędkę.

DAVIDSSON: Rozwiń to.

BREDSTRÖM: Podszedłem do niego i spytałem, czego tu, do cholery, szuka. Po tylu latach. Czy wrócił po to, żeby zniszczyć życie kolejnym ludziom? Powiedziałem, żeby się trzymał od nas z daleka. I żeby uważał na siebie, jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy.

DAVIDSSON: I co? Spotkaliście się?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Za chwilę do tego wrócimy. Jak zareagował na tę groźbę?

BREDSTRÖM: Nie groziłem mu. Po prostu go poinformowałem.

DAVIDSSON: Ja bym to uznał za groźbę. Pytałem, jak zareagował.

BREDSTRÖM: Chyba w ogóle nie zareagował. Po prostu stał i gapił się na mnie.

DAVIDSSON: Co było dalej?

BREDSTRÖM: Nic. Wziąłem swoje piwo i wróciłem do domu.

DAVIDSSON: Opowiedz o swoich relacjach z Levinem. Jak się poznaliście?

BREDSTRÖM: Nie poznaliśmy się. Poznałem jego żonę. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

DAVIDSSON: Chyba będziesz musiał wyjaśnić to dokładniej.

BREDSTRÖM: Eva, jego żona, pracowała na kasie w markecie. Ja, ale nie tylko ja, wszyscy uważaliśmy, że jest cholernie piękna. Ale ona w ogóle się nami nie interesowała. A potem wyszła za mąż za tego glinę i urodziła mu dziecko.

Potem coś się między nimi zaczęło psuć, przestał ją zaspokajać, więc zaczęła się rozglądać za kimś innym. I zaczęliśmy się spotykać.

DAVIDSSON: Kiedy to było?

BREDSTRÖM: Latem 1980 roku. Nie pamiętam kiedy dokładnie.

DAVIDSSON: Charles Levin. Kiedy go spotkałeś po raz pierwszy?

BREDSTRÖM: No więc... to było chyba tamtego lata. Miał urlop, tak mi się przynajmniej wydaje, ale i tak pojechał do pracy. Eva zadzwoniła do mnie i przyjechałem do nich. Ich dzieciak właśnie wyjeżdżał na jakiś obóz czy na kolonie, dokładnie nie pamiętam, więc była w domu sama. A potem on wrócił, w trakcie... Krótko mówiąc, zastał nas w sypialni.

DAVIDSSON: I co?

BREDSTRÖM: Stał, gapił się na nas i nawet okiem nie mrugnął. To akurat pamiętam. A potem odwrócił się i wyszedł. I to chyba był koniec. Jakiś tydzień później Eva przyszła do mnie, do warsztatu, i powiedziała, że w domu panuje chaos. Mała zaczęła mieć jakieś problemy i ona, to znaczy Eva, musi ratować swoją rodzinę. Nie chciała, żebyśmy się nadal widywali.

DAVIDSSON: Jak to przyjąłeś?

BREDSTRÖM: Bardzo mnie to dotknęło. Byłem młody, jeszcze się nie ustatkowałem. Myślałem, że może coś z tego będzie. Małą też lubiłem. Marikę. Słodki dzieciak. Może lekko zakręcony, ale w tym wieku wszystkim dzieciakom czasem odbija. Więc przyjąłem to źle. Po jakimś czasie oczywiście doszedłem do siebie. I chyba właśnie wtedy, jesienią, dotarło do mnie, do czego ten facet jest zdolny.

DAVIDSSON: Co masz na myśli?

BREDSTRÖM: Moja firma się rozsypała.

DAVIDSSON: Zatrzymano cię siódmego października 1980 roku, na tydzień przed trzydziestymi urodzinami. W lutym następnego roku zostałeś skazany. Bankructwo...

BREDSTRÖM: To był marzec 1981.

DAVIDSSON: Zgadza się.

BREDSTRÖM: To wszystko była jego sprawka. Wiem, że opowiadaliście jakieś bzdury, że coś gdzieś sprawdziliście i że możecie udowodnić, że nie miał z tym nic wspólnego, ale ja wiem swoje.

DAVIDSSON: Tak?

BREDSTRÖM: Cały czas za mną łąził. Fotografował ludzi, którzy przychodzili do mnie do warsztatu i takie tam rzeczy. Mój znajomy go widział. Oczywiście nie byłem niewinny. Ten facet na zdjęciach to ja. Brałem różne rzeczy, a potem je sprzedawałem, chociaż wiedziałem, że są kradzione. Przyznaję. Ale inaczej nie poradziłbym sobie z firmą.

DAVIDSSON: Kiedy robił te wszystkie zdjęcia?

BREDSTRÖM: Nie wiem. Dowiedziałem się o tym dopiero po wszystkim, kiedy ogłoszono wyrok. Wiem, że tak było, chociaż nie jestem w stanie tego udowodnić. Wtedy Eva już nie żyła, został tylko jej grób, a on się stąd zwinął. Bardzo sprytnie.

DAVIDSSON: Insynuujesz coś? Mam na myśli wypadek.

BREDSTRÖM: Wiem tyle co wszyscy. Doszło do wypadku. A przynajmniej tak się mówiło. Nic więcej nie wiem. Według mnie sprawę wyciszono. Ale jestem przekonany, że w jakiś sposób to on za tym stał. To on ją zabił.

DAVIDSSON [długie milczenie]: Charles Levin miałby zabić swoją żonę?

BREDSTRÖM: Nie mam na to żadnych dowodów. Wszystko, co dotyczyło tego łobuza, zostało wyciszzone. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, było dziwne, że zginęła w wypadku kilka miesięcy po tym, jak go zdradziła. Miała co prawda prawo jazdy, ale prawie nigdy nie prowadziła. Zwykle wolała iść na piechotę albo jechać na rowerze. Nawet zimą. Nie wierzę, żeby tego wieczoru siadła za kierownicą z własnej woli. Sprawdziliście, czy ktoś ją w ogóle wtedy widział za kierownicą?

DAVIDSSON: Oczywiście, że sprawdziliśmy.

BREDSTRÖM: I kto ją widział?

DAVIDSSON: To było ponad trzydzieści lat temu. Nie pamiętam, ale na pewno to sprawdziliśmy.

BREDSTRÖM: A ja jestem gotów się założyć, że gdybyście to sprawdzili, toby się okazało, że nie było nikogo, kto by ją widział w tym samochodzie. Oficjalna wersja jest nieprawdziwa.

DAVIDSSON: Łatwo wpadasz w złość. Wspomniałeś o niej, kiedy rozmawialiście w środę? Rozmawialiście wtedy o Evie?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Ale pewnie o niej myślałeś. Pamiętasz?

BREDSTRÖM: Jasne, że pamiętam.

DAVIDSSON: I kiedy tamtego wieczoru wsiadłeś do samochodu i pojechałeś do niego, też o niej myślałeś?

BREDSTRÖM: Nie słuchasz mnie. Mnie tam nie było.

DAVIDSSON: W takim razie jest kilka rzeczy, których nie rozumiem. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak twierdzisz, to znaczy, że nie jesteś tym, którego szukamy w związku ze śmiercią Charlesa Levina.

BREDSTRÖM: Bo nie mnie szukacie.

DAVIDSSON: Tak, ciągle to powtarzasz, ale my ci do końca nie wierzymy. I właśnie dlatego tu jesteś. Trzymałeś w garażu kradziony samochód. Teraz już go tam nie ma. Sam mi pokazałeś pusty garaż. A samochód stoi spalony niedaleko cmentarza. Widziano go na drodze tego dnia, kiedy doszło do morderstwa. Wiemy, że właśnie ten samochód stał na ulicy przed domem Levina. Właśnie wtedy, kiedy

zginął. Nie potrafisz powiedzieć, co w tym czasie robiłeś, poza tym, że wypiliśmy sporo alkoholu. A zarówno ty, jak i ja wiemy, jak się zachowujesz, kiedy wypijesz trochę za dużo. Miewasz zaniki pamięci i nie wiesz, co robisz. Zaledwie kilka godzin wcześniej spotkałeś Levina i mu groziłeś. Poza tym podejrzewasz, że miał coś wspólnego ze śmiercią Ewy. To było wiele lat temu, ale teraz twoje podejrzania wracają...

BREDSTRÖM [długie milczenie]: Ja...

DAVIDSSON: Nie wygląda to dobrze, Danielu. Sam to chyba rozumiesz.

BREDSTRÖM: Ktoś zerwał kłódkę z drzwi garażu. Ktoś ukradł samochód. Tamtego wieczoru nie jechałem samochodem. I nie ja go zabiłem. Ja siedziałem w domu.

DAVIDSSON: Jaki numer rejestracyjny miał samochód, który stał w twoim garażu?

BREDSTRÖM: Nie wiem. Poza tym tablice były fałszywe.

DAVIDSSON: Właśnie o te fałszywe mi chodzi.

BREDSTRÖM: FOR 528.

DAVIDSSON: Spójrz na to zdjęcie. To ty, prawda? Rozmowa jest nagrywana, więc muszę dodać, że zdjęcie zostało zrobione przez świadka w pobliżu Alvavägen 10, wieczorem osiemnastego czerwca. Przedstawia volvo z numerem rejestracyjnym FOR 528. Tablice są wyraźnie widoczne. W środku siedzi mężczyzna. Tym mężczyzną jest Daniel Bredström.

BREDSTRÖM: To nie ja. To nie mogłem być ja. Ja byłem w domu.

DAVIDSSON: Spójrz na to z mojego punktu widzenia.

BREDSTRÖM: Na tym zdjęciu nie widać nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta. Jest niewyraźne.

DAVIDSSON: Zanim powtórzę pytanie, wyjdę na chwilę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Zostawię cię, żebyś mógł to wszystko w spokoju przemyśleć.

BREDSTRÖM: Idź do diabła.

Birck spogląda na notes, przez ułamek sekundy własny charakter pisma wydaje mu się nagle obcy, jakby to, co czyta, napisał ktoś inny. Dochodzi do wniosku, że musi to mieć związek z tym pokojem, ze szpitalem w ogóle. Wszystko tak łatwo zniekształcić. Tu nic nie dzieje się naprawdę, jak tam, na zewnątrz.

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi Klawisz. Birck spogląda na niego i ma wrażenie, jakby długo przebywał w zamknięciu i nareszcie ktoś przyszedł mu pomóc się wydostać i wyjść na świeże powietrze.

Klawisz trzyma w ręku pojedynczą kartkę.

Grimberg spogląda nią z ciekawioną.

– Jakaś lista?

– Dziękuję – mówi Birck i wychodzi razem z Klawiszem, zostawia Grimberga samego.

– Od maja do dzisiaj – informuje Klawisz. – Jak widać, nie miała zbyt wielu gości. Jeśli będziesz chciał sięgnąć dalej wstecz, będę musiał wejść w materiały archiwalne. To inny plik.

– Mam wrażenie, że to mi wystarczy – mówi Birck.

Na samej górze widnieje imię i nazwisko: Marika Alderin, potem PESEL, a potem cztery kolumny: imię i nazwisko gościa, dowód tożsamości, data i godzina, i informacja o tym, kim jest gość dla pacjenta. W ten sposób opisano historię odwiedzin.

– Patrząc na kolumnę drugą i czwartą, można odnieść wrażenie, że nie jesteśmy zbyt dokładni – mówi Klawisz. – Ale brak krzyżyka przy dowodzie tożsamości znaczy, że tożsamość gościa została sprawdzona wcześniej i że recepcjonista go rozpoznał. Podobnie jest w przypadku związku łączącego odwiedzającego z pacjentem.

– Dziękuję.

– Jeśli ktoś zobaczy tę listę, pamiętaj: nie ja ci ją dałem.

Przez szybę w drzwiach widać Grimberga. Siedzi bardzo, bardzo spokojnie.

– Ma jeszcze pół godziny wolnego – odzywa się Klawisz. – Potem idzie na terapię.

– Skończymy wcześniej.

Birck przygląda się kolumnom listy. Pierwszym gościem Mariki Alderin w maju był Charles Levin: siódmego spotkał się z nią pięć po wpół do jedenastej, wizyta trwała czterdzieści pięć minut. Dziesiątego, dwunastego i piętnastego też u niej był, ale po południu. Poza tym maj raczej nie obfitował w wizyty. Przyszedł

jakiś terapeuta z zewnątrz i jakiś biedny policjant z wydziału narkotyków. Zapewne nieświadom, co go czeka, przychodził przesłuchać Marikę Alderin w sprawie jakiegoś dochodzenia sprzed dziesięciu lat. Numer sprawy został odnotowany na marginesie.

Levin odwiedził ją dziewiętnastego maja, był u niej od wpół do pierwszej do za kwadrans piąta po południu. To było jego pożegnanie z córką, chociaż oczywiście nigdzie tego nie odnotowano.

W czerwcu Marika miała gości sześć razy i chociaż ten przekłety miesiąc jeszcze się nie skończył, to pewnie nie miało ich być więcej. Odwiedził ją terapeuta z zewnątrz, pracownik opieki społecznej, kobieta z ubezpieczenia, nie podano celu wizyty. I jeszcze mężczyzna, który w tym jednym miesiącu odwiedził ją trzy razy. Jego nazwisko wprawia Bircka w konsternację. Rubryka potwierdzenie tożsamości jest pusta, związku z pacjentem również nie odnotowano. Wpisano jedynie nazwisko i datę.

Wszystkie trzy wizyty złożył jej tuż po czwartej po południu. Za każdym razem trwały niecałe trzy kwadransy.

Birck czyta nazwisko kilka razy.

On. Co on tu, do diabła, robił?

– Wracajmy do rozmowy – mówi Birck. – Kiedy się tu znalazłeś, ile czasu minęło, zanim do ciebie dotarło, że Marika tu jest?

– Mówiłem już, że mnie to nudzi – odpowiada Grimberg. Nagle zaczyna mu się dokładnie przyglądać. – Jesteś wstrząśnięty – stwierdza ze zdziwieniem. – Co było na tej liście?

Birck zastanawia się. Co, do diabła, powinien zrobić? Bierze głęboki wdech.

– Jeśli powiesz mi coś, co doprowadzi do złapania mordercy Levina, zrobię wszystko, co będę mógł, żebyś dostał pozwolenie na wychodzenie na zewnątrz.

Grimberg się uśmiecha.

– Niby jak?

– Martin Sanchez-Jankowski to mój przyjaciel.

– Kłamiesz.

– Chociaż raz się mylisz. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja i pan ordynator byliśmy razem w wojsku.

Birck sięga po komórkę, otwiera SMS-y, znajduje te, których szuka. Czyta je szybko, żeby się upewnić, czy nie ma w nich nic, co powinien zachować dla siebie, i pokazuje je Grimbergowi.

Grimberg patrzy na ekran.

– Leo o tym wie? Że go znasz?

– Nie.

– Powiem mu.

– Proszę bardzo.

– Kiedy się urodził? – pyta Grimberg. – Martin Sanchez-Jankowski. Podaj datę.

– Co?

– Jeśli go znasz, to chyba wiesz, kiedy ma urodziny?

– A ty wiesz? – uśmiecha się Birck.

– Oczywiście.

Birck czuje, jak się poci pod koszulą. Krawat zamienia się w pętlę, ma ochotę go poluzować, ale nie chce dać Grimbergowi satysfakcji.

– Ma urodziny w marcu. Piątego marca.

– To wszystko może być bujda.

Tym razem to Birck się uśmiecha.

– Będziesz musiał mi zaufać.

– Kiedy tu przyjechałeś jesienią, ile czasu minęło, zanim się dowiedziałeś, że

jest tu Marika Alderin? – powtarza Birck.

– Kilka tygodni.

Wspomnienia wracają, to widać. Ale na krótko, jedno mrugnięcie i wszystko znika. Jakby Grimberg był w stanie przywołać obraz z przeszłości, a nie potrafił go zachować. Jeśli to w ogóle prawda.

– Początkowo trzymali mnie w zamknięciu dwadzieścia trzy godziny na dobę. Poddawali mnie badaniom, testom. Widziałem tylko cztery ściany celi czy pokoju, jak to się z jakiegoś powodu nazywa. Ale w końcu ją zobaczyłem, w świetlicy. Usiadłem obok niej przed telewizorem. Poznała mnie.

– Co powiedziała?

– Wypowiedziała moje imię, a raczej to, pod którym mnie znała. I to wszystko. Kiedy się spotykamy, zawsze coś mówi: jedno, dwa słowa, czasem jakieś zdanie.

– Na przykład?

– Raz spytała, czy mogę jej przynieść krzesło, żeby mogła położyć na nim nogi. Powiedziałem, że niestety nie. Że mam pewne... ograniczenia. – Uśmiecha się. – Trudno się ruszyć, kiedy się ma kajdanki na rękach i nogach. Ach tak, odpowiedziała. Krzesło przyniósł jej jeden z opiekunów, ale zaraz potem zniknęła.

– Jestem coraz bardziej zestresowany. I zawiedziony.

– Dlaczego? – pyta Grimberg.

– Opowiadasz anegdotki bez żadnego znaczenia. To do niczego nie prowadzi. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że wiesz coś więcej. Nie licz na żadną przepustkę.

Dłonie Grimberga są spokojne, ma nad nimi pełną kontrolę. Unosi nieco ramiona i powstrzymuje się od mrugnięcia, robi to niemal niezauważalnie.

– Może zadajesz niewłaściwe pytania?

– A o co powinienem pytać?

– Kiedy rozmawiałeś z Klawiszem o Marice, pewnie powiedział ci o sprzęcie muzycznym, który jej zabrali już dobry tydzień temu.

– Do czego zmierzasz?

– Jak myślisz, dlaczego to zrobili?

Możliwe, że kłamie. Jest do tego zdolny.

– Dlaczego Marice zabrano sprzęt?

– Czternastego czerwca – mówi Grimberg – w świetlicy, po lunchu, Marika oparła się o mnie i powiedziała, że się boi. Spytałem, czego się boi. Powiedziała, że następnego dnia ma ją odwiedzić pewien mężczyzna. Mężczyzna, który chce ją skrzywdzić.

– I co?

– Powiedziałem, żeby coś z tym zrobiła.

– Co?

- Żeby nagrała tę wizytę.
- Jesteś pewien, że to było czternastego?
- Na pewno następnego dnia miała gościa. Piętnastego.
- Na pewno? – pyta Birck. – I nagrała wszystko?

Nie zastanawiając się, sięga po listę i wpatruje się w nią na oczach Grimberga. Piętnastego czerwca Marika Alderin miała tylko jednego gościa.

Grimberg pochyla się do przodu.

- Ciekawe – mówi, patrząc na listę. – Znam to nazwisko.

- To on, do cholery.
- Davidsson jest czerwony z podniecenia.
- Tak czy inaczej, miałam rację – stwierdza Tove, która stoi obok niego.
- Eva Levin i Daniel Bredström spotykali się za plecami Levina.
Patrzę na siedzącego w pokoju mężczyznę i myślę o bólu, jakiego doświadczał Levin, o tym, jaki musiał być zły. Ból i złość są niebezpieczne.
- To tylko kwestia czasu. W końcu się załamie – stwierdza Davidsson.
- Może i tak – wchodzi mu w słowo Tove. – Ale niekoniecznie z powodu tego, o co go podejrzewamy.
- O co ci chodzi?
- Spójrz na niego – ciągnie Tove, wskazując na Bredströma, który siedzi nieruchomo i przygląda się swoim dłoniom. – Nie bardzo wie, co się dzieje. Naprawdę sądzisz, że byłby w stanie to zrobić? Ja nie.
- Davidsson patrzy na Tove, potem na mnie i znów na Tove. Jest zaskoczony.
- Ale wszystko się zgadza.
- Wszystko mogłoby się zgadzać – mówię.
- Czy ty... – zaczyna Davidsson. Milknie, jego twarz wykrzywia grymas. – Ty się z nią zgadzasz?
- Tak. Poza tym nie przekonuje mnie motyw.
- Motyw – prycha Davidsson. – Motyw to coś, o czym spekulują ludzie i media. Dla zabicia czasu. Tak naprawdę liczą się tylko fakty.
- Mamy jedynie poszlaki.
- Jeśli się przyzna, to to się zmieni.
- Na razie się nie przyznał – wtrąca Tove.
- Powiedziałem, że to kwestia czasu. Spójrzcie na niego.
- Właśnie na niego patrzę – mówię. – I zgadzam się z Tove. On...
- Urywam, nie wiem, co powiedzieć. – Morderca Levina działał spokojnie, według planu. Nie tknął filiżanki z kawą, strzelił do niego z bliska, działał, jakby był pewien, że ma mnóstwo czasu. Poza tym zabrał komputer, komórkę i drukarkę. Albo skaner. Co Bredström miałby z nimi zrobić?
- Sprzedać – odpowiada Davidsson. – A dlaczego nie? Pewnie już to zrobił. Spytam go, ale jestem niemal pewien, że uznał, że to okazja, żeby zgarnąć trochę dodatkowej kasy.
- Wątpię – stwierdziła Tove. – Chociaż taka możliwość oczywiście istnieje. Niezbyt to wiarygodne, żeby nie powiedzieć, że idiotyczne, zwłaszcza że

wymyślił to ktoś, kto się uważa za policjanta. Jeśli zabija człowieka ktoś o mentalności Bredströma, to jest tak roztrzęsiony, że nie jest w stanie kalkulować tak, jak Davidsson to przed chwilą przedstawił.

– Możliwość istnieje, ale nie wierzę, że tak było – ciągnie Tove po chwili.
– I nie wierzę, że to on siedzi w samochodzie na tym zdjęciu.

– Ja... – zaczyna Davidsson i przerywa, bo dzwoni jego komórka. Odbiera: – Davidsson, słucham? Tak, zgadza się. Już? Świetnie. Tak, oczywiście, jesteśmy wdzięczni, że chce wam się przyjeżdżać. Dobrze. Zadzwońcie, jak będziecie na miejscu. Dopilnuję, żeby wasz kolega na was zaczekał. Co? Tak, on... Co takiego?

– Nagle odwraca się i patrzy na mnie: – Jak ty się nazywasz?

– Leo Junker – mówię powoli.

– Leo Junker – powtarza Davidsson.

Otwieram drzwi, wychodzę na korytarz, idę szybko, nierównym krokiem. Znowu bołą mnie żebra, wraca ból głowy, gdzieś z tyłu dobiega mnie głos Davidssona, sięgam do kieszeni po tabletkę morfiny.

Wkładam ją do ust, zatrzymuję się obok sali konferencyjnej. Ból przybiera na sile, jęczę.

– Co, do diabła! – wrzeszczy Davidsson.

Najwyższa pora opuścić to miejsce.

wrzesień–październik 1980

– Jedyne, czego od ciebie oczekuję, Charles, to żebyś rozważył też plusy takiego rozwiązania, zamiast skupiać się wyłącznie na minusach. Oczywiście możesz wziąć ze sobą rodzinę.

Charles przycisnął słuchawkę służbowego telefonu ramieniem do ucha i sięgnął po ryzę papieru maszynowego.

– Oczywiście pochlebia mi to, ale niepotrzebnie dzwonicz.

– Co biedny urzędnik może zrobić, żebyś zmienił zdanie? – zapytał Paul.

Charles zaśmiał się głośno.

– Nic.

– Prawdziwa praca w policji opiera się na przysługach, coś za coś, także między kolegami. Jestem ci wdzięczny, że tak umiejętnie przedstawiłeś wszystkie aspekty sprawy Lichtera, to była bardzo delikatna kwestia.

– Tak się umówiliśmy – odpowiedział Charles, i chociaż nie skupiał się wyłącznie na rozmowie, zniżył głos.

– No właśnie. – Paul odkaslnął. – Powiedz, czy w jakiś sposób mogę ci ulżyć w twoim codziennym życiu.

To była ich czwarta rozmowa telefoniczna w tej sprawie. Początkowo Charles był zażenowany, potem zaczęło mu to schlebiać, a kiedy Paul zadzwonił po raz trzeci, zaczął się poważnie zastanawiać. Teraz koło się zamknęło: był zażenowany, ale tym razem z innego powodu. Zaczerpnął powietrza.

– Ostatnio wpadłem na coś, co nie daje mi spokoju. Mam wrażenie, że pewien facet, niejaki Daniel Bredström, który tu, w Bruket, prowadzi warsztat samochodowy, przy okazji zajmuje się też paserstwem.

– Skąd to przekonanie?

– Mam jego poczynania na zdjęciach. Widać na nich, jak pod warsztat podjeżdżają ciężarówki z towarem. Potem ukrywa go w swoim warsztacie. Mam powody sądzić, że to towar kradziony. Mam też zdjęcia, na których widać, jak przekazuje towar kupcowi.

– No proszę. To niedobrze. Ale do czego ja ci jestem potrzebny?

– Jak wiesz, pracuję w komisariacie w mieście, nie na posterunku w Bruket. Miejscowi geniusze powinni dostać cynk od kogoś z zewnątrz. Bruket to niewielka

osada, zresztą miasto też nie jest duże. Tu wszyscy znają wszystkich. Jeśli ktoś będzie chciał, bez problemu udowodni, że to ja się za tym kryję.

– Rozumiem – powiedział Paul i jego głos rzeczywiście brzmiał tak, jakby rozumiał. – Przyślij mi te zdjęcia. Ale oczekuję, że któregoś dnia powiesz mi, o co tak naprawdę chodzi.

– Może.

Paul się roześmiał.

– Na razie, Charles.

Kiedy Charles odłożył słuchawkę, czuł, jak niebezpiecznie szybko bije mu serce.

Dopiero teraz przyszedł ból. Po miesiącu. Eva próbowała raz się do niego zbliżyć, ale nie pozwolił jej. Sypiał na kanapie w dużym pokoju. Nigdy nie wracali do tego, co się stało. Tak było łatwiej. W głębi duszy wiedział, że z nią zostanie.

Właściwie nie był do końca pewien, czy tego chce, ale wiedział, że musi ratować rodzinę. Może brzmiało to okropnie staroświecko, może to był frazes, którym się kierowali jego rodzice, ale wiedział, że musi przy tym trwać.

Ilu mieszkańców Bruket wiedziało o tym, co się stało? Eva była dyskretna, ale Bredström? Nie należał do tych, którzy milczą o swoich podbojach. Raczej przeciwnie. Charles starał się nie pokazywać na rynku, ale kiedy już musiał tam iść, był przekonany, że ludzie patrzą na niego wymownie, że szepczą za jego plecami, że się z niego śmieją.

Narastała w nim złość. I nie miał co z nią zrobić.

Eva dostosowała się do jego rytmu. Niekiedy był jej wdzięczny za to, że nie miała wobec niego żadnych oczekiwań. Czasem jednak miał ochotę na nią krzyknąć, żeby przestała. Czuł się jak dziecko.

Rodzicom nic nie powiedział, bratu też nie ani kolegom. Nosił swój wstyd sam, bo to był wstyd, i pragnął tylko, żeby z czasem przestał być taki ciężki.

Pewnego chłodnego październikowego dnia Daniel Bredström został zatrzymany i oskarżony o paserstwo.

Charles spojrział w lustro: był bledszy niż kiedykolwiek.

listopad 1984

- Nie miały być w trójkę? – spytał Paul.
- Miały.
- Przeoczyłyśmy jedną?
- Nie. Uspokój się.

We wstecznym lusterku widać Öhrns Horn. Kobiety podjechały białym renault Leny Gräns. Są w dobrych nastrojach. Gräns idzie energicznym krokiem, pewna siebie, Falck jest spokojna i wyluzowana. Siadają przy stoliku niedaleko okna i zamawiają butelkę wina. Rozmawiają, śmieją się. Naszyjnik Gräns od czasu do czasu mieni się w ciepłym świetle.

- Jak się nazywa ta trzecia? – pyta Paul.
- Ulla Jones. Może coś jej wypadło.
- Tak, niech to szlag.

Samochód: stary ford, który wkrótce ma zostać zezłomowany i wycofany z rejestru. Pierwotnie był zarejestrowany w Sättrze, pół roku stał nieużywany, a jakieś pół roku temu znaleźli go porzuconego w podziemnym garażu na Södermalmie. Nikt nie potrafił powiedzieć, jak się tam znalazł, ale też nikt nie rościł sobie do niego pretensji.

Uznali, że to najlepsze, co im się udało znaleźć. Citroen Paula nie wchodził w grę. Falck mogła go rozpoznać. W radiu lecą wiadomości: zabójstwo Indiry Gandhi wywołało zamieszki w Indiach. Istnieją obawy, że zamordowano tysiące sikhów. Palme to skomentował, dając wyraz swemu przerażeniu. Potem lecą wiadomości krajowe: na pierwszym miejscu sprawa koncernu Bofors: dalszy ciąg kontrowersji związanych z doniesieniem na policję na producenta broni, firmę Bofors, złożonym w maju przez szwedzką organizację pacyfistyczną, stowarzyszenie działające na rzecz pokoju i rozejmu. Część kierownictwa koncernu żąda, żeby osoba czy osoby odpowiedzialne za wyciek informacji dotyczących handlu bronią z Dubajem i Bahrajnem ujawniły się i zostały pociągnięte do odpowiedzialności.

Charles wyłącza radio.

Nie pozostaje im nic innego, jak czekać.

Już bywali w podobnych sytuacjach. A wszystko zaczęło się w 1980 roku,

kiedy wysłał Paulowi zdjęcia Daniela Bredströma, a Paul zrobił to, o co go prosił. Oddał mu przysługę. To wszystko. Tyle że potem już nic nie było tak jak dawniej.

Ile człowiek jest w stanie znieść? Nigdy nie twierdził, że zna odpowiedź na to pytanie, ale też nie spodziewał się, że sprawy mogą zajść aż tak daleko.

Może dlatego teraz miał wrażenie, jakby wchodził do jaskini lwa, mając krew na rękach.

– O czym myślisz? – pyta Paul.

– Jak to?

– Tak tylko spytałem. – Paul wkłada ręce do kieszeni płaszcza. – Zimno, cholera.

Na tylnym siedzeniu leży maszynka, którą Paul po rozmowie z Krausem wygrzebał z szafy. Mała, z szarego metalu, przypomina kompresor z niewielkim dodatkowym zbiornikiem na wodę. W rogu pieczętka informująca, że należy do MFS HAUPTABTEILUNG IX.

– Przeraza mnie – mówi Charles.

– Dostałem w prezencie od poprzednika Krausa.

Przed nimi lśni oblodzona jezdnia Folkungagatan. Do samochodu przenika chłodna wilgoć z zewnątrz, wciska się za kołnierze, kładzie się na karku i na plecach.

– Opuść trochę szybę – mówi Charles.

– Zwariowałeś?

– Szyby zaparowały. Musimy je widzieć.

Paul opuszcza trochę szybę od strony kierowcy, tyle, żeby przez szczelinę można było wysunąć palec.

– Wiesz, że po tym wszystkim... – zaczyna Charles, nie patrząc na niego. – Potem koniec – mówi. – To coś innego niż to, co dotychczas robiliśmy. Chodzi mi o ryzyko... To ostatnie takie zadanie.

– Wiem.

– Zamierzam poprosić o przeniesienie.

– Dokąd?

– Nie wiem. Może do wydziału zabójstw. Albo zajmę się dochodzeniami. Pracowałem tam w latach siedemdziesiątych. I podobało mi się.

– Nie zapominaj, że są pewne rzeczy, które się zmieniły, ale w naszym świecie, nie w ich.

– Nie jestem dzieckiem.

Paul otwiera usta, nabiera powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zmienia zdanie. Wypuszcza powietrze. Oddycha ciężko.

– Ona to pamięta – mówi Charles.

– Kto co pamięta?

– Marika. Pamięta tamten wieczór.

- Ile z niego pamięta?
 - Całkiem sporo. Pisała o tym pod koniec września w pamiętniku.
 - Czytałeś go?
 - Tylko ten wpis.
- Paul kiwa głową, nic nie mówi.
Nie ma więcej słów.

Strumień ludzi nie przestaje płynąć chodnikami Folkungagatan, tyle że czasem jest większy, a czasem nieco mniejszy. Zegarek tyka, jest wpół do ósmej, potem robi się wpół do dziewiątej, mija dziewiąta, wskazówka przesuwa się powoli na kwadrans po.

– Poprosiły o rachunek. – Paul sprawdza, czy służbowa broń jest na swoim miejscu, pod lewą pachą. – Życz mi powodzenia.

– Nie.

Śmieje się, ale jest to śmiech pozbawiony radości.

Paul staje przed lokalem. Widzi, jak wewnątrz Cats Falck i Lena Gräns zaczynają się ubierać. Gräns mówi coś do Falck, a ona przytakuje i się śmieje. Wychodzą i zatrzymują się na chodniku. Paul podchodzi. Falck zamiera, Gräns sprawia wrażenie zdezorientowanej. Patrzy na Paula, potem na przyjaciółkę, a potem znów na Paula.

Paul rozpina płaszcz, widzi, kiedy – o, właśnie w tym momencie – zauważają, że ma broń.

Charles patrzy na wargi Cats: *Czego pan chce?*

Paul: *Porozmawiać.*

Falck kręci głową, zerka na zegarek. Paul się uśmiecha. Gräns ogląda się przez ramię.

Charles zastanawia się, co Paul powie, jak dobierze słowa, jeśli w ogóle będzie je dobierał.

Paul wskazuje na białe renault Leny Gräns. Lena Gräns kręci głową: *Piłam wino.*

Falck nie spuszcza wzroku z broni, którą Paul ma pod pachą. Paul kładzie dłoń na jej ręce, uciska ją.

Ruszają razem w stronę samochodu Leny Gräns. Charles przesuwa się na miejsce kierowcy, patrzy, jak Gräns manewruje, próbując włączyć się do ruchu. I rusza za nimi w listopadowych ciemnościach.

Hammarbyhamnen jest puste, cienie są tak blisko, że niemal można ich dotknąć. Po drugiej stronie wody leży Lugnet ze zlikwidowanymi zakładami przemysłowymi i ciemnymi zakątkami.

Białe renault skręca w lewo przy odcinku nabrzeża oznaczonym liczbą 301, mija kolejne, zwalnia przy numerze 309 i nagle zatrzymuje się przy 310.

Charles ledwie jest w stanie wyhamować, skręca gwałtownie, prawa strona forda ociera się o lewy bok renault. W powietrzu fruwiąją płaty białego lakieru.

Szlag.

Falck i Gräns wysiadają, Paul idzie za nimi.

– No cóż – mówi i rozgląda się.

– Moje auto – mówi Gräns. Schyla się, przeciąga dłonią po lakierze.

Charles zamyka drzwi forda od strony kierowcy.

– Nie zdążyłem zahamować. Zatrzymaliście się tak nagle.

– To ty.

Falck robi krok w jego stronę, jeden, potem drugi i jeszcze jeden, stukot obcasów sprawia, że robią wrażenie bardziej stanowczych. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć.

– Wiedziałaś – mówi. – To jakiś absurd.

– O co tu chodzi? – pyta Gräns.

– Chcieliście rozmawiać – odzywa się Falck. – Więc rozmawiajmy. Charles, tak masz na imię, prawda?

Dociera do niego zapach jej perfum. Stoi plecami do wody: ciemna, głęboka toń.

Woda.

Dobrze.

Charles bierze głęboki wdech.

Łapa tygrysa – tak się nazywa uderzenie dolną częścią dłoni. Celuje w jej nos. Falck otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, jeden z jej przednich zębów zostawia rysę na jego rękawiczce.

Cios trafia w cel, łamie nos, z tyłu dochodzi głucho uderzenie: Paul obezwładnił Gräns.

Falck krzyczy, robi krok w tył, macha rękami. Charles łapie ją, a kiedy mdleje, kładzie ostrożnie na ziemi. Za nim stoi Paul: pochyła się nad Gräns, która leży teraz cicho na boku. Charles wyjmuje z kieszeni płaszcz chusteczkę.

– Butelka – mówi.

– Zaczekaj.

Paul wyjmuję własną chustkę, otwiera butelkę, polewa chustkę chloroformem i przykłada ją do twarzy Gräns.

Chloroform nie działa tak szybko jak na filmach. Sekundy ciągną się w nieskończoność. Kiedy Paul rzuca Charlesowi buteleczkę, Falck zaczyna się ruszać i jęczeć, jakby coś jej się śniło.

Charles wyjmuje korek, kładzie chustkę na ziemi, polewa ją chloroformem i zakrywa nią jej usta i nos. Falck oddycha chrapliwie, niespokojnie, jej ciałem wstrząsają drgawki, Charles dotyka kolaniem jej klatki piersiowej.

Zamyka oczy, liczy sekundy. Myśli o tym wszystkim, czego Cats Falck już nigdy nie doświadczy, myśli: tak naprawdę to mnie tu nie ma.

Czas. Wszystko zajmuje niewiarygodnie dużo czasu. Charles wyjmuje węże, mocuje je śrubami do przypominającej kompresor maszynki. Przekręca kluczyk i gdzieś ze środka dobiega głośny syk, guzik obok stand by rozbłyskuje czerwonym światłem, błyska kilka razy, aż w końcu światełko zmienia się na zielone i przestaje migać. Paul rozwiera szczęki Falck, w ciemności jego oczy wydają się błyszczącymi czarnymi kałużami.

Woda niesie wszystkie dźwięki.

– Daj mi ten pierwszy.

Charles wykonuje polecenie: wkłada jej wąż do gardła i dalej, do płuc. Falck się krztusi, twarz Paula wykrzywia grymas. Charles patrzy na jej twarz, spodziewa się, że może zacząć wymiotować, kaszleć.

– Daj drugi.

Paul ostrożnie wkłada jej do gardła drugi wąż.

– Teraz.

Paul kładzie dłoń na jej klatce piersiowej, Charles przekręca pokrętło. Znowu rozlega się syk. Przypomina głuchy szum odkurzacza, jakby ktoś go włączył i natychmiast wyłączył.

Klatka piersiowa Falck zapada się, jej płuca powoli opróżniają się z powietrza.

– Drugi.

– Niech to szlag.

– Drugi, Charlie.

Charles przekręca drugie pokrętło. Widzi, jak przez przezroczysty wąż zaczyna płynąć woda. Strumień wije się w rytm jego ruchów, jej płuca opróżniają się powoli z powietrza i napełniają wodą. Charles przygląda się jak zahipnotyzowany.

– Stop.

Zakręca oba pokrętła. Rozgląda się. Są sami pod nisko wiszącym niebem. Paul powoli wyciąga oba węże.

– Jest gotowa – mówi. – Zajmiesz się drugą?

– Nie.

Charles ma mdłości, musi odejść na bok, zaczerpnąć powietrza. Nie daje rady. Chciałby, żeby wystarczył chloroform, żeby nie musieli się posuwać do czegoś takiego, żeby Cats Falck nigdy do niego nie zadzwoniła.

– Skup się, Charlie – syczy Paul za jego plecami.

Charles się odwraca.

– Pomóż mi. – W głosie Paula słycać błaganie.

Charles znów kuca obok maszyny, czeka, aż Paul włoży węże do tchawicy Gräns, i tak jak poprzednio na jego znak odkręca pokręta. Stara się nie patrzeć na maszynę.

Paul wyciąga węże i dokładnie im się przygląda. Charles zauważa, że na szyi Gräns nie ma naszyjnika. Pewnie Paul go zabrał.

– Boję się, że podrapałem którejs gardło – mamrocze pod nosem.

Zwijają węże, kładą maszynę na tylnym siedzeniu, razem układają ciała obu kobiet w samochodzie Gräns. Są miękkie i zaskakująco ciężkie. Charles kładzie kciuk na nadgarstku Falck, sprawdza tętno. Czuje pod skórą lekkie pulsowanie, słabe, nieregularne.

Paul wrzuca luz, przekręca kierownicę, prostuje koła. Zamykają drzwi, w kabinie gaśnie światło. Zaczynają pchać.

– Wystarczy – stwierdza Charles po chwili. Jest zdyszany. – Musi wystarczyć.

– Szyby – mówi nagle Paul. – Musimy się ich pozbyć. Wtedy pójdzie szybciej.

– Zbij je.

– Wtedy to nie będzie wyglądać na wypadek.

– A jeśli je opuścimy, to będzie? Kto w listopadzie jeździ samochodem bez szyb?

– Ale...

– Paul, musimy stąd jak najszybciej zniknąć.

Paul otwiera drzwi od strony kierowcy, wrzuca jedynkę, podnosi głowę, przesuwa wzrokiem po cieniach portu Hammerby.

Niemal kładą się na bagażniku, Charles walczy, żeby nie upaść na śliskiej nawierzchni. Udaje im się przesunąć samochód o jakiś metr, potem o jeszcze jeden, w sumie może o trzy. Paul chrząka pod nosem. Samochód przyspiesza. Charles już nie idzie, tylko biegnie, dłonie trzyma na klapie bagażnika, ręce ma wyprostowane.

Przyspiesza jeszcze bardziej.

– Cholera! – krzyczy zdyszany Paul. – Siedzą nie tak, jak powinny.

– Co?

– To samochód Gräns.

A za kierownicą siedzi Falck. Jak mogli to przeoczyć, szlag! Nikt w to nie uwierzy, to się nie uda!

Charlesa bolą ramiona, dyszy z wysiłku. Jego oddech zamienia się w białe obłoczki. Nie są już w stanie nic zrobić, samochód zbliża się do krawędzi. Charles widzi, jak nabiera rozpędu, teraz jest już za późno. *Tak naprawdę mnie tu nie ma...*

– Teraz.

Zatrzymują się i puszczają samochód. Toczy się dalej. Dociera do krawędzi nabrzeża, przechyla się i uderza maską w wodę z takim hukiem, że odgłos odbija się echem w całym porcie. Auto zaczyna się obracać i opada na dno, dachem do dołu. Tętno Charlesa szaleje.

listopad–grudzień 1980

Lato było duszne, zielone i upalne, a zima mroźna i biała. Nigdzie indziej pogoda nie była tak ekstremalna, a kontrasty tak wyraziste jak w Bruket.

Pewnego przedpołudnia pod koniec listopada Manfred Lundin został skazany za zamordowanie Teda Lichtera i rozkawałkowanie jego ciała.

– Trudno mi wyrazić, jakie to dla nas ważne, że dotrzymałeś umowy – mówi Paul Charlesowi przez telefon kilka dni po ogłoszeniu wyroku.

– Nigdy nie zamierzałem się z niej wycofać.

– Czułbym się pewniej, gdybyś pracował dla mnie, Charlie.

– Nie ufasz mi?

– Tu nie chodzi o zaufanie.

Zaczął mówić do niego Charlie. Charles początkowo tego nie lubił. Czuł się wtedy jak dziecko. Ale ostatnio zaczęło mu to nawet odpowiadać.

– Rozumiem – powiedział, nie do końca przekonany, czy rzeczywiście tak jest.

– Za kilka dni będę przejazdem w twoich okolicach.

– Ach tak.

– No... prawie. Mam spotkanie z kolegami z Malmö, ale przynajmniej raz program nie jest bardzo napięty, więc moglibyśmy się spotkać.

– Próbujesz mnie zwerbować?

Roześmiał się.

– Zaprosić cię na drinka. Wieczorem. Co do innych spraw... to już przestałem się łudzić.

Charles i Eva wzięli się razem do świątecznych porządków: powiesili nowe firanki, zmienili obrusy. Ustawili bożonarodzeniowe świeczniki. Tak powinno być.

– No tak – powiedział Charles, patrząc na świątecznie udekorowane pokoje.

– Teraz jest w porządku.

Eva podeszła bliżej, spojrzała na jego ramiona. Może chciała go dotknąć?

– Tak uważasz?

– W każdym razie posunęliśmy się naprzód.

– Kocham cię – powiedziała.

Nie odpowiedział, chociaż wiedział, że mówi prawdę.

Kiedy sprawa Lichtera definitywnie się skończyła, zwolnił tempo: mniej pracował, więcej czasu spędzał w domu. Na wyraźne życzenie Ewy.

– Chcę być z tobą, ale żeby to było możliwe, musisz tu być.

– Ja też tego chcę. Ja też chcę być z tobą.

– Naprawdę?

– Tak.

I rzeczywiście tak było.

Wieczorem czwartego grudnia Eva pracowała do zamknięcia sklepu. Marika miała nocować u koleżanki z klasy, Josefine, która mieszkała na drugim krańcu osady, więc Eva była w domu sama. A przynajmniej Charles tak zakładał. Oczywiście nie mógł tego wiedzieć na pewno, bo przecież go tam nie było. Siedział z Pauliem przy jednym z narożnych stolików w barze w Bruket.

- Jak tu dotarłeś? – spytał go Paul, wysiadając na rynku ze swojego citroena.
- Samochodem. Ale zawsze parkuję kawałek dalej.
- Dlaczego?
- Lubię się przejść.

Prawda była taka, że nie chciał zostawiać samochodu przed barem. Uważał, że nie wyglądałoby to dobrze. Więc zawsze, kiedy odwiedzał bar w Bruket, zostawiał samochód na niewielkim placyku kawałek od rynku.

- Ale przecież mieliśmy się napić.
- Ja nie.
- Świetnego partnera sobie znalazłem – wymamrotał Paul, zamykając samochód.

- A co z tobą? Też jesteś samochodem.
- Zarezerwowałem pokój w hotelu.

Paul kupił piwo u barmana, tego samego, który stał za barem, kiedy Charles po raz pierwszy przyjechał do Bruket i spotkał Evę.

- Nie jest szczególnie rozmowny – stwierdził Paul, kiedy już usiedli przy stoliku.

- Stoi za tym barem tyle lat, że pewnie będzie tak stał już do śmierci.
- Uważasz, że z taką przeszłością i takimi perspektywami człowiek nie bardzo ma ochotę gadać?
- Coś w tym stylu.

Roześmiali się. Charles czuł się dobrze w jego towarzystwie, i chyba z wzajemnością. Widzieli się wcześniej tylko raz, ale czuli się tak, jakby spędzili ze sobą wiele wieczorów.

Wmawiał sobie, że może to zapowiedź przyszłej przyjaźni, ale przyjaźń może być myląca, podobnie jak więzi, które powstają, gdy dwoje ludzi łączy wspólna tajemnica.

- Dobrze wyglądasz, Charlie. Nie obraż się, ale znacznie lepiej, niż kiedy się widzieliśmy poprzednim razem.

- To prawda. Tegoroczne lato było... dziwne.

Paul wypił trochę piwa, czekał na dalszy ciąg, ale Charles nie miał ochoty mu się zwierzać. Popijał letnią wodę.

– Dla mnie też. Zresztą wiesz.

– Nie wiem, ale mogę się domyślać.

– Byłoby ci u nas dobrze – powiedział Paul. – Także dlatego, że przyszło nam żyć w ciekawych czasach. Twoje umiejętności znalazłyby zastosowanie.

– Schlebiasz mi.

– Na pewno nie napijesz się piwa? Możesz wrócić do domu na piechotę.

– W taką pogodę?

Paul wypił kolejny łyk piwa.

– Rozumiem. Tutejsza zima różni się od sztokholmskiej. Czuję się tu prawie jak na północy, w Norrlandii.

Chwilę później Paul zadał mu kolejne pytanie. Tonem tak niewinnym, jakby pytał, gdzie jest toaleta.

– Dlaczego chciałeś zrobić Daniela Bredströma? – spytał. – Chętnie ci pomogłem, nie o to chodzi. Przysługa za przysługę, jasna sprawa. Po prostu jestem ciekaw.

– Nie wystarczy, że rzeczywiście okazał się paserem?

– Może sformułuję to inaczej. Dlaczego było dla ciebie takie ważne, żeby nie można było połączyć tej sprawy z tobą?

– Już ci mówiłem.

– Nie. – Paul się uśmiechnął. – Nie, nie mówiłeś mi. Dlatego pytam.

– Dlaczego nie spytałeś mnie o to trzy miesiące temu?

– Wtedy nie musiałem tego wiedzieć.

– A teraz musisz?

– Zwykła ciekawość.

Charles poczuł nagle wszechogarniającą duszność lata i ciemność jesieni.

– Na pewno nie napijesz się piwa? – spytał Paul.

Kiedy teraz o tym myśli, uderza go, jak schematycznie wtedy myślał, jak naiwnie. Dał się podejść, teraz widzi to wyraźnie. Teraz, kiedy już wie, widzi przesłanki, które powinny były dać mu do myślenia. Ale wtedy ich nie widział.

C z a s. Czas może zmienić wszystko.

Jeśli czegoś się nauczył, to właśnie tego.

S z w e c j a. Przeczuwał to już wtedy, niemal trzydzieści pięć lat temu. Czuł, że coś jest nie tak.

Jego podejrzenia okazały się słuszne, chociaż nie było tak, jak przypuszczał.

S z w e c j a. Wielka zdrada miała korzenie w małej.

Charles wypił piwo. Wypił dwa piwa. Wypił trzecie. Kontury Paula zaczęły się zamazywać.

W tym samym czasie na Alvavägen zadzwonił telefon. Eva odebrała i usłyszała głos Mariki. Córeczka oświadczyła, że jednak nie chce nocować u Josefine. Jej rodzice nie mogli jej odwiedzić, bo wypili butelkę wina, kiedy one oglądały *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*.

Bardzo chciała spać w domu.

Eva obiecała, że po nią pojedzie.

Charles siedział za kierownicą swojego samochodu na niewielkim placyku za rynkiem. Nie był w stanie zapiąć pasów. Jak to się stało, że się tak upił?

– Może nie powinieneś wracać samochodem, Charlie? – powiedział Paul, przyglądając mu się uważnie. – Nie wezwiesz taksówki?

– Tutaj nie ma taksówek.

– Odwiozę cię.

– Nie, do diabła.

Paul położył mu dłoń na ramieniu.

– Ale, Charlie...

– Puść mnie – wybełkotał. – Jadę do domu.

Jechał przez noc. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał pięć po wpół do pierwszej. Droga była pusta, wydawała się odludna, jej powierzchnia migotała. Kręciło mu się w głowie. Zniosło go na środek jezdni, zobaczył znikającą pod samochodem przerywaną linię, zjechał na prawo, żeby się znaleźć po właściwej stronie drogi. Poczul dym. Gdzieś, nie potrafił powiedzieć, czy w pobliżu, czy gdzieś dalej, ktoś coś palił.

To była jedna z wielu bezimiennych drózek. Długo jej szukał. Wzdłuż brzegów rosła wysoka zmarznięta trawa. Wskazówka prędkościomierza zbliżyła się do siedemdziesiątki, po chwili była już przy setce. Miał wrażenie, że jego stopa raz jest dziwnie lekka, raz dziwnie ciężka. W palcach czuł dziwne mrowienie.

Ile wypił? Nie pamiętał. Pięć piw? Chyba więcej.

I nagle na drodze pojawił się człowiek, nagle, znikąd. Ktoś w grubym zimowym ubraniu, w kapturze. Prowadził rower.

Charles stanął na hamulcu. Kierownica w jego rękach była dziwnie bezwładna, w ogóle nie stawiała oporu. Próbował skrócić, ale nie udało mu się, prześlizgnął się po asfalcie na prawą stronę, zjechał z jezdni.

Przód samochodu skosił trawę tuż przy poboczu. Głośny, przeszywający dźwięk. To ostatnie, co zostało mu w uszach. Od tej chwili było już tylko to, co rejestrował jego wzrok: maska samochodu trafiła rowerzystę w uda, pokrywa silnika w głowę. Rama roweru się wygięła.

Chciał zamknąć oczy, ale nie był w stanie. Wcisnął hamulec, aż stracił czucie w palcach.

Zamrugał. Miał wrażenie, że rozpoznaje grubą zimową kurtkę.

Świat zatrzymał się w miejscu, zamarzl i zastygł.

Krew. Tyle krwi, wszędzie: w jej włosach, na jego rękach, na kurtce, na

masce samochodu i na ziemi. Co się stało? Co ona tam robiła? Nic z tego nie rozumiał.

Ktoś musiał jechać za nim z wyłączonymi światłami, bo usłyszał, jak tuż za nim hamuje i zatrzymuje się jakiś samochód. Drzwi się otworzyły i natychmiast zamknęły, jakieś stopy ruszyły biegiem.

Zobaczył, jak jego usta się poruszają: *Charlie, co ty zrobiłeś?*

– Ja... – zaczął, ale kiedy zobaczył nad sobą twarz Paula, zabrakło mu słów.
– Mam wrażenie, że skręciła kark.

Nie spytał, co tam robi, jak to możliwe, że był w stanie prowadzić. O nic nie pytał, bo nie potrafił.

Wzrok Paula powędrował na pobocze, zatrzymał się na małej dziewczynce, która stała z na wpół otwartymi ustami, jej oczy błyszczały w ciemności.

Marika. Charlie, Boże drogi, co ty...

– Eva musi jechać do szpitala – wyszeptał Charles. – Ona może... To...

Charlie. Paul położył mu dłoń na ramieniu. Wszystko jest w porządku. Wszystko jest w porządku. Pomogę ci, ale musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem, rozumiesz?

Charles szukał jego wzroku, ale nie potrafił się na niczym skupić. Wszystko przechylało się w lewą stronę, trzęsły mu się ręce. Jego ciało zrozumiało, że ją stracił, zanim pojęła to jego dusza.

Kawałek dalej stoi policja. Usłyszałem przez radio i pojechałem za tobą, żeby cię ostrzec. Posłuchaj, Charlie. Musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem.

Widzisz tamte drzewa?

Charles odwrócił głowę.

– Tak.

Wsiądź do samochodu.

– Nie mogę.

Charlie. Musisz. To jedyny sposób. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

– Ale ja nie mogę. Nie mogę się ruszyć.

Charlie!

czerwiec 2014

Opuściłam Bruket. Udało mi się.

Zbliżając się do tablicy oznajmiającej, że zabudowania Bruket się kończą, Tove poczuła to samo co zawsze. Droga się zwęziła i zaczęła zanikać, ale nie na horyzoncie – znacznie wcześniej. Kiedy pokonała wzniesienie, drzewa ruszyły na nią, gałęzie zamieniły się w dróżki, bała się, że zaraz na nią spadną, że ją zmiażdżą. Kierownica zrobiła się gorąca, paliła ją, fotel zaczął oddychać, w każdym razie czuła, jak pulsuje, miała wrażenie, że żyje, czuła, jak ją obejmuje, jak dotyka jej ramion, jej ud.

Zatrzymała samochód, zmusiła się, żeby z niego wysiąść. Miała mdłości, ale się opanowała. To, że Leo był świadkiem tego wszystkiego, tylko pogarszało sytuację. Wróciła za kierownicę z postanowieniem, że zawróci. Jak zawsze. Ale nie zawróciła. Pojechała dalej, z duszą na ramieniu minęła tablicę i opuściła Bruket.

Czuła się, jakby kogoś zdradziła.

Może tak było.

Świat to dziwne miejsce.

Kawałek na południe od Jönköpingu musiałem się zdrzemnąć, bo nagle obudził mnie cios w ramię. Spróbowałem zaczerpnąć powietrza i poczułem, jak pękają mi żebra.

– Nie śpij.

– Nie spałem.

– Ktoś, kto nie śpi, nie chrapie.

Masuję ramię.

– To przez morfinę.

– Czytaj dalej.

Otwieram laptopa, którego trzymam na kolanach.

– Nie wszystkie dokumenty można zrozumieć. Co się stało przed chwilą?

Dlaczego nagle się zatrzymałaś?

– Nic.

– Miałaś atak paniki.

– Zamknij się i czytaj dalej.

Wyprzedzamy tira na zagranicznych numerach. Śledzę go wzrokiem, chcę sprawdzić, skąd jest. Z Holandii.

Nie wiem, jakie kroki powźmie Davidsson, kiedy się dowie, że nieuprawniony do tego policjant przez ponad dobę maczał palce w dochodzeniu. I co powie Sam, kiedy się dowie, co zrobiłem. I że zostałem wykluczony. Kiedy zobaczy, jak wyglądam.

– Wiedziałaś o tym?! – wywrzeszczał Davidsson do ucha Tove jakieś pół godziny temu. Krzyczał tak głośno, że wszystko słyszałem.

– Nie.

– Nie brzmi to wiarygodnie.

– Wiem.

– To może mieć katastrofalne skutki dla dochodzenia.

– Wiem – powtórzyła Tove.

– Gdzie ty jesteś, do cholery?

– Odwożę go do Sztokholmu.

– Dlaczego, do diabła?

– Żeby mieć pewność, że nie wróci.

Davidsson nie daje się przekonać, ale ulega, bo nie ma wyjścia. Przesłuchanie Bredströma miało być kontynuowane po przerwie, ponieważ

podejrzany zażądał jedzenia i picia i kontaktu z adwokatem. A Davidsson musiał się jeszcze raz skontaktować z panią prokurator.

– Minie kilka godzin, zanim będę mógł drania przesłuchać – westchnął. – Mam nadzieję, że zdążę, zanim zrobi się naprawdę późno.

Zanim zjawią się ludzie z Policji Krajowej i cały splendor spłynie na nich.

Nie dlatego zdecydowała się mnie odwiedzić. Może wcale nie chodzi jej o mnie, może chodzi o to, że oboje, i ona, i ja, podejrzewamy, że odpowiedzi na pytanie o śmierć Levina nie znajdziemy w Bruket. A może po prostu chce, żebym nareszcie zniknął jej z oczu.

Albo nadal nie wie, co ma ze mną zrobić.

Wpatruję się w ekran. Prawie wszystkie dokumenty są ułożone w porządku chronologicznym. Levin zawsze był dokładny. Tylko w kilku przypadkach porządek jest złamany: notatka z października 1981 roku została umieszczona przed inną, z marca tego roku, podobnie jak kilka notatek z 1982 i 1983. Raport z początku grudnia 1984 roku również nie znalazł się tam, gdzie powinien. Dowiadujemy się z niego, że znany policji narkoman i drobny przestępca Jan Savolainen zginął w wypadku. Miał spaść z dachu domu w centrum Sztokholmu. Raport sporządził Charles Levin.

– Nic z tego nie rozumiem – mówię. – Kim, do licha, był Jan Savolainen?

– Może nie pojedyncze raporty czy notatki są najważniejsze.

– A co?

– Całość. Obraz, który powstaje dzięki tym dokumentom. Obraz kogoś. Albo czegoś.

– Może.

Odwracam się ostrożnie, otwieram stojącą na tylnym siedzeniu klatkę i wypuszczam Kita. Wystawia łebek, jakby sprawdzał, czy droga jest wolna, i nieco niepewnym krokiem wychodzi z klatki.

Nagle coś przykuwa mój wzrok. W folderze z roku 1984 jest plik zatytułowany KONTAKT. Jest to dokument tekstowy, składa się z zaledwie trzech linijek.

Gabriella Halvardsson, prokurator, 0732 87 78 08

Joakim Sturup, dziennikarz, 0708 19 05 40

OM, 0737 28 88 47

Czytam na głos.

– OM? To może być rzecznik praworządności? Ombudsman?

– Pewnie tak.

– To jego prywatny numer?

– Możliwe.

– Znasz te nazwiska?

– Nie.

– Nazwiska pani prokurator też nie?

Kręcę głową.

– Zadzwoń do nich – mówi.

Wyjmuję komórkę i wybieram numer ombudsmana. Wybrzmiewają kolejne sygnały, połączenie się zawiesza, zasięg nie jest najlepszy.

– Nie odbiera.

– Wybierz następny numer.

Wybieram numer dziennikarza. Nie odbiera. W końcu wybieram trzeci, ostatni. Trzymam komórkę przy uchu.

Za oknem willowa dzielnica Jönköpingu. Ładne drewniane domy. Roślinność sprawia wrażenie mniej zielonej niż w Bruket, słońce wydaje się jakby bardziej wyrozumiałe.

Słyszę kliknięcie.

– Gabriella.

– Dzień dobry – zaczynam. Nie bardzo wiem, co powiedzieć. – Nazywam się Leo Junker. Czy... czy rozmawiam z Gabriellą Halvardsson?

– Tak.

– Jest pani prokuratorem?

– Jak pan się nazywa?

Kobieta mówi bardzo przytomnie, w jej głosie słychać wyczekiwanie.

– Nazywam się Leo Junker i jestem funkcjonariuszem policji – mówię.

– W tej chwili jestem w samochodzie, wracam do Sztokholmu. Z Bruket. Mam ze sobą laptopa z dużym plikiem tekstowym. Kiedyś należał do Charlesa Levina. Wie pani, że nie żyje?

– Wiem, że policja podejrzewa, że to było przestępstwo. To wszystko.

– W komputerze jest bardzo dużo zeskanowanych dokumentów i zdjęć.

W jednym z dokumentów jest pani imię i nazwisko, i numer komórki.

– Tak? – odpowiada.

– Wiem, że moje pytanie może się pani wydać dziwne, ale wie pani może, dlaczego zanotował pani nazwisko?

– Nie.

– Znaliście się?

– Pan prowadzi dochodzenie?

– Przejęła je Krajowa Policja Kryminalna – mówię i zerkam na Tove. – Ale jest tu ze mną Tove Waltersson, która je prowadziła do tej pory. W Bruket. Tam znaleziono ciało.

Wszystko się zmienia. Teraz to Gabriella Halvardsson zadaje mi pytania: prosi o mój PESEL, numer legitymacji służbowej, pyta, gdzie pracuję, a potem

dziwi się, że ktoś zatrudniony w wydziale zabójstw komendy w City zajmuje się taką sprawą.

– Znałem go – mówię. – Był moim szefem, najpierw w wydziale zabójstw, potem w dziale dochodzeń wewnętrznych.

Pani prokurator milczy dłuższą chwilę.

– Teraz... ja... z nią...

– Coś nam przerywa. Może pani powtórzyć?

– Opowiadał mi o panu – mówi, tym razem głośniejszym głosem. – To pan był na Gotlandii.

– Więc znała go pani?

Gabriella Halvardsson bierze głęboki wdech.

– To za dużo powiedziane.

– Znali się – mówię.

Przekręcam pokrętło klimatyzacji. Zaczynam się zastanawiać, w jakim tak naprawdę jestem stanie i co będzie, kiedy morfina przestanie działać.

– Znali się, tak twierdzi, ale nic poza tym. Poznali się mniej więcej półtora roku temu przy okazji dochodzenia. Chodziło o jakiś urząd, ale nie potrafię powiedzieć, o co dokładnie. Potem została przeniesiona, bo nie chciała ulec zarządowi. Najwyraźniej próbowano ją przekupić. Nie chciała o tym rozmawiać, ale pewnie była to kara za opór. Spotkała się z Levinem kilka razy na kolacji. Szanowała go, tak powiedziała, ponieważ nie był taki jak wszyscy na górze.

– A on jej ufał, bo nie uległa naciskom – stwierdziła Tove.

– Coś w tym stylu.

Na kolanach nadal mam laptopa, jeden z plików jest otwarty, rozświetla białym światłem szaroniebieski półmrok kabiny.

– Zna te dokumenty?

– Nie, ale kiedy zacząłem jej o nich opowiadać, bardzo się zainteresowała.

– Zna tego dziennikarza? Sturupa?

– Wie, że to jeden z bardziej doświadczonych dziennikarzy „Dagens Nyheter”. Odniosłem wrażenie, że nie przepada za nim, ale podejrzewam, że generalnie nie jest pozytywnie nastawiona do dziennikarzy.

– No więc tak... – mówi Tove i przeciąga palcami przez włosy. – Przygotował to wszystko, żeby potem przekazać ludziom, którzy – jak sądził – będą wiedzieli, co z tym dalej zrobić. Albo na wypadek gdyby coś mu się stało. Chciał się zabezpieczyć, chciał, żeby w takiej sytuacji informacje i tak dotarły do właściwych osób. Można to tak tłumaczyć?

– Może. Nie wiem. Poprosiła, żebym się odezwał jutro.

Dzwoni moja komórka, na ekranie wyświetla się Birck.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– W drodze do domu.

– Kiedy będziesz na miejscu?

– Nie wiem. Niedawno minęliśmy Jönköping, więc pewnie za niecałe trzy godziny. Przed jedenastą.

– Nie będzie mnie w domu, właśnie wezwali mnie na Observatoriegatan. Jakiś szaleniec zatłukł trzy czwarte swojej rodziny. Więc obawiam się, że sam będziesz musiał się tym zająć.

– Birck, co się stało?

– Głośnik – wtrąca Tove. – Przełącz na głośnomówiący.
Niechętnie spełniam jej prośbę: w kabinie rozbrzmiewa głos Bircka, ostrzejszy i bardziej szorstki niż przed chwilą.

– Paul Goffman – mówi.
– Tak?
– Nie wydajesz się szczególnie zdziwiony.
– On i Levin się przyjaźnili. Dlatego wracam do domu. Muszę z nim porozmawiać.
– To musisz być bardzo ostrożny.
– Co? Dlaczego?
– Nie zdążę ci teraz powiedzieć. Ale rozmawiałem z Grimbergiem i przejrzałem listę gości Mariki. W czerwcu Goffman był u niej trzy razy.
Tove unosi brwi.
– No proszę – mówi.
– I – ciągnie Birck – ona... w... wizyta.
– Nie słyszę – mówię. – Jakies problemy na linii. Możesz powtórzyć ostatnie zdanie?
– Nagrała ostatnią rozmowę.
– Jak to możliwe?
– Twój przyjaciel jej to zaproponował.
– Grim – mówię nieprzekonany.
– Powiedziała mu, że ma ją odwiedzić pewien mężczyzna. Ktoś, kto... chce jej coś... Ona...
– Znów się zawiesza.
– Mężczyzna, który chce ją skrzywdzić – mówi Birck. – Pozwolono jej mieć w pokoju magnetofon, ponieważ muzyka najwyraźniej ją uspokaja. Ale nie wolno jej było wynosić go z pokoju. Ale wtedy... najwyraźniej... Potem jej go zabrali, kiedy opiekun... ona... musiała się podporządkować.
– Zaczekaj. Znów coś przerywa.
– Dyktafon był w kartonie w pokoju, w którym przechowują rzeczy pacjentów... Leżał tam... przed kwadransem go stamtąd wzięłem. Grimberg nie był pewien, czy go posłuchała, ale najwyraźniej tak...
– I co? – pytam.
– Nie wiem, czy dobrze to rozumiem. Chciałbym, żebyś to prze... nie mogę go stąd wynieść. Mam kopię nagrania... na pendrivie. W drodze na Observatoriegatan mógłbym wpaść do was i zostawić go Sam.
– Sam jest w Londynie.
– Wrzucę ci do skrzynki. Podaj mi kod do bramy.
Podaję.
– Jeszcze raz – mówi Birck. – Coś przerywa.

Powtarzam kod, tym razem wolniej.

– Wiesz, dlaczego ona się tam znalazła? – pyta Birck po chwili. – Marika Alderin. Dlaczego w ogóle trafiła do S:t Göran?

– Nie.

– Za usiłowanie zabójstwa w śródmieściu, jakieś dziewięć lat temu.

– Próba zabójstwa – powtarzam. – W 2005?

– Tak.

– Na Vasagatan. W maju?

– Więc wiesz – stwierdza Birck. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Papiery dotyczące sprawy, którą Levin zabrał ze sobą do Bruket, to tak naprawdę tylko krótka notatka.

– Nie wiedziałem, że to o nią chodzi.

Świat naprawdę jest dziwnym miejscem.

Tove przyspiesza.

Sztokholm. Zawsze kiedy wyjeżdżam, obojętne, czy na jeden dzień, czy na dwa, miasto przechodzi przemianę.

Ulice są te same, rozpoznaję budynki, ale miasto jako takie się przekształca, bez przerwy. Jest nieprzewidywalne i nie można mu ufać. Miasto, które jest moim domem i zawsze nim było. Może ono i ludzie, których stworzyło, przyczynili się do tego, że jestem taki, jaki jestem.

Wjeżdżamy od południa, około wpół do jedenastej przemykamy obok Södertälje. Po niebie gną postrzępione szare chmury, ale letni wieczór jest jasny.

Kątem oka widzę zjazd na Salem, w oddali między drzewami miga wieża ciśniń.

Wyjmuję z kieszeni kapsułkę z morfiną, wkładam do ust i odchylam lekko głowę, żeby ją połknąć. Sprawdzam, ile mi jeszcze zostało. Dwie. Szlag.

Tym razem miasto wydaje się łagodne, czułe, cienie nie przerażają, raczej chronią. Ale po chwili dochodzę do wniosku, że może miasto chce mnie oszukać, zdradzić, sprawić, żebym poczuł się bezpieczny, chociaż tak naprawdę stoję nad przepaścią. Czuję, jak morfina zmienia nie tylko fizyczne postrzeganie ciała, ale też świadomość, percepcję.

Tove coś mówi, ale nie rozumiem słów.

– Co takiego?

– O czym myślisz? – powtarza.

– Jak to?

– Wyglądasz, jakbyś za chwilę miał się załamać.

Wyglądam przez okno, mrugam. Tak, coś jest nie tak. Na pewno.

– Fredrik Oskarsson, człowiek, który osiemnastego czerwca wieczorem wyszedł na dwór, żeby sprzątnąć parasol. Zastanawiam się, kogo widział w lesie.

– Pewnie kogoś, kto w ogóle nie ma z tym nic wspólnego.

– Może.

Znów dzwoni komórka.

– Halo?

– Cześć, to ja.

– Cześć – odpowiadam. – Jak ci jest?

– Wczoraj spotkałam królową Elżbietę. Była do siebie podobna, chociaż nie za bardzo.

– Co?

Sam się śmieje. Odwracam się od Tove. Potrzebuję prywatności. Tove chyba

mnie rozumie, bo włącza radio, ustawia głośność. Jakaś kobieta czyta wysokim głosem wiadomości.

– Byliśmy u madame Tussaud – mówi Sam.

– Ach tak.

– Co robisz? Jak ci leci?

– Jestem w drodze do domu. Właśnie minąłem Skärholmen.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak.

– Wiesz, o co w tym chodzi?

– Masz na myśli Levina?

– Tak.

– Nie jestem pewien. Ale niezależnie od tego, co to było, rozwiązanie sprawy jest w Sztokholmie, nie w Bruket.

– Co z kotkiem?

– Siedzi na tylnym siedzeniu.

– Żyje?

– Jasne.

Sam mówi coś niewyraźnie, niewiele słyszę. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że nie jest w Londynie, tylko czeka na mnie w domu. To jedyna rzecz, jakiej w tej chwili pragnę.

– Dziwnie brzmisz – stwierdza po chwili.

– Tak?

– Jesteś spięty.

– Może to wina połączenia.

– Może – mówi, ale słyszę, że mi nie wierzy. – Może – powtarza. – Jutro wracamy. Kwadrans po dziewiątej. Wyjedziesz po mnie na lotnisko?

– Jasne.

– Kocham cię. I wiesz co?

– Co?

– Cokolwiek robisz, uważaj na siebie.

– To nie ja mam jutro spędzić trzy godziny w powietrzu.

Sam się śmieje.

– Ten twój strach przed lataniem jest absurdalny. To nie służy zdrowiu. Porozmawiamy o tym, jak już wrócę do domu. Nie zapomnij nakarmić kota.

Przyglądam się swojej twarzy w bocznym lusterku od strony pasażera. Dochodzę do wniosku, że wyglądam jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy opuszczaliśmy Bruket. O ile to w ogóle możliwe. Opuchlizna zmienia powoli kolor, z rażąco jasnofioletowego i różowego na czerwony jak wino. Tylko warga wygląda względnie dobrze. Nie doceniłem kunsztu Åhlunda. Trochę ciągnie, kiedy mówię, ale zaklejona taśmą szrama nie pękła.

Tove staje przed drzwiami kamienicy na Chapmansgatan.

– Nie sikałam, odkąd wyruszyliśmy z Bruket – mówi.

– To chodź ze mną na górę.

Kiedy próbuję delikatnie wepchnąć Kita do klatki, miauczy bezradnie. Może jest odwodniony? Nie pamiętam, kiedy ostatnio pił.

Wysiadam z samochodu, otwieram tylne drzwi i wyjmuję klatkę, zbieram jego rzeczy do niewielkiej torebki. Tove rusza za mną po schodach z laptopem w ręku.

Wibruje moja komórka.

jesteś już w domu, leo?

Otwieram drzwi do mieszkania, stawiam klatkę na podłodze.

– Łazienka jest po prawej stronie – mamroczę.

Leży na dywanie w holu, mały granatowy pendrive Bircka. Podnoszę go i wkładam do kieszeni, przeglądam SMS-y.

tak, odpowiadam.

Z komórką w ręku wychodzę do kuchni, napełniam wodą miseczkę i stawiam przy drzwiach na balkon, tam, gdzie Kit zwykle przesiaduje.

bądź ostrożny

Zatrzymuję się.

chyba mnie znasz?

Wyjmuję puszkę z jedzeniem dla kota, nakładam do drugiej miseczki i stawiam obok tej pierwszej, z wodą.

Ostatni SMS od Grima to tylko trzy słowa:

wkrótce się zobaczymy

Od mojego wyjazdu wczoraj rano nic się nie zmieniło. Nawet zapach Sam nadal unosi się w powietrzu, chociaż niewykluczone, że sobie to wmawiam. Kawa, której nie zdążyłem wypić, została w dzbanku, jest zimna. Na balkonie leży puste opakowanie po papierosach.

Tove wychodzi z łazienki i zaczyna się rozglądać po mieszkaniu, jakby

chciała lepiej zrozumieć jego właściciela. Stawia laptopa na stoliku obok kanapy. Otwiera go, podłącza pendrive'a i czeka, Kit powoli podchodzi do jedzenia, zaczyna wachać.

– Podać ci coś? – pytam i wychodzę do kuchni. – Mam kawę, wodę i...

– Poproszę kawę.

Opróżniam dzbanek, parzę świeżą i idę do niej.

– No dobrze – mówi. – Wygląda na to, że nagranie trwa niecałe dziesięć minut.

Ustawia głośność i wciska play.

MEŹCZYŻNA: Wzięłaś... Dobrze. Napij się wody. Marika? Woda. Przez te tabletki masz sucho w ustach. [milczenie] Dobrze. Teraz możemy już iść.

[Słysząc kroki, szuranie, ktoś zamyka drzwi, ktoś przekręca klucz]

MEŹCZYŻNA: Zaraz będziemy na miejscu. Dzisiaj mamy pokój numer dwa. Odwiedzał cię już, prawda? Kilka dni temu, mam rację?

[Szuranie ustaje]

[Gdzieś otwierają się drzwi]

MEŹCZYŻNA: Dobrze. Zaczekam na zewnątrz. Wie pan, że ona nie jest w pełni...

GOFFMAN: Tak, wiem. Dziękuję.

[Drzwi zamykają się głucho]

GOFFMAN: Dobrze cię znów widzieć, Mariko. Chociaż widzieliśmy się nie tak dawno temu. Podać ci coś? Mam... [trzaski] Pozwolono mi wnieść tylko butelkę wody, pomyślałem, że może będziesz chciała.

[Stawia butelkę na stole]

[milczenie]

GOFFMAN: To rzeczywiście dziwne miejsce. Rozumiem, że trudno ci tu znaleźć spokój. Co według mnie jest raczej oznaką zdrowia.

[Śmieje się]

[milczenie]

GOFFMAN: Ja... chcę ci coś powiedzieć. To dla mnie trudne. Cała ta sprawa spędza mi sen z powiek. Wiem, że ty wiesz. Rozumiesz, co mam na myśli? Wiem, że on z tobą rozmawiał, że ci powiedział. Twierdził, że twój stan jest obecnie tak zły, że nic do ciebie nie dociera, ale mnie nie przekonał. I mam wrażenie, że moje wątpliwości są uzasadnione.

[długie milczenie]

MARIKA: Wątpliwości.

GOFFMAN: Właśnie.

MARIKA: Sadze i popiół. To wszystko, co zostało.

GOFFMAN: Sadze i popiół.

MARIKA: Auto spłonęło. Sadze i popiół, tylko to zostało.

GOFFMAN: Rozumiem. Mówisz o wypadku, w którym zginęła twoja mama.

MARIKA: Sadze i popiół, tylko to zostało.

GOFFMAN: Rozumiem, że ta historia pod wieloma względami zmieniła

twoje życie. Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłem cię w Bruket. Ile wtedy miałaś? Siedem lat, może osiem? A potem spotykaliśmy się w Sztokholmie. W 1983? 1984? Już wtedy zauważyłem, że nie czujesz się najlepiej, jeszcze zanim... Ale śmierć twojej mamy na pewno wszystko pogorszyła. Pewnie go nienawidzisz za to, co zrobił. Rozumiem cię. Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało twoją mamę.

[długie milczenie]

MARIKA: Tak?

GOFFMAN: Tak.

[milczenie]

MARIKA: Sadze i popiół.

GOFFMAN: Sadze i popiół.

MARIKA: To wszystko, co zostało.

GOFFMAN: Tak. [Wzdycha] Wiem, wiem. Muszę z nim porozmawiać, Mariko. Muszę się z nim spotkać. Boję się, że zrobi coś, czego nie powinien robić. Pytałem cię już o to, ale spytam jeszcze raz, bo wiem, że tu był. Że odwiedzał cię tu wiele razy.

MARIKA: Nie znów.

GOFFMAN: Nie chcesz, żebym znów cię o to pytał?

MARIKA: Nie znów.

[milczenie]

GOFFMAN: Chodzi ci o to, że on już tu nie przyjedzie? Tak ci powiedział?

MARIKA: Mm...

GOFFMAN: Powiedział ci.

[milczenie]

GOFFMAN: Wiem, dlaczego tu jesteś, Mariko. Wiem, co próbowałaś zrobić, i nie mogę powiedzieć, żebym miał ci to za złe. Wręcz przeciwnie. Wiem, że wiesz, gdzie on jest. Wiem, że ci to powiedział. Szukam go już od tygodnia, ale bez powodzenia. Jakby się rozpułnął w powietrzu. To typowe dla twojego taty. Ma taką skłonność. Ale jest w Szwecji, tyle wiem. Jest w Sztokholmie?

[milczenie]

GOFFMAN: Wiem, że on...

[Bierze głęboki wdech]

GOFFMAN: Jest tam, prawda? Wrócił tam?

[milczenie]

[Goffman opuszcza pokój, nie mówi już nic więcej. Do pokoju wraca opiekun, pomaga Marice wyjść. Po kilku krokach opiekun odkrywa, że Marika ma przy sobie dyktafon, wyłącza go, nagranie się urywa]

– Cofnij – mówię.

– Do początku?

– Nie, tylko trochę.

Tove cofa taśmę, włącza odtwarzanie.

– Wiem, co próbowałaś zrobić... – rozlega się głos Goffmana.

– O to miejsce mi chodzi – mówię.

– I nie mogę powiedzieć, żebym cię o to obwiniął – mówi dalej Goffman. –

Wręcz przeciwnie.

Tove zatrzymuje nagranie. Siedzę obok niej na kanapie i piję kawę, odchylam głowę, opieram się ostrożnie o oparcie. Ból został zredukowany do tępego szumu w skroniach.

– Co to znaczy?

– Nie wiem – mówi Tove. – Ale nie brzmi to dobrze.

Zamykam oczy. Kubek parzy mi dłoń.

Paul Goffman.

Wiem, że pracuje w służbach, w Säpo, ale to chyba wszystko. Nasze drogi skrzyżowały się zimą, po tym jak pewien socjolog został śmiertelnie pchnięty nożem w Vasastan. Dochodzenie powierzono mnie i Birckowi. Ślady prowadziły do środowisk skrajnej prawicy i lewicy, co wzbudziło zainteresowanie Säpo. I wtedy z cienia wyszedł Paul Goffman – i zabrał nam dochodzenie. Pamiętam wrażenie, jakie wtedy na mnie zrobił: nic nie było w stanie go zaskoczyć ani zadziwić. Milczał, kiedy powinien mówić, a kiedy powinien raczej milczeć, mówił aż za dużo. I mam wrażenie, że robił to całkowicie świadomie. Ktoś, kto łamie reguły, wprowadza niepokój, ludzie się denerwują, są spięci, równowaga zostaje zachwiana na korzyść tego, kto łamie zasady.

Pamiętam też, że zawsze pojawiał się we właściwym momencie. Wtedy, zimą, prawdopodobnie uratował mi życie. Mnie i Birckowi.

– Dobrze byłoby z nim porozmawiać – mówi Tove.

Otwieram oczy. Światło lampy jest boleśnie białe.

– Tak.

Tove sięga po swój kubek, stoi obok laptopa. Wypija łyk kawy, krzywi się.

– Niezbyt dobra.

– Tak podejrzewałem.

– Przeraza cię, prawda? – pyta.

– Kto? Goffman?

- Widzę to po tobie.
 - Ach tak. – Chciałbym dalej spać. – Tak.
- Do północy zostało kilka sekund.

Kiedy zimą nasze drogi się skrzyżowały, postanowiłem go sprawdzić. Właściwie to zabronione, chyba że się udowodni, że ma to znaczenie dla dochodzenia. Szanse, że próba zostanie wykryta, wynosiły sto procent, ponieważ wszelkie poszukiwania są rejestrowane. I tak też się stało: dostałem upomnienie, potem ostrzeżenie, a potem zagrożono mi, że przy kolejnej próbie nałożą na mnie karę grzywny.

W rejestrze ludności jego dane były chronione, ale w przypadku człowieka z Säpo nie jest to niczym nadzwyczajnym. Jedyne, co udało mi się znaleźć – na co zresztą zwróciłem uwagę już wcześniej, szukając w internecie – to adres, na który wysyłano informacje o jego zarobkach.

A więc istniał przynajmniej jeden adres powiązany z Paulem Goffmanem: Blanchegatan 14, przy parku Tessina, na Gärdet. Zatrzymujemy się przy zacienionej Askrikegatan, po drugiej stronie parku. Przed nami wznosi się duży, majestatyczny ośmiopiętrowy budynek o fasadzie w kolorze przytłumionej czerwieni.

– W niektórych oknach pali się światło – stwierdza Tove. – Ale jak się dostaniemy do środka?

– Zaczekamy, aż ktoś będzie wchodził albo wychodził.

– O tej porze?

– Zawsze ktoś się znajdzie – mówię. – To jednokierunkowa ulica. Wypuść mnie, zrób kółko i zawróć, a ja stanę przy bramie.

– Ty? W takim stanie?

– Znam go, a ty nawet nie wiesz, jak wygląda.

– Nie o to mi chodzi. Zamierzasz się z nim spotkać sam? To nierozsądne.

– Nie mamy pewności, czy to rzeczywiście on. Ale jeśli tak, to lepiej, żeby myślał, że jestem sam. – Patrzę na zegarek. – Jeśli w ciągu kwadransa nie dam ci znać, idź na górę. I dzwoń na telefon alarmowy.

– Powinieneś mieć czym się bronić. Gdyby to rzeczywiście był on.

Tove nachyla się nad sprzęgłem, otwiera skrytkę przede mną. Wylatują z niej butelki z napojami, rękawiczki, gaz pieprzowy, CD z *Highway 61 Revisited* i mapa.

– Masz, weź go.

W głębi skrytki leży nóż, niewielki, czarny, z przyciskiem, który wysuwa ostrze. Rączka jest ukształtowana tak, żeby dobrze leżała w dłoni.

– A ty powinnaś mieć ze sobą to. – Podnoszę z podłogi pojemnik z gazem pieprzowym i podaję jej. – Posiadanie czegoś takiego jest niezgodne

z regulaminem.

Tove wkłada pojemnik do skrytki, zamyka ją, reszta rzeczy zostaje na podłodze.

– I ty mi to mówisz? – zwraca się do mnie.

Otwieram drzwi. Do kabiny wpada nocne powietrze, łagodne, ale orzeźwiające.

Okolice parku są ciche i spokojne. Z oddali słychać szum Karlavägen i Vallhallavägen, pobliską Värtavägen suną powoli samochody, jadą na południe. Asfalt pachnie, jakby było tuż po deszczu, ale jezdnia pod moimi butami jest sucha. Przecinam park i czuję, że zaczynam kuleć. Wtedy z jakiegoś powodu żebra przestają mnie boleć tak bardzo. Schylam się i podnoszę kamień – dużo ich w parku – żeby mieć czym zastawić drzwi, jeśli oczywiście uda mi się dostać do środka. Kamień jest wielkości serca, a kiedy się podnoszę, zaczyna mi się kręcić w głowie, potykam się.

Docieram do Blanchevägen 14, opieram się o ścianę i dopiero po chwili podchodzę do drzwi i sprawdzam, czy są zamknięte. Klatka schodowa to same kąty proste i cienie, które w głębi zamieniają się w mrok. Zapalam papierosa, zaciągam się zachłannie i czekam.

Mija pięć minut. Po drugiej stronie ulicy hamuje samochód, staje i milknie. Tove.

Levin nie żyje. Nigdy już nie będziemy rozmawiać. Droga do domu jest niepewna, czuję się bardzo zmęczony.

Mija mnie jakiś mężczyzna, zatacza się, rozmawia przez telefon, bełkocze. Jest w moim wieku, myślę w pierwszej chwili, ale kiedy przeglądam się w szybie w drzwiach, dociera do mnie, że pewnie jestem od niego dziesięć lat starszy.

Zapalam kolejnego papierosa. Czas mija bardzo powoli. Mój samochód został w Bruket. Jak, do diabła, sprowadzę go z powrotem? Jeśli to w ogóle warte zachodu. Wszyscy zapewne uznają, że najlepiej będzie, i dla nich, i dla niego, jeśli go tam zostawię i pozwolę mu zamienić się w złom.

W środku, na klatce, słychać trzask. Zapala się światło. Słychać głośne stukanie obcasów, po chwili otwierają się drzwi.

Upuszczam papierosa, chwytam klamkę i przytrzymuję je.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada kobieta i zirytowana odgania ręką dym. Wychodzi z klatki, nawet na mnie nie spojrzawszy, zajęta poprawianiem szala.

Jestem w środku. Nareszcie. Blokuję drzwi kamieniem, sprawdzam, czy się nie zamknęły.

Znajduję listę lokatorów: na trzecim piętrze mieszka niejaki P. Goffman. Wsiadam do windy i szybko ruszam do góry. Czuję pulsowanie w skroniach, znów kręci mi się w głowie, chwieję się. Czuję przyjemne mrowienie w czubkach

palców. To pewnie morfina.

Na trzecim piętrze okno wpuszcza do środka blade, zimne wieczorne światło. Znajduję jego drzwi, grube i ciężkie. Gdyby ktoś stał po drugiej stronie, wątpię, czybym go usłyszał.

Na wysokości klamki jest dzwonek. Wciskam go kciukiem i słyszę, jak jego dźwięk odbija się od ścian.

Coś mi mówi, że on już wie.

Zamek się przekręca, klamka opada. Ściskam w kieszeni nóż.

– Leo – wita mnie. – Tak myślałem.

grudzień 1980

Wspomnienie było zbyt wyraziste, żeby upływ czasu mógł je zniekształcić: zimowa noc w Bruket. Rok 1980. Serce Evy przestało bić. Kiedy Charles znów usiadł za kierownicą, nie było już od jakiegoś czasu.

Jesteś pewien, że nikt cię nie widział? Że nikt nie widział samochodu, Charlie? Jesteś pewien, że nikt cię nie widział?

Nie był pewien. Starał się nie patrzeć na swoją żonę. Leżała zimna i nieruchoma na ziemi, z nogami zgiętymi pod dziwnym kątem.

Silnik pracował na pustych obrotach, z rury wydechowej leciały spaliny.

Tak szybko, jak potrafisz, Charlie. Tak szybko, jak się odważysz.

Obok niego stał Paul z kanistrem benzyny w ręku. Mimo chaosu w jego działaniach było coś metodycznego, coś racjonalnego i przemyślanego.

To był wypadek. Tak, wypadek, w który nie powinieneś być zamieszany.

Za nimi stała Marika i wszystkiemu się przyglądała.

Posłuchaj mnie, Charlie. Jesteś niewinny. Nie mogłeś... Zajmiemy się tym.

Kiedy Charles zamknął drzwi, nie był zły ani wdzięczny, ani smutny, ani nawet nie czuł strachu.

Włączył silnik, poczuł, jak drży. Widział, jak kępa drzew zbliża się do niego, znacznie szybciej, niż się spodziewał, i nic nie czuł.

czerwiec 2014

WYCIĄG Z PROTOKOŁU Z PRZESŁUCHANIA (nr sprawy 0500-K1754-09)

PRZESŁUCHIWANY: Bredström, DANIEL

PESEL: 19501024-4674

PRZESŁUCHIWANY JEST: podejrzany

PODEJRZENIE O POPEŁNIENIE PRZESTĘPSTWA: podejrzany o zamordowanie Charlesa Jana Levina 140618, w domu ofiary w Bruket przy Alvavägen 10.

PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE: Ola Davidsson

DATA PRZESŁUCHANIA: 20140621

GODZINA ROZPOCZĘCIA: ok. 22.15

GODZINA ZAKOŃCZENIA: ok. 22.30

MIEJSCE PRZESŁUCHANIA: Pokój przesłuchań, komisariat w Bruket

RODZAJ PRZESŁUCHANIA: RB 23:6

SPISAŁ: R.A.

BREDSTRÖM: No dobrze, dobrze. To ja jestem w tym samochodzie na zdjęciu.

DAVIDSSON: To już wiemy. Opowiedz lepiej, co tam robisz.

BREDSTRÖM: No, odjeżdżam z miejsca zdarzenia.

DAVIDSSON: Wsiadasz do samochodu, żeby odjechać z Alvavägen 10.

BREDSTRÖM: Tak.

DAVIDSSON: Która jest godzina?

BREDSTRÖM: Dokładnie nie pamiętam. Pewnie między dziesiątą a wpół do jedenastej.

DAVIDSSON: Jak długo tam byłeś?

BREDSTRÖM: Nie wiem. Godzinę, może.

DAVIDSSON: Więc zjawileś się tam gdzieś między... dziewiątą a wpół do dziesiątej?

BREDSTRÖM: Coś koło tego.

DAVIDSSON: Byłeś u Levina prawie godzinę. Co robiłeś?

BREDSTRÖM: Nic, nie byłem w środku.

DAVIDSSON: Nie rozumiem.

BREDSTRÖM: Powiedziałem, że nie byłem w środku.

DAVIDSSON: Nadal nie rozumiem.

BREDSTRÖM [długie milczenie]: Byłem w domu, tamtego dnia wieczorem. Wypiłem piwo, może dwa. I sam nie wiem dlaczego, ale w pewnym momencie zrobiło mi się cholernie głupio. Po tym spotkaniu z Levinem na rynku, w ciągu dnia. Pomyślałem o tych wszystkich złych rzeczach, które się wydarzyły od początku lat osiemdziesiątych. Nie wiem, ile mi jeszcze zostało. Nie jestem kretynem, wiem, że to, jak żyję, odbija się na moim zdrowiu. No więc postanowiłem rozmówić się z nim i zakończyć sprawę. Chciałem, żeby przyznał, że to on mnie wtedy zrobił. Jestem pewien, że tak było. Nie wiem, jak to zrobił, ale to na pewno był on.

DAVIDSSON: Więc pojechałeś z nim porozmawiać.

BREDSTRÖM: Tak.

DAVIDSSON: Kradzionym samochodem.

BREDSTRÖM: Nie miałem wyboru, mój nie chciał zapalić. Już wcześniej nawalał, więc kiedy po półgodzinie prób nadal nie udało mi się go uruchomić, poddałem się. Ale skoro już podjąłem decyzję, że się z nim rozmówię, to musiałem to zrobić. Ze względu na siebie samego. Warto było zaryzykować. Pomyślałem sobie, a co tam, jest późny wieczór, okolice Alvavägen są o tej porze puste, ryzyko, że ktoś mnie zobaczy, nie było duże.

DAVIDSSON: Co zrobiłeś, kiedy już tam dotarłeś?

BREDSTRÖM: Zobaczyłem, że pali się światło, więc uznałem, że jest w domu. Przez okna nie było go widać, więc postanowiłem zadzwonić do drzwi, ale najpierw musiałem trochę ochłonać. [dłuższe milczenie] Może przez to piwo, co wypięm, nie wiem, ale musiałem się uspokoić, skupić. Rozumiesz?

DAVIDSSON: Nie.

BREDSTRÖM: Nie wiem, co mi się stało, ale jakoś dziwnie się poczułem, kiedy tak tam stałem. W końcu, do cholery, to był ten sam dom co dawniej, ten, w którym mieszkał z Evą. No więc musiałem wziąć się w garść. Wiedziałem, że można tam dotrzeć okrężną drogą, przez las, na tyłach Alvavägen. To spory kawałek, pewnie godzina spaceru, ale pomyślałem, że dobrze mi to robi. No i zdążę trochę wytrzeźwieć. Więc ruszyłem przed siebie.

DAVIDSSON: Ach tak.

BREDSTRÖM: Tak.

DAVIDSSON: A skradziony samochód zostawiłeś tak po prostu na ulicy.

BREDSTRÖM: Nie myślałem jakoś szczególnie klarownie. Mówiłem już, że trochę za dużo wypilem, no i te wspomnienia. Tak czy inaczej, po jakimś czasie wróciłem, wyszedłem z lasu na Alvavägen. Ścieżka prowadzi brzegiem lasu, kończy się kilka domów przed domem Levina. Spacer dobrze mi zrobił, rozjaśnił mi umysł.

DAVIDSSON: Podczas tego spaceru coś się wydarzyło?

BREDSTRÖM: Nie, nic szczególnego. Chociaż... tak. Tam niedaleko, ale już w lesie, jest taka polanka. Kiedy ją mijałem, usłyszałem szum silnika, a potem zobaczyłem samochód. Zobaczyłem, jak podjeżdża i się zatrzymuje. To...

DAVIDSSON: Co to był za samochód?

BREDSTRÖM: Nie mam pojęcia. Osobowy. Cholera go wie. Nie widziałem go z bliska. Zdążyłem już kawałek odejść, może jakieś trzydzieści metrów. Właściwie widziałem tylko jego światła, dwa reflektory. Może ktoś się wybrał na spacer z psem?

DAVIDSSON: O tej porze?

BREDSTRÖM: A skąd mogę wiedzieć? Spytałeś, czy coś się stało, czy coś zauważyłem, to mówię. Zobaczyłem, jak na polance zatrzymuje się samochód. A potem widziałem jeszcze kogoś w ogródku, chyba przesuwiał meble ogrodowe czy coś takiego. Chyba składał taki... jak to się nazywa? Parasol ogrodowy.

DAVIDSSON: Tak, wiem, co masz na myśli. Ale wróćmy do twojej opowieści: wychodzisz z lasu i co?

BREDSTRÖM: Podszedłem pod dom i pomyślałem, że zapukam do drzwi. Widziałem, że pali się światło, podszedłem bliżej i postanowiłem zajrzeć do środka przez kuchenne okno. Żeby sprawdzić, czy jest. I wtedy nagle poczułem się jakoś dziwnie, jakbym miał jakieś przecucie. Rozumiesz, co mam na myśli? Miałem wrażenie, że coś tam się dzieje i że raczej powinienem się trzymać z daleka. Wiesz, o co mi chodzi?

DAVIDSSON: Może, ale mów dalej. Podszedłeś do okna i co zobaczyłeś?

BREDSTRÖM: Zobaczyłem, że ktoś tam jest.

DAVIDSSON: Co?

BREDSTRÖM: Ktoś był w środku.

DAVIDSSON: Oprócz Levina?

BREDSTRÖM: Tak.

DAVIDSSON: Jak był ubrany?

BREDSTRÖM: Miał na sobie jasną koszulę, chyba szarą. Widziałem tylko jego tułów. [długie milczenie] Był zakrwawiony.

DAVIDSSON: Co takiego?

BREDSTRÖM: Miał krew na rękawie i na twarzy. Jakby go opryskała.

DAVIDSSON: Co robił?

BREDSTRÖM: Miał ze sobą taką... Nie bardzo wiem, jak to się nazywa. Taką taczkę. Nie, taki wózek. Taki, jakich się używa przy przewodzkach.

DAVIDSSON: Wózek?

BREDSTRÖM: Tak, taki na dwóch kółkach. A na nim stał karton.

DAVIDSSON: Był w kuchni?

BREDSTRÖM: Nie, w salonie.

DAVIDSSON: Widziałeś, co było w tym kartonie?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Levina też nie widziałeś?

BREDSTRÖM: Nie.

DAVIDSSON: Co jeszcze widziałeś?

BREDSTRÖM: Nic. Domyśliłem się, że dzieje się tam coś dziwnego i że najrozsądniej będzie trzymać się z daleka. Nie chciałem, żeby ktoś mnie tam zobaczył, i to w kradzionym samochodzie. Poza tym przecież rozmawiałem z nim kilka godzin wcześniej. Gdyby to wyszło na jaw, nie wyglądałoby to dobrze. Jeśli wziąć pod uwagę, że teraz tu siedzę, to miałem rację. No więc wsiadłem do samochodu i odjechałem.

DAVIDSSON: Jeśli to prawda, to dlaczego kiedy go potem znaleźliśmy, był spalony?

BREDSTRÖM: Chciałem się go pozbyć. I tak stał już u mnie za długo. Wiedziałem, że im dłużej u mnie będzie, tym trudniej będzie mi się z tego wszystkiego wyplątać. Nikt nie chciał kupić tego gówna. To była jedyna rzecz, która wiązała mnie z Alvavägen, więc pomyślałem, że równie dobrze mogę się go od razu pozbyć. Nie zamierzałem iść za kratki, a już na pewno nie za coś, czego nie zrobiłem.

DAVIDSSON: Jeśli tak ci zależało na pozbyciu się go, to dlaczego nie usunąłeś fałszywych tablic rejestracyjnych?

BREDSTRÖM: Nie pomyślałem o tym. Zorientowałem się, dopiero kiedy go podpałilem, a wtedy było już za późno.

DAVIDSSON: Jeśli to prawda...

BREDSTRÖM: To j e s t prawda.

DAVIDSSON: Tak, słyszę, co mówisz. Tylko dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś tego od razu?

BREDSTRÖM [długie milczenie]

DAVIDSSON: A może po prostu ktoś cię tego wieczoru uprzedził? Nie chciałeś dać mu nauczki?

BREDSTRÖM: [długie milczenie] Nie wiem.

DAVIDSSON: Nie wiesz?

BREDSTRÖM: Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby Levin był wtedy sam. Pewnie zależałoby to od niego, można tak powiedzieć.

DAVIDSSON: Mężczyzna, którego, jak twierdzisz, widziałeś. Czy on...

BREDSTRÖM: On naprawdę tam był. Widziałem go wyraźnie. Gdybyś mi pokazał jego zdjęcie, na pewno bym go rozpoznał. Ale powiem ci też, że jeśli kiedyś faceta spotkam, to uścisknę mu rękę i zaproszę na piwo. Za to, co zrobił.

Tove nigdy nie lubiła tego miasta. Było w nim coś, co sprawiało, że człowiek czuł się mały, nic nieznaczący. Pamiętała to uczucie jeszcze z czasów, kiedy zaczynała pracę. Człowiek nigdy nie mógł być sobą. Markus to potrafił, a ona nie.

Sprawdza, która godzina: zostało jej jeszcze osiem minut. Swędzą ją palce. Osiem minut. To się nigdy nie uda.

Jeszcze nie podjęła decyzji. Nie wie, jak się skończy jej spotkanie z Junkerem. Myśli o mamie, która nie ma pojęcia, że w tej chwili dzieli je od siebie pięćdziesiąt mil ani że Junker był w Bruket. Powinna była do niej zadzwonić.

Jeszcze siedem minut. Sprawdza służbową broń, wysiada z samochodu, przechodzi przez ulicę, staje przy bramie i upewnia się, że kamień przytrzymuje drzwi, że się nie zamknęły. Wypala papierosa.

Dzwoni komórka. Davidsson. Szlag, nie teraz. Już chce odrzucić połączenie, ale nagle nachodzi ją niepewność i zmienia zdanie.

– Halo?

Davidsson wzdycha głośno.

– To chyba jednak nie on, cholera. To nie Bredström. Może nawet chodziło mu coś takiego po głowie, ale nie sądzę, żeby to zrobił.

– Co?

Nieco niewyraźnie, momentami wręcz bełkotliwie, streszcza jej rozmowę z Bredströmem. Tove wyobraża sobie, jak siedzi w domu w swoim fotelu, z nogami na podnóżku i szklaneczką koniaku albo whisky na stoliku, bezradny wobec niepojętej głupoty świata.

Wypala papierosa niemal do filtra i upuszcza go.

– Bredström twierdzi, że widział, jak Fredrik Oskarsson przestawia meble w ogrodzie. Podobno widział nawet, jak składa parasol. Skąd by znał takie szczegóły, jeśli tam nie był?

– A kiedy wrócił do domu Levina, zobaczył w środku tego drugiego mężczyznę – powtarza Tove.

– Tak. Na rękawie koszuli miał ślady krwi. Stał i pakował na wózek jakiś karton – ciągnie Davidsson. – Tak przynajmniej twierdzi Bredström. Nie potrafię powiedzieć, czy to prawda, ale muszę przyznać, że kiedy mi to opowiadał, poczułem w żołądku dziwne łaskotanie. Tak czy inaczej, Bredström szybko się stamtąd zwinął, więc nie wie, co się stało z tamtym facetem. No i oczywiście nie wie też, kto to mógł być. Twierdzi też, że widział jakiś samochód na polance

w lesie, ale z tak dużej odległości, że właściwie widział tylko światła. Co nie zmienia faktu, że w pobliżu miejsca zbrodni był samochód, o którym nadal nic nie wiemy. Jeśli założymy, że Bredström mówi prawdę, to kto, do cholery, w nim siedział?

Tove patrzy na zegarek. Jeszcze cztery minuty. Czuje to w czubkach palców: zaraz coś się stanie.

– Oczywiście Bredström może kłamać – dodaje Davidsson nieco bełkotliwie.
– Pewnie tak jest. Ale nie wiem, muszę przyznać, że miałem wrażenie, że jednak mówi prawdę.

– Muszę się rozłączyć.

– Co?

– Muszę...

Nie kończy, przerywa połączenie.

I nagle, jakby na potwierdzenie: strzał. Przeszywa ciemność.

Powietrze. Jest w nim coś dziwnego: pierwsze wrażenie to kliniczna czystość, jak w szpitalu, ale zaraz potem dochodzi jeszcze coś: ciepła, przyjemna woń, jakby letniej trawy.

– Nie chcę cię obrazić, ale nie wyglądasz najlepiej – mówi Goffman. Stoi w głębi mieszkania, plecami do mnie. – Możesz zdjąć buty? Dywan, na którym stoisz, jest ręcznie tkany i kosztuje więcej niż twoje mieszkanie.

Mówi to tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, więc bezrefleksyjnie spełniam jego polecenie i nieco niezdarnie zdejmuję buty.

Przechodzę przez hol. Jest w kuchni. Stoi pochylony nad kuchenką i powoli miesza coś w rondelku długą ozdobną łyżką. To stąd dochodzi ten dziwny zapach.

Ma na sobie czarne dżinsy i koszulę w szaro-białą kratkę. Rękawy koszuli ma podwinięte. Jest opalony, szeroki w ramionach i tak wysoki, że musi się pochylać nad kuchenką. Po raz pierwszy widzę go w innym ubraniu niż garnitur.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – pytam.

– Nie wiedziałem. Podejrzewałem.

Staję w drzwiach, opieram się o framugę. Jest mi trochę lżej.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Był twoim mentorem i przyjacielem, a kiedyś, dawno temu, moim dobrym znajomym, kolegą. – Jego wzrok pada na mój T-shirt. – Garfield. – Przekrzywia głowę. – *You've cat to be kitten me right meow* – mówi i zaczyna rechotać. – Rozumiem. Bardzo zabawne.

– To nie jest mój T-shirt.

Odwraca się i wygląda przez wychodzące na ulicę okno.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Służy moim stawom. Tak przynajmniej twierdzi mój lekarz, chociaż za każdym razem, kiedy go widzę, mam do niego coraz mniejsze zaufanie. – Otwiera jedną z szafek nad blatem, wyjmuje kubek i napełnia go. – Na pewno nie chcesz? Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

– Muszę cię o coś spytać – mówię. Chwieję się lekko, znów opieram się o framugę.

Goffman unosi brwi.

– Tak?

Odzyskuję równowagę.

– Wiesz, dlaczego tu jestem. Więc wiesz też, co chcę usłyszeć.

Goffman odstawia rondel z powrotem na kuchenkę, wysuwa szufladę, wyjmuje łyżeczkę i wkłada ją do kubka. Miesza spokojnymi, powolnymi ruchami. Śledzę go wzrokiem. Ma długie, kościste palce. Pamiętam, że kiedy go zobaczyłem pierwszy raz, pomyślałem, że ma palce jak kieszonkowiec i że należy na nie uważać.

– Rozumiem, że chcesz wiedzieć, gdzie byłem osiemnastego czerwca wieczorem.

– Między wpół do dziesiątej a wpół do jedenastej.

Słyszę własny oddech, słyszę, jak ciężko oddycham. Ściskam w kieszeni nóż tak mocno, że bolą mnie palce.

Lampa pod sufitem jest zapalona, daje łagodne, ciepłe światło, ale podkreśla cienie wokół jego oczu.

– Byłem z moją dobrą przyjaciółką Susanną. Jedliśmy kolację w Sturecompagniet, tuż przed dziewiątą poprosiliśmy o rachunek. Pamiętam, bo spojrzałem na datę, a tuż obok była godzina. Potem przeszliśmy się spacerem Sturegatan, w kierunku Valhallavägen. Nie pamiętam dokładnie, którymi uliczkami szliśmy, ale w końcu dotarliśmy tutaj.

– Masz ten rachunek?

– Nie.

– Susanna ma komórkę?

– Chyba każdy ma komórkę?

– Możesz do niej zadzwonić?

– Oczywiście. – Goffman bierze kubek w obie dłonie i ostrożnie wypija łyk.

– Chodź ze mną do salonu. Tam mam komórkę.

– Idź przodem.

– Jasne.

Wycofuję się z kuchni w kierunku holu. Podłoga ucieka mi spod nóg. Staję w lekkim rozkroku, żeby nie upaść. Muszę się utrzymać na nogach.

Morfina czyni mnie odważnym, ale jej działanie szybko słabnie. Niech to szlag, a jeśli to on? Co wtedy? Jedyne, czym mogę się bronić, to niewielki nóż, który mam w kieszeni.

– Powiedziałeś, że chcesz porozmawiać. Nie mam nic przeciwko temu. Twoje zachowanie wskazuje na to, że masz jakieś wątpliwości. Nie pierwszy raz ktoś mnie o coś podejrzewa. Pewnie dlatego przyjmuję to z takim spokojem. Ale wolałbym, żebyś się zachowywał trochę grzeczniej. Jesteś w domu niewinnego człowieka i powinieneś o tym pamiętać. Poza tym... – Przygląda mi się, unosi swoje wąskie brwi. – Poza tym to chyba jesteś na urlopie?

– Od kogo to wiesz?

Goffman rechocze, mija mnie z kubkiem w dłoni.

– Mam sześćdziesiąt sześć lat, Leo, i nie zawsze pamiętam, co kto mi mówi.

Salon jest duży, przestronny, na ścianach wiszą obrazy, sprawiają wrażenie kosztownych. W jednym rogu stoi niewielkie biurko, na nim komputer, przy drzwiach na balkon. Z drugiej strony biurka stoi stara czarna torba, wygląda na sportową, tyle że jest ze skóry. Na starych filmach z takimi torbami zwykle podróżują mężczyźni. Podłogę salonu pokrywa duży dywan w kolorze kości słoniowej. Jedną jego połowę zajmuje kanapa z fotelami. Na niskim stoliku – szkło i ciemny metal – leży komórka. Goffman opada na kanapę, odstawia kubek i sięga po nią.

– Zaraz wszystko się wyjaśni. Rozgość się, Leo – zwraca się do mnie.

– Wolę stać.

– Nie wierzę. – Przygląda mi się zmartwiony. – Wyglądasz okropnie. Ale proszę, stój, jeśli chcesz.

Przykłada komórkę do ucha, sprawdza godzinę na zegarku, który ma na ręku.

– Nie będzie zadowolona. Na pewno ją obudzę.

– Przykro mi – mówię i nagle nachodzą mnie wątpliwości. Nie wiem, skąd się biorą, ale czuję, że z każdą sekundą są coraz większe. – Przepraszam, ale muszę to wiedzieć – dodaję.

Goffman spuszcza wzrok, patrzy na leżące na kanapie poduszki. Czuję, że muszę usiąść. Kręci mi się w głowie.

– Rozumiem, że mu... Cześć, Susanna – mówi. – Tak, wiem. Rozumiem...

To nie on. To nie Goffman zabił Levina. Jest za spokojny, za bardzo skupiony. Ale jeśli nie on, to kto, do cholery? Siadam w fotelu.

Bredström. Tak, to musiał być on. Kiedy dochodzi do takiej zbrodni, motywem na ogół jest zawiedziona miłość albo chęć zemsty. Muszę go spytać o Bredströma. Może coś o nim wie.

– Wiem, że przeszkadzam – powtarza Goffman i poprawia poduszkę. – Ale jest u mnie młody człowiek, który chciałby zamienić z tobą kilka słów. Chce coś sprawdzić. Chodzi o Charlesa. Tak. Nie, to nie potrwa długo. Zaraz ci go dam.

Nachyla się nad stolikiem, podaje mi komórkę.

– Proszę.

Kiedy wstaję z fotela, czuję pulsowanie w karku, żebra ciągną i boją, jakby za chwilę miały pęknąć.

– Dziękuję. – Wzdycham ciężko, biorę od niego komórkę i siadam w fotelu.

– Halo?

Cisza.

– Halo?

Czekam, patrzę na komórkę, potem na Goffmana.

– Nikogo nie ma.

Palce. Spuściłem z oczu jego palce.

Poduszka, przechodzi mi przez głowę. Leżał pod poduszką. W jego prawej ręce widzę rewolwer, mały, czarny.

– Naprawdę przyszedłeś tu sam, Leo?

– Tak.

– Kłamiesz – mówi.

I strzela mi w pierś.

Tove przykłada komórkę do ucha, czeka, aż odezwie się numer alarmowy. Ręka jej drży.

– Nazywam się Tove Waltersson, jestem policjantką. Na Blanchegatan 14 ktoś strzelił do mojego kolegi.

– Do policjanta?

– Na Blanchegatan 14, na Östermalmie.

– Numer mieszkania?

– Nie wiem.

– Mamy tam... – Sekundy, które mijają, wydają się jej wiecznością. – Mamy w pobliżu patrol, będą na miejscu za pięć minut.

Operator prosi, żeby się nie rozłączała, przynajmniej do przybycia patrolu. Tove ściska w rękę broń. Idzie wzdłuż ściany. Rusza po schodach na pierwsze piętro, czyta nazwiska na tabliczkach na drzwiach i idzie dalej.

Gdzieś wyżej ktoś otwiera drzwi, a potem szybko je zamyka, ostrożnie. Ktoś wkłada do zamka klucz, przekręca go.

Drugie piętro jest puste i ciche, Tove idzie dalej, na trzecie.

Kątem oka widzi, jak zamykają się drzwi windy. Podbiega do nich, wstrzymuje oddech.

J e s t. Mężczyzna spogląda w lustro i ich spojrzenia się spotykają. Trwa to sekundę. Starszy pan. Starszy od jej ojca. Ostre rysy i bystre spojrzenie.

Winda znika w szybie. Szlag! Zbiega po schodach, jest zdyszana. Drżą jej kolana.

Na dole winda zatrzymuje się z ciężkim westchnieniem, drzwi się rozsuwają. Odgłos jego kroków zagłusza jej własne. Kiedy dociera na parter, widzi otwarte drzwi i mężczyznę: znika w ciemności z torbą w jednej ręce i czymś czarnym i błyszczącym w drugiej.

Jest na ulicy, otoczony długimi cieniami i wysokimi budynkami. Idzie szybko, skupiony, pustym chodnikiem. Pewnie jest przekonany, że udało mu się uciec, że teraz musi tylko dać się pochłonąć miastu.

Tove próbuje dojrzeć, w jakim kierunku zmierza, czy gdzieś w pobliżu czeka na niego samochód. Mężczyzna się odwraca, Tove unosi broń, woła coś. Mężczyzna się zatrzymuje, przebiega przez ulicę, ucieka między drzewa i krzaki na obrzeżach parku.

W parku Tessina jest dużo pustych przestrzeni: trawniki, alejki, ścieżki rowerowe, ale akurat w tym miejscu rosną krzewy i rozłożyste drzewa. Nieco dalej, w północnej części, widać ogrodzony niskim płotkiem plac zabaw. W takim miejscu człowiek czuje się niepewnie, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Tove traci go z oczu, zatrzymuje się. Próbuje nasłuchiwać, ale nic nie słyszy, tylko własny oddech. Zaczyna powoli iść, wchodzi między drzewa na obrzeżach parku, ociera się o stare zmurszałe pnie, czuje zapach listowia.

Wie, że powinna się rozluźnić, opuszcza ramiona i właśnie w tym momencie słyszy, jak coś przed nią szeleści. Tam. Widzi go, zarys sylwetki. Wyszedł z kępy drzew i biegnie przez trawnik z torbą w ręce, kieruje się w stronę placu zabaw.

Tove oddaje strzał ostrzegawczy. Huk odbija się echem od ścian pobliskich kamienic, wzbudza w niej strach.

Staje na trawniku, bierze głęboki oddech i unosi broń wyżej. Nisko, celuj nisko, powtarza sobie w myślach.

Strzela.

Widzi, jak prawa ręka mężczyzny unosi się w powietrze.

Torba. Trafiła w torbę.

Mężczyzna puszcza torbę, torba upada na trawę.

Tove rusza za nim, biegnie, potyka się, pada na ziemię, asekuje się dłońmi. Broń wypada jej z ręki.

Wstaje. Strzał nadal dźwięczy jej w uszach, czuje go w rękach. Mija torbę. Kula przedziurawiła skórę, dziura wygląda jak usta. Tove stara się nie myśleć o tym, co się stało tam, na górze, w mieszkaniu, nie zastanawiać się, czy Leo jest ranny, czy żyje.

Mężczyzna przeskoczył przez niski płotek wokół placu zabaw i zniknął między huśtawkami i małymi domkami, niskimi, drewnianymi, w wesołych kolorach.

Coś błyska jej przed oczami, huk rozdziera powietrze. Reaguje

automatycznie, kuca, chce uklęknąć, schować się za drabinkami, ale nie zdąża.

Czekała na to. Wie, że musi zostać ukarana za to, że odważyła się opuścić Bruket.

Ale nie spodziewała się, że czucie wyprzedzi dźwięk. W ułamku sekundy, który mija, zanim rozlega się drugi strzał, czuje, jak jej lewa ręka eksploduje.

Krew, mam krew w ustach.

Pluje. Musiała się ugryźć w język albo w policzek. Nie potrafi powiedzieć, nic nie czuje.

Padła do tyłu. Ktoś dotyka jej ręki rozżarzonymi węglami. Nie może zaczerpnąć powietrza, oddech zatrzymuje się jej w gardle, zaczyna jej brakować powietrza. Nie ma odwagi spojrzeć na swoją rękę.

Panika. Czuje, że zbliża się atak paniki.

Wszystko wydaje jej się krzywe, drzewa nachylają się nad nią. Nie straciła ręki, ale kiedy próbuje nią poruszyć, przed oczami robi się jej czarno: za chwilę zemdleje.

Znów pluje: krew. Podnosi się powoli. Czuje rwący ból, promieniuje od palców do karku. Nie jest w stanie ruszyć ręką, musi się oprzeć o daszek maleńkiego domku, żeby znów nie upaść. Z bronią w ręku wkracza chwiejnym krokiem w otaczające plac zabaw cienie.

Dociera do ogrodzenia. I wtedy znów go widzi: wsiada do samochodu, niskiego citroena zaparkowanego przy brukowanej uliczce. Kiedy udaje jej się pokonać ogrodzenie, mężczyzna już dawno odjechał. Nie zapamiętała numeru rejestracyjnego.

I wtedy coś się dzieje.

Rozlega się wycie klaksonu, raz, potem drugi, tym razem długo. Kiedy wycie ustaje, jest już za późno.

* * *

Przy końcu parku Askrikegatan drogę przecina niewielka uliczka. Zaskoczyła ją, kiedy niespełna dwadzieścia minut wcześniej jechała tamtędy samochodem.

Na jej końcu stoi teraz potężna ciężarówka. Zdesperowany kierowca próbował się zatrzymać, wciskał hamulec, ale nie był w stanie nic zrobić. Podczas kolizji został wyrzucony do przodu, mężczyzna siedzący w samochodzie osobowym zawirował w kabinie. Na ziemię padają odpryski lakieru i metalu, niektóre wielkości paznokcia, inne znacznie większe.

Tove chce biec, ale nie jest w stanie. Czuje, jak coś łaskocze ją w palce lewej dłoni, dopiero po chwili uświadamia sobie, że to krew, krew z rany na jej ręce.

Nareszcie rozlega się wycie syren, szybko przybiera na sile. Tove nadal jest sama, boli ją gardło, jakby przed chwilą głośno krzyczała. Może tak było, nie pamięta. Robi się jej ciemno przed oczami, wszystko staje się niewyraźne.

Mężczyzna siedzący w samochodzie krwawi. Dotyka ręką czoła, patrzy na palce, jakby nagle odkrył u siebie jaką ułomność, dziwi się.

Tove kieruje lufę w jego stronę, kładzie palec na spuście.

– Wysiadaj! – stara się przekrzyczeć hałas. – Wysiadaj!

Nie wysiadaj. Proszę, nie wysiadaj z samochodu. Zranię cię. Czuję, że muszę kogoś zranić.

Gdzieś w oddali pojawiają się światła. Może zatrzymał się jakiś samochód. Tove nie potrafi powiedzieć. Wie tylko, że światła są mocne i białe i wydobywają z mroku mężczyznę, który powoli wysiada ze swojego citroena. Jest oszołomiony, chwieje się, musi się oprzeć o maskę.

Po chwili na murach domów i na asfalcie pojawiają się niebieskie światła, mężczyzna się nie rusza, stoi oparty o maskę.

Tove nie puszcza broni, oddaje ją, dopiero kiedy ktoś wyjmuje ją jej z dłoni. Wtedy już nic nie czuje. Milknie, jakby zostały z niej tylko kości i skóra, i nagle przychodzi jej na myśl, że może właśnie coś się kończy.

Mrugam.

Oddychanie sprawia mi ból, ale martwi nie oddychają. Dociera do mnie, że to tylko przystanek, krótka przerwa. Kierowca stoi na brzegu jezdni. Może coś pije. Też bym się napił. Mam suchy język, przywiera do podniebienia, wargi mam spierzchnięte, napięte. Przed dalszą podróżą człowiek powinien móc się napić, po raz ostatni, i zobaczyć tego, kogo kocha.

Jestem w pokoju, w pokoju są drzwi, a kiedy się otwierają, to nie wydają żadnego dźwięku. Kierowca jest niski, ma wydatny brzuch, na zielony kombinezon naciągnął zabawny biały fartuch.

– Leo – mówi. – Leo? Słyszysz mnie?

Wyjmuje latarkę, świeci mi w oczy.

Słyszę jakiś pisk. Co to może być? A może ten dźwięk jest tylko w mojej głowie?

Czuję ból w piersi.

– Leo? Słyszysz mnie?

– Tak.

Pyta, czy wiem, gdzie jestem.

Mrugam.

– Nie.

Mówi, że jestem w szpitalu. W Karolinska. Mówi też, że nazywa się Christopher Åström i że jest chirurgiem. Jest dwudziesty czwarty czerwca 2014 roku.

– Boli mnie – cedzę przez zęby.

– Gdzie?

– Kiedy oddycham.

– W płucach?

– Nie wiem.

Coś musi wisieć nad moją głową, bo jego wzrok ciągle wędruje w tamtą stronę.

Już wiem. To stamtąd dochodzi ten pisk. Może to moje tętno? Brzmi jakoś obco. Może to tętno kogoś innego?

Coś mówi, tak mi się wydaje, ale nie jestem pewien. Jestem w drodze, moja podróż trwa. Najwyższa pora, żebym stąd odszedł, przy każdym oddechu czuję, jakby prąd przeszywał moje ciało, moje plecy, ręce, a po chwili, nareszcie, ogarnia mnie ciemność. Słyszę jeszcze, jak ktoś coś woła, piszczenie przybiera na sile, staje

się bardzo intensywne i

We wspomnieniach

We wspomnieniach czuję się starszy niż teraz.

Jest jesień, dawno temu, już drugi rok pracuję w wydziale zabójstw. Idę wzdłuż brzegu, Norr Mälarstrand, powietrze jest lekkie, chrzęszczące. Wszystkie kolory są bardziej intensywne niż zwykle. Obok mnie idzie Levin, ręce trzyma w kieszeniach cienkiego rozpiętego płaszcza. Dobrze tak razem spacerować. Obaj całe przedpołudnie spędziliśmy na przesłuchaniach w sprawie zabójstwa w mieszkaniu przy Pipersgatan.

– Poznałeś kogoś – mówi.

Zapalam papierosa, Levin pożądlawie śledzi moje dłonie.

– Skąd wiesz?

– Ubranie cię zdradza. Nie pachniesz już tylko papierosami i proszkiem do prania. Poczęstujesz mnie?

Wyjmuję papierosa, podaję mu. Wkłada go do ust, pomagam mu go zapalić.

– Jak ma na imię? Jeśli mogę spytać.

– Sam.

– Jak...

– Jak Sam. Nie wiem, czy coś z tego będzie, ale jest w niej coś pociągającego.

Nad naszymi głowami przelatuje duży ptak, skrzydła falują bezdźwięcznie, po chwili szybuje już nad wodą.

– Pociągające kobiety często mają krótkie imiona – mówi Levin i podąża wzrokiem za ptakiem.

– To twoja teza?

– Właśnie ją sprawdzam. Moje własne doświadczenie zdaje się ją potwierdzać.

– Masz na myśli Elbę?

– Na przykład.

Rzadko o niej mówi. Wiem, że są małżeństwem od wielu lat, ale nie mają dzieci. Nie wiem, czy dlatego, że nie mogą, czy po prostu nie chcą.

– Bądź ostrożny w miłości – mówi nagle. – Jeśli chciałbyś posłuchać jakiejś mojej rady, to proponuję, żebyś wybrał tę.

Jest zima, wiele, wiele lat później. Już po Gotlandii, po tym, jak mnie zawieszono. Zaangażowałem się w dochodzenie w sprawie morderstwa, z którym tak naprawdę nie mam nic wspólnego. Zbliża się Boże Narodzenie, Levinowi zostało niespełna pół roku życia. Stoję na Kungsholmsgatan i nagle widzę go po drugiej stronie ulicy. Przez skrzyżowanie przejeżdża samochód, Levin podnosi

rękę, samochód się zatrzymuje. Wsiada i samochód rusza w kierunku szpitala S:t Göran. Nie widzę kierowcy, jest tak zimno, że powietrze zamarza. Zamienia się w maleńkie skrzące się perełki.

Przez szybę wpadają promienie słońca, gorące, oślepiające. Siedzę obok Levina na tylnym siedzeniu, gdzieś jedziemy albo skądś wracamy. Już nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że w radiu leciał jakiś stary szlagier. Levin podśpiewuje cicho: *in the pines, in the pines, where the sun don't ever shine, I would shiver the whole night through.*

1984 do 2014.

Trzydzieści lat w jednej sekundzie. Trzydzieści lat, niemal połowa życia, a mimo to ledwie jeden oddech.

Jest osiemnasty czerwca, postać za drzwiami jest wysoka, wygięta w pałąk. Tak wygląda ktoś, kto ma do wykonania stresujące zadanie. Dwa razy już niemal dotykał palcem drzwi. W końcu puka. I wtedy Charles już wie, że to on.

– Dobry wieczór, Charlie – mówi, wchodząc do domu. – Spodziewałeś się mnie?

– Raczej nie.

Paul trzyma w ręku czarną skórzaną torbę. Zamyka za sobą drzwi.

– Masz gości?

– Nie, dlaczego tak sądzisz?

– Widzę, że jesteś sam, ale na ulicy przed domem stoi samochód.

– Tak?

– Drogie ciemne volvo.

Charles wchodzi do kuchni, wygląda przez okno i przyznaje mu rację: pod płotem stoi samochód, którego nie rozpoznaje.

– Dziwne. – Waha się. – Napijesz się kawy?

– Bardzo chętnie.

– Jeśli to nie twoje volvo, to gdzie zostawiłeś swój samochód?

– W lesie jest mała polanka. Tam go zostawiłem.

Paul wysuwa jedno z dwóch kuchennych krzeseł, siada, odpina guzik koszuli, stawia torbę na podłodze.

– Tu rzeczywiście jest bardzo gorąco. Nie pamiętałem o tym.

– Tak.

– Trudno do tego przywyknąć, prawda?

– Pewnie masz rację.

Ostatnio spotkali się na zebraniu kierownictwa wydziału jakieś dwa lata wcześniej, kiedy podjęto decyzję o przeniesieniu Junkera do działu dochodzeń wewnętrznych. Levin nagrał wszystko i zachował nagranie. Bo przecież nie zawsze będzie świecić słońce.

Paul wydawał mu się wówczas bardziej energiczny, był bledszy, a jednak jakby żywszy. Teraz jest wychudzony, ma zapadnięte policzki, wyraźnie zaznaczone szczęki, jak człowiek chory.

Charles napełnia dzbanek wodą, wlewa ją do ekspresu, wyjmuje kawę.

– Jak mnie znalazłeś?
– Wiesz, jak to jest – rzuca Paul lekko. Zakłada nogę na nogę, wygląda przez okno. – Układanki czasem wychodzą.

Charles wkłada filtr do lejka i wsypuje pięć niewielkich miarek kawy.

– Rozmawiałeś z Mariką.

– Rozmawiałem jak rozmawiałem – mówi Paul. – Usiłowałem.

– Kiedy u niej byłeś?

– Kilka dni temu.

– Jak ona się czuje?

– Przypuszczam, że jak zwykle.

Charles włącza ekspres, rozlega się syk. Dźwięk jest przyjemny. Levin siada naprzeciwko Paula i nagle uzmysławia sobie, że wszystko zatacza koło. Czas musi być kołem, myśli, nie linią.

– Próbowwała cię zabić – mówi Paul.

– Dziesięć lat temu.

– Ale próbowała. To nieprzyjemne.

– Była w psychozie.

– Bronisz jej.

– Nie, nie bronię.

– Jak się skończyło to dochodzenie?

– Czemu pytasz?

– Z ciekawości. Została skazana na pobyt w zakładzie zamkniętym. To wiem, ale nic więcej nie znalazłem. Żadnych zeznań.

– Na pewno gdzieś są jakieś papiery.

– Przekonałeś ich, żeby wyciszyli sprawę.

– Nie miałem wyboru.

– Domyślam się. Nie mam co prawda dzieci, ale wyobrażam sobie, jak musiałeś się czuć. Wiesz, dlaczego to zrobiła?

Charles nie odpowiada. Wstaje, podchodzi do szafki, wyjmując dwie filiżanki, stawia je obok syczącego ekspresu. Zerka na stojący przy drodze samochód. Podejrzewa, że Paul skłamał, samochód pewnie jest jego.

– Nie czujesz się tu trochę dziwnie? – słyszy głos Paula.

– Owszem.

– On nadal tu mieszka?

– Kto?

– Bredström.

– Tak, mieszka tu. Pijesz czarną?

– Poproszę.

Nalewa kawy do filiżanek. Dzbanek drży mu w ręce, i nie tylko dlatego, że jest ciężki. Stawia filiżankę przed Paulem.

– Zaraz wrócę – mówi. – Jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Charles wchodzi do sypialni, otwiera jeden ze stojących na podłodze kartonów, wyjmując złożoną na pół kartkę.

Paul został w kuchni, siedzi i nieruchomym wzrokiem wpatruje się w swoje dłonie. Charles kładzie przed nim kartkę. Paul bierze ją do ręki, podnosi, zaczyna czytać. Trudno wyczuć, czy jest zdziwiony.

– To oryginał?

– Nie.

Siedemnastego czerwca 1977 roku, w piątek, trzy lata przed tym, jak Charles po raz pierwszy spotkał Paula, w Malmö przeprowadzono udaną rekrutację. Informację przekazano właściwemu funkcjonariuszowi, który następnie przedstawił okoliczności werbunku i jego konsekwencje w raporcie przesłanym szefowi wydziału.

Zwerbowano niejakiego Jonathana Ekbloma, trzydziestopięcioletniego mężczyznę, który z żoną i dwojgiem dzieci mieszkał w domku przy Möllevången. Pracował na cle w Malmö. Cztery miesiące wcześniej, w lutym, odwiedził go w pracy ktoś ze Sztokholmu. Powiedział, że chciałby zasięgnąć informacji o tym, co służby celne robią z przekraczającymi granicę towarami mającymi dotrzeć do Niemiec Zachodnich.

Zasugerował, że ewentualna przyszła współpraca mogłaby się finansowo opłacać, zarówno samemu Ekblomowi, jak i firmie, w której pracował. Ale Ekblom podziękował grzecznie za propozycję – był człowiekiem uprzejmym – i odmówił. Próbę ponowiono, znów bez powodzenia.

Ekblom był trudny. Nie szastał pieniędzmi, więc nie miał żadnych długów, nie zdradzał żony, nie figurował w żadnym rejestrze, bo nie popełnił żadnego przestępstwa, i miał porządek w dokumentach.

Dlatego, chcąc jednak rozwiązać sprawę, sięgnięto po dość drastyczne metody, które wymagały nieco zachodu.

Piętnastego czerwca, w środę, kilkoro świadków zeznało, że widziało, jak w sobotę umiłał sobie wieczór, pijąc na umór w porcie z jakimś mężczyzną. Potem wsiadł do samochodu i ruszył do domu. Gdzieś w połowie drogi między portem a domem czekał przy drodze patrol. Dwóch funkcjonariuszy: Ambjörnsson i Fant. Ambjörnsson siedział w radiowozie i rozwiązywał krzyżówkę, więc to Fant, dojrawszy jadący podejrzanym zygzakiem samochód, postanowił go zatrzymać.

I tak się stało. Kierowcę odwieziono na komisariat i pozwolono odespać kaca w celi. Gdyby funkcjonariusze byli nieco bystrzejsi, pewnie poprosiliby kogoś o pobranie nieszczęśnikowi krwi do badania. Byłoby to rozsądne posunięcie, ponieważ Ekblomowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się sięść za kierownicę po wypiciu alkoholu, a nic nie wskazywało na to, żeby akurat tego dnia miał jakiś szczególny powód do świętowania. Jedynym wytłumaczeniem było to, że ktoś mu podał prochy, najprawdopodobniej mężczyzna, z którym widziano go w porcie i z którym ponoć pił alkohol.

Ale tak się nie stało.

Na obronę Ambjörnssona i Fanta należy dodać, że kiedy zjawili się na komisariacie, zrobiło się małe zamieszanie. Szef zmiany stał przed tablicą i przyglądał się skrzyżowaniu z napisem MIEJSCE ZDARZENIA – tak wynikało z raportu z zatrzymania – i zastanawiał się, co, do licha, robili tam Ambjörnsson i Fant. Funkcjonariusze zeznali, że zostali wezwani przez radio i odkomenderowani właśnie w to miejsce. Kiedy szef zażyczył sobie nazwiska tego, kto ich wezwał, Ambjörnsson spojrzał pytająco na Fanta, a on odwzajemnił jego zdziwione spojrzenie. Jak to się często zdarza, nikt nic nie wiedział.

O świcie do Ekbloma przyszedł gość, jedyny podczas jego dwunastogodzinnego pobytu w celi. Był to mężczyzna, z którym pił w porcie.

Cóż za dziwny zbieg okoliczności, stwierdził, wyjmując raport sporządzony przez Ambjörnssona i Fanta.

A potem sprawy potoczyły się tak, jak zawsze się toczą w takich przypadkach:

– Ten raport, podobnie jak wynikające z niego konsekwencje, może przestać istnieć. Jeśli zgodzisz się wykonywać dla nas drobne usługi: coś komuś przekazać, od czasu do czasu sprawdzić jakąś wiadomość, skontaktować się z nami, jeśli zauważysz na cle interesujący nas samochód albo człowieka. Nie obciąży cię to zbyt długo, a dla nas będzie bardzo cenne.

A jeśli odmówi?

No cóż...

Wtedy czekają go kłopoty.

Paul kładzie kartkę na stole.

– Od jak dawna wiesz? – pyta.

– Od jakiegoś czasu. Nie było łatwo do tego dotrzeć.

– Od jak dawna się domyślałeś?

– Od dawna. – Charles składa kartkę i chowa ją do kieszeni dzinsów. –

Powiedziałeś wtedy, że będziesz nocował w hotelu, ale wsiadłeś do samochodu, skoro usłyszałeś przez policyjne radio o patrolu. Potem zacząłem się zastanawiać, co ten patrol tam w ogóle robił.

Zdarzało się, że miejscowi geniusze ustawiali się przy drodze i zatrzymywali samochody, nawet na bocznych drogach. Tak naprawdę to właśnie tam notowano najczęściej zatrzymań. Ale w ciągu tych kilku lat, które spędził w Bruket, nigdy się nie zdarzyło, żeby jakiś patrol stał przy drodze o tej porze!

– Nie należy ufać przeczuciom.

– I dlatego to robisz? Żeby mnie ukarać?

– Co robie?

– Widziałem, że się logowałeś w archiwum. Wiem, czym się zajmowałeś wiosną.

Charles wypija łyk kawy.

– I dlatego tu jesteś?

– Nie chcę, żebyś popełnił poważny błąd. – Paul rozkłada ręce. – Masz sześćdziesiąt siedem lat. Jeśli wziąć pod uwagę twój tryb życia, pewnie zostało ci jeszcze dobre dwadzieścia. Chcesz je spędzić w celi? Przepraszam za słownictwo, ale to by było idiotyczne, Charlie.

Charles przygląda się jego dłoniom. Zauważył, że trzyma je złożone na kolanach. Nie tknął też kawy.

Zbiór dokumentów, który tworzy w swoim komputerze, dokument po dokumencie, zdjęcie po zdjęciu, to wszystko, co mu zostało. To jedyne, co może pokazać, żeby udowodnić, co się wtedy stało. Jego jedyna szansa, żeby coś jeszcze naprawić.

– Najwyższa pora wyjaśnić niektóre sprawy – mówi, starając się, żeby jego głos brzmiał pewnie. – Pora, żebyśmy zapłacili za to, co zrobiliśmy.

– To były inne czasy, Charlie. Inne życie.

– Czasy może były inne, ale życie to samo. Jesteśmy tymi samymi ludźmi.

I powiem ci szczerze, że wątpię, żebyś tu przyszedł z tak szlachetnego powodu, jak próbujesz mi wmówić.

– Nie usiłuję ci wmówić niczego, co nie jest prawdą. Ale jeśli doprowadzisz to, co, jak podejrzewam, robisz, do końca, a potem to wszystko trafi w niepowołane ręce, to... Cóż, nie tylko tobie przyjdzie za to zapłacić.

– Wiem. Tobie też.

– Ale nie tylko nam dwóm. Innym też, a wielu z nich nadal żyje. Gdzie zamierzasz to wysłać?

– Co zamierzam wysłać?

– Wiesz, o co mi chodzi. Te papiery: dokumenty, zdjęcia.

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Kłamiesz coraz gorzej. – Paul się uśmiecha. – Ja – zaczyna i przerywa, jakby nagle zmienił zdanie. – Nie wiem, co powiedzieć. Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się stało z Evą.

Charles mruga. Nawet teraz, tyle lat później, czuje, że pieką go powieki.

– Nigdy nie chciałem, żeby... – zaczyna znów Paul. – Nie wiedziałem, że ona... Próbowałem ci pomóc. Chciałem, żebyście ty i Marika... Żebyście mogli dalej żyć.

– To miała być kopia zwerbowania Ekbloma.

– Takie działania odpuściliśmy sobie, jeszcze zanim do nas dołączyłeś. Ekblom był ostatnim przypadkiem. Metoda była zbyt ryzykowna, wymagała udziału zbyt wielu ludzi z zewnątrz. Ale wtedy... Cóż, nie miałem wyboru, Charlie. – Paul mówi niemal szeptem, jakby grał głosem. Ktoś, kto go nie zna, mógłby to wziąć za skruchę. – Zmusili mnie. Wiedziałeś za dużo, także o sprawie Lichtera. To był jedyny sposób.

– Mogłeś użyć przeciwko mnie Bredströma.

Paul prychnął.

– To by było za mało. Zawsze byłeś praworządny. Ale wypadek... To, że ona tam była, na tej drodze, z rowerem i Mariką, ja nigdy... Próbowałem ci tylko pomóc.

– Pozwoliłeś mi wierzyć, że to była moja wina – mówi Charles powoli. Zaczyna żałować, że nie ma przy sobie broni.

– Powiedziałeś, że właściwie od początku mnie podejrzewałeś. Dlaczego mnie nie spytałeś? Powiedziałbym ci prawdę. Wtedy tak.

Charles nie mówi tego głośno, ale wtedy nie miał nikogo poza nim. A on o tym wiedział i wykorzystywał to.

– Dosypałeś mi prochów.

– Ale piwo wypiliśmy ty.

– Wsypałeś mi coś do niego.

– Nie.

– Nie kłam! – wrzeszczy tak głośno, że sam jest zaskoczony. Jego złość pochodzi z jakiegoś nieznanego mu miejsca w trzewiach. – Nie kłam, Paul! Znowu

kłamiesz.

Oddycha gwałtownie.

– To było trzydzieści lat temu, Charlie.

– Od powrotu jestem na jej grobie kilka razy w tygodniu. Wiedziałaś, że ma grób tu, na cmentarzu?

– Tak – mówi Paul.

– Jasne. – Charles z trudem tłumi śmiech.

Kiedy wybrał się na cmentarz po raz pierwszy, długo szukał grobu. Był ukryty w zacienionym rogu zadziwiająco dużego cmentarza. Na kamieniu widniał napis: EVA LEVIN. Otworzył usta, żeby to powiedzieć na głos, ale z jego krtani nie wydobyło się żadne słowo.

– Kiedy się dowiedziałem, że poznałeś Elbę... – ciągnie Paul. – Nie pamiętam, kto mi o tym powiedział, ale ucieszyłem się, kiedy to usłyszałem. Przeżyliście razem sporo dobrych lat.

Charles nie odpowiada. Nigdy nie kochał Elsy, w każdym razie nie tak, jak kochał Evę. Ale Elsa kochała jego. Kochała go, a on... On jej potrzebował. Nikt nie zasłużył na samotną starość. A potem pokonał ją rak i znów był sam. I tak już zostało.

– Mogę je przynajmniej zobaczyć? – pyta Paul.

– Co?

– Dokumenty. Żebym wiedział, co mnie czeka.

– Wołałbym ci ich nie pokazywać. – Charles wypija łyk kawy. Ma za sobą długi dzień, czuje zmęczenie w skroniach, pod powiekami, w ramionach. – Stoją przy komputerze.

– Pokaż mi gdzie.

Charles wstaje, idzie przed nim do gabinetu, podchodzi do biurka, na którym stoi laptop i skaner. Paul podchodzi do kartonów stojących obok biurka i zaintrygowany zagląda do nich.

Wyjmuje z kartonu zdjęcie, czarno-białe.

Charles przypomina sobie, że zrobił je z dużej odległości, stojąc obok Paula w wiosennym cieple. Dwudziestego dziewiątego maja 1985 roku. Dźwig wydobywa z kanału białe renault TS. Jeśli się zmruży oczy, widać w kabinie sylwetki dwóch kobiet.

– Pamiętam ten dzień – mówi Paul. Zamyślony stuka palcami w zdjęcie i pozwala mu spaść do kartonu.

Ustalono, że zginęły w wypadku, ale drobne szczegóły sprawiły, że zaczęto snuć domysły: dlaczego za kierownicą siedziała Falck, skoro samochód należał do Gräns? Dlaczego w ich płucach znaleziono czystą wodę z kranu, a nie brudną z basenu portowego? I skąd się wzięło dziwne otarcie z boku samochodu? Dlaczego Lena nie miała na szyi łańcuszka? Dlaczego znaleziono go potem przy nabrzeżu? Pytań było dużo.

Wszczęto dochodzenie, ale śledczy z założenia nieszczególnie się do niego przykładali, a kontrolę nad nim sprawowali ludzie mający potężne powiązania.

Paul bierze do ręki kolejne zdjęcie: zrobiono je w pobliżu ambasady NRD. Pół roku wcześniej, w listopadzie 1984. Widać na nim wyraźnie dwie postaci: Johanna Krausa i Charlesa. Zdjęcie zrobiła Cats.

Kiedy włożyli ich ciała – jej i Leny Gräns – do samochodu, który potem zepchnęli do kanału, wrócili do mieszkania Falck. Szukali zdjęć i materiałów, jakie zgromadziła z myślą o artykule, który nigdy nie ujrzał światła dziennego. Paul jest przerażony, Charles odrętwiały, patrzy przed siebie pustym wzrokiem, w głowie też ma pustkę.

Pałą wszystko z wyjątkiem drugiej odbitki zdjęcia, którą Charles znajduje w pudełku po butach w garderobie. Kiedy Paul na chwilę odwraca się do niego plecami, składa ją i chowa do kieszeni płaszcza.

1984 do 2014. Trzydzieści lat w jednym oddechu. Tak dawno temu, a jednak nie.

Paul przez chwilę sprawdza inne dokumenty, wyjmując jakieś kartki, czyta, a potem obaj wracają do kuchni.

Charles patrzy na niego, wie, że musi się wziąć w garść. Bo za chwilę – czuje to pod skórą – przekroczy granicę własnej wytrzymałości.

Siada na krześle. Pije kawę.

Przed domem stoi samochód, ciemny i pusty.

– Ciebie też sprawdzałem – mówi Charles, jakby się przyznawał do winy. –

W archiwum.

– Wiem.

– Ale nic nie znalazłem.

– Wiem.

Charles zdaje sobie sprawę, że koniec jest już blisko, a on wciąż nie zadał pytania, które dręczy go od lat.

– Kiedyś wspomniałeś, że robisz to wszystko, bo dawno temu, kiedy potrzebowałeś pomocy, otrzymałeś ją. Gert, tak chyba miał na imię.

– Tak?

– Dlatego potem pomogłeś mi. Tak powiedziałaś.

Paul powstrzymuje się od mrugania.

– I?

– Kto ci pomógł i w czym?

Paul milczy.

– Wiem – ciągnie Charles – że dorastałeś w rodzinie zastępczej pod Uppsalą. To tam się spotkaliście. Ty i Gert. Musiałeś być małym chłopcem.

– Po co mnie teraz o to wypytyujesz?

– Chcę wiedzieć. Zanim... Chcę wiedzieć, jak to się zaczęło.

– To nie musi się skończyć katastrofą, Charlie.

Tym razem to Charles milczy.

– Miałem siedemnaście lat, kiedy się poznaliśmy – mówi w końcu Paul. – Mieszkałem już od czterech lat na wsi, w dużym gospodarstwie. Pewnego dnia pojechałem do miasta i wróciłem uzbrojony w śrutówkę i nóż myśliwski. Chciałem zabić przybranego ojca, jego dwóch biologicznych synów i dwóch przysposobionych. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do mnie, że tylko dwóch jest jego prawdziwymi dziećmi, bo wszystkich traktował jednakowo, jak własne.

A mnie... Przypuszczam, że było tak dlatego, że zjawiłem się jako ostatni. Miałem już trzynaście lat. No więc mnie zawsze traktował jak psa. – Ściąga wargi, wyglądają jak wąska kreska. – Gert wypatrzył mnie w Uppsali. Był wtedy inspektorem policji. Rzuciłem mu się w oczy, nie podobała mu się moja torba i pewnie ja sam. Więc pojechał za mną na wieś.

– I cię powstrzymał?

– To zależy, co masz na myśli. Na pewno nie dopuścił do tego, żebym zabił dzieci. I chyba słusznie, przynajmniej z późniejszej perspektywy. Dzieciaki były okropne, ale to wszystko była jego wina.

– Zabiłeś swojego przybranego ojca.

– Uznałem to za usunięcie szkodnika. Gert także, w pewnym sensie. Wiedział, co się dzieje w tym gospodarstwie, wiedział o przemocach, o molestowaniu, ale był bezradny. Nie było żadnych dowodów. Tak czy inaczej, pomógł mi. Sprawiał, że wszystko wyglądało na zwykłe włamanie, a ja nie poniosłem kary.

– Ale zażądał czegoś w zamian?

– Znacznie później, kiedy już trafiłem do służb. Podejrzewam, że dopiero wtedy znalazł dla mnie zastosowanie. Był już wtedy w kierownictwie, wilk w owczej skórze. Prawicowy ekstremista, nienawidzący Palmego, w Szwecji rządzonej przez Palmego.

– Mogłeś się nie zgodzić.

Paul przekrzywia głowę.

– Zastanów się, co mówisz. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że to nie takie proste. Poza tym to nie z tego powodu robiliśmy to, co robiliśmy. Ty i ja. Z drugiej strony, jeśli chcesz wiedzieć, kiedy wszystko się zaczęło, to pewnie właśnie wtedy. Ale życia nie można zredukować do czegoś tak banalnego jak dzieciństwo. Zrobiłem to, co zrobiłem, dlatego że mogłem to zrobić. Że chciałem to zrobić. Że na tym zarobiłem. – Mruga. – Proste, prawda?

– Gert żyje?

– Umarł na raka kilka lat po zabójstwie Palmego.

Charles nie wie, co powiedzieć. Nagle przychodzi mu coś do głowy:

– Na czyje polecenie tu jesteś?

– Zastanów się, a sam do tego dojdiesz. Ludzie są inni, czasy są inne, ale organizacja ta sama. Musisz sobie dać z tym spokój.

– Nie zamierzam. Powiniennem był to zrobić dawno temu.

Gdyby tylko nie był takim tchórzem.

Paul wstaje, otwiera torbę, wyjmując z niej rewolwer, zimny, czarny. Wyciąga magazynek, sprawdza, żeby mieć pewność, że jest naładowany, i odkłada na miejsce.

Wstaje.

– Proszę, Charles, jeśli nie ze względu na mnie, to zrób to dla Mariki. Opuść to sobie.

– Zabawne, właśnie chciałem ci powiedzieć coś podobnego.

Paul sprawia nagle wrażenie bardzo zmęczonego. Unosi rękę, rysy jego twarzy się wyostają.

Głęboka lufa rewolweru jest tak czarna, że dopiero kiedy Charles spogląda w jej głąb, czuje drżenie w piersi.

Byli towarzyszami broni. Zdrada miała korzenie w kłamstwie, które podzieliło przyjaciół.

Zawsze wierzył, że kiedyś w jego życiu zdarzy się długie lato i że wtedy zakocha się w kimś, kogo nigdy nie skrzywdzi. Wtedy będzie już starszy, będzie potrafił wyciągnąć wnioski ze swoich błędów. Zaakceptuje siebie takim, jaki jest, i zrobi wszystko, żeby spędzić resztę życia u boku ludzi, którzy będą dla niego ważni. Ale lata mijały i chwila, na którą czekał, nigdy nie nadeszła. Jego nadzieje utonęły w jakimś mrocznym zakątku jego duszy, tam, gdzie skrywa się to, w co kiedyś się wierzyło. Dopiero teraz, kiedy rozumie, że jest już za późno, dawne nadzieje wracają i kładą się przy jego sercu, jak żal. Jego życie nie było takie, jakie sobie wymarzył. To było to, co mu zostało.

Szwecja. Zaczął się bać ludzi i nigdy nikomu nie zaufał.

Głosy. Głosy w ciemności.

Mówią o mnie. Tracę przytomność, a potem odzyskuję, głosy mieszają się z ostrymi dźwiękami, strzał z bicia, łyżka, którą ktoś miesza coś w rondelku, i głos, który w nieznanym mi dialekcie mówi: *jeśli jeszcze raz cię zobaczę, to cię zabiję*.

Głosy obok mnie. Ktoś mówi: płuca się zapadają, intubacja. Nie rozpoznaję nikogo.

– A teraz?

– Stan jest stabilny, od dwunastu godzin. Nadal krytyczny, ale stabilny. Oddycha samodzielnie.

– Jesteście pewni? Wygląda kiepsko.

Głos. Sam.

Nie jest już ciemno. To ja zamknąłem oczy. W pokoju jest jasno, razi mnie światło.

Nie jestem pewien, czy wymawiam jej imię, ale chyba tak, bo jakiś dźwięk wydobywa mi się z gardła. Otwieram oczy i widzę jej twarz. Kosmyki jej włosów muskają moje policzki. Brakowało mi tego, chcę, żeby ta chwila trwała jak najdłużej, ale Sam zakłada włosy za ucho, widzę, że próbuje się uśmiechnąć.

– Czeka cię intubacja – mówi. – Musisz oszczędzać struny głosowe.

Opuszki jej palców dotykają moich warg.

– Jaki dzisiaj jest dzień?

– Jaki dzisiaj jest dzień? Środa. Środa, dwudziesty piąty.

– Czerw...

– Czerwca. Utrzymywali cię w śpiączce.

Dopiero teraz widzę, jaka jest przerażona. Chcę jej powiedzieć coś, co ją uspokoi, ale nie wiem co.

– Przepraszam.

Kręci głową.

– Wszystko jest w porządku. Nic się nie bój. Wszystko jest w porządku.

– Jak się miewa Kit?

Uśmiecha się łagodnie.

– Świetnie.

Z jakiegoś powodu to dla mnie ważne. Dopiero teraz dociera do mnie, że jednak sobie poradzimy, i po policzkach zaczynają mi płynąć łzy. Sam wyciera je ostrożnie kciukiem.

– Boli – mówię.

Wkłada mi coś do ręki.

– Masz. Przekonałam ich, że sam powinieneś sobie dawkować leki przeciwbólowe.

– To brzmi niebezpiecznie.

Dotyka ręką mojego policzka.

– Nie martw się.

– Jestem zmęczony.

– Śpij. – Przesuwa dłoń, dotyka mojej ręki. – Będę tu, kiedy się obudzisz.

I to jest chyba jedyna rzecz, która ma dla mnie znaczenie.

– Wiesz... – Odchrząkuję, przelękam ślinę. – Goffman...

– Twoja koleżanka go zatrzymała.

Dostałem coś, co chyba ma być kanapką. Smakuje jak metal. Robi mi się niedobrze, ale zmuszam się do jedzenia. Sam twierdzi, że to ważne.

Moja koleżanka. Tove.

– Gdzie ona jest?

– Twoja koleżanka?

– Tak.

– Wczoraj została wypisana.

– Jest ranna?

– W rękę. – Sam zaciska usta, wąska blada kreska. – Niewiele więcej wiem.

Przyglądam się kanapce.

– Smakuje jak...

– Wiem. Też taką zjadłam.

– A już myślałem, że to ze mną coś jest nie tak.

Sam kręci głową i śmieje się. Cieszy mnie to.

Mama i brat też u mnie byli. Na stoliku w rogu pokoju stoją bukiety kwiatów.

– Od kogo jest ten? – pytam.

– Który?

– Ten największy.

– Od Gabriela.

– Naprawdę?

– Mówił, że... coś zaszło między nim a Grimem.

– Co?

– Nie wiem.

– To dobrze. I tak nie miałbym siły tego słuchać.

– Tak podejrzewałam.

Czas mija. Zjadam kanapkę. Pytam, gdzie jest moja komórka, Sam idzie po nią. Myślę o Levinie.

Sam wraca z komórką, próbuję wyciągnąć do niej rękę. Są cięższe niż zazwyczaj, ruszam się wolniej, ale jestem w stanie ją chwycić. Wybieram numer. W tym momencie odzywa się komórka Sam.

– Z galerii. Pomyślałam, że zjem z nimi lunch. Mogę cię zostawić na godzinę?

– Jasne.

Ściska mi dłoń i zanim wyjdzie, przyciska jeszcze wargi do mojego czoła. Potem się uśmiecha. Wciąż nic nie powiedziała o mojej twarzy.

Zostaję sam z komórką w ręku, przykładam ją do ucha. Słyszę, jak wybrzmiewają kolejne sygnały.

Kiedy odbiera i się przedstawia, jej głos brzmi tak, jakby była gdzieś daleko.

– Cześć – mówię i nie wiem co dalej. – Jesteś w Sztokholmie?

– Nie, w domu.

– To dobrze.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Tak mi się wydaje.

– Próbował cię zabić. Nie możesz się czuć dobrze.

– Nie sądzę, żeby... – zaczynam i po chwili dodaję: – Nie sądzę, żeby chciał mnie zabić. Wtedy strzeliłby mi w głowę. – Milczę. Nie wiem, co powiedzieć.

– A co z tobą?

– To znaczy?

– Jak się czujesz?

– Boli mnie ręka, ale poza tym w porządku.

– Dziękuję. Za to, że go zatrzymałaś.

– Prawdę mówiąc, to nie ja go zatrzymałam – mówi. – Tylko ciężarówka.

– Co?

– Nie, nic.

– Ciężarówka?

– Będziesz musiał kogoś o to spytać.

– Spytam. – Czekam na coś, nie bardzo wiedząc na co. – Masz dokumenty Levina? Pliki dźwiękowe?

– Mam. Nie odsłuchiłam ich jeszcze. Upewniłam się tylko, że nikt inny ich nie ma. Gabriella Halvardsson się odezwała. Spytała, czy może je odsłuchać.

– Pozwolisz jej?

– Najpierw chciałam spytać ciebie, co o tym sądzisz.

Zamykam oczy. Chciałbym, żeby był przy mnie, żebym mógł z nim porozmawiać.

– Nie wiem – mówię. – Jeszcze nie wiem.

– Znaleźli jeszcze jeden wózek. W domu Goffmana, w piwnicy. Podejrzewają, że to wózek Levina, że Goffman przewiózł na nim kartony do swojego samochodu, który prawdopodobnie stał na pobliskiej polance, w lesie na tyłach Alvavägen. Söderlund, technik, zrobił zdjęcia śladów opon. Widziałeś je?

– Tak – mówię. I nagle wraca wspomnienie: stoję z Tove na trawniku w mroku za domem Levina i patrzę na ciemny las. Było w nim coś przerażającego.

– Tak – powtarzam. – Mam wrażenie, że tak.

– Wstępna analiza wykazała, że to mogą być ślady opon samochodu Goffmana. Więc pewnie tam zostawił samochód i stamtąd przyszedł do domu. Ale ani kartonów, ani żadnych dokumentów nie znaleziono, a Goffman milczy. Podejrzewają, że usiłował je spalić, niewykluczone, że mu się udało. Razem z komputerem, komórką i skanerem.

– Dziękuję.

– Pomyślałam, że cię to zainteresuje – mówi. Milknie, ale po chwili znów się odzywa: – Jest coś, nad czym się zastanawiałam, kiedy leżałam w szpitalu.

– Co?

– Myślałam o tym, co Bredström powiedział podczas przesłuchania o wypadku Ewy Levin. Powiedział, że rzadko siadała za kierownicą. I że nie ma świadków, którzy widzieli ją w samochodzie tego wieczoru, kiedy zginęła. Rozmawialiśmy o tym w czwartek podczas narady w sprawie śledztwa. Wcześniej się tym nie zajmowałam, bo Davidsson twierdził, że wypadek nie budził żadnych wątpliwości. Ale teraz, kiedy leżałam w szpitalu... – Urywa, słysząc, że się waha.

– Sama nie wiem. Tak mi przyszło na myśl.

– Co?

– Wygląda na to, że kiedy Levin siedział w barze w Bruket i pił piwo, Eva wzięła ich samochód, żeby pojechać po Marikę, która miała nocować u koleżanki, ale potem zmieniła zdanie. Bredström twierdzi, że Eva miała co prawda prawo jazdy, ale bardzo rzadko jeździła. I to się zgadza. Sprawdziłam, odnotowano to w materiałach ze śledztwa. Mówiła o tym jedna z jej koleżanek ze sklepu. Ale tego wieczoru wsiadła do samochodu. Może łatwiej jej było pojechać po Marikę samochodem. To brzmi prawdopodobnie. I to również odnotowano w protokole: że jeśli w ogóle siadała za kierownicą, to żeby zawieźć gdzieś córkę. Nie znalazłam natomiast nic o tym, żeby ktoś ją widział w tym samochodzie, nawet rodzice koleżanki, u której była Marika. Nikt tego co prawda nie dążył, zadawano raczej rutynowe pytania, ale faktem jest, że tego wieczoru nikt nie widział samochodu. Dziwne, prawda?

Tak, to prawda. Dziwne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Może to nie ma większego znaczenia – ciągnie Tove. – Bo nawet jeśli stało się wtedy coś innego niż to, co jest w protokole, to nie musi to znaczyć, że Bredström miał rację.

– Ale to i tak dziwne. Jesteś na komendzie?

– Na cmentarzu.

– Ach tak.

– Po raz pierwszy.

Potem żadne z nas nic już nie mówi. Próbuję sobie wyobrazić, jak chodzi między grobami w cieniu drzew. Może wie, który jest jego, a może go szuka, może sprawdza wszystkie groby po kolei. Próbuję sobie wyobrazić kamień na jego

grobie: jaki ma kształt, czy jest duży? Czy na grobie leżą kwiaty? Może Tove też jakieś przyniosła.

Rozłącza się i dociera do mnie, że nie wiem, co się naprawdę przydarzyło Evie Levin.

Zwiększam dawkę morfiny i po chwili przestaję myśleć.

Śnię. Sylwetki są zamazane, rozpadają się. Kiedy odwiedził mnie lekarz prowadzący, nie chirurg, tylko jakiś inny, wspomniał, że podają mi miksturę leków, która może mieć wpływ na moje sny. A może to morfina tak na mnie działa? Chyba za bardzo zwiększyłem dawkę.

Pewnie tak. Śnię, ale potem nie pamiętam o czym. Jestem niespokojny, chcę się obudzić, ale nie jestem w stanie. Drzwi są zamknięte, ale zza nich dochodzą jakieś odgłosy. Coś się rusza.

Widzę, jak ktoś ostrożnie naciska klamkę, i w końcu drzwi się otwierają. I wiem, że właśnie na tę chwilę czekałem. Bardzo się cieszę, że znów mogę się spotkać z moim przyjacielem.

Wchodzi do pokoju i uśmiecha się do mnie.

– Leo – mówi. Podchodzi do krzesła, na którym przed chwilą siedziała Sam.
– Mówiłem, że wkrótce się zobaczymy. – Siada na krześle. – Czekałeś na mnie?

– Tak.

– Nie zostanę długo.

– Rozumiem. Krótka chwila we śnie jest lepsza niż nic.

Na twarzy Grima widać zdziwienie, które jednak szybko zamienia się w coś, czego nie potrafię nazwać.

– Tak, może tak.

– Jak ci się udało wyjść? – pytam.

– No wiesz, zawsze znajdzie się ktoś, kto mi pomoże. – Uśmiecha się.

– Kto?

– Gabriel.

– Nie rozumiem tego – mówię. – On do mnie strzelał. Goffman strzelał do mnie.

– Słyszałem.

– Boję się. Byłem przekonany, że umrę. Ja... Sam... Nie wiem... – Łzy. Znów łzy, których nie jestem w stanie powstrzymać. Coś jest nie tak. Jakby jakaś tama we mnie zaraz miała puścić. – Kit...

– Wszystko jest w porządku, Leo.

Nachyla się, czuję zapach mojego najlepszego przyjaciela i przez chwilę znów jest lato: leżymy na plecach na dachu wieży ciśnię w Salem i wpatrujemy się w bezchmurne niebo. Podobno wieczorem ma być gęsta mgła, ale na razie niebo jest przejrzyste. Grim odwraca się do mnie, mruży oczy w ostrym słońcu. Mówi, że jeśli kiedyś będziemy musieli się rozdzielić, to będzie mu mnie

brakowało.

Nagle wszystko sobie przypominam.

– Chcesz mnie zranić?

– Nie.

Nie mam odwagi na niego spojrzeć, a chciałbym. Tym razem słowa nie wystarczą. Kładzie dłoń na mojej ręce i patrzy na mnie.

– Wszystko w porządku, Leo. Oddychaj.

– Boli. W piersi...

Grim śledzi wzrokiem cienki wężyk, który prowadzi od grzbietu mojej dłoni do czegoś za mną. Rozgląda się, schyla. Zdejmuje dłoń z mojej ręki. Miejsce, gdzie mnie dotykał, jest ciepłe. Brakuje mi jego dotyku. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa, mimo wszystko.

Grim podaje mi regulator, który pozwala mi dowolnie dawkować środki przeciwbólowe.

– Spadł. Leżał na podłodze – mówi i wciska guzik.

– Jeszcze – proszę. – Więcej.

Zwiększa dawkę, a potem kładzie regulator na łóżku obok mojej ręki i rzuca szybkie spojrzenie na zamknięte drzwi.

– Czy to nie jest zbyt realistyczne jak na sen? – pyta.

Chce, żebym się obudził, myślę. Ale ja nie chcę. Chcę tu zostać. Kręcę głową.

– Wszystko jest takie niewyraźne, jak kartka, która zaczyna się palić na brzegach.

– Tak, niestety rzeczywistość nie pali się tak łatwo.

Uśmiecha się, a ja mam ochotę się roześmiać.

– Właśnie.

– Jeśli znów zniknę, Leo...

– Nie rób tego, nie znikaj. – Szukam jego dłoni, ale nie znajduję jej. Morfina robi swoje, życie staje się spokojne, jakby zanurzone w cudownej szarej mgle.

– Nie chcę.

– Nie szukaj mnie. Chciałbym, żebyś zostawił mnie w spokoju. Możesz?

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – mówię.

– Wiem. I zostawię cię w spokoju. Nie będę... – Mruga, nie kończy. – Jeśli nic nie zrobię, może się to dla mnie źle skończyć. Musisz mi uwierzyć. Tym razem musisz mi zaufać, Leo.

– Nie rozumiem.

– Powiedz, że mi ufasz.

– Ja... – Nie kończę, ale wiem, że to prawda. Dopiero teraz dociera do mnie, jak wiele dla mnie znaczył. I jak bardzo będzie mi go brakować, jeśli tym razem naprawdę rozplynie się w powietrzu. – Ufam ci.

– Dobrze – mówi Grim i spogląda na drzwi. – Chyba muszę już iść.

– Po co przyszedłeś?

Uśmiecha się.

– Żeby się pożegnać.

– Nie! – Wyciągam do niego rękę, boję się. – Nie. Dlaczego?

Bierze moją dłoń, na chwilę nasze palce się dotykają. Chcę go zatrzymać, ale nie mam dość siły. Logika snu jest zbyt potężna, żebym mógł się jej przeciwstawić.

Mam wrażenie, że się zdrzemnąłem, ale nie jestem pewien. Coś jednak musiało się wydarzyć, bo kiedy otwieram oczy, światło, które wpada przez okno, nagle wydaje mi się inne. Mam wrażenie, że na zewnątrz jest bardzo gorąco, i cieszę się, że nie muszę tam być.

Czuję, że mam coś w ręce: sztywną złożoną kartkę. Jej brzegi dotykają mojej dłoni. Rozkładam ją.

*żegnaj, leo
przynajmniej
do następnego razu*

